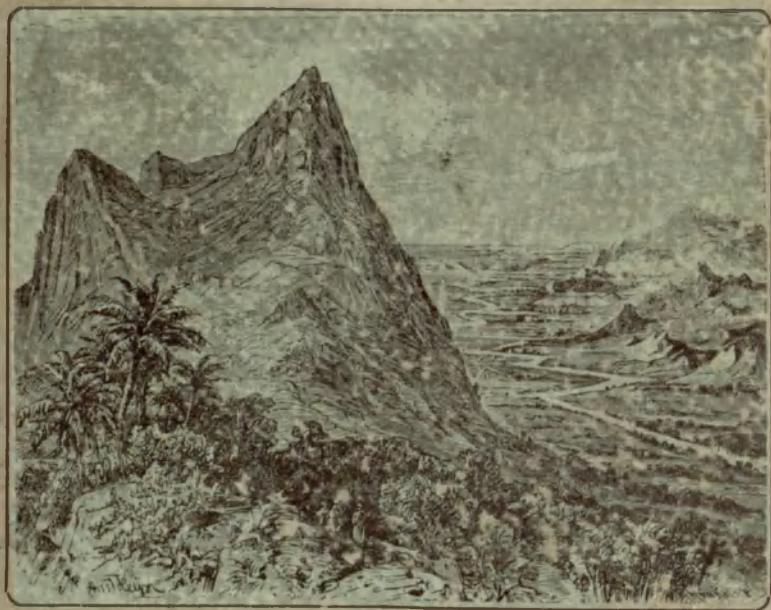


42041 [5]

WACŁAW NAŁKOWSKI

GIEOGRAFJA MALOWNICZA



Część V. — AZJA.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

CZĘŚĆ V

DRUK MICHAŁA ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.

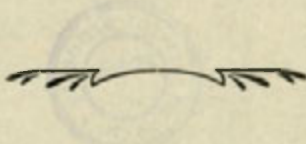
<http://rcin.org.pl>

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

ulożył

Wacław Nałkowski



CZĘŚĆ V

A Z J A



Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

1911.

<http://rcin.org.pl>

JANUSZ STYCZSKI

38



42.041 [5]

HN-16084/16

PAN abc. n. 212/73
<http://rcin.org.pl>

GIEOGRAFICZNO-DZIEJOWE STANOWISKO AZJI.

Zasadniczym motywem dziejów Starego Świata, opartym na jego ogólnej budowie (górska oś równoleżnikowa), jest kontrast, oraz wzajemne oddziaływanie północy i południa; lecz w Azji oddziaływanie to ulega pewnej modyfikacji, mianowicie: z powodu znacznego wzniesienia i rozszerzenia się tutaj górskiej osi równoleżnikowej, która zmienia się w potężny, niedostępny pas wyżyn, otoczonych górami; z powodu dalej małego rozczłonkowania i zbyt surowego klimatu właściwej północy, północ ta nie wyszła tutaj z martwoty historycznej. Miejsce właściwej północy zajął tutaj środek; zamiast oddziaływania północy i południa, zasadniczym motywem dziejów Azji jest *oddziaływanie bezodpływowej, pustynnej Azji Centralnej na odpływową, żyzną Azję Peryferyczną* (naturalnie wyjąwszy jej ubogą północ). Pasterskie barbarzyńskie ludy Azji Centralnej, dręczone często głodem wskutek braku pastwisk i wody, widziały ze szczytów rozesłane u ich stóp bujne niwy Azji Peryferycznej, a wśród nich wspaniałe miasta z bogatymi płodami kultury. Była to pokusa, podobna do tej, jaką, wedle pojęć tamtejszych, szatan miał kusić Chrystusa, pokazując mu z wysokiej góry powaby tego świata. Barbarzyńcy nie byli wstrzemięźliwi: jak ciężkie masy zimnego powietrza, któ-

re dotąd nagromadza się po za tamującą je ścianą górską, aż wreszcie przepelni kotlinę i przez największe obniżenia, szczyby w jej krawędziach rzuca się, jako lodowato zimny i gwałtowny uragan (bora), na niżej leżące, cieplejsze równiny, — tak i owe barbarzyńskie ludy; stosunki ich z obszarami peryferycznymi nie miały bynajmniej charakteru powolnego, ciągłego oddziaływania (jak stosunki północy i południa w Europie), lecz raczej charakter groźnych nawałnic, które od czasu do czasu spadały z wyżyn na niziny. Burze te, jakkolwiek straszne i niszczące, miały, podobnie jak burze natury, także i swe dobre skutki: były one jakoby usiłowaniami przywrócenia kulturalnej równowagi, naruszonej kontrastem barbarzyństwa centralnego i kultury peryferycznej. «Każda pojedyncza horda, mówi Richthofen («China», I, s. 54), dosięgnąwszy krainy z charakterem czysto peryferycznym, zmieniała swe zwyczaje. Miejsce życia koczowniczego zastępowało osiadłe, namioty zmieniały się w domy, obozy — w miasta i wsie; zamiast hodowli stad, dawni stepowcy brali się do rolnictwa».

Co do oddziaływania Azji na inne części świata, a w szczególności na Europę, to przedewszystkiem wspomnieć należy o *wpływie etnograficznym*: wpływ ten znalazł geograficzne podstawy, z jednej strony w zróżniczkowaniu etnograficznym Azji, wynikłym ze zróżniczkowania fizycznego, z drugiej — w centralnym położeniu i zbliżeniu lub połączeniu Azji ze wszystkimi pozostałymi częściami świata. Azja była rojowiskiem etnograficznym, z którego rozeszły się na wsze strony rozmaite ludy, niby pszczoły z ula. Co do Europy w szczególności, to, pomijając niepewną kwestję pierwszych wędrówek ludów aryjskich, Azja już w czasach historycznych zbogaciła Europę etnograficznie: ludy mongolskie sięgnęły w Europie swemi osadami na półwysep Bałkański (Turcy), nizinę średniego Dunaju (Węgrzy), na półwysep Skandynawski (Lapończycy) i do Rosji południowej (Tatarzy, Kałmucy, Kirgizi); nawet

za pośrednictwem północnej Afryki i zbliżenia Gibraltarskiego, Arabowie sięgnęli do Hiszpanji i pozostawili w mieszkańcach jej okolic południowych ślady swej krwi.

Chwilowe zagony hord azjatyckich sięgały w Europie jeszcze dalej, obu drogami, tak bezpośrednio, jak i za pośrednictwem Afryki, i przestrzennie prawie stykały się ze sobą (Chalons sur Marne i Poitiers). Wpływ etnograficzny był w związku z czasowym przynajmniej wpływem *politycznym* (Arabowie w Hiszpanji, Turcy na półwyspie Bałkańskim, Mongołowie w Rosji południowej), a zarazem z *wpływem kulturalnym i ekonomicznym* (sprowadzenie roślin uprawnych i zwierząt domowych, otrzymywanie drogą handlową produktów bogatych Indji, szczególnie w czasach włoskich republik handlowych), jako też i *idejowym*. Ten ostatni miał szczególnie *charakter religijny*: Azja była nie tylko rojowiskiem ludów, ale oraz rojowiskiem najrozmaitszych religji, od grubego szamanizmu Syberji do najwznioślejszych religji monoteistycznych, które — rzecz godna uwagi — powstały w Azji południowo-zachodniej, w pasie pustyń: jednostajność i bezmiar pustyni, tego «morza bez wody», pokrytego oponą wiecznie pogodnego nieba, silnie iskrzącego się w nocy gwiazdami, usposabia do odrywania myśli od codziennych drobiazgów i wznoszenia jej w sfery tajemnicze, nadziemskie. Z tych religji chrystjanizm rozprzestrzenił się po Europie drogą przeważnie pokojową, mahometanizm głównie drogą oręża (w Afryce dotąd się rozprzestrzenia), w związku z wpływem politycznym, który wywarł jednak po części wpływ dodatni na rozwój europejskiej cywilizacji (wpływ nauki arabskiej).

Rzecz godna uwagi, że to oddziaływanie Azji na zewnątrz było analogiczne z oddziaływaniem wewnętrznym, a raczej było tylko dalszym, szerszym rozwojem oddziaływania wewnętrznego, to jest było rezultatem dążenia ludów centralno-azjatyckich ku obszarom peryferycznym. Peryferyczne ludy Azji w oddziaływaniu tym

na zewnątrz nie przyjmowały prawie udziału (wyjąwszy etnograficzny wpływ Malajów na Australję); ludy te były zbyt odosobnione, a przytym zbyt zadowolone z przyrodzonych bogactw swych krain ojczystych, ażeby znaleźć pobudkę do wylewania się i wpływania na zewnątrz; dopiero w ostatnich czasach, gdy wskutek wielkiego rozmnażania się ludności na obszarach peryferycznych, nawet tak bogata tamtejsza przyroda nie wystarcza już na wyżywienie tłumów ludzkich, obszary peryferyczne zaczynają przez emigrację oddziaływać etnograficznie i ekonomicznie na zewnątrz (emigracja chińskich kulisów do Australji i Ameryki, «kwestja żółta» w Stanach Zjednoczonych).

Mimo powyższych objawów oddziaływania, charakterystyczną cechą kulturalną Azji jest *stagnacja*, wynikająca z chwilowości, niesystematyczności powyższych objawów oddziaływania (co znowu znajduje podstawę w niedostępności przyrody): pasterskie ludy wnętrza, o ile nie przeniosły się na obszary peryferyczne, pozostały dotąd w pierwotnym stanie barbarzyństwa, ludy zaś peryferyczne, dosięgnawszy, każdy samodzielnie, pewnego stopnia kultury, nie mogły się dalej rozwijać i pozostały dotąd na tym samym stopniu rozwoju, w tej samej fazie potamicznej (rzecznej), do jakiej doszły już przed wiekami (pozostawiając dalsze fazy dziejowe Europie i Ameryce). Ludy Azji, tak centralne, jak i peryferyczne, są jakby «stereotypowym odbiciem przeszłości». Mongołowie i Turkomanie koczują ze swemi stadami i kibitkami tak samo, jak starożytni Scytowie. Chińczycy pozostali takimi, jakimi się przedstawiają w najstarożytniejszych pomnikach swej literatury. Bramini tak samo jak dawniej odbywają pielgrzymki do źródeł Gangesu i zmywają swe grzechy w jego świętych wodach, a Arabowie wciąż po tych samych ścieżkach dążą do grobu proroka. Człowiek Azji jest niezmienny, jak otaczająca go przyroda. Stagnacja ta jednak

nie pozostanie wieczną i już obecnie nawet występują w Azji objawy zmian, objawy dalszego rozwoju.

Objawy te są skutkiem *wzajemnego oddziaływania Europy na Azję*. Europa w stosunku do Azji jest krajiną peryferyczną, która jednak swym obszarem, swym bogatym rozczłonkowaniem, swym harmonijnym ukształtowaniem powierzchni i łagodnymi stosunkami klimatycznymi ma przewagę nad pozostałymi peryferycznymi indywiduami Azji; Europa więc zdołała wyprowadzić dzieje kultury ludzkiej z fazy potamicznej do śródziemno-morskiej, a następnie oceanicznej, i tym sposobem zdobyła się na oddziaływanie, na które nie mógł się zdobyć żaden właściwie azjatycki obszar peryferyczny (pominąwszy indyjski wpływ buddyzmu). To oddziaływanie drobnej, ale potężnej duchem Europy, na olbrzymie nieruchome ciało Azji rozpoczęło się już bardzo dawno; ale początkowo, bądź to z powodu masowej przewagi azjatyckiej, bądź azjatyckiego atawizmu młodej jeszcze Europy, bądź wreszcie wskutek budzącego nienawiść fanatyzmu religijnego, było nietrwałe i przeszło bez pozostawienia głębszych śladów (państwo Aleksandra Wielkiego, wyprawy Rzymian — w starożytności; wyprawy krzyżowe w wiekach średnich). Prawdziwy, trwały, systematyczny wpływ Europy na Azję, wpływ polityczny, religijny i kulturalny, zaczął się dopiero w zaraniu wieków nowych, z chwilą, gdy z jednej strony Vasco de Gama w wątlej karaweli opłynął przylądek Burz, najpołudniwszy punkt starego świata i na czele garstki mężnych Luzytanów stanął na wybrzeżu Malabarskim; z drugiej strony, gdy «północny Pizarro», na czele awanturniczej kozackiej watagi, przekroczył «Pas Kamienny» i zawładnął dziedziną Kuczuma. Ten trzechwiekowy z górą wpływ Europy nie pozostał bez skutku: nie tylko taki naród peryferyczny, jak Japończycy, przyswoił sobie szybko europejską kulturę, ale nawet barbarzyńscy mieszkańcy wnętrza lądu ulegają lub wkrótce ulegną ra-

dykalnej zmianie, i to nie opuszczając swej ojczyzny, albowiem sama ta ojczyzna zmienia się pod wpływem Europejczyków. «Przyroda stepów, mówi Vambery, uczyniła ludy tureckie nomadami i rozbójnikami, ale z czasem stepy zostaną okute w żelazne więzy szyn kolejowych, i syn stepów, który jeszcze przed dwoma dziesiątkami lat pysznił się przed podróżnikiem, że łatwiej jest każde ziarno piasku przygwoździć do gruntu, niż jego uczynić osiadłym, będzie musiał mimo woli zamienić miecz na pług i stać się człowiekiem kultury».

W. N.

OD MORZA ŚRÓDZIEMNEGO DO ZATOKI PERSKIEJ. — KOLEJE: ANATOLSKA i BAGDADZKA.

Dążenia polityczno-handlowe, mające na celu złamać monopol kanału Suezkiego, wywołały budowę kolei przez Turcję Azjatycką dla skrócenia drogi do Indji. Prawie od morza Śródziemnego do zatoki Perskiej rozciąga się tu olbrzymia nizina bliźnich rzek, Eufratu i Tygru, która na pierwszy rzut oka wydaje się dogodnie położona dla tych planów kolejowych. W rzeczywistości rzecz ma się nieco inaczej: nizina ta, Mezopotamja, błogosławiony kraj w starożytności, kraina ruin wysokiej niegdyś kultury, okazała się przy bliższym zbadaniu przez niemiecką komisję Bagdadzką w roku 1900 bardzo niekorzystną do przeprowadzenia kolei. W górnej swej części stanowi ona rozpaczliwą kamienistą pustynię, w dolnej zaś części — nieprzebyte bagnisko; dawne kanały zarosły, rzeki zdziczały, mieszkańcy zniknęli — tak wygląda obecnie dawna piękna Mezopotamja. W tym dawnym spichrzu państwa Rzymskiego cena zboża jest obecnie wyższą, niż na targu londyńskim.

Podróż przez tę krainę, jakkolwiek często obecnie przedsiębrana, nie jest bynajmniej łatwa, ani bezpieczna. Wrażenia takiej podróży od morza Śródziemnego do zatoki Perskiej skreślił najlepiej niedawno Oppenheim. Część początkowa tej drogi, mianowicie od Beirutu do Damaszku, tej «perły Wschodu», jest bardzo dogodna i piękna, gdyż kolej przez Liban jest jedną z najbardziej malowniczych na świecie. Ale krajobraz zmienia się natychmiast, gdy tylko wyjedziemy za Damaszek, w górską krainę Hauran, schronienie wojowniczych Druzów. Hauran jest nawet w stosunkach azjatyckich krainą osobliwości: krainą dziką, a jednak kryjącą w sobie szczątki najstarożytniejszej kultury—ruiny wspaniałych budowli: zdziwiony podróżnik napotyka tu, co krok prawie, to zwaliska teatru, który łatwo możnaby odbudować, to resztki świątyni, to szeregi kolumn, to sarkofagi — «niby w jakimś państwie umarłych». W tej krainie ruin osiedliły się naprzód nieliczne rolnicze plemiona arabskie, a następnie, od jakich 200 lat, Druzowie, ten dumny, arystokratyczny, wojowniczy lud, ani muzułmański, ani chrześcijański, znienawidzony zarówno przez muzułmanów, jak i przez chrześcijan. Krwawe walki z Turkami w drugiej połowie zeszłego stulecia nie zdołały złamać mężnych Druzów: jeszcze w roku 1901 wystąpili oni zbrojnie przeciw władzy padyszacha. Oppenheim, który w ostatnich czasach badał ten lud, znalazł go przychylnym dla obcych i gościnnym. Druzowie w liczbie około 40000 są dotąd nieograniczonymi panami gór Hauran; opuszczone, w części tylko zniszczone, budowle dawnych mieszkańców posłużyły Druzom za gotowe mieszkania i fortece, z których oni rzucają postrach na sąsiednich Beduinów. Liczba Druzów, którzy mają jeszcze swych krewniaków na Libanie i Hermonie, mogłaby znacznie wzrastać i uczynić ich ludem potężnym, gdyby nie srożąca się wśród nich krwawa zemsta.

Droga od gór Hauran do Eufratu przez pustynię Syryjską jest niewymownie smutna i niebezpieczna; Oppen-

heim przebywał tu obszar mało dotąd znany; skwar letni, brak wody i wroga postawa Beduinów utrudniały niezmiernie pochód wielkiej karawany. Konie i wielbłądy cierpiały niezmiernie, szczególnie podczas przebywania gór Safa z ich olbrzymimi wulkanami, które jakby zduszone własną lawą wznoszą się wśród kamienistej pustyni, mając u swych stóp zwaliska jakichś świątyń. Przy wstępowaniu do tej krainy grunt pod kopytami koni wydawał metaliczny dźwięk; brunatna lub czarna lawa pokrywa stoki, to popękana i poszarpana, to zwieczona, jak skamieniałe fale po burzy. Beduini powielekroć niepokoiłi karawanę i wyparli ją z drogi, gdzie były choć skąpe źródła. Przez zwaliska bajecznej Palmyry, gdzie dzisiaj wioska Tadmur leży, cała pośród ruin starożytnej świątyni słońca, karawana zbliżyła się wreszcie ku Eufratowi. «Grecy nie mogli z większą radością powitać modrych fal upragnionego morza, niż my po strasznej podróży przez pustynię witaliśmy zbawienną rzekę!»

Dalsza podróż w poprzek Mezopotamji do Mosulu nad Tygrem prowadziła znów przez kraj poczęści mało, poczęści zupełnie nieznany. Wielkiej ostrożności i taktu wymagały i tutaj stosunki z «synami pustyni»; w większości wypadków udało się podróżnym pozyskać sobie szeików, a stąd nie tylko uniknąć niebezpieczeństwa, ale także zebrać wiele wiadomości o życiu Beduinów. Drogę z Mosulu do Bagdadu przebyli podróżni w dół Tygru na tratwach z worów skórzanych. Z Bagdadu parowcem dosięga się w pięć dni Basry, portu Mezopotamji, położonego nad połączonym Eufratem i Tygrem w odległości jeszcze 100 kilometrów od zatoki Perskiej.

Linja kolei Bagdadzkiej różni się od drogi Oppenheima o tyle, że punktem jej wyjścia nie jest kolej Damasceńska, lecz sieć kolei Anatolskich. Oppenheim obiecuje kolei Bagdadzkiej wielką przyszłość. «Wszystko, mówi on, przemawia za tym, że na równinie wyższej Mezopotamji uprawa bawełny rozwinie się znakomicie.» Poniżej, mię-

dzy Mosulem i Bagdadem, linja kolei przecina krainę nafty, której nadmiar spływa dotąd bezużytecznie do rzeki; nafty tej wystarczyłoby do opalania wszystkich lokomotyw od Konstantynopola do zatoki Perskiej i wszystkich parowców, kursujących po Tygrze. Jeżeli weźmiemy jeszcze na pomoc nieco fantazji, to możemy sobie wyobrazić wzdłuż Tygru i kolei cały szereg przędzalni bawełnianych, poruszanych darmo gazem naturalnym.

Liczne plemiona arabskie, zamieszkujące w okolicach linji kolejowej, nie będą prawdopodobnie zbyt niebezpiecznymi sąsiadami: rabusie, dobrze zapłaceni, mogą się stać pożytecznymi, jako strażnicy kolei; wszakże przysłowie tureckie mówi: «bądź rabusiem, bądź złodziejem, ale nie zapominaj o uczciwości».

Końcem kolei Bagdadzkiej ma być Kueit, wygodny port nad zatoką Perską.

Kolej Bagdadzka otworzy nietylko nową drogę do Indyjskiego kraju cudów, nietylko ożywi zamarłą kulturę Mezopotamji, ale oddziała też na rozwój kultury Azji Mniejszej. Już dzisiaj kolej Anatolska dosięga dwoma ramionami środka Azji Mniejszej: Angory na północy i Kouji na południu; ta ostatnia jest punktem wyjścia linji kolei Bagdadzkiej.

Najbardziej malowniczą częścią kolei Anatolskiej jest linja od Skutari nad Bosforem do Eskiszeru, punktu węzłowego dwóch ramion kolei, rozchodzących się do Angory i Konji. Kolej ta od Bosforu biegnie do Ismidu wzdłuż wybrzeża morza Marmara; tutaj opuszcza niski pas nadbrzeżny i wspina się na wyżynę Anatolji, do 1000 metrów wzniesioną. Wstęp na wyżynę odbywa się wąwozami wśród krainy górskiej i lesistej; jest to przejście Balaban, znane już w starożytności i w czasie wypraw krzyżowych jako droga wojenna. Za przejściem lesista dotąd kraina ustępuje miejsca krajobrazowi pustynnemu. Wkrótce kolej wstępuje w drugi wąwóz, Kara Su, daleko dzikszy od pierwszego, gdyż nagie skały wapienne

poszarpane, spadają stromo ku jego dnu; ale na końcu tego wąwozu otwiera się kotlina, tonąca w zieleni: rosną tu drzewa oliwne, figi, brzoskwinie, migdały, a zwłaszcza morwy, gdyż kotlina ta stanowi ognisko kultury jedwabników. Z kotliny tej kolej wspina się wyżej wężownicami, wiaduktami i tunelami po ścianach skalistego wąwozu na właściwą wyżynę; tutaj roślinność nagle się zmienia, drzewa ustępują miejsca równinom trawiastym, a w miejsce rolnictwa i przemysłu zjawia się życie pasterskie. Obszary trawiaste Anatolji mogłyby całą Turcję zaopatrywać w mięso, mleko i wełnę, ale Anatolijczyk jest na wyżynie równie złym pasterzem, jak na nizinie — rolnikiem; nie stara on się o zabezpieczenie bydła na zimę; tam tylko, gdzie skały posiadają rozległe pieczary, bydło znajduje schronienie przed niepogodą, zresztą przez całą zimę pasie się pod odkrytym niebem; skutkiem tego w surowe zimy masy bydła giną, a przytym rasa wyrodnije. Przez takie trawiaste samotne obszary, wśród których wieczorem rozlega się wycie szakali, kolej dosięga Eski Szer, węzłowego punktu kolei i ogniska handlu pianką morską, której kopalnie znajdują się w okolicy. Północna gałąź rozchodzących się stąd kolei biegnie do Angory, ale towarzystwo budowy posiada koncesje na przedłużenie linii do Kaisariéh (Cesarea); przedłużenie to przypada głównie na dolinę rzeki Kisil Irmaku; jest to pod względem historycznym i etnograficznym bardzo ciekawa kraina (Kappadocja), z którą zapoznaliśmy nas bliżej nowsze badania.

Kappadocja, zajmująca dolinę górnego Kisil Irmaku (w starożytności Halys) i obszar objęty wielkim łukiem tej rzeki, składa się, jak większa część wnętrza Azji Mniejszej, z tufu wulkanicznego, w nim rzeki i wogóle wody płynące wyłobiły sobie głębokie wąwozy, a miejscami płyną nawet tunelami, których sklepienie tworzy twarदा pokrywa z lawy. Gdy na początku XVIII stulecia podróżnik francuski, Lucas, zwiedził tę krainę, jako pierw-

szy z Europejczyków od wielu stuleci, wywołał swemi opowiadaniem i wśród współczesnych zdziwienie, a nawet niedowierzanie. Ludzie w okolicach Kaisarieh, pisał on, mieszkają tysiącami nie w domach, lub chatach, lecz w wielkich kamiennych piramidach, które sami wzniesli, lub w skalistym gruncie wyciosali i w których następnie wyłobili mieszkania, a nawet świątynie. Podróżnik ten, jak utrzymuje, widział przynajmniej 50000 takich olbrzymich piramid czy stożków z tufu wulkanicznego.

Te i inne rzeczy, opowiedane przez Lucasa, brzmiały rzeczywiście nieco dziwnie i można zrozumieć, że współczesny mu świat uczony Europy nie bardzo chciał wierzyć w tych troglodytów, którzy budują sobie ze skał piramidy, by w nich wyłabiać jaskinie. Ale wiek XIX, w którym wielu geografów zwiedziło Azję Mniejszą, przyznał francuskiemu podróżnikowi przynajmniej w ogólnych zarysach rację. Jaskiniowcami uczyniła wieśniaków Anatolickich otaczająca ich przyroda: pałace promienie słońca, suchość klimatu i gruntu, oraz miękkość miejscowych skał.

Piramidalna forma, którą przez wyplukanie przybierają miejscowe skały, jest uwarunkowana przez twardszą pokrywę, która chroni pokrytą część skały od splukania, podczas gdy z boków wyłabiające działanie wody postępuje coraz głębiej. Wszyscy podróżni, którzy zwiedzili dolinę Kisil Irmaku pod Udż Assaru, zgodnie podziwiają te tysiące piramid tufowych, które wznoszą się poczęści z równiny, poczęści z krainy pagórkowatej. Większa część tych piramid i stożków posiada jeszcze na szczycie ochronną czapkę z twardej ciemnej lawy, która niegdyś, jako nieprzerwana warstwa, pokrywała cały kraj tufowy. Wysokość tych piramid i stożków dosięga nieraz do 90 metrów, tak iż robią one wrażenie wulkanów. Gdzie chroniąca czapka z lawy została zniszczona czy zrzuciona, tam i piramida ulega szybkiemu zniszczeniu.

Początek założenia mieszkań w tych piramidach, nieprzepuszczalnych zarówno dla wilgoci, jak i dla zmian temperatury, sięga odległych czasów. Być może pierwszym popędem do wyłabiania jaskiń była potrzeba schronienia przed wrogiem, przechowania zapasów, lub kult religijny. Być może także, iż użycie jaskiń tutejszych na mieszkania pochodzi aż z tak odległych czasów, gdy człowiek uważał jaskinie bądź naturalne, bądź sztuczne, za jedyne możliwe mieszkanie. W każdym razie w Udż Assaru, jak i w innych miejscowościach Kappadocji, napotyka ją się oprócz zwykłych izb jaskiniowych z czasów nowszych, także liczne wielkie jaskinie z ornamentami, kolumnami i t. p., pochodzące z czasów rzymskich, greckich, a nawet o wiele dawniejszych. Podróżnik amerykański Sterrett napotkał tu mieszkania piętrowe nawet o dziewięciu piętrach. Wejście do tych mieszkań rzadko leży u stóp góry, najczęściej znajduje się wysoko; prowadzą doń dwa szeregi wykutych w skale stopni. Oddzielne piętra są też połączone ze sobą rodzajem kominów z wykutymi stopniami. Wszystkie pokoje posiadają małe otwory okienne, które już zdala wskazują ilość pięter. Zresztą nie wszystkie piramidy, posiadające jaskinie, są zamieszkałe; nie wszystkie też jaskinie zostały wyłobione w celach mieszkalnych. Do takich należą przedewszystkiem jaskinie, które służyły za świątynie. Świątynie takie pochodzą z czasów greckich, oraz z czasów pierwszych chrześcijan. Wiele też z dawnych mieszkań stało się bezużytecznymi z powodu utraty ochronnego dachu z lawy. Wiele jaskiń służy za gołębniki, gdyż gołębie są tu hodowane tysiącami.

Nie we wszystkich okolicach tufowych spotykamy taką formację piramid; często masa tufowa jest przez erozję pokrajana na wielkie bloki. Wówczas tylko pokoje zwrócone ku wąwozowi otrzymują światło, reszta, za niemi leżąca, jest pogrążona w zupełnej ciemności, jak to np. ma miejsce w mieście Urgub.

Jeżeli z Udż Assaru, leżącego mniej więcej we środku obszaru zamieszkanego przez troglodytów, udamy się na zachód, to znajdziemy się wkrótce pośród wyżyny, której powierzchnia składa się z całkowitej jeszcze pokrywy lawowej; gdzie jednak wyżyna ta spada stromemi ścianami ku okolicznym dolinom, tam zaraz ściany owe są podminowane jaskiniami, ciągnącemi się pod powierzchnią lawową; obecni miejscowi mieszkańcy nic nie wiedzą, ani kto te jaskinie wyłobił, ani jak daleko te labirynty sięgają pod powierzchnią lawową.

Zupełnie niezamieszkaną jest również dawna jaskiniowa wieś Soghanlu Dere, leżąca o jeden dzień marszu na południe od miasta Urgub: ściany skalne są tu też podziurawione dziesiątkami tysięcy jaskiń, które w znacznej części służyły za kaplice: w niektórych dochowały się jeszcze wyobrażenia świętych. Obecnie te święte niegdyś jaskinie są zamieszkałe przez niezliczone masy gołębi. Wykopaliska świadczą, że dawni mieszkańcy urządzali nawet cmentarze w jaskiniach.

Według najnowszych badań wydaje się, że jaskinie te były pierwotnie dziełem natury; człowiek rozszerzył je tylko już w czasach pierwszego osadnictwa w tym kraju.

Zresztą upłynie zapewne wiele jeszcze czasu, zanim okolice tych dosięgnie pierwsza lokomotywa i zwiąże je z ogólnym ruchem kulturalnym. Przedłużenie kolei anatolskich pójdzie prawdopodobnie najpierw przez Konia do Eufrata, Tygru i zatoki Perskiej, tymbardziej, że ta gałąź kolei ma dogodne połączenie nietylko ze Skutari (Konstantynopolem), ale i ze Smyrną, od której biegnie kolej na wschód do Afiun Karahissar.

Najtrudniejszą do zbudowania, ale i najbardziej interesującą częścią tej drogi jest część na przejściu przez góry Taurus między Eregli i Adana w pobliżu zatoki Iskenderun. To przejście przez Taurus, brama Cylicyjska, zna-

ne jest już od czasów najdawniejszych: tędy ciągnął już Ksenofont z 10000 Greków, Aleksander Wielki, Cyrus i Gotfryd de Bouillon. Po przebyciu tej krainy kolej z surowego, stepowego obszaru wyżyny, wstąpi na południe w słoneczny pas nadbrzeżny Cylicji.

Cylicja, zasłonięta od surowych podmuchów północy górską ścianą Taurusu, z południa oblana modremi, ciepłymi falami morza Śródziemnego, łączy w sobie wszystko, co tylko wyobrażamy sobie pod wyrazami Wschodu i Południa. Na nizinie nadbrzeżnej i u stóp Taurusu spotykamy tu rośliny o liściu wiecznie zielonym: mirty, wawrzyny, pomarańcze, granaty, drzewa oliwne i figi, które wznoszą się po stokach Taurusu do 450 metrów wysokości. Wyżej idą lasy orzechów, platanów i kasztanów, a jeszcze wyżej — lasy liściaste średnich szerokości geograficznych z dębami, bukami, lipami i t. p. Na wysokości 1300 do 1400 metrów rozpoczynają się posępne bory iglaste z jodłami, świerkami i sosnami, które kończą się na wysokości 1500 metrów; tylko cedry idą jeszcze wyżej — do 1800 metrów.

Podróżnik niemiecki dr. F. Schaffer, który niedawno zwiedził Cylicję, opowiada o dziwnym zjawisku natury, jakiego był tam świadkiem. W maju 1900 roku odbył on podróż od Selefka do Mersia — na wybrzeżu, skąd biegnie już kolej do Adana. Po męczącej jeździe wśród żaru dnia letniego rozbito na wybrzeżu namiot pod ruinami dawnej Eleusy. Był to orzeźwiający wieczór, na horyzoncie pojawiały się błyski elektryczne. Noc była cicha, morze leżało spokojnie, nawet szmer drobnych fal na wybrzeżu umilkł zupełnie. Niebo, mówi podróżnik, było pogodne, gdym się spać położył; około godziny jedenastej zostałem nagle zbudzony przez dziwne jakieś dźwięki, niby muzykę harfianą. Odrzuciłem kołdrę, zupełnie przemokłą od obfitej rosy, i przysłuchiwałem się tej zagadkowej melodji. Przypominała mi ona tony, powstające od posuwania zwilżonych

palców po krawędzi szklanki, napełnionej w części winem. Na wybrzeżu zalegała gęsta, biała mgła, przez którą przedzierało się mętne światło księżyca. Nie mogąc sobie wytłumaczyć dziwnego zjawiska, zbudziłem towarzyszy; jeden z nich pochwycił kilka kamieni, wyszeptał «iilan» (wąż), i zaczął nimi bombardować w kierunku, skąd dźwięki zdawały się dochodzić. Zwróciłem mu uwagę, że o ile mi wiadomo, węże nie mają zwyczaju śpiewać, ale ani on, ani inni nie dali się przekonać. Jestem pewien, że dźwięki te nie mogą pochodzić od żadnej istoty żyjącej. Znużenie i senność nie pozwoliły podróżnikowi zbadać bliżej tego zjawiska.

Według „*Jahrbuch der Weltreisen*“.

PÓLNOMADYCZNY SPOSÓB ŻYCIA W AZJI MNIEJSZEJ.

Wielbłąd w Azji Mniejszej odgrywa, podobnie jak w wielu krainach Wschodu, bardzo ważną rolę, jakkolwiek nie posiada on tutaj tej właściwości, jaką zwykliśmy łączyć z pojęciem tego zwierzęcia: gdy gdzieindziej pobyt jego jest przywiązany do równin i obraz bezgranicznej piaszczystej pustyni łączy się z obrazem długiej karawany wielbłądów, to tutaj, w Azji Mniejszej, wielbłąd przystosował się do warunków krainy górzystej — «okręt pustyni» stał się, rzecz można, spółzawodnikiem kozicy alpejskiej.

Niezmiernie uderzającym jest widok długiego sznura ciężko obciążonych wielbłądów, które to wspinają się na góry, to znów z nich zstępują, lub też kroczą spokojnie po krawędzi przepaści. Dziwnym się wydaje spotkanie karawany wielbłądów na stromych ścieżkach górskich, na których nawet, tak przywykłe do gór i zręczne, konie tujejsze z trudnością poruszać się mogą. Sposobność obser-

wowania zręczności wielbłądów nadarza się w Azji Mniejszej często, zwłaszcza jednak dwa razy do roku, mianowicie: na wiosnę, gdy pokolenia pasterskie, a także i liczni mieszkańcy miast przesiedlają się do letnisk, oraz w jesieni, gdy wracają z gór do domu. W tych czasach różne okolice górskie Azji Mniejszej przedstawiają oryginalny widok: podróżnik, który wtedy znajdzie się na wyniosłości z obszernym widnokregiem, ujrzy ożywioną panoramę, rozwijającą się pośród okolicy cichej i martwej w każdej innej porze; gdzie tylko zwróci swój wzrok, dostrzeże sznury wielbłądów, poruszające się, niby węże, w różnych kierunkach, naśladujące wszystkie skrety i nierówności gruntu. Ale dopiero gdy podróżnik zstąpi ze swego wysokiego obserwatorium, aby się bliżej przyjrzeć temu widokowi, przedstawi on się mu we wszystkich swych malowniczych szczegółach i odcieniach: przesunie się przed nim długi szereg wielbłądów, koni, osłów, mułów, kóz i owiec; wśród tego—grupy mężczyzn i kobiet w najrozmaitszych barwnych ubiorach; wielbłądy dźwigają najcięższe przedmioty, jak namioty, drągi i t. d., lżejsze są porozkładane na osły i muły. Mężczyźni, uzbrojeni w długie strzelby, pistolety i kindżały, jadą konno lub idą piechotą, stosownie do zamożności; kobiety uboższe idą również piechotą, bogatsze jadą na koniach lub mułach z dziećmi na rękach lub umieszczonemi z tyłu. Najbogatsze siedzą w koszach, przewieszonych po obu stronach wielbłąda. Wielkie złe psy, grożące każdemu obcemu, dopełniają tego obrazu.

Turek wierny tradycjom i odziedziczeniom po swych przodkach, którzy byli zarazem stepowemi nomadami i mieszkańcami gór, niechętnie znosi pobyt w nieruchomym domu, a jeżeli nawet nie ma innego domu prócz namiotu, to i ten uważa za więzienie, gdy zmuszony jest nie ruszać go z miejsca przez kilka miesięcy. Pierwszy powiew wiosenny, który mu przynosi zapachy traw alpej-

skich, jest dla niego chwilą wybawienia i natychmiast kobiety, starcy i dzieci śpieszą do rozbierania namiotu i pakowania, aby podążyć w góry do swej prawdziwej ojczyzny, gdzie oczekuje ich orzeźwiający powietrze i zieleń łąk, zamiast niezdrowych wyziewów, suszy i upału, które w niższych okolicach Azji Mniejszej panują podczas lata. Zrozumiałym jest przeto wesoły wygląd karawan, gdy na wiosnę witają one góry, na wstępie do najpiękniejszej epoki orjentalnego życia, która przypada razem z najpiękniejszą porą roku; ale gdy po upływie lata przyroda zaczyna znów przywdziewać szaty zimowe, posmutniały mieszkańiec gór zstępuje ociężałym krokiem w okolice więzów społecznych, gdzie czuje on się bardziej oddalonym od Boga i przodków swoich.

Wielbłąd dla mieszkańca Wschodu jest nieodzownym zwierzęciem; potrafił się przystosować zarówno do różnych warunków topograficznych, jak i klimatycznych; zarówno do najgorętszych dolin, jak i do najzimniejszych gór i wyżyn półwyspu; spotyka się go nawet w zaśnieżonych mroźnych okolicach Erzerumu, gdzie zdaje się nie można było oczekiwać widoku, właściwego spiekłym pustyniom Arabji.

P. Tchihatscheff.

B E D U I N I.

Pod nazwą Beduinów rozumiemy tych nomadów, t. j. wędrujących pasterzy, którzy zamieszkują pustynie i stepy Azji zachodniej i Afryki północnej. Nazwa Beduin pochodzi od wyrazu bedawi, co znaczy «człowiek pustyni» lub «mieszkaniec, syn samotności». Sami Beduini nazywają się z dumą «Arabami» par excellence—«Ana Yarab» (jestem Arabem) znaczy u nich tyle, co: «jestem panem kraju, wolnym, najpierwszym, najszlachetniejszym, prawdziwym Arabem.»

«W miastach panuje sułtan, poza miastami panujemy my»—to jest zasada Beduinów. Ich państwem są pustkowia. Ale w danym razie pod wyrazem tym nie należy rozumieć koniecznie nieskończonych obszarów piaszczystych, bezwodnych i bezdrzewnych; są to często tylko obszary bardzo oddalone od ognisk stałego osadnictwa, dostarczające paszy dla bydła, a nieraz nawet zdatne do rolnictwa; niezamieszkałe obszary zowią się pustyniami — *barrije*. Nigdzie powietrze nie jest czystsze, bardziej orzeźwiające, niż na pustyni. Cierniste zarośla, rozrzucone pojedyncze drzewa, tu i owdzie źródło lub cysterna, rozległe równiny, malownicze wzgórza i góry z licznymi jaskiniami i kryjówkami, niebiański spokój, pogodne niebo—oto dziedzina, którą Beduin uważa za swoją. Jest on przejęty czarem tej samotni, którą opiewa w swych pieśniach.

«O ty, który wysławiasz hadara (mieszczucha) i drwisz z miłości Beduina do bezgranicznych widnokręgów!

«Dlaczego ganisz lekkość naszych czarnych namiotów? czyż nie znajdujesz nic godnego chwały ponad domy z kamienia?

«O gdybyś znał tajemnice pustyni — ale ty ich nie pojmujesz, nic o tem nie wiesz, a niewiedomość jest matką zła.

«O gdybyś choć raz zbudził się na łonie pustyni! — gdyby twoja noga stanęła na tym zielonym kobiercu, który zdobią tysiączne kwiaty, jak perły Wschodu!—zachwyciłbyś się tą szatą roślinną, wspaniałością jej barw, jej powabami, jej upajającą wonią.

«Pochłaniałbyś z rozkoszą ten przenikniony balsamem powiew, który odnawia życie; żadne miasto nie zna tego zapachu.

«Gdy po spokojnej i jasnej nocy gwiazdnej wychodzisz z twego ciepłego namiotu na pustynię, skapaną w rosie

poranku, ujrzysz wspaniałe stada, pasące się spokojnie na wonnej trawie.

«Malowniczym kręgiem wznoszą się nasze namioty, rozsiane na ziemi, jak gwiazdy na błękitnym nieba sklepieniu.

«Żaden z synów ziemi nie może się równać z nami; żyjemy — szczęśliwi pięknym jest życie Beduina!

«Samotność czyni dobrym, powietrze pustyni czyni mądrym, Bedawi niczego nie żąda, prócz swobody i sławy.

«Z pogardą patrzy on na więzienie miasta, jest on królem źródeł i samotności. Allach jest wielki!»

Dziką i groźnie piękną jest, poprzerywana jarami (wadi), pustynia Judzka, poza ciemno lazurowym zwierciadłem przekłętego morza Martwego. obrębiona wysokimi, owianymi różowo-fioletową mgłą, górami Moab. Państwem straszliwego anioła śmierci są kamieniste pustynie Arabji: grunt ich jest usiany olbrzymimi złomami skał; kości wybielone przez słońce oznaczają drogę. «Wiejące przekleństwo, błądząca dusza pustyni» — lotny piasek, kładzie się jak palący całun na szare rumowisko. Ale ze szczelin skalnych, gdzie tylko znajduje się choćby kruszynka ziemi, wyrastają wonne zioła i trawy i nęcą syna pustyni z wypasionych dolin, aby tutaj w górze szukał pożywienia dla siebie i swych stad.

* * *

Godność wodzów — zarówno wyższych (emirów), jak i niższych (szeików) — nie jest dziedziczna: pokolenie wybiera z pośród siebie najlepszego na wodza. Szeik, który okaże się nieszlachetnym, fałszywym lub niezdarnym, zostaje przez głosowanie powszechne pozbawiony swej godności i prawie nigdy się nie zdarza, ażeby taki władca, złożony z urzędu, usiłował zapomocą gwałtu przywłaszczyć sobie odjętą mu godność (o błogosławiony kraju!). W przeciw-

nym bowiem razie całe pokolenie powstałoby przeciw niemu, a nawet wezwało do pomocy pokolenia sąsiednie, i tylko najspieszniejsza ucieczka mogłaby go wyratować od śmierci.

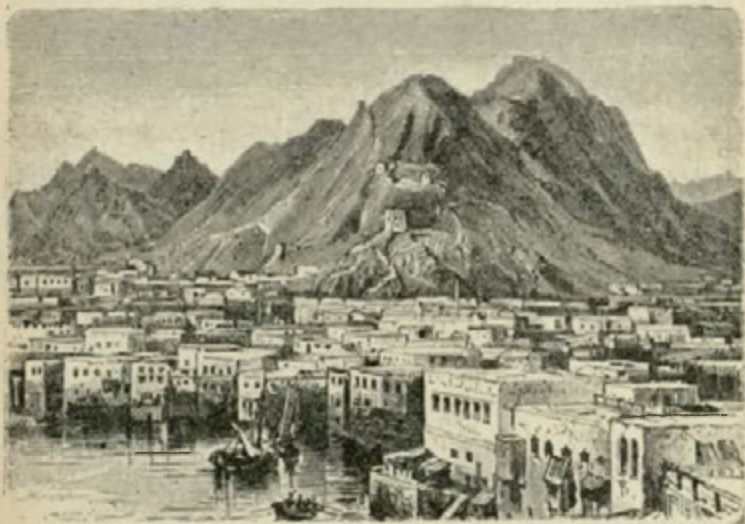
Żaden władca nie zdołał podbić i ujarzmić tych wolnych dzieci pustyni. Dumni ze swej niepodległości, są oni dobrze zabezpieczeni od obcej napaści przez dziką naturę ich kraju, przez dokładną znajomość terenu, przez bystrość i przezorność ich koni. Ci nomadzi są niebezpieczni nawet w ucieczce—nieprzyjaciel, któryby ich chciał tropić, jest zgóry przeznaczony na zgubę. Jeżeli Beduin potrafi zapewnić sobie wolność, jeżeli lubi się nią szczyścić i cieszyć, to również głęboką jest jego pogarda dla hadarów, mieszkańców miast—«więzień», dla osiadłych «niewolników».

Pośród samotnej pustyni, tego państwa śmierci, namiot jest objawem życia. Czy widzisz te ciemne cienie na stoku góry? to są czarne namioty, patryjarchalne mieszkania «książąt pustyni i źródeł». Jakkolwiek proste są te namioty Beduinów, zawsze jednak na ich widok dziwnych doznaje się uczuć, myśl pogrąża się w daleką przeszłość dziejową: z takich prostych namiotów wyszły wielkie religie Wschodu, tak płodne w następstwa dziejowe.

Syn pustyni kocha swój namiot. Życie w namiocie jest wolne, jest życiem ciągłych wędrówek, łowów, wojny, rabunku, a zarazem odpoczynku i gościnności. Ucho mieszkańca namiotu dosłyszcy najlżejszy, najdalszy szelest, wiatr przychodzi doń niby wiestnik z dalekich stron. Beduina interesuje wszystko, co go tylko otacza, cieszy on się i zachmurza razem z otaczającą go naturą. Ale namiot pasterza pociąga myśl naszą przez to jeszcze, że wywarł on wpływ na architekturę—na nim to wzorował się styl maurytański.

«Istnieją pewne kształty, mówi Löher, które jeszcze wówczas, gdy lud jakiś żył na łonie natury, wraziły się głęboko, niezniszczalnie w jego duszę i w okresie jego

wieku męskiego znalazły wyraz w stylu architektury. U Niemców np. był to cienisty las wysokopienny, u Greków białe szczyty gór, u Buddystów ciemne jaskinie, u Chińczyków lekka chata bambusowa z szerokim okapem. Cóż innego mogło być u Arabów, jak ojczysty namiot Beduinów? — Gdy gdziekolwiek bądź, w Hiszpanji, czy Sycylii, Arab zwraca swą myśl ku pustynnej ojczyźnie,



Maskat.

a koran zwracał go tam zawsze, w wyobraźni jego stawał bezwątpienia namiot. Nic piękniejszego nie mogło być w jego wyobraźni, jak namiot wodza Beduinów, pełen lśniących miękkich materji. Tam na ziemi leżały rozciągnięte pstre skóry tygrysa i pantery — tam na ścianach namiotu wisały kobierce z barwnymi wzorami — tam ciekawość ciągnęła poza jedwabne zasłony z błyszczącymi frendzlami w bogate wnętrze namiotu. I rzeczywiście

czyż każda budowla w maurytańskim stylu nie przypomina szczytu i ścian namiotu, nie przypomina barwnych kościców i kotar. Czyż nie zrozumiałym jest, że kolumny i łuki maurytańskich budowli mają delikatną lekkość namiotów? Jest to godnym uwagi, jak uparcie te wspomnienia ojczyste tkwią w duszy narodu i jak, pozornie dawno zmarłe, odżywają znowu w sztuce».

Gdy ku wieczorowi siedzimy przed namiotem w otoczeniu Beduinów, wydaje nam się, jakbyśmy byli w krainie czarów. Zamiast dzwonu wieczornego, słyszymy wśród głębokiej ciszy pustyni chrapanie wielbłądów i ryczenie bawołów; trzeszczący ogień obozowy skrzy się w zmierzchu. Gdy następnie słońce zachodu powleka purpurą żółtawe szczyty pagórków i ciemne namioty, gdy gwiazdy zaczynają się iskrzyć i księżyc srebrzystym blaskiem zaświeci ponad samotnią, wówczas pustynia zdaje się marzyć o czasach prastarych.

„*Oesterreichische Monatschrift für Orient.*“

JERUZOLIMA.

Chcąc ogarnąć okiem całość miasta, trzeba się dostać na jedną z licznych wież, panujących nad Jerozolimą, chociaż widok stamtąd jest nużąco jednostajny. Proszę sobie wyobrazić szeregi domów z płaskimi białymi dachami, przerywane wieżami, także na biało malowanymi; tylko gdzieś tam zielony wierzchołek jakiego skarłowaciałego drzewa przyjemnie ożywia tę jednostajność koloru. Stara dzielnica miasta przedstawia się zato prawie malowniczo. Wprawdzie kopuła Świętego Grobu przypomina jakąś halę lub dworzec kolei; za to kopuła meczetu Omara jest wykwintnie piękną. Skoro po opuszczeniu wieży znalazłem się na ulicach miasta, ciemność i brudy wszędzie mi towarzyszyły; sklezione, brudne, czarne pasaże mają wyobrażać bazar.

Kupcy są wstrętni i towary bezbarwne, nieponętne wcale. Jeruzolima nie posiada tego barwnego wdzięku pewnych miast Wschodu, który jednocześnie olśniewa duszę i oczy, zostawiając urocze wspomnienie.

Z wrażeń, jakie wyniosłem z Jeruzolimy, do mniej przyjemnych muszę zaliczyć zwiedzanie kościołów i miejsc świętych, które tam można liczyć tysiącami. Wielka poezja Ewangeliji polega na pewnym rodzaju mglistości, jeżeli tak można powiedzieć, na nieokreśloności, która cechuje opisywane tam wypadki. Wszystko tam ukazuje się przypadkowo w czasie i przestrzeni, pozbawione konturów materialnych, jak przystoi nadprzyrodzonej historii, która ma należeć do ludzkości całej, a nie do pewnej epoki, ani kraju. Żadna stanowcza data, żadne zbyt dokładne objaśnienie nie tłumy porywów wyobraźni. Jesteśmy świadkami życia Jezusowego, rozwijającego się z całą swobodą i zupełną obojętnością na sprawy ziemskie. Nigdy opowiadający nie myśli nas objaśniać, w jakim dniu zaszły wspomniane wypadki, a jeszcze mniej troszczy się o wskazanie miejscowości, gdzie się odbyły sceny, o jakich nam mówi.

Onego czasu, potem, trochę później, oto są jedyne objaśnienia, jakich nam dostarcza Ewangelija co do chronologii życia Chrystusa; a jeszcze skąpsze mamy wskazówki, dotyczące się miejscowości, gdzie zaszły ważniejsze wypadki. Wiemy, że rzeczona słowa były powiedziane na górze albo na drodze, ale mamy swobodę wybrania sobie drogi lub góry wśród tysiąca innych. Mówią nam, że Jezus przebywał straszne cierpienia w ogrodzie Oliwnym, że został ukrzyżowany na Kalwarji, lecz naszą rzeczą jest znaleźć na Syonie drzewa, które osłaniały swym cieniem zwątpiałego Zbawiciela, naszą rzeczą szukać miejsca, gdzie się spełnił największy wypadek w historii, największa ofiara ludzkości. Sztuka, poezja i pobożność usiłują od wieków nadać formy widzialne pewnym nieujętym pojęciom i stworzyć obok Jeruzolimy prawdziwej, której popolitość razi

najszlachetniejsze uczucia, Jerozolimę idealną, odpowiadającą wszystkim potrzebom serca i umysłu. Niezawodnie niejedna dusza religijna, a chociażby trochę tylko poetyczna, wyobraża sobie nieraz w marzeniach kraj Ewangeliji takim, jakim być powinien, aby odpowiedział najwyższym pojęciom o prawdzie, wobec których rzeczywistość wydaje się najczęściej pomyłką i kłamstwem.

Widok Jerozolimy niweczy cały ten gmach zbudowany przez wyobraźnię. Po zupełnym braku wszelkich objaśnień, stanowiących w naszych oczach urok Ewangeliji, spotykamy się tu z mnóstwem szczegółów technicznych i topograficznych, których obfitość budzi pewien rodzaj niesmaku. Niepodobna postąpić kroku, aby kto nie spotkał jakiego przedmiotu, odnoszącego się do męki Chrystusa.

Probujesz błądzić ze swemi marzeniami po ulicach miasta, tymczasem zastępuje ci drogę jakiś mnich albo przewodnik, który ci obiecuje pokazać dom Heroda, ślady drogi krzyżowej, kolebkę Marji, albo grootę, gdzie Jezus, obłany krwawym potem, spędził noc straszłą na modlitwie; nareszcie—skałę, na której zasnęli uczniowie, podczas kiedy ich Mistrz boski upadał na duchu pod ciężarem cierpień.

Niezadawałając się odnalezieniem miejscowości, będących świadkami rzeczywistych wypadków z życia Chrystusa, wyobraźnia ludowa stworzyła mnóstwo wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca; a jednak musisz zobaczyć ślady tych scen fikcyjnych. To kaplica, gdzie jest złożona czaszka Adama; to biała skała, z której Marja, unosząc się ku niebu, spuściła przepaskę na ręce św. Tomasza, wierzącego odtąd we wszystkie cuda; gdzieindziej jeszcze—kamień, gdzie pochód pogrzebowy Marji został zatrzymany bezbożną ręką, która natychmiast uschła; tysiące kolumn, nagrobków, pomników, przypominają anegdoty tej wartości moralnej i historycznej. Ale na tym jeszcze nie koniec. Prócz faktów historycznych z życia Jezusa, czyż nie istnieje

je mnóstwo parabol, które Zbawiciel rozsiewał obficie pomiędzy słuchaczami, chcąc na ich serca oddziaływać i obrazowym przedstawieniem łatwiej umysł przekonać? Te legendy, rozpowszechnione jak powieści poetyczne, przybierają w Jerozolimie ciało, materjalizują się, jeżeli tak można powiedzieć. Widziałem na własne oczy dom złego bogacza i salę, gdzie przesiadywał biedny Łazarz; kiedy zwróciłem uwagę mnichowi, który mnie oprowadzał, że zły bogacz i Łazarz istnieli tylko w wyobraźni Jezusa:

— Czyż sądzisz — powiedział on — że wyobraźnia Jezusa nie wyrównywa waszemu pojęciu rzeczywistości? To, co wymyślił Zbawiciel, istnieje pewniej, aniżeli wszystko, na co wasze oczy patrzą, albo czego wasze ręce dotykają.

Nie mogę się oswoić z mnóstwem miejsc świętych, otaczających grób Zbawiciela. Nawet Lamartina to już raziło:

«Schody wykute w skale, mówi on, prowadzą na szczyt Kalwarji, gdzie stały trzy krzyże. Kalwarja, grób i wiele innych miejscowości, odnoszących się do dramatu Odkupienia, mieszczą się pod dachem jednego budynku średniej wielkości, co się nie zgadza z opisami Ewangelji; lecz tradycje są takie i one przeważały».

Pomimo tradycji nie może powstrzymać się Lamartine od powątpiewania. «Opusciwszy kościół Św. Grobu, dodaje on, szliśmy drogą krzyżową, tak poetycznie opisaną przez Chateaubrianda. Nie widzę jednak nic uderzającego ani prawdopodobnego, odnośnie do tradycji; pokazują budynki nowoczesnej konstrukcji, jako ślady niezaprzeczone rozmaitych stacji Chrystusa. Lecz trudno się poddać temu złudzeniu, gdyż kto zna historję chrystjanizmu, wie, że z Jerozolimy nie został kamień na kamieniu; że chrześcijanie zostali wypędzeni na wiele lat z miasta. Poza murami tarasów, na dolinie Józefata, żaden kamień

ani kształtem, ani kolorem nie zdradza wcale dawnego osiedlenia; wszystko tu jest nowoczesne. Umysł, pogrążony w niepewności, błąka się po horyzoncie miasta, nie wiedząc gdzie spocząć, chociaż samo miasto, zarysowane wyraźnie na wzgórzach, otoczonym głębokimi dolinami, jest nieomylną wskazówką dla oka».

Przyjemnie mi oprzeć się na świadectwie, tak zgodnym z mojemi własnymi spostrzeżeniami. Nie będąc archeologiem, nie mógłbym roztrząsać dowodów za lub przeciw autentyczności miejsc, gdzie pobożne dusze pragną odnaleźć ślady życia i śmierci Jezusa; lecz wszystkie dowody, podane przez tradycję, muszą umilknąć wobec głosu zdrowego rozsądku. Umęczenie Jezusa należało do bardzo zwykłych wypadków w historii Jerozolimy; w chwili spełnienia się owego faktu głęboki smutek opanował małą garstkę przyjaciół i wiernych uczniów Chrystusa, lecz masy ludu pozostały zupełnie obojętne. «Na długie lata, mówi Lamartine, chrześcijanie byli wypędzeni z miasta, które zostało najzupełniej zniszczone. Trzeba było czekać wieki, aby pochwycić za pomocą nici niepewnych tradycji, ślady życia Jezusa. Trudno więc uwierzyć, ażeby ślepa pobożność zdołała rozróżnić pośród ruin ślady przeszłości tak gruntownie zatartej. Co się zaś tyczy Jerozolimy, tej tożsamość nie ulega żadnej wątpliwości; jeżeli z jakiegokolwiek wyniosłości ogarniemy okiem całość miasta; jeżeli, pominąwszy szczegóły, powiedzimy wzrokiem po murach, kopułach, tarasach i domach; jeżeli pozwolimy naszej duszy poddać się wrażeniu, jakie ten widok obudza, to umysł, wstrząśniony do głębi, uprzytomni naszej wyobraźni upłynione wieki. Lecz skoro znajdziemy się wśród miasta, skoro wejdziemy do zakrytych i kaplic, gdzie według księży są zamknięte wspomnienia święte, to wyobraźnia przygnębiona nieprawdopodobną rzeczywistością, z trudnością się opiera ogarniającemu ją zniechęceniu».

Podczas tej uroczystej nocy, kiedy miał być zdradzo-ny i wydany nieprzyjaciółom, Jezus doznawał cierpienia, przechodzącego nie tylko siły ludzkie, ale i boskie—cierpie-
nia, jakie musi sprawiać odrzucona miłość i nieuznana ofiara. Z pokrzywdzonego serca płynie ta wzniosła skarga o od-
wrócenie kielicha goryczy, której echo brzmi od wieków jak krzyk boleści, jak wyraz rozdzierającej serce rozpacz. Na nieszczęście, kiedy się wchodzi do mniemanej grotty Getsemańskiej, wzruszenie, wywołane podobnemi wspo-
mnieniami, musi bardzo prędko przeminać. Gruba szar-
lataneria popchnęła jakieś bezbożne ręce do namalowa-
nia czerwonych plam na podłodze kamiennej. Moż-
na widzieć tysiące pielgrzymów, całujących pobożnie te
malowane ślady męki; niektórzy z nich płaczą gorąco,
przekonani, że przyciskają rzeczywiście usta do śladów
krwi Jezusa. Zakonnik, który zazwyczaj towarzyszy pod-
różnemu, obdarza go kamykiem, jakoby pochodzącym
z owej skalistej grotty. Chociażby ta skała była kopalnią,
to mogłaby tylko chyba cudem dostarczyć takiej ilości ka-
mieni, branych powszechnie na pamiątkę.

Zaledwie opuściłem grotę Getsemańską, dostaję się
do ogrodu Oliwnego i spotyka mnie jeszcze przykrzej-
szy zawód. Siedem drzew o pniach sękatych, gałęziach
zaledwie okrytych odrobiną liści i oliwek, mogłyby
robić przez swoją starość pewne złudzenie; tymczasem
franciszkanie, posiadacze tych drzew, otoczyli je białym
murem, na którym cała droga krzyżowa przedstawiona
jest w obrazach; osoby zaś, należące do tych grup, malo-
wane na czerwono, zielono, żółto i fijołkowo, robią wraże-
nie szkaradnych lalek woskowych. Gdzie rzucisz okiem,
ciągną się klomby w kształcie róż, gwiazd, mieniające się
od różnobarwnych kwiatów, co nadaje temu otoczeniu po-
zór nadto światowy. Podczas kiedy się przechadzasz po
ogrodzie, zakonnik o wesołej twarzy, z kapeluszem zawa-
djacko zsuniętym z czoła, przygotowuje dla ciebie bukiet.

w który nie omieszka włożyć małą gałązkę oliwną. Kiedy ci podaje ów bukiet z uśmiechniętą twarzą, przychodzi jakas dziwna ochota powiedzenia mu impertynencji, jakby to mogło przynieść sercu ulgę.

Jerozolima, jak w czasie męki, jest dziś także siedliskiem pedantyzmu, nienawiści, ciasnoty umysłu i serca. Fanatyzm rozmaitych sekt, walczących o posiadanie świątyń, obudza przykre a zarazem śmieszne wrażenie i musi dotkliwie razić każdy umysł wrażliwy. Jezus nie zdołał stłumić faryzeizmu; krzewi się on w całej sile śród kolonji żydowskiej, tworzącej w Jerozolimie rodzaj stowarzyszenia, które zajmuje się wyłącznie komentowaniem prawa Mojżeszowego, posuwając drobiazgowo roztrząsanie do niedorzeczności. Chrześcijanie przez swe zazdrości i kłótnie oddalają się coraz więcej od wzniesłego ducha Ewangeliji. U większej części księży greckich i łacińskich praca na polu religijnym ogranicza się na rozszerzaniu swego terytorjum o kilka centymetrów w jakiejś kaplicy. Ogólny zaś widok ulic miasta przypomina epokę, kiedy Jezus nie mógł na nie patrzeć bez gniewu i pogardy.

Handel rzeczami świętymi jest tak upowszechniony, że nietylko rozkłada się po ulicach, lecz niepodobna zrobić kroku w kościołach największą czcią otaczanych, ażeby się nie spotkać ze sprzedającymi relikwie. Renan opisuje dosadnie uczucia, jakie podobny widok musiał sprawiać Jezusowi: «Raziło go wszystko, mówi on, co widział w Jerozolimie. Świątynia, jak wogóle wszystkie miejsca bardzo uczęszczane przez pobożnych, przedstawiała widok wcale nie budujący. Obrządki religijne pociągają potrzebę mnóstwa drobiazgów, co wywołuje operacje handlowe tak, że prawdziwe sklepy pozakładano w obrębie świątyni. Sprzedawano zwierzęta na ofiarę, wymieniano monetę; można było sądzić, że się przebywa w bazarze. Niżsi urzędnicy świątyni spełniali zapewne swe obowiązki z bezreligijną pospolitością, cechującą po wszystkie czasy zakrystjanów.

To obojętne traktowanie rzeczy świętych raziło uczucia religijne Jezusa. Utrzymywał on, że z domu modlitwy zrobiono jaskinię łotrów. Pewnego dnia, mówią, uniesiony gniewem, uderzył biczem niegodnych kramarzy i powywracał im stoły».

Zapewne patrząc na nowoczesną Jerozolimę, uprzytomnił sobie Renan tak żywo i wiernie obraz starożytnej Jerozolimy. Dziś tak samo jak niegdyś miasto jest w rękach kramarzy i faryzeuszów.

Kaplica, mieszcząca w sobie grób święty, należy do najpospolitszych budynków; jest to dzieło Greków, którzy je kaleczyli z upodobaniem; ma w sobie też wszystko, co może rozproszyć uczucia, jakie widok grobu Zbawiciela budzić powinien. Umieszczona w środku wielkiej kopuły wygląda bardzo ciężko, wskutek wielkich i niekształtnych rozmiarów; przytym mnóstwo niewłaściwych obrazów, kwiatów, lamp, psuje powagę tego wielkiego pomnika. Budynek ten ma kształt czworokątny; jeden z frontów, służący za fasadę, podzielony jest na trzy części, z których pierwsza należy do zgromadzenia łacińskiego, druga do greckiego, trzecia do armeńskiego. Grób święty przyozdobiony jest tak szkaradnymi obrazami, że przypominają bohomy, jakie widzimy w naszych wiejskich kościołkach; lamp i świec woskowych rozsiana jest wszędzie obfitość. Ponieważ każde zgromadzenie zarządza swoim terytorjum, jest przyjęty zwyczaj, że jeżeli jedno zgromadzenie odprawia jakąś ceremonję, to inne zgromadzenia dla podwyższenia okazałości zapalają także swoje lampy i świece, bądźco bądź jest to dowód postępu tolerancji. Do miejsca, gdzie znajduje się właściwy grób święty, wchodzi się przez małe drzwiczki; jestto jedyna przestrzeń wolna od niesmacznych ozdób. Kapliczka grobu składa się z dwóch sal tak niskich, że chcąc się dobrze wyprostować, trzeba się spotkać głową ze sklepieniem.

Jedna z sal nazywa się kaplicą anioła, ponieważ ma stać na miejscu, gdzie anioł świętym niewiastom zwiastował nowinę o zmartwychwstaniu Jezusa; na środku znajduje się tu kamień, na którym anioł siedział, a ściany przyozdobione rzeźbami w stylu rokoko. Druga kaplica grobu świętego jest o wiele mniejsza od poprzedniej i podzielona na trzy części, wyraźnie odgraniczone; własność Greków, Łacinników i Armeńczyków, którzy własnymi siłami nagromadzili tyle lamp, kwiatów, świeczników, świecideł na tej małej przestrzeni, że atmosfera tutejsza wprawia w stan dziwnego odrętwienia. Trzeba rzeczywiście wytrwałej pobożności, aby się modlić ze skupieniem ducha, będąc niemiłosiernie deptanym i potracanym, a właściwie przewracanym.

Ażeby zacząć od rzeczy najważniejszej, poszedłem wprost do środka świętego grobu; ale nie można tam ani łatwo, ani prędko się dostać. Bazylika bywa otwierana tylko w pewnych godzinach i na czas ograniczony. Czterech czy pięciu Turków z minami poważnemi, rozłożonych niedbale na dywanie, pije kawę, pali tytuń i patrzy protekcyjnie na chrześcijan, przesuwających się pod portykami świątyni. Wszyscy bezstronni podróżnicy zgadzają się, że oskarżanie Turków o brak tolerancji jest niesłuszne, gdyż ich zachowanie się przy grobie świętym jest bez zarzutu. Gdy rywalizacje religijne zagrażają jakąś kłótnią podczas nabożeństwa, wtedy przybywa wojsko tureckie, które wchodzi do kościoła, staje szeregami i asystuje podczas mszy i procesji z głębokim szacunkiem. Kiedy byłem podczas Wielkiejnocy w kościele, podano mi wielką świecę woskową, którą niechcący pokapałem mundur jednego z żołnierzy; zniósł jednak tę nieprzyjemność z zupełnym spokojem, nie zdradzając najmniejszym słówkiem swego niezadowolenia. Wyobraził sobie może moją niezręczność, jako pewien akt pobożny i patrzył nań z szacunkiem.

Chrześcijanie jednak nie mogą się pochwalić wprowadzeniem w czyn szerszej tolerancji. Nie mówiąc już o wewnętrznych sporach, przez które nieraz płynęły krwi potoki, chcę wspomnieć o solidarności wszystkich wyznań, co do wzbraniania Żydom przestąpienia progów kościoła. Gdyby się tu znalazł Żyd, naraziłby się z pewnością na utratę życia, gdyż nie pozwalają kłaść im swoją obecnością nawet placu przed kościołem. Żywość namiętności religijnych jest dziś silniejszą jeszcze u chrześcijan, aniżeli u muzułmanów.

Wiadomo, że każdy kamień grobu św. starannie został wymierzony i mocą jakiegoś statutu oddany w posiadanie tego lub owego zgromadzenia. Ten obszerny gmach należy do rodu ludzkiego, każdy ma tam swoją prowincję, której broni z dziką zazdrością, robiąc wszelkie usiłowania, aby wtargnąć na terytorjum sąsiedzkie. Historia krwawych walk o grób św. jest dziś przebrzmiałym tematem, lecz w swoim czasie pisano o nich do syta. Kto jednak chce jasno zrozumieć tę zaciętą rywalizację, musi być koniecznie w Jerozolimie. Co się głównie przyczynia do zeszpecenia kościoła grobu św., to usiłowania, jakie robi kolejno każdy z posiadaczy, aby zatrzeć, nawet w architekturze, ślady swoich rywali. Powiedziałem już, że kaplicę grobu św. przekształcili w oburzający sposób Grecy; to samo stało się z wielką rotundą, której śliczne kolumny, jakoby zdradzające pochodzenie łacińskie, przysłonili szkaradnymi ozdobami, nie należącymi właściwie do żadnego stylu. Chór kościelny, zostający w ich posiadaniu, odznacza się także bogactwem złocen, ozdób, świecideł, jakie się zwykle spotyka w kościołach greckich.

Ale Grecy przetrwestowali jeszcze nieprzyjemniej Kalwarię aniżeli kaplicę grobu św. Pod dziurą oznaczoną blaszką srebrną, gdzie był krzyż utkwiony, umieścili postać Chrystusa, otoczonego z dwóch stron olbrzymimi złocenami ikonami Najświętszej Panny i św. Jana. Wobec

tych malowideł, trudno uwierzyć, że się jest na Kalwarji. W pobliżu znów, na ołtarzu, figury woskowe mają przedstawiać wzniosłą scenę Męki. Pomiędzy wszystkimi cierpieniami, jakich Marja wówczas doznawała, podobne sparodjowanie jej rozpaczy macierzyńskiej nie należy z pewnością do mniejszych. Tym razem jednak winnymi są franciszkanie. Już to trzeba przyznać, że co do liczby i ważności, pierwsi przewyższają wszystkich w takich profanacjach. Czym naprzykład mogą usprawiedliwić zniszczenie grobów Godfryda de Bouillon i Baldwina, pierwszych królów Jerozolimy? Rozproszyli popioły dwóch bohaterów i świętokradztwem chcieli zatrzeć przeszłość historyczną. Dziwna rzecz, jak często ludzie ulegają podobnym złudzeniom — sądzą, że dosyć rozbić kamienie i zatrzeć napisy, aby zniweczyć wspomnienia, o które są zazdrośni. Na szczęście ta grubijańska zemsta najczęściej bywa bezsilną. Kościół grobu św. nosi wszędzie ślady uszkodzeń, zrzędzonych przez kolejną opiekę różnych zgromadzeń. Dziś jednak panuje pod tym względem większa zgoda, a to dzięki umowie w rodzaju dyplomatycznego *modus vivendi*, które naznacza każdemu stanowisko i funkcje, jakie ma spełniać. Osobne artykuły tego układu decydują, że franciszkanie mają prawo zamiatać świątynię, tego albo owego dnia; że mogą używać pewnego ołtarza przez tyle godzin i w takim czasie. Niektóre przywileje są w dziwny sposób powikłane. Grecy naprzykład mają prawo otwierania drzwi kościelnych, wychodzących na dziedziniec, ale nie wolno im ich naprawiać; rząd turecki jedynie może tego dopełnić, a jeżeli tego nie robi, tym gorzej dla Greków, których drzwi i przywileje w kawałki się rozsypią!

Skoro przestąpimy drzwi wielkiej bazyliki chrześcijańskiej, spotykamy dużą płytę marmurową, nazwaną kamieniem namaszczenia, gdyż według podania miał służyć do balsamowania ciała Jezusa. To miejsce jest pierwszą

stacją pielgrzymów; łacinnicy klękają, całują płytę, dotykają się jej rękami, twarzą, następnie składają tam różaniec, koronki i rozmaite świętości; Grecy znowu oddają tu pokłony, robiąc przytym liczne znaki krzyża; mieszkańcy Wschodu zaś, umieściwszy się w pewnej odległości, posuwają się stopniowo, rzucając ciałem naprzód, co tworzy rodzaj przyklekania. Trudnoby wyliczyć wszystkie widowiska tego rodzaju, których byłem świadkiem. Ludzie Wschodu są najskłonniejsi do takiego nabożeństwa. Dziwna rzecz, jak mogą wracać z Jerozolimy z całymi ustami, gdyż powinnyby je zużyć przez całowanie tyłu kamieni. Gdziebądź przechodzą, jeżeli cokolwiek zwróci ich uwagę, sądzą, że to przedmiot święty i okrywają go pocałunkami. Każda żyłka marmuru, cokolwiek zabarwiona, każda plama na murze, wydaje się im relikwią, przed którą schylają głowę, jeżeli ustami nie mogą jej dotknąć. Widziałem raz pielgrzymów, którzy, spostrzegłszy herb konsulatu francuskiego, zatrzymali się, popatrzyli poważnie, następnie zaś przykleknęli, żegnając się wielokrotnie. Można powiedzieć bez przesady, że pątnicy literalnie wycierają ustami wszystkie zakątki świątyni.

Co podług mnie dyskredytuje tutejsze duchowieństwo, nadając jego obrzędowi pogański charakter, to skandaliczna scena ognia świętego. Znaną jest historia tego brzydkiego kuglarstwa. W wielką sobotę w nocy patriarcha zamyka się w kaplicy grobu św., gdzie ma otrzymać niebieski ogień, przyniesiony jak utrzymują przez anioła. Tłum ludzi zapełnia wielką rotundę, tysiące pielgrzymów przybywa z najodleglejszych stron świata, aby dostać iskierkę płomienia boskiego. Każdy z obecnych trzyma świecę o trzydziestu trzech knotach, na pamiątkę lat Jezusowych. Jeźdźcy, przybyli zdaleka, czekają przed bramą z osiodłanymi końmi, gotowi każdej chwili unieść ogień święty do swego kraju. Naraz patriarcha wyciąga zapaloną świecę przez małe okienko; na ten znak wszyscy

cisną się ze swojemi świecami, aby je także zapalić. Zaczynają się teraz trudne do opisanie sceny. Kobiety dotknięte rozmaitemi chorobami przypalają sobie ciało świecą, nie zważając na uszkodzenie ubrania. Cały ten tłum upaja się ogniem, a wkrótce wszystkie głowy zaczynają gorzeć szałem, jak ich zapalone świece.

Szczęśliwi, którzy zdołają przynieść do domu iskierkę boską! Opowiadają historję o pewnej kobiecie, która odbyła podróż do Jerozolimy jedynie w celu przeniesienia do swego domu płomienia z grobu św. Za przybyciem do Konstantynopola świeca jej zgasła; biedna kobieta umarła z rozpaczy. Łatwo zrozumieć, że podobne wypadki ponawiają się często przy ceremonji ognia.

Procesja podczas uroczystości Dosseh, której obchodu zabroniono w Egipcie, była z pewnością tysiąc razy mniej wstrętną i upakarzającą dla umysłu ludzkiego. Najpierw nie opierała się na jawnym oszustwie; owszem odbywała się w biały dzień, przy słońcu, wśród tłumu, błyszczącego od różnobarwnych szat. Szeik, galopujący konno po ciałach wiernych, rzeczywiście miał głowę rozpaloną fanatyzmem, a jego koń należał do najpiękniejszych w Arabji. Trzeba przyznać, że w tym obchodzie objawiała się pewna fantazja, świetna, spragniona wrażeń, zgodna z duchem Arabów, znajdującym dziką rozkosz w tym galopie świętego jeźdźca, przemykającego się jak wichur po ludziach, odurzonych haszyszem i światłem. Ceremonje nocne, odbywające się w grobie św. nie mają na swoje usprawiedliwienie chociażby tej dzikiej poezji.

Szkoda, że władcy Egiptu, którzy czasowo panowali w Syrji, nie znieśli tych niemoralnych ceremonji. Pierwszy kusił się o to kalif Hakem, założyciel religji Druzów, którego historję zapełniają szaleństwa, pochodzące niby z nadprzyrodzonego źródła. Może przez nienawiść dla współzawodników chciał znieść ceremonje ognia świętego,

w każdym razie historyk przedstawia rzecz tę w następujący sposób:

«Sprawca tego prześladowania, widocznie niewielki przyjaciel chrześcijan, opowiadał raz Hakimowi, że kiedy chrześcijanie gromadzą się w świątyni Jerozolimskiej dla obchodzenia uroczystości Wielkiejnocy, to kapelani kościelni, uciekając się do wybiegów, smarują żywicą żelazny łańcuch, na którym zawieszona jest lampa po nad grobem św. Kiedy oficer arabski zapieczętuje drzwi prowadzące do świątyni, wtedy księża spuszczaają przez dach ogień który postępując po łańcuchu, musi nareszcie dojść do knota i zapalić go. Na widok ten pobożni z płaczem wołają: *Kyrie elejson!* jak gdyby patrzyli na ogień, spadający rzeczywiście z nieba, i ten niesmaczny cud utwierdza ich więcej w wierze.

Aby położyć koniec temu skandalowi, Hakem kazał zburzyć kościół grobu św. Ibrahim Pasza uciekał się do środków mniej gwałtownych, gdyż udał się raz z patriarchą greckim do świątyni grobu św., aby się przekonać naocznie o podstępie duchowieństwa. Po sprawdzeniu faktu opuścił świątynię, lecz wywołał tym krokiem krwawą walkę tak, że zaledwie uszedł z życiem; przeszło trzysta ofiar zostało na placu boju. Ibrahim zabronił ceremonji ognia, ale odtąd kościół grecki podczas Wielkiejnocy świecił pustkami; pielgrzymi nie ukazywali się, a z ich ubytkiem upadły olbrzymie dochody patriarchy, z których skarb egipski pobierał gruby podatek. Przywrócono więc ceremonję ognia. Odtąd grób Jezusa bywa znieważany corocznie przez jedno z najwstrętniejszych kuglarstw.

Kto chciałby skreślić wierny obraz moralnej fizjonomii Jerozolimy, musiałyby przedewszystkiem odmalować stan umysłowy niezliczonych pielgrzymów tam napływających. Atmosfera Jerozolimy wywiera dziwny wpływ na umysł,

znany na całym Wschodzie pod nazwą «szalu Jerozolimskiego.» Spotykałem tam ludzi poważnych, zajmujących wysokie stanowiska, ludzi inteligentnych, od których możnaby wymagać zdrowego rozsądku, ulegających jednak dziwnym zбочeniom umysłowym. Opowiadają oni z najpoważniejszą miną najnieprawdopodobniejsze historie. Niezliczoną jest liczba pielgrzymów, którzy dążą do Jerozolimy z myślą o przywróceniu królestwa bożego na ziemi i odrodzeniu ludzkości. Ten ustanawia zakon przeznaczony do podbicia świata; ów poprzestaje na utworzeniu sekty, która ma przechowywać w czystości ducha naukę Jezusa; inny zaś przez wizje i egzorcyzmowanie przygotowuje się do reformowania świata. Każdego piątku można spotkać biednego szaleńca, krążącego po drodze krzyżowej w białym stroju, w cierniowej koronie i z wielkim krzyżem na ramieniu; chodził on od stacji do stacji, zatrzymując się tam, gdzie Jezus się zatrzymywał, upadając gdzie on upadał, aż dojdzie do miejsca pogrzebania. Niezszczęśliwy ten człowiek przekonany jest, że Jezus w nim odżył—i kto wie, czy nie znalazł on jakich adeptów. Niedawno zaś jakiś obłąkany przychodził często na szczyt Syonu, zasiadał tam i spraszał widzów, aby patrzyli na jego wniebowstąpienie, a chociaż nie poruszał się wcale z ziemi, był jednak przekonany, podobnie jak Don-Kiszot, że się wznosi ku niebu. Na kilka dni przed moim przybyciem do Jerozolimy jakaś dama zjawiała się u konsula francuskiego z prośbą, aby który z urzędników mógł jej towarzyszyć w bardzo ważnej wycieczce, którą musi odbyć. Nazajutrz ta pani przychodzi do konsulatu z podziękowaniem za udzieloną jej pomoc: «przybyłam do Jerozolimy, powiedziała ona, jedynie w celu zaznaczenia sobie miejsca na dolinie Józefata. Szczęście, że pomyślałam o tym wcześniej, gdyż dolina wydała mi się bardzo wązka, a na sądzie ostatecznym będzie wielki tłok; udało mi się jednak znaleźć miejsce bardzo dobre. Przedsię-

wzięłam wszelkie ostrożności, aby mi kto tego miejsca nie zabrał; mogę więc teraz powrócić spokojnie do Francji.»

Podobne jednak objawy patologiczne nie należą do rzadkości; spotyka się często osoby, które, chociaż unikną tego charakterystycznego obłądu, jednak po jakimś czasie, żyjąc w tej niezwykłej atmosferze, nabierają usposobienia do ekscentryczności. Zagłębianie się w przeszłość, nieustanny nastrój mistyczny, rozdrażnienie, towarzyszące walkom religijnym, spory o posiadanie tej lub owej świątyni, albo nawet jej ułamka, czemu nadawana jest doniosłość sprawy stanu, wreszcie wieczny widok pomników, budzących wspomnienia równie dziwne jak wielkie — wszystko się przyczynia do zwichnięcia władz umysłu, do zniesienia tej granicy, która dzieli możliwe od niemożliwego, prawdę od fałszu, mądrość od niedorzeczności, marzenie od rzeczywistości.

Corocznie trzy do czterech tysięcy pielgrzymów przybywa ze wschodniej Europy do Jerozolimy. Kiedy patrzyłem na grupy tych obdartych entuzjastów, ze wstrętem myślałem o zdzierstwach duchowieństwa, którego ofiarami bywają ci pielgrzymi; duchowieństwo eksploatuje pielgrzymów niemiłosiernie. Na każdym kroku nieledwie można spotkać w świątyniach księży, obdzierających zawzięcie swoje ofiary. Każde błogosławieństwo, najmniejsza ceremonja, nieledwie każde przyklęknięcie, kosztuje chociaż kilka groszy. Podczas nabożeństwa w wielki czwartek widywałem przy grobie św. kobiety wypróżniające swoje kieszenie, aby zapłacić za kilka słów wymówionych na ich intencję przez ostatniego z laików. Ogólnie to przyjęta zasada, że pielgrzym nie opuszcza wcześniej Jerozolimy, aż mu się kieszeń zupełnie wypróżni. Bogaci opierają się dwa do trzech lat, średniej zamożności ludzie wytrwają zaledwie kilka miesięcy. Ponieważ przecięciowo trzy tysiące tych pielgrzymów udaje się corocznie do Jerozolimy, a każdy zostawia tam

około 300 franków, więc tym sposobem dochody duchowieństwa są stale zabezpieczone. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wełna strzyżona z grzbietów nieszczęśliwych baranków służy tylko na ubranie patriarchy. U duchowieństwa tego wszystko jest sprzedajne; godności uzyskuje się tam przez wybory, a wybory robią się pieniędzmi. Stąd wynika, że ksiądz zaledwie wejdzie w szereg duchownych, zaczyna w ambitnych planach marzyć o najwyższych godnościach; nie będzie on ich zawdzięczał cności ani nauce, ale tylko dobrze wypchanej kieszeni. Bierze się więc odważnie do dzieła, aby jakimbądź sposobem zdobyć sobie dochód, pozwalający się zbliżyć do celu za przebyciem kilku szczebli hierarchji; pieniądze wydane nie są stracone, gdyż każde nowo uzyskane stanowisko jest polem bogatego żniwa.

Nad kieszeniami pielgrzymów ciąży rzeczywistość jakaś fatalność; nie dość, że są wyzyskiwani przez duchowieństwo, ale muszą składać gruby podatek kramarzom, sprzedającym pobożne pamiątki, za które każą im daleko drożej po nad wartość płacić. Ten handel pobożny stanowi plagę Jeruzolimy. Ulice są zapchane drobnymi przemysłowcami, którzy przyczepiają się do ciebie i eskortują z oburzającym uporem, ciągnąc za rękaw i popychając poprostu do swoich sklepów, aby cię skłonić do kupowania różańców, krzyżów z perłowej macicy i obrazów. Skoro tylko zobaczą kogo zdaleka, czatują na niego; jeżeli wymknie się jednemu, drugi go napada i tak do nieskończoności.

Plac przed kościołem grobu św. zapełniony jest kramami, jak niegdyś, kiedy Jezus rozgniewany wypędzał kramarzy ze świątyni. Sprzedają tam dla łacinników krzyże, różańce, dla Greków ikony, przedmioty ze szkła dętego i malowidła jaskrawe, mające największy odbyt. Bawiłem się nieraz, przysłuchując się targom w tej halli pobożnej. Kupcy w bazarach tureckich i arabskich nie mają tyle zręczności i chytryści, co kupcy jerozolimscy.

Byłem raz świadkiem, jak jeden z nich nie mogąc znaleźć amatora na wielki obraz św. Piotra, malowany jaskrawymi kolorami, pokrajał go na kawałki i sprzedawał te cząstki za przystępną cenę pielgrzymom; jeden dostał głowę świętego, drugi nogę, trzeci rękę, inny znów kawałek tła obrazu, i wszyscy jakoś byli zadowoleni. Widziałem znów innego kupca, który wpadł na dowcipny sposób wyłudzenia pieniędzy: brał od pielgrzymów sztuki monety i rzucał je na obraz świętego Jerzego, który był lekko pociągnięty klejem; jeżeli pieniądze się przylepiły, widocznie święty chciał je zatrzymać, któżby więc odważył się mu je odbierać? Zauważyłem, że święty był bardzo chciwy, niekiedy tylko przez dyskrecję pozwalał odpaść lżejszym sztukom, lecz grubsze pieniądze trzymały się mocno jego rąk. Co jest ciekawe to to, że pielgrzymi, których pieniądze odrzucał święty Jerzy, byli niepokieszeni; tymczasem dary przyjęte napełniały najżywszą radością ofiarodawców.

Trudno mieć wyobrażenie o rozmaitych rodzajach przemysłu, jakie kwitną w Jerozolimie. Jednego dnia zatrzymał mnie na ulicy jakiś człowiek z bardzo uprzejmą miną, proponując, że wykona na moim ramieniu tatuowanie, co będzie dowodem, że byłem *hadzi* (pielgrzymem) i że zwiedzałem Jerozolimę. Pokazywał mi rozmaite wzory; mogłem wybrać krzyż grecki, krzyż łaciński, kwiat lilii, włócznię, gwiazdę i tysiące innych godeł. Operacja wcale nie jest przykrą, podczas tatuowania mogę palić cygaro i rozmawiać z żoną i córką artysty, które dawały mi z okna bardzo wyzywające sygnały. Dziewczyna była jeszcze młoda, z oczami czarującego blasku; pojmuję więc, że wobec ich ognia można zapomnieć o cierpieniu, pochodzącym z przypalania. Przytem: znakomitsze osobistości poddawały się tej operacji! Umiałem się jednak oprzeć tym zachęcającym przykładom, stwierdzonym piśmiennymi świadectwami; nie poddałem się tatuowaniu

lecz skopjowałem jeden certyfikat, dowodzący, że książę Walii (syn królowej Wiktorji) był słabszy odemnie i dał się skusić oczami pięknej córki artysty. Oto jest treść pisma, o którego autentyczności wątpić nikt nie powinien. «Zaświadczam, że Franciszek Souwan wyrył krzyż jerozolimski na ramieniu J. W. księcia Walii. Przyjemności jakiej Jego Wysokość doznawała podczas tej operacji, dowodzi, że ona może być zalecana innym osobom. Podpisano: Vanné, kurjer z orszaku Jego Wysokości księcia Walii, Jerozolima 2 kwietnia 1862 r.»

Nie wiem co książę królewski zapłacił za tę operację, lecz zwyczajni śmiertelnicy mogą sobie dostarczyć za 5 do 10 franków przyjemności noszenia na ramieniu, lub na jakiejkolwiek innej części ciała, krzyża jerozolimskiego, gwiazdy greckiej, włóczni, lilji i t. d.

Reguła zakonu grobu św. jest jednym z najobfitszych źródeł dochodów dla patryjarchatu katolickiego. Aby się dostać do tego zakonu, najpierwszą powinnością jest złożenie patryjarchatowi znacznej ofiary pieniężnej. Byłem obecny przy ceremonji wyświęcenia na rycerza. Osobistością tą był dzielny Brazylijczyk, posiadacz dużego majątku i jeszcze większej naiwności. Niepokoiła go wielce myśl, że 1000 franków, żądane od niego, zakrawają na upozorowaną kontrybucję, co obrażało jego uczucia rycerskie. Chciał zawdzięczać nowy tytuł tylko cnocie i szlachectwu, chociaż cnota była dosyć wątpliwa, a ojciec jego zrobił majątek na piernikarstwie.

Pierwszy stopień czyli krzyż wielki może być udzielany tylko znakomitym osobom, książętom, ministrom, ambasadorom, biskupom, generałom; jednym słowem wszystkim tym, którzy zostali już uczczeni orderem odpowiedniej wartości na innym polu.

Każdy rycerz skoro zostanie przyjęty do zakonu powinien złożyć do skarbcza tego zakonu ofiarę, przeznaczoną wyłącznie na utrzymanie patryjarchatu, jego misji i wszyst-

kich spraw, zostających pod jego administracją. Wysockość tej ofiary oznaczona została przez stolicę apostolską: 1000 franków dla zwyczajnych rycerzy, 2000 dla komandorów, 3000 dla wielkich krzyżów.

Rycerze spędzają noc na czuwaniu przy grobie św., a patriarcha wyświęca ich tam własną ręką. Widocznie pobożny handel kwitnie nie tylko przed drzwiami świątyń, ale można się z nim spotkać w najświętszym miejscu kościoła. Spekulacja nie oszczędza nawet grobu Tego, który wyrzekł, że bogactwo jest największą przeszkodą do osiągnięcia królestwa bożego.

Gabrjel Charmes.

Z K A U K A Z U.

Nazwa Kaukazu sięga najdawniejszych czasów greckiej starożytności. Grecy wiedzieli o krainie bogatej w złoto na wschodnim skraju znanego naówczas świata. Wyobraźnia napełniła ten kraj wszelakimi cudami w mglistych zarysach. Jak w starożytności, tak i obecnie toczy tu swe wody do morza Czarnego żeglowny w swej dolnej części dawny Phasis, dzisiejszy Rion. Na jego brzegach rosną nieprzebyte lasy, wznoszące się z doliny rzecznej na okoliczne góry; swą bujnością budzą one w podróżniku, płynącym po rzece, okrzyk zachwytu i podziwu. I rzeczywiście krajobraz nadrzeczny odznacza się trudną do opisania pięknnością — jestto prawdziwy raj, w którym jednak surowi synowie Kaukazu, w chatkach na przedzie skleconych, pędzą żywot niezbyt godny zazdrości; tymbardziej, że widmo febry gospodarzy w tych lasach, unosząc się ponad bagnami, których tajemnicze ciemne wody, otoczone wieńcem trzciny, swym ponurym widokiem przerażają wędrowca.

A jednak jakże cudownymi są te gęszcze leśne z ich potężnymi drzewami i soczystą zielenią! Żaden pył drogowy nie przyprósza tu liści, żadna ręka ludzka nie utorowała tu drogi, nie pościnała drzew; matka natura pozostała tu jedyną ogrodniczką. Dąb miesza się tu z klonem, jesionem, bukiem, lipą, brzozą, a oprócz tego rosną drzewa kasztanowe, owocowe i winna latorośl, która zwiesza się festonami od drzewa do drzewa, by w końcu na brzegu Rionu skąpać swe liście w falach rzecznych. Bluszcz i niezliczone ljany obwijają wysokie omszone pnie leśnych olbrzymów zieloną szatą. Nawet tam, gdzie w wysokich regionach Kaukazu zimno stawia kres roślinności drzewnej, natura nie pozbawiła gruntu szaty kwiecistej: zarośla wawrzynowe, rododendrony i azalje sięgają najwyższych punktów.

Nie mniej bogate jest też i życie zwierzęce, które w leśnych gęszczach równin i na grzbiatach stromych skał cieszy się niczem niekrępowaną swobodą. Żubry przebywają jeszcze w znacznej liczbie wśród lasów Elbrusu i ściągają corocznie z wielkich miast rosyjskich wielu próżniaczych nemrodów. Kozica i kozioł skalny skaczą ze skały na skałę ponad przepaściami, a w głębi jelenie i sarny pędzą po ścieżynach leśnych. Dziki, wilki, rysie i niedźwiedzie są tu również współmieszkańcami, groźnymi nieraz dla człowieka. Tam, gdzie rybna Kura płynie od Tyflisu przez spalone słońcem stopy ku morzu Kaspijskiemu, w sąsiedztwie leśnych obszarów wybrzeża perskiego, podróżny napotyka zwierzęce okazy świata azjatyckiego: gazelle, hijeny, lamparty i szakale; a nawet najstraszliwszy wróg człowieka, tygrys porzuca nieraz knieje leśne i głośnym rykiem rzuca trwogę na mieszkańców wsi.

Świat ptasi w górach, dolinach i lasach Kaukazu jest niezmiernie liczny i urozmaicony; ryb jest moc wielka, zwłaszcza w rzekach, wlewających się do morza Kaspijskiego. Nie brak też zresztą i węży jadowitych, skor-

psonów, tarantuli i t. p. niebezpiecznych dla zdrowia ludzkiego.

Od miasta Poti, niebezpiecznego miasta febry, przy ujściu Rionu do morza Czarnego, prowadzi obecnie kolej żelazna, która przez Tyflis przenosi podróżnika w ciągu półtorej doby nad morze Kaspijskie. Kolej ta przeprowadzona została z nadzwyczajną śmiałością przez przełęcz Suramską. Widok z wysoko położonych punktów tej drogi w dół i w dal, jest nieopisanej piękności. W północnej stronie horyzontu widać, poza lasistemi przedgórzami, wznoszące się główne masy górskie Kaukazu; ponad malowniczą alpejską krainą wznoszą się, niby olbrzymie pomniki, najwyższe śnieżne szczyty na lazurowym tle atmosfery. Przy wschodzie lub zachodzie słońca te śnieżno-białe piramidy oblewają się jarzącą czerwienią rubinu, lśnią i iskrzą się blaskiem czarodziejskim. W głębi, bezpośrednio u podnóża stoku na którym, w zawrotnej wysokości, pociąg kolei zdaje się wisieć, ciemny las wznosi się z przepaści ku przeciwległej ścianie górskiej; to znów ukazują się uprawne pola, lub jeziora, obok których wiją się drogi; na drogach tu i owdzie ukazują się krajowcy w olbrzymich czapach barankowych, z nieodstępnymi długimi kindzałami u pasa w towarzystwie objuczonego wielbłąda, lub pierwotnego wozu z pełnemi kołami, ciągniętego przez woły.

Brugsch Pasza

A R M E N J A.

Gdy podróżnik dążący ku zachodowi przez wyżynę Iranu, osiągnie jej krańca północno-zachodniego, t. j. górzystej krainy Azerbeidżanu i stanie nad ciemno-błękitnemi wodami jeziora Urmja, to po drugiej jego stronie, dostrzeże poszarpany wieloszczytowy łańcuch gór wodo-

dzielnych, który na pierwszy rzut oka wydaje się odpowiednikiem do innych gór skrajnych Iranu, ograniczających tę wyżynę z północy, wschodu i południa. Jeżeli jednak przekroczymy grzbiet, lub wstąpimy na jakiś szczyt tego zachodniego granicznika Iranu, to przed oczyma naszymi roztoczy się kraina zupełnie różna, zarówno od niziny Indusu lub Turanu, jakoteż od pasów nadbrzeżnych zatoki Perskiej, lub morza Kaspijskiego. Nie nieprzejrzana nizina, lub zwierciadło morza rozciąga się tu poza grzbietem granicznym, lecz nowa górską kraina, t. j. nowa wyżyna z nagromadzonemi na niej górami, piętrzącemi się jeszcze wyżej i jeszcze gęściej, niż na wyżynie Iranu — jest to mianowicie górską wyżyną Armenji.

Tylko w samym sąsiedztwie Persji spotykamy tu niewielki obszar o charakterze bardzo podobnym do Iranu, mianowicie—bezodpływową kotlinę wielkiego jeziora Wan. W przeciwieństwie do przesyconego solą, otoczonego płaskimi wybrzeżami, jeziora Urmja, jezioro Wan z wodą mało słoną jest prawdziwym jeziorem alpejskim; potężne góry i strome urwiska przystępują tu bądź bezpośrednio do jeziora, bądź też wieńczą je w niewielkim oddaleniu. Wysokość Wanu nad poziomem morza (1650 m.) przenosi znacznie wysokość Urmji (1220 m.), ale obszar zlewiska jest u pierwszego znacznie mniejszy. Jezioro Wan zawdzięcza swe powstanie wybuchowi wulkanicznemu w okolicy jego dzisiejszego krańca zachodniego: tutaj mianowicie wznosi się utwór stosunkowo młody, wulkaniczna góra Nimrud-Dagh z kraterem na szczycie; wzniesienie się tej góry, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wywołało powstanie jeziora przez zatamowanie wód dopływu Muradu (źródłowej rzeki Eufratu): górna część dopływu zatamowana, rozlawszy się, utworzyła jezioro, a dolna część, pod nazwą Kara-Su, rzeka niejako pozbawiona głowy, skrócona, pozostała jeszcze jako ślad dawnego większego dopływu; skrapia ona równinę Musz, roz-

ciągająca się na zachód od Nimrud-Daghu do Muradu. Gdyby dawne dopływy górnego Kara-Su, spływające obecnie dośrodkowo do jeziora, zdolne były podnieść poziom jego tylko o jakie 20 m., to znalazłoby ono odpływ na południe do rzeki Bohtan-Su, źródłowej Tygrysu. To powstanie jeziora odbyło się w czasie geologicznie niedawnym, albowiem woda jeziora ma niewielką słoność, mniejszą niż w oceanach; w płytkiej, północno-wschodniej części jeziora woda jest nawet od biedy zdatna do picia.

Dokoła jeziora Wan, na wązkim pasie nadbrzeżnym między wodą i górami, leżą liczne stare miasta. Najstarszym z nich jest miasto Wan, wznoszące się ze swą cytadelą na stromej skale, sterczącej śród równiny; skała ta była zapewne niegdyś wyspą, podobną do wielu obecnych skalistych wysp jeziora, ale liczne rzeczki, wpadające doń od wschodu, wypełniły część jego osadami, i dawna wyspa znalazła się na lądzie. W starożytności miasto Wan nosiło nazwę Tuspa, stąd w starożytnej geografii nazwa jeziora: Lacus Thospis. Wan-Tuspa było miastem głównym państwa Urartu, którego miano żyje dotąd w nazwie dwuszczytowego wulkanu Araratu i równiny, u stóp jego rozłożonej.

Alpejska kotlina jeziora Wan stanowi, jak wspomnieliśmy, ogniwo przejściowe między płaskimi bezodpływowymi zagłębieniami Iranu z ich słonymi kałużami lub bagnami i pustyniami, oraz—obfitemi w wodę górskimi okolicami reszty Armenji. Po za wododzielnymi górami, ograniczającymi jezioro Wan z południa, wschodu i północy, liczne strumienie spływają przez Tygrys i Eufrat (Murad) do oceanu Indyjskiego.

Wyżyna Armenji jest ograniczona z północy i południa przez góry Pontyjskie i Taurus; zawarta między niemi masa wyżynowa jest poprzerynana dziko poszarpanemi, krzyżującemi się, łańcuchami gór i odosobnionemi ~~wyżynami~~ ^{szczytami}. Na północ wyżyna spada stromo pocześci do

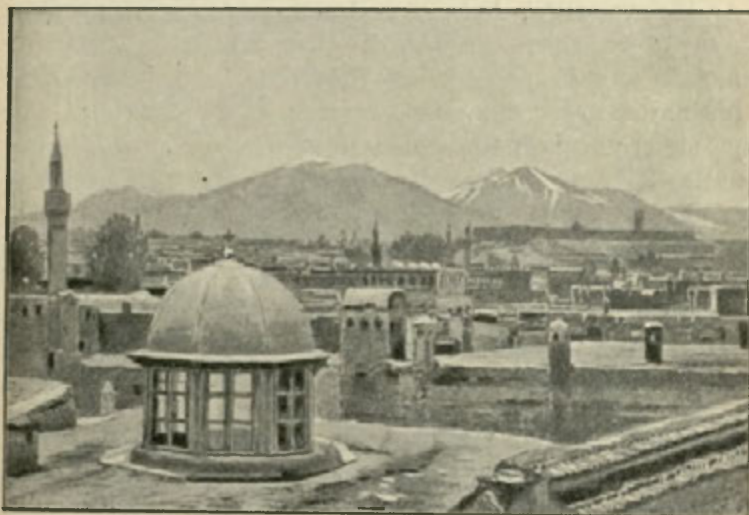


morza Czarneego, poczęści do dolin, Rionu i Kury; na południe—do pagórkowatego skraju niziny Mezopotamskiej; tylko ku zachodowi przechodzi zwolna do wyżyny Anatolji. Z rzek, biorących tu początek, Czoroch i Arakses spływają z wyżyny na północ i na wschód, Murad i Frat połączone w jeden Eufrat—na południe. Ze swej wysokiej ojczyzny te rzeki Armenji dążą ku nizinom z szumem w głębokich dzikich szczelinach.

Położenie Armenji uczyniło ją krainą przemarszów, a to znów uwarunkowało losy historyczne jej mieszkańców: leży ona między Iranem, do którego napływały od wieków ludy koczownicze z wnętrza Azji, i Anatolją—odwieczną upragnioną areną kultury między światem zachodnim i wschodnim. Przez to ogniwo łączne prowadzą dwie drogi naturalne: północna stanowi dalszy ciąg wielkiej drogi handlowej północnego Iranu, przechodzącej przez Teheran i Tabris; w Armenji przechodzi ona dalej przez równinę górnego Muradu (kraina Alaszkert) i łatwymi przejściami górskimi dosięga źródlowisk Fratu; tutaj leży trzeci ważny punkt drogi, Erzerum, niegdyś Theodosiapolis, «klucz Anatolji», stara strażnica państwa Rzymskiego i Bizantyjskiego od wschodu. Erzerum panuje nad drogami do Iranu, Anatolji i Trapezuntu na brzegach morza Czarneego.

Druga droga, południowa, prowadzi z Urmji do Wanu wzdłuż południowego brzegu jeziora i opuszcza je przez wąską lukę między Nimrud Daghiem i przedgórzami Taurusu; następnie prowadzi przez dolinę Musz do Muradu; za tą rzeką teren staje się bardzo przykry i droga prowadzi zdala od dzikiego niedostępnego wąwozu rzeczneego przez puste obszary ku zachodowi do obficie nawodnionej, zewsząd zamkniętej, równiny Czabakczur, która, jak się zdaje, stanowi dno dawnego jeziora; tutaj góry tak zbliżają się do siebie, że pozostaje tylko wązka szpara, przez którą z szumem przewalają się zielone wody Muradu

i w punkcie, gdzie droga z wyżyn zstępuje w dolinę rzeki, wznosi się wysoki, stromy stożek bazaltowy, panujący nad wyjściem z wąwozu; na szczycie stożka i u jego podnóża zbudowane jest miasto Palu, zdaje się Kitharizon Bizantynów. Kto to miasto posiada, ten może południowo-armeńską drogę według upodobania otwierać i zamykać. Po za wąwozem Palu kraj się rozszerza i otwiera ku Anatolji; tutaj, w pasie granicznym między Armenją i Anatolją, leżą dwa ważne miasta, Charput i Malatia.



Miasto Erzerum.

Temi dwiema drogami przebiegały przez Armenję wszystkie burze dziejowe, od wędrówki Kimeryjczyków w VII wieku przed Chrystusem, aż do Osmanów, którzy z Iranu dążyli ku zachodowi; ponieważ zaś cel, który ich pociągał, leżał stąd daleko na zachodzie, a sama Armenja nie była dla nich zbyt ponętna, więc wszystkie te fale ludowe przesuwały tylko przez ten kraj, nie zatrzymując

się tutaj. Ta okoliczność oraz niedostępność reszty kraju, leżącej poza temi dwiema drogami, były przyczyną, że narodowość armeńska mimo tych wszystkich burz utrzymała się przy życiu przez $2\frac{1}{2}$ tysiąclecia.

Geograficznie i historycznie sercem Armenji jest jej północna równina, zroszona Araksem. Drugie miejsce zajmuje tu podwójna równina Wanu i Muszu, rozdzielone łatwym do obejścia Nimrud-Daghiem. Trzecie miejsce — szereg dolin, ciągnący się od Alaszkeru do Erzerumu.

To rozkawałkowanie Armenji na liczne oddzielne krainy, księstwa, było od najdawniejszych czasów głównym powodem jej nieszczęść, gdyż jak z jednej strony ukształtowanie powierzchni przyczyniło się do zachowania narodowości, tak z drugiej strony nie pozwoliło ono jej się zjednoczyć; wprawdzie liczne podboje kraju nie pozostawiły prawie żadnych trwałych śladów, tylko spustoszenia, ale następnie gdy Turcy usadowili się i umocnili na półwyspie Anatolji, zaczęli oni oddziaływać politycznie i narodowościowo na Armenję. Obecnie Turcy tworzą w miastach Armenji znaczną część składową ludności, a tu i owdzie grupują się dość licznie i po wsiach. Jeszcze groźniejszą dla Armeńczyków jest wciąż powtarzająca się inwazja Kurdów do ich kraju.

Pierwiastkowo Kurdystanem nazywano niewielki stosunkowo obszar na północnych źródłowiskach górnego Tygrysu. Tutaj to 10000 Greków Ksenofonta natrafiło na silny opór niepodległych rządowi perskiemu górali, Karduhów, którzy byli widocznie przodkami dzisiejszych Kurdów. Obecnie obszar, zamieszkany przez plemiona kurdyjskie, rozciąga się z jednej strony głęboko w państwo perskie, z drugiej strony sięga do rosyjskiego kraju Zakaukaskiego i do źródłowisk Kisil-Irmaku, oraz do dolin Cylicyjskiego Taurusu. Centrum ludności kurdyjskiej rozciąga się obecnie od dorzecza Bohtan-Su, gdzie zamieszkiwali Karduhowie Ksenofonta, aż poza Sena albo Sana, między

jeziorem Urmją i Kirmanszahem. Z tego ogniska Kurdowie rozprzestrzeleni się od wieków we wszystkich kierunkach, a rząd turecki sprzyja temu rozpowszechnianiu się Kurdów. Obszary, które zajmują Kurdowie, nie stanowią uprawnych dolin, lecz pastwiska górskie: Kurda nęci zawód wolnego pasterza, który w każdej chwili może on zamienić i zamienia na zawód łupieskiego wojownika; chodzić za pługiem, siać, żąć, są to dla niego zajęcia godne pogardy.

Pod parciem Kurdów, Armeńczycy emigrują; w perjo-dzie ostatnich rzezi 1895—1897 wywędrowało około 60000 Armeńczyków do rosyjskiej Armenji, prócz tego emigrują oni też do Anatolji, głównie do wielkich portów Lewantu. To rozpościeranie się Kurdów może się z czasem stać bardzo nieprzyjemne dla samych Turków, albowiem naczelnicy kurdyjscy nie wiele sobie robią z centralnego rządu w Konstantynopolu, a wyprawy wojenne przeciw tak wojowniczemu ludowi w kraju tak górzystym nie są przedsięwzięciem łatwym.

Pojęcie Kurdystanu zarówno geograficzne, jak etno-graficzne jest trudne do określenia. Armenja w pojęciu historycznem sięga na południe do granicy niziny Mezopotamskiej, a nawet wkracza w nią nieco; ale geograficznie kraj, leżący na południe Taurusu stanowi świat oddzielny. Kurdystan najlepiej jest ograniczyć do obszaru, leżącego w kącie między łańcuchem Taurusu ku południowi od jeziora Wan i granicznymi górami Irańskimi ku zachodowi od jeziora Urmja; tutaj leżą dzikie górskie krainy Bohtan, Szirwan i Hakkiari, będące właściwą ojczyzną Kurdów. Rzeka Bohtan-Su i źródłowe rzeki górnego Sabu toczą wody tych dzikich krain do Tygrysu; tylko bardzo uciążliwe górskie ścieżki prowadzą stąd do jeziornych kotlin Wanu i Urmji.

Między wyżyną Armenji i niziną Mezopotamji istnieją właściwie tylko dwie linje komunikacyjne: jedna

prowadzi przez głęboką szczyrbę w wale Tauryjskim, w której bierze początek rzeka Bitlis, i z której widać poblizkie zwierciadło jeziora Wan; tą stosunkowo dogodną drogą powracało 10000 Greków Ksenofonta. Drugie przejście przez Taurus przypada dalej na zachód między miastami Arghana-Maden i Charput; przejście to, bardzo uciążliwe, zostało udogodnione dopiero w ostatnich czasach przez rząd turecki. Na północ prowadzi z wyżyny Armenji najważniejsza droga, Erzerum-Trapezunt, do morza Czarnego.

Z powodu przejściowego charakteru Armenji posiada ona od wieków ważne znaczenie strategiczne. W przeszłości znaczenie to dotyczyć będzie prawie wyłącznie interesów rosyjskich i tureckich. Rosjanie, w części Armenji do nich należącej, pobudowali wyborne drogi, rozciągnęli nawet sieć kolejową, aż do serca tego kraju — do Erywaniu i Karsu, a mają zamiar pierwszą z tych linii przedłużyć ku Tabrisowi w Persji, a drugą ku Erzerumowi. Opanowanie całej wyżyny Armenji, aż do jej południowej granicy—Taurusu, byłoby niezmiernie doniosłe dla Rosji, gdyż uczyniłoby stanowisko jej w tych stronach niezdobytym: z tej naturalnej wyniosłej twierdzy można panować nad linią komunikacyjną Europy z Indjami przez Mezopotamję.

Według *P. Rohrbacha*.

POTOP BIBLIJNY

(W świetle dzisiejszej nauki).

Najpotężniejsze zjawisko przyrody, o którym wiadomość pozostała we wspomnieniach ludzkich, nosi miano *potopu*. Postaramy się tutaj zbadać fizyczne podstawy tego starożytnego podania.

Zauważmy przedewszystkim, że w niszczących wylewach, o których wspominają podania, opady atmosferyczne mogły mieć tylko podrzędne znaczenie. Z rodzaju powstawania tych opadów wynika, że nie mogą one przestąpić pewnej miary. Nierównie gwałtowniejsze są powodzie powstające z burz wirowych, a najrozleglejsze wynikają z trzęsień ziemi.

Gdy w 1755 r. straszliwe wstrząśnienie nawiedziło Lizbonę, to falowanie poruszonego Atlantyku rozprzestrzeniło się aż do wybrzeży wysp Antylskich. Gdy w 1854 roku trzęsienie ziemi zburzyło japońskie miasto Simodę, to wzburzone fale północnego Pacyfiku uderzyły o wybrzeża Kaliforni. A gdy w 1868 r. nastąpiło potężne wstrząśnienie na wybrzeżu Peruwjańskim pod Arica, to, według świadectw zebranych przez Hochstettera, poruszone fale morskie rozprzestrzeniły się na północ i południe wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki, wznosiły się niespokojnie na wyspach Sandwich i Samoa, na wschodnich wybrzeżach Australji, na wyspach Chatam i na Nowej Zelandji. Francuska fregata «Nereide» płynąc wówczas ku przylądkowi Horn, spotkała pod 51° szer. wielkie gromady kanciastych gór lodowych, świeżo widocznie podłamywanych przez potężne fale od lodów antarktycznego biegunu.

Biada krainie, która, leżąc w pobliżu wstrząśnienia, zostanie nawiedzona przez taką falę! Katastrofa taka spotkała peruwjańskie miasto Callao w 1746 r. Pewien podróżnik, który wkrótce potem zwiedził to miejsce, pisze: «Niektóre wieże skutkiem siły swych murów wytrzymały przez pewien czas całą potęgę trzęsienia ziemi, ale zaledwie nieszczęśliwi mieszkańcy ochłonęli z pierwszego przestrawu, gdy nagle morze zaczęło wzbierać i wał wodny pokrył całe miasto, większą część okrętów stojących na kotwicy zdruzgotał, a pozostałe przerzucił przez wyso-

kie mury i wieże daleko poza miasto. Równocześnie woda zmyła wszystkie domy i budowle, które pokrywała».

Z pięciu tysięcy mieszkańców zaledwie dwustu przeżyło tę katastrofę. A podobne katastrofy zdarzały się powielekroć! Morze z początku ustępuje daleko od brzegów, podnosi się w kształcie olbrzymiego długiego wału i spada następnie niszczącym potokiem na ląd; rzeki wznoszą się i cofają w górę, miasta zmieniają się w gruzy. Wielkość zniszczenia zależy od zarysu i wysokości brzegu. W południowej Ameryce podobne powodzie stały się w ostatnich czasach bardzo częstymi i Lyell z zupełną słuszością starał się już przed laty objaśnić za ich pomocą podanie o potopie u Araukanów. Mieszkańcy wysp Fidżi opowiadają o wielkiej powodzi, po której przez wiele lat trzymano łodzie w pogotowiu, aby ratować się w razie powtórnej katastrofy. Takie seismiczne powodzie mogą się zdarzać tylko na niskich wyspach, niskich wybrzeżach i na głębszych częściach wielkich dolin rzecznych.

Z powyższego widzimy, że utarte pojmowanie biblijnego tekstu stawia trudności wszelkiemu fizycznemu objaśnieniu zjawiska. Niepodobna się na to zgodzić, aby seismiczne fale wyniosły arkę Noego aż na wysokość Araratu; przez meteoryczne opady też nie da się to zjawisko objaśnić. Na szczęście jednak posiadamy inne jeszcze świadectwa potopu, których rozbiór krytyczny doprowadzi nas do pożądanego rezultatu.

EPOS O IZDUBARZE.

Z pozostałych urywków pism Berosusa, kapłana babilońskiego (330—260 prz. Chr.) wiadomo oddawna, że na nizinie Eufratu istniało podanie o potopie, które w wielu rysach zgadzało się bardzo z opowiadaniem biblijnym.

Według tego kapłana, który opiera się na świętych pismach, wielka ta powódź wydarzyła się za panowania

Xisuthrosa, syna Otiartesa. Kronos zawiadamia Xisuthrosa we śnie, że wszyscy ludzie zostaną zgładzeni przez wielką powódź, rozkazuje mu zakopać pisma w Sippara, mieście słońca, następnie zbudować statek i zaopatrzyć go w zapasy żywności, na koniec schronić się nań wraz ze swą rodziną i przyjaciółmi, zabrawszy też zwierzęta czworonożne i latające. Xisuthros wypełnia rozkaz; następuje powódź i zalewa kraj; gdy wody zaczęły opadać, Xisuthros wypuszcza ptaki dla przekonania się o stanie rzeczy; na koniec opuszcza statek i składa ze swą rodziną ofiarę bogom. W nagrodę za pobożność bogowie powołują do siebie Xisuthrosa, jak również jego żonę, córkę i sternika.

Takie jest w streszczeniu świadectwo Berosusa, przekazane przez Aleksandra Polyhistora, który tak kończy: «Z okrętu Xisuthrosa pozostały jeszcze szczątki w górach Armenji i ludzie zdzierają zeń ziemną smołę, którą był oblepiony i używają jej jako amulety przeciw chorobom».

W ostatnich czasach odkrycie tablic z klinowemi napisami na nizinie Eufratu zbogaciło nas nowym, dokładnym opisem potopu. Opis ten nie znajduje się na tych tablicach, które traktują o powstaniu świata, upadku ludzi oraz walce zła i dobra, lecz stanowi epizod wielkiego eposu opiewającego czyny bohatera Izdubar.

Izdubar stracił swego przyjaciela Eabani i schorzał; puszcza się w drogę ku ujściu rzek do swego dziada Hasis Adry, którego bogowie uratowali z potopu i osadzili tam na życie nieśmiertelne i wiecznie młode. Izdubar odnajduje swego dziada, zapytuje go o cudowne przygody i Hasis Adra opowiada; oto treść tego opowiadania.

Wielcy bogowie postanowili zniszczyć potopem miasto starożytne Surippak nad Eufratem. Bóg Ea, pan niezbadanej mądrości, bóg morza, który był na naradzie bogów, zawiadamia Hasis Adrę o postanowieniu i poleca zbudować okręt na lądzie. Hasis Adra sprzeciwia się temu z obawy drwin ludu i starszych. Ea przestrzega po raz

drugi szczegółowo, zapowiada potop i zaleca wziąć z sobą zboże, mienie, rodzinę, służbę, krewnych, bydło i dzikie zwierzęta. Hasis Adra zgadza się, jakkolwiek nikt dotąd nie budował statku w taki sposób. Następuje budowa, zaopatrzenie i naładowanie statku. Ostatnie ostrzeżenie daje jakiś głos (?); obawa Hasis Adry, wstąpienie jego na statek i oddanie kierownictwa sternikowi Buzurkurgalowi. Opis zjawiska. Brat nie troszczy się już o brata. Przestrach samych bogów; uciekają w górę do nieba boga Anu. Głośne żale bogini Istar nad zgubą ludzi. Skargi bogów na wodne duchy głębin. Trwanie burzy i powodzi. Ustąpienie wód. Hasis Adra żegluje po falach; trupy pływają dokoła. Pierwsze wyrznięcie na świat, łyzy. Pierwsze ukazanie się łądu. Zatrzymanie na gorze kraju Nizir i sześciodniowy tam pobyt. Hasis Adra wypuszcza gołębia (?), następnie jaskółkę, na koniec kruka. Opuszcza ze wszystkimi statek i przygotowuje ofiarę. Bogowie przybywają. Istar podnosi w górę wielki łuk (?) i przysięga nie zapomnieć tego dnia. Bogowie przychodzą, wyjąwszy Bela, który spowodował potop. Gniew Bela z powodu uratowania Hasis Adry. Bóg Adar wskazuje na Eę. Usprawiedliwienie Ey. Niewinny niepowinien cierpieć wraz z winnym. Dzikie zwierzęta, głód i zaraza mogą nawiedzić ludzi, ale potop już nigdy. Uspokojony Bel przemienia Hasis Adrę wraz z żoną w bogów i przenosi ich do ujścia rzek.

* * *

1. *Miejsce katastrofy.* Ze wstępnych naszych uwag wynika, jak ważną rzeczą dla naturalnego objaśnienia tego wielkiego zjawiska przyrody jest rozstrzygnięcie pytania, czy ono miało miejsce na nizinie wielkiego systematu rzecznoego, czy też na wyżynie?

Jedenasta pieśń eposu wymienia napewne dwie miejscowości, mianowicie: miasto Surippak nad Eufратem, jako mieszkanie Hasis Adry i górę kraju Nisir, jako punkt wylądowania.

Co do miasta Surippak, to można twierdzić, że jego mieszkańcy musieli być doświadczeni w budowie statków; wynika to z dalszej treści pomienionej pieśni, a głównie z obawy Hasis Adry przed ich drwinami. Wszyscy autorowie kładą miasto Surippak nad dolną częścią rzeki, ale ponieważ znaczny obszar niziny w pobliżu dzisiejszego ujścia jest nowszego pochodzenia i powstał z napływów rzecznych, więc miejscowość, w której leżało miasto Surippak dziś jest oddaloną od wybrzeża morskiego.

2. *Użycie asfaltu.* Ważną podstawą do określenia miejscowości potopu jest też użycie asfaltu do budowy statku, wspomniane tak w opowiadaniu Hasis Adry, jako też w Biblii i urywkach pism Berosusa. Otóż na nizinie Mezopotamji do dziś dnia używają asfaltu do budowy statków, a nawet domów; przy braku bowiem kamieni budowlanych domy wznoszą się tu z cegły, a zamiast wapna służy asfalt. Zwyczaj ten jest w związku z geologiczną właściwością dorzecza Eufратu i Tygru, albowiem równinę tych dwóch rzek otaczają mioceniczne wzgórza, obfitujące w asfalt.

Jak rozmaite rodzaje budownictwa rozwinęły się pod wpływem kamieni, jakie architekt miał do rozporządzenia, tak również pod wpływem materiałów, jakie nastęrcza przyroda, powstały lokalne właściwości w budowie statków. Mieszkańcy wysp Samoa i Fidzi zalepiają swe łodzie żywicą z drzewa chlebowego, mieszkańcy wysp Kingsmill—liśćmi pandanu, w pewnej części Sjamu mają do tego używać drzewa porowatego, które w wodzie nabrzmiewa.

Nad Eufратem używają jeszcze dziś, jak przed wiekami, asfaltu. Ale prócz tych zalepionych statków, utrzy-

mały się na Eufracie nawet owe powietrzem napełnione wory i pływające na nich tratwy, które znajdujemy przedstawione na rzeźbach asyryjskich i które Herodot tak dokładnie opisuje. Statki te, według Herodota, mogły służyć tylko do żeglugi w dół rzeki i głównym ich ładunkiem było wino palmowe. Już w przeszłym stuleciu Renell dziwił się nadzwyczajnej zgodności tego dawnego opisu z dzisiaj tam używanymi statkami.

Używanie asfaltu przy budowie statków jest w najściślejszym tego słowa znaczeniu przedpotopowym zwyczajem, który utrzymał się aż do naszych dni.

3. *Ostrzeżenia*. Wszystko co wiemy o fizycznym przebiegu zjawiska potopu, możemy podzielić na trzy grupy, mianowicie: *ostrzeżenia*, *sama katastrofa* i *zakończenie*. Trudność dokładnego zrozumienia opisu zjawiska polega na uosabianiu wszystkich sił przyrody; jednakże trudność tę geolog wiedeński, Edward Suess, po większej części pokonywa szczęśliwie.

Wszelkie ostrzeżenia, rzecz godna uwagi, pochodzą od Ey, białego boga mórz i głębin. Przyjmował on udział w radzie bogów, którzy postanowili potop, i ostrzegł swego wiernego sługę, Hasis Adrę, przed groźącym niebezpieczeństwem. Jakiego rodzaju mogły być te ostrzeżenia morskiego boga? Suess sądzi, że były to małe, prawdopodobnie seismiczne, falowania wody morskiej, która zalewała wybrzeża i podnosiła wodę w Eufracie; to wywołało przestrach w mieście Surippak i zmusiło do przedsięwzięcia środków ostrożności. Ostatnie jednak ostrzeżenie, przed samym wstąpieniem na okręt, jest nieco odmienne. «Gdy słońce przebyło oznaczoną drogę, wówczas rzekł *głos* (?): wieczorem z niebios spadnie zniszczenie». Rzecz godna uwagi, że tu nie ma zwykłego uosobienia sił przyrody, lecz występuje «głos», przemawiający; może więc jest to jakieś niezwykle zjawisko, np. łoskot seismiczny.

4. *Katastrofa*. Najważniejsza część opisu poświęcona

jest samej katastrofie. Gdy kierownictwo okrętu objął sternik Buzurkurgal, «czarny obłok wznosił się na niebie, a w jego wnętrzu grzmiąły pioruny Rammana. *Nosiciele tronu* stąpają po górach i dolinach. Potężny bóg zarazy rozpuszcza wichry. Adar przepelnia kanały (?). Anunaki wyrzucają fale do góry i wstrząsają ziemię swą potęgą. Massy wody Rammana wznoszą się aż do nieba. Wszelkie światło ustępuje ciemności... (tu miejsce niejasne, w ułamkach)... Brat nie troszczy się już o brata, w niebie bogowie obawiają się potopu, szukają uciezki, wznosząc się wysoko do boga Anu. Jak pies na swoim barłogu, tak bogowie kulą się do wrót nieba». Wiersze te częścią odnoszą się do zjawisk powietrznych, częścią do ziemi, częścią malują wrażenie wywarte na bogów i ludzi.

Atmosferę wstrząsa Ramman, bóg powietrza. Po czarnym obłoku nastąpiła burza. Jakiego jednak zjawisko przyrody mają przedstawiać «nosiciele tronu», stąpający po górach i dolinach?

Rzućmy okiem na przyrodę dolnej Mezopotamji. «O ile rzadkie są tu, pisze Schläfli, zwykłe burze, o tyle częściej występują trąby powietrzne. Kształtem swoim przypominają one zupełnie trąby wodne i różnią się od nich tylko białą barwą. Jasna kolumna białego wirującego piasku przebiega lekko pustynię, gubiąc się górną swą częścią w bezobłocznym eterze... W czasie mej podróży z Mossulu do Bagdadu, w połowie czerwca, narachowałem w jednej chwili jedenaście takich kolumn piaszczystych».

Takie kolumny piasku wyglądają niby podpory nieba. Burze piaszczyste bywają czasami nadzwyczaj gwałtowne. Tak np. w Bagdadzie w maju r. 1857 przy wietrze południowo-zachodnim słońce zamroczyło się i przyjęło pozór księżyca. Następnie około piątej po południu zjawia się ciemny obłok pyłu, przysłania w jednej chwili całe miasto, wdziera się na podwórza i do pokojów. W ówierć mi-

nuty z dnia zrobiła się najczarniejsza noc. Ta ciemność trwała pięć minut... przerażeni mieszkańcy sądzili, że się zbliża koniec świata. Pył miał barwę ceglasto-czerwoną. Schlafli nazywa to zjawisko trąbą pyłu, Duthieul sądzi, że nie miało ono kształtu trąby, lecz że masy pyłu rozprzestrzeniły się równomiernie na znacznym obszarze kraju.

Co się tyczy zjawisk *na ziemi*, to przepelnienie kanałów jest zwykle przy silnych wstrząśnieniach gruntu, a tutaj mogło być jeszcze spotęgowane przez burzę i prąd wsteczny. Anunnaki «wstrząsający ziemię» i «wyrzucający fale» z głębi, są to duchy podziemne. Pod względem tego *występowanie wody z głębi*, epos o Izdubarze zgadza się z podaniem Pisma świętego.

Występowanie znacznych mas wody z głębin ziemi jest zjawiskiem, które towarzyszy wstrząśnieniom ziemi na alluwialnych nizinach wielkich rzek. Woda zaskórna rozprzestrzenia się tam po obu stronach rzeki, wsiąkając w młode napływy i jej górna granica wznosi się po nad średni stan wody w rzece. Co leży poniżej tej granicy jest rozmoczone, płynne, grunt zaś powyżej jest suchy i łamliwy. Jeżeli w takiej okolicy nastąpią seismiczne wstrząśnienia, to krucha górna warstwa gruntu pęka i ze szpar występuje gwałtownie woda lub błoto, bądź wielkimi masami, bądź pojedynczemi strumieniami, tryskającemi na wiele metrów w górę.

Takie zjawisko miało miejsce na małą skalę 1880 r. gdy zatrzęśły się alluwialne pokłady rzeki Sawy pod Agramem; daleko zaś potężniej wystąpiło nad dolnym Dunajem podczas wołoskiego trzęsienia ziemi 1838 r., przy którym młode napływy Dimbowicy popękały w długie szpary i ze szpar tych tryskała woda na sążeń wysoko.

Toż samo miało miejsce w alluwialnych warstwach Missisipi w czasie trzęsienia ziemi 1812 r. w pobliżu miasta New-Madryd, poniżej ujścia Ohio. Gdy podziemne

wody utorowały sobie przejście, ziemia z głośnemi wybuchami wylatywała w górę, unosząc wielkie masy zwęglonego i po części sproszkowanego drzewa. Tymczasem powierzchnia gruntu obniżyła się, a nad nią wypłynęła czarna ciecz i wzniosła się na wysokość końskich brzuchów. Świadectwu temu bynajmniej nie zaprzecza fakt, że wskutek tego samego trzęsienia ziemi małe jezioro Lake Eulalie pod New Madrid nagle przez szczeliny spłynęło. W tym przypadku jezioro leżało w ściślejszym, nieprzepuszczalnym łożysku i przez nowo utworzoną szparę wypróżniło się do głębiej leżącej wody zaskórnej. W 1862 r. południowe okolice Bajkału uległy silnemu wstrząśnieniu i step na wschód od Selengi obniżył się na kilkoniemilowej przestrzeni; woda wytryskała w wielu miejscach, a drewniane pokrywy studzien powystrzeliwały w górę, jak korki z butelek. Mongołowie tak byli przerażeni tym zjawiskiem, że prosili lamów o odprawienie ceremonji religijnych dla ułagodzenia złych duchów, które wstrząsają ziemią.

Podobne zjawiska miały też miejsce nad dolnemi ożęściami Indu, Gangesu i Bramaputry.

To są owe fale sprowadzone przez Anunnaki, owe źródła występujące z głębi, o których wspomina Pismo święte. Zdaniem Suessa, są one dla geologa dowodem, że mowa tu o sejsmicznym wstrząśnieniu na obszernej nizinie rzecznej; po za takimi nizinami nigdy podobnego zjawiska nie obserwowano i byłoby ono tam niezrozumiałe.

Dotąd nie ma jeszcze mowy o właściwym potopie, a nawet wezbranie wody w kanałach i wytryski wody zaskórnej dadzą się obserwować tylko wtedy, gdy jeszcze nie nastąpiła powódź ogólna; opis tej ostatniej zaczyna się dopiero od słów: «masy wody Rammana wznoszą się ku niebu». A więc przy pierwszych słowach malujących potop wznosi się on już ku niebu i nie Ea bóg

morza, lecz Ramman, bóg powietrza, sprowadza go; przytym nie są to zapewne seismiczne fale gnane wichrem: przed takimi falami bogowie nie uciekaliby do nieba Anu, lub—jak niektórzy badacze to miejsce tłumaczą—ze sfery planet do sfery gwiazd stałych. Powódź ta musiała być sprowadzona przez cyklon. Powodzie takie są nagłe i gwałtowne, zdarzają się one tylko w pobliżu morza, albo na wyspach, albo na nizinach dolnego biegu wielkich rzek. Fala na setki mil morskich szerokością zbliża się cyklon do lądu i wskutek zwięzania zarysu morza wznosi się coraz bardziej i spada na nizinę, siejąc straszliwe zniszczenie. Zjawiska takie obserwowano na wyspach Indji Zachodnich i na ujściach rzek wschodnio-indyjskich; przytoczymy przykłady z naszych czasów, w których w ciągu jednej nocy zginęło 100,000—200,000 ludzi. Zwykle przed postępującym cyklonem spadają potoki deszczu, nazywane przez dzisiejszych obserwatorów «potopowemi», często też występują gwałtowne burze.

W pojedynczych przypadkach obserwowano też trzęsienie ziemi równocześnie z cyklonami, tak np. w czasie fatalnej nocy z 11 na 12 października 1737 pod Kalkutą. Gdy tak zwany «wielki orkan» w 1780 r. szalał nad wyspami Zachodnio-indyjskimi i w St. Pierre na Martynice morze wzniosło się na 25 stóp i 9000 ludzi postradało życie, Rodney wyraził najmocniejsze przekonanie, że takie zburzenie najsilniejszych budowli mogło być spowodowane tylko trzęsieniem ziemi i że mieszkańcy nie zauważyli go tylko z powodu silnej burzy.

Ale wróćmy do tekstu Izdubara.

Co sądzić o słowach: «wszelkie światło ustępuje ciemności»?

We wrześniu 1860 roku pruski statek wojenny «Arkona» na wschodnich wybrzeżach Japonji został na-

padnięty przez burzę wirową, którą przetrwał zwycięsko. «O ósmej godzinie (rano) — mówi raport — zrobiło się tak ciemno, że nie można było dojrzyć końca okrętu; morze i obłoki zdawały pochłaniać się wzajemnie. Fale powstały jak ściana i wicher ciął pianą jakby deszczem igieł. Woda morska i deszczowa wlewała się strumieniami na pokład i przez wszystkie otwory baterji; nie można już było odróżnić szumu wiatru i fal; nieustanny grzmot wstrząsał wszystko dokoła...»

To jest Ramman, który wznosi fale ku niebu, aż przeżeni bogowie uciekają do wyższych sfer, i który otacza wszystko ciemnością. A ponieważ bezpośrednio po Anunnaki wystąpił Ramman, więc trzeba się domyślać, że wraz z trzęsieniem ziemi wstąpił na nizinę Mezopotamji cyklon z zatoki Perskiej. Podobnie w maju 1769 r. silnemu trzęsieniu ziemi w Bagdadzie towarzyszyła straszliwa burza oraz «potopowy» deszcz i grad.

Tak więc najstraszliwsze zjawisko przyrody świata starożytnego, opisane przez Hasis Adrę, było trzęsieniem ziemi, połączonym z cyklonem.

5. *Dalszy przebieg i koniec katastrofy.* Następują żale wspaniałej matki rodu ludzkiego, bogini Istar, nad wytępieniem ludzi wraz z nią i bogowie skarżą się na Anunnaki; a potem «sześć dni i siedem nocy szalał wicher i potop (cyklon). Na siódmy dzień ustała burza, uspokoił się potop, który prowadził walkę, niby potężny wódz. Morze opadło. Płynąłem po morzu płacząc, że siedlisko człowieka pokryło błoto; trupy pływały dokoła jak pnie drzew. Gdy światło dzienne na twarz mą padło, usiadłem płacząc, łzy płynęły po mej twarzy».

6. *Wylądowanie.* Ustęp eposu o Izdubarze, odnoszący się do tej części zjawiska jest następujący: «Gdzie tylko spojrzę, wszędzie straszliwe morze, nigdzie żadnego lądu. Okręt pędził, gnany ku krainie Nisir i tu zatrzymał się na

górze i t. d.» Na siódmy dzień Hasis Adra wypuścił gołębia.

O położeniu kraju Nisir znajdujemy wskazówkę w napisie, zawierającym wiadomość o wyprawie wojennej króla Asur-naçi-pala; według tej wskazówki, kraina Nisir musiała leżeć na wschód Tygru za dolnym Zabem, między 35° i 36° szerokości; nie ma też żadnej wskazówki, ani potrzeby przyjmować, że wylądowanie miało miejsce w głębi gór lub na wysokim szczycie. Pod nazwą Nisir rozumieć należy krainę oddzieloną od niziny Tygru miocenicznymi wzgórzami Karaczok Dag, Baruwan Dag i północną część Djebel Hamrin. Liczne rzeki, a między niemi dolny Zab, przerzynają te wzgórza w wązkich szczelinach. Wysokość tych gór wynosi około 300 metrów, rzeki, które powygryzały tu wąwozy, leżą daleko głębiej; ale niema żadnej potrzeby przypuszczać, że potop sięgnął na wierzchołki tych gór. Statek zatrzymał się na pochyłościach ich i tylko uratowani ludzie, wysiadłszy, wstąpili na górę, gdyż w jednym miejscu eposu czytamy: «wzniosłem tu ołtarz na szczycie góry».

Ale faktem, rozstrzygającym istotę całej katastrofy, jest to, że statek był pędzony przeciw prądowi rzeki—od morza ku wnętrzu kraju. Gdyby potop był spowodowany potokami deszczu, to statek z dolnego Eufratu byłby uniesiony ku morzu.

Zakończenie katastrofy (wypuszczenie ptaków, tęcza, obietnica niepowtórzenia się potopu) w eposie zupełnie zgadza się z podaniem biblijnym, ale nie przyczynia się w niczym do wyjaśnienia kwestji.

Przerwijmy teraz na chwilę rozbiór eposu o Izdubarze i przypatrzmy się zjawiskom podobnym do potopu, które miały miejsce już za naszych czasów. Potym wrócimy znów do opowiadania Hasis Adry.

NOWOCZESNE KATASTROFY NAD RZEKAMI WSCHODNIO-INDYJSKIEMI.

Hasis Adra składa ofiarę; jak muchy, zbierają się bogowie dokoła uiej i pochłaniają przyjemną woń. Matka zaś ludzi, Istar, wzniośszy wielki łuk, przysięga, że nie zapomni nigdy dnia tego, a mądry Ea upomina Bela, ażeby nigdy już nie sprawiał potopu; niech na grzeszników spadną ich grzechy, na zbrodniarzy ich zbrodnie; niech lwy i hyeny, głód i zarazy tępią ludzi, ale potop niech już nie wraca.

I Noe składa też ofiarę i Jahveh wacha przyjemną woń i przyrzeka z całego serca nie spuszczać już nigdy na ludzi ogólnego wytępienia, a tęcza wzniesiona w obłokach zapowiada po wszystkie czasy zgodę z ludźmi i wszelkim tworem żyjącym.

I rzeczywiście, nizina Eufratu w ostatnich tysiącoleciach, jakkolwiek często nawiedzana jeszcze przez trzęsienia ziemi, nie była jednak po raz drugi widownią potopu. Ujścia rzek wskutek przyrostu ziemi napływowej posunęły się naprzód, użyźniające kanały wyschły, kraina opustoszała; na Babilonie spełniła się straszliwa przepowiednia Jeremiasza: dumne grody królewskie zmieniły się w bezkształtne kupy rozwalin, ale potop nie nawiedził powtórnie tego kraju. Nie jestto jednak bynajmniej wynikiem obietnic boskich, albowiem niziny innych wielkich strumieni bywają i w naszych czasach widownią działalności Anunnaki, czują gniew straszliwego Rammana. Porzucmy też podania przeszłości i zwróćmy się do zjawisk teraźniejszych.

Wytryski wody zaskórnej i zapadnięcia się gruntu miały miejsce na wielką skalę na nizinie dolnego Indu, nawiedzanej często przez trzęsienia ziemi.

Ujścia Indu zajmują szeroką płaską część wybrzeża między Karrachi na północo-zachodzie i Lukput na połud-

nio-wschodzie. Pod wpływem prądu morskiego, skierowanego ku północo-zachodowi, część mułu, który Ind przynosi do morza, osadza się w pobliżu Karrachi i samo ujście zbacza w tym kierunku. Liczne wyschłe łożyska między daleko wyżej oddzielającą się odnogą Indu zwaną Narra, a samym Indem świadczą, że cały odpływ a wraz z nim wytwarzanie się delty posuwa się coraz dalej ku północo-zachodowi.

Cunningham przypisuje to parcie wszystkich rzek Pendżabu ku stronie prawej wirowemu ruchowi ziemi i twierdzi, że Ind porzucił łożysko Narra w r. 680 po Chr. W roku 711 po Chr. Ind wyźłobił już sobie pod Rori dzisiejsze łożysko, płynął jednak wówczas jeszcze na wschód Haiderabadu i dopiero około r. 1592 przeniósł swe łożysko na zachód tego miasta.

Na nizinie Indu liczne i wielkie miasta stały się nieraz ofiarą wielkich przewrotów natury. W kilka chwil zagrzebywały one często pod swemi gruzami tysiące mieszkańców, a zniszczenie kanałów irygacyjnych lub zmiany koryt rzecznych nie pozwoliły pozostałym przy życiu mieszkańcom odbudowywać tych miast na nowo. To też po upływie stuleci podróżnik napotyka tu rozległe ruiny opuszczonego miasta, którego nazwisko nawet jest nieznane.

«Podróżowałem — mówi Ibn Batuta — w r. 1333 przez Sind do miasta Lahari, leżącego przy ujściu Indu do oceanu Indyjskiego. Miasto posiada wielki port, do którego zawijają okręty z Persji, Jemenu i innych krajów. O kilka mil od tego miasta leżą ruiny innego miasta, wśród których napotyka się mnóstwo kamieni o kształtach ludzkich i zwierzęcych. Ludność tej miejscowości utrzymuje, że według historyków niegdyś stało tu miasto, którego mieszkańcy byli tak grzeszni, że bóg zamienił w kamienie ludzi, ich zwierzęta, rośliny, a nawet nasiona; i rzeczywiście kamienie kształtu nasion są tu niezliczone». Widocz-

nie pomieszano tu wapień nummulitowy z rzeźbami; prawdopodobnie były to szczątki znamienitego miasta portowego Debal, które leżało między Karrachi i Tatta.

W 1854 r. dwaj podróżnicy angielscy zwiedzili dalej we wnętrzu kraju na północo-wschód Hajderabadu zwaliska Braminabadu nad wyschłym łożyskiem Narry. Zupełne zburzenie mocnych budowli, brak wszelkich śladów pożaru, szczątki samych mieszkańców i ich sprzętów domowych potwierdzają podanie, że to miasto zostało zniszczone nagle przez trzęsienie ziemi.

Nad najbardziej na wschód wysuniętym z dawnych ujściowych ramion Indu, Khori, w pobliżu jego ujścia leży miasto Lukput. Tutaj kończy się łańcuch wyniosłości Kachh, który ciągnie się wzdłuż wybrzeża od południow-wschodu i oddziela od morza południowo-wschodnie przedłużenie niziny ujściowej zwane Ran of Kachh.

Nieprzejrzana równina Ran przechodzi rozmaite fazy: podczas południowo-zachodniego monsunu przedstawia jezioro wody słonej, która wkracza tu z morza od Lukput; w czasie wysokiego stanu wód w Indzie staje się jeziorem wody słodkiej; na koniec w czasie suchej pory roku wysycha i przedstawia obszerne przestrzenie pokryte śnieżnymi kryształkami soli. Wśród tego ponurego milczącego pustkowiecia nie widać żadnej żyjącej istoty, chyba zrzadka przebiegnie stado dzikich osłów, które wraz z dziwacznymi majakami stanowią jedyne urozmaicenie tej krainy. Majaki te stały się źródłem wielu legend i czarodziejskich baśni. Mieszkańcy widzą w nich widmo posiadłości pewnego pobożnego króla, któremu udało się przywrócić złoty wiek cnót, tak, iż jego stolica, uwolniona od wszystkiego co nieczyste, zwolna zaczęła się wznosić ku niebu. Na nieszczęście w jakimś oddalonym domu pozostało się nieczyste zwierzę, dziki osioł, który rykiem zdradził swą obecność. Wznoszenie się miasta zostało przerwane i od

tego czasu unosi się ono nad pustynią Ran, zawieszona między niebem a ziemią.

Tę pustynię Ran nawiedziło w 1819 r. silne trzęsienie ziemi, i spowodowało pewne zmiany w powierzchni gruntu; opis tego zjawiska pozostawił nam Aleksander Burnes.

Przed bitwą pod Jarra w roku 1762 — mówi ten podróżnik — w której mieszkańcy Kachhu walczyli mężnie przeciw armji z Sindu, wschodnie ramię Indu wpadało do morza, płynąc wzdłuż zachodniej granicy Kachhu; wówczas coroczne wylewy tego ramienia użyźniały grunt i wydawały bogate plony ryżu.

Bitwa pod Jarra położyła kres temu błogosławieństwu natury, które użyźniało bezpłodną zresztą krainę: wódz Sindu rozgniewany niepowodzeniem wyprawy wojennej, powrócił do swego kraju, pałając zemstą i wyrządził najcięższą klęskę krajowi, którego nie mógł pokonać orężem. Pod wsią Mora wzniósł on groblę z ziemi («Bund») w poprzek tego ramienia Indu, które użyźniało Kachh; tym sposobem zwrócił je ku innemu łóżysku, ku pustyńnej części swych własnych posiadłości, a przez to zamienił żyzną, bogatą w pola ryżowe, część Kachhu w piaszczystą pustynię. Późniejsi władcy Sindu jeszcze dokładniej zatamowali wodę wschodniego ramienia Indu, wyschło ono zupełnie, tylko dolna jego część zamieniła się w zatokę morską.

W tych warunkach — mówi dalej Burnes — nastąpiło w 1819 r. silne wstrząśnienie, które przypawiło o śmierć setki mieszkańców i zburzyło warowne punkta; na powierzchni Ranu utworzyły się liczne szpary, z których przez trzy dni wylewały się olbrzymie masy czarnej błotnistej wody, aż cały kraj został zalany na 9—10 stóp wysoko. Wstrząśnienie dało się czuć też w Sindre, komorze celnej Kachhu, która leżała nad owym wyschłym wschodnim ramieniem Indu; fale morskie wkroczyły tym ramieniem, zalały Sindre i utworzyły dokoła niego jezioro. Wkrótce jednak spostrzeżono, że nie była to jedyna zmiana,

jaką w tych okolicach wywołało trzęsienie ziemi: w odległości pięciu mil ang. na północ od Sindre dostrzeżono groblę z ziemi i piasku w miejscu, które dotąd było równe; grobla ta rozciągała się jak oko zasięgięło na zachód i wschód wpoprzek ramienia Indu, jakby na zawsze odgradzając je od morza. Mieszkańcy nazwali tę groblę «Ullah-Bund», albo groblą boga na znak, że wzniesioną ona została nie ręką ludzką, jak inne groble nad Indem, lecz siłami przyrody.

To niezwykle zdarzenie mało na siebie początkowo zwróciło uwagi; ponieważ bowiem klęska zadana temu krajowi w 1762 r., spustoszyła go zupełnie, więc nie wiele na tym zależało czy Kachh zostanie nadal pustynią, czy się zamieni w jezioro.

Tak rzeczy stały do listopada 1826 r., gdy rozeszła się wiadomość, że Indus przerwał groble w górnym Sindzie i że olbrzymia masa wód rozlała się na pustynię ograniczającą ten kraj od wschodu, przerwała wszystkie tamy i otworzyła sobie drogę na Ran of Kachh. Tak, iż 1827 r. Burnes podróżował wodą od Bhooj, miasta głównego krainy Kachh, przez Lukput w górę, aż do tego obszaru wodnego, który oblewał ruiny Sindre.

W dalszym ciągu Burnes opisuje Ullah-Bund jak następuje: «nie trzeba sobie jednak wyobrażać tegoż, jako wązkiego pasma na podobieństwo sztucznej grobli, gdyż rozciąga się on szeroko we wnętrze kraju i zdaje się być obszernym wzniesieniem przez naturę dokonany».

Od czasu Burnesa Ullah-Bund był często zwiedzany; wysokość jego podawano różnie na 10—20 $\frac{1}{2}$ stóp, a to wskutek zmiennego poziomu wód u jego podnóża. W jednej jednak ważnej kwestji wszyscy obserwatorowie zgadzają się, mianowicie—że Ullah-Bund wogóle *tylko z południa drzedstawia się jako grobla*, ku północy zaś nie ma prawie żadnego spadku i że *jego północna strona nie manifestuje się niczem*.

A więc Ullah Bund nie jest żadną groblą, lecz tylko *nagłym spadkiem* («Abstufung») gruntu.

Kraj, na północ tego spadku leżący, jakoby podniesiony, właśnie nie doznał żadnej zmiany. Z całą słuszością zauważył Wynne, że przy jakimkolwiek znaczniejszym wzniesieniu tej okolicy, wody Indu nie mogłyby w 1826 r. popłynąć swym dawnym wyschłym łożyskiem i przez Ullah-Bund osiągnąć zagłębienia Sindre oraz ujścia poniżej Lukputu.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że kraina na południe od Ullah-Bund, z fortem Sindre musiała się obniżyć równocześnie z wystąpieniem wody podziemnej w czasie trzęsienia ziemi 1819; Ullah-Bund jest nagłym spadkiem ziemi napływowej, oznaczającym granicę obniżenia; powyżej Ullah-Bunda nie zaszła żadna zmiana powierzchni gruntu, jak to widać z niezmienionego spadku rzek.

Zwróćmy się teraz do okolicy, nawiedzanej tak przez trzęsienia ziemi, jak i cyklony i zalewanej w najnowszych czasach powielokroć przez wylewy morskie; jest to mianowicie nizina, ograniczająca z północy zatokę Bengalską. Ganges i Brahmaputra wlewają się tu w płytkie morze licznymi rozgałęzionymi ramionami, tworzącymi obszerną deltę. Kraj ten w historycznych już czasach uległ wielu zmianom i zdaje się, iż niegdyś na miejscu dzisiejszej delty była laguna oddzielona od morza przez lido; do tej laguny wlewały się oddzielnie obie rzeki i dopiero z czasem napływy rzeczne wypełniły lagunę i utworzyły wspólną deltę, która posuwa się ku zachodowi.

Cały dolny obszar Gangesu i Brahmaputry podlega częstym wstrząśnieniom gruntu. Tak w 1762 r. najbardziej ucierpiała nizina w okolicach Dacca, wody wystąpiły z łożysk i jak rozhukane morze zalały kraj; szeroko dokoła otworzyły się szczeliny, z których na wiele stóp w górę wytryskała woda i znaczna część kraju obniżyła się; wyspy w pobliżu wybrzeża znikły zupełnie i niektóre

ramiona rzek tak zmieniły swój kierunek, że okręty, będące w podróży, zostały powstrzymane.

W 1810, 1829 i 1842 powtarzały się trzęsienia ziemi w Kalkucie, a na kilka miesięcy przed ostatnim trzęsieniem szalał nad tym miastem cyklon. Podczas trzęsienia w 1869 r. na wschód Brahmaputry potworzyły się szpary w gruncie alluwjalnym twardym, sięgające wglęb do miększego, rozmoczonego wodą pokładu; tak odłupane górne warstwy zsuwały się po dolnych ku rzekom. Przez szpary z początku wylały w górę z gwałtownością strzałów armatnich suchy pył nakształt dymu, ale zaraz potem występował gęsty szlam, tworząc wzniesienia koło otworów.

Po przejściu trzęsienia ziemi ujrzano grunt alluwjalny pokrajany szczelinami, a przez obniżenie się niektórych kawałów gruntu, potworzyły się nagle spadki wzdłuż szpar. Między pęknięciami lub na nich samych, znajdowały się okrągłe lub eliptyczne, podobne do kraterów otwory, otoczone często wałem szlamu lub piasku.

Jeszcze straszliwiej od trzęsień ziemi srożą się w tej krainie burze wirowe, które przychodzą tu od morza, zwykle z okolic wysp Andamańskich. Od tych wysp ciągną one na północ, północno-zachód lub zachód, siejąc po drodze zniszczenie. Niosąc ogromne masy wody i z towarzyszeniem ulewnych deszczów, wstępują one w ujście Gangesu, na wschodnie wybrzeża Indostanu, a nawet na wyspę Cejlon.

W 1737 r. taki orkan wstąpił w górę Gangesu na wiele mil, a równocześnie zdarzyło się trzęsienie ziemi, które zburzyło 200 domów w Kalkucie.

Okręty zostały przerzucone na ląd ponad drzewami. Wody Gangesu miały się podnieść o 40 stóp nad zwykły poziom, stratę w ludziach rachowano na 300000! Cyfra ta jest przesadzona, ale w każdym razie nie ulega kwestji, że katastrofa była straszliwa.

Od 1737 do 1876, to jest przez 139 lat, nawiedziło wybrzeża zatoki Bengalskiej nie mniej jak 112 cyklonów. Każdy z nich tak bezpośrednio, jako też przez sprowadzenie klęsk głodowych, pozbawiał życia tysiące ludzi. Cyklon 1842 r. odznaczał się rozległym rozprzestrzenieniem: od wysp Andamańskich, sięgnął aż do wysp Bahrein w zat. Perskiej. Podczas straszliwego cyklonu 1876 r. miało zginąć według jednych 100,000, według innych nawet 215,000 ludzi! Okropny był widok kraju (obszar ujściowy Brahmaputry) po katastrofie. Domy leżały w ruinach, drzewa były ogołoczone z liści i gałęzi, kraj pokrywały liczne kałuże; trupy ludzkie i zwierzęce leżały kupami; prawdziwy obraz minionego potopu. Obszar tego cyklonu był zupełnie ten sam, co obszar trzęsienia ziemi 1762 r. Niekiedy też zjawisko cyklonu występuje w towarzystwie trzęsienia ziemi, gdyż zmniejszenie powietrznego ciśnienia, które ma miejsce podczas cyklonu, zdaje się ułatwiać i potęgować trzęsienia.

ISTOTA POTOPU I JEGO ROZPRZESTRZENIENIE SIĘ.

Teraz wróćmy znów do eposu o Izdubarze.

Zjawiska natury, towarzyszące wielkiej katastrofie potopu, są takie same, jakie i obecnie spostrzegamy na pła-skich wybrzeżach i na nizinach wielkich rzek, głównie na ich ujściach. Główny zalew mógł tylko pochodzić z morza; deszcze i wody podziemne były tylko dodatkowymi czynnikami w tym zjawisku.

Ujściowy obszar Eufratu przedstawia właśnie wszelkie warunki, potrzebne do powstania takiego zjawiska; można by wprawdzie pomyśleć tu o ujściowym obszarze Gangesu i Brahmaputry, który obecnie jeszcze bywa nawiedzany przez trzęsienia ziemi i cyklony; ale częste powtarzanie się wylewów w tej okolicy jest właśnie argumentem przeciw takiemu przypuszczeniu, gdyż podania o potopie

pochodzą z okolic, w których takie zjawisko było czemś nadzwyczaj rzadkim, nawet niesłychanem i dla tego właśnie pozostawiło tak niezatarte wrażenie. Fale morskie wylały się na okolice gęsto zaludnione, które nigdy przedtem nie były widownią takiej katastrofy i według obietnicy boga, nie miały być widownią nigdy potym; obietnica ta nie mogłaby się znaleźć w podaniu, któreby pochodziło z często nawiedzanej przez potopy delty Gangesu.

Seismiczna część katastrofy znajduje niewątpliwy wyraz w ostrzeżeniach, wystąpieniu wód z kanałowi wytryskaniu z wnętrza ziemi i we wstrząśnieniach; to ostatnie zjawisko nawiedzało i później Mezopotamję.

Droga cyklonu z roku 1842, którego ostatnie ślady dosięgnęły zdaje się wysp Bahrein, nie wyklucza możliwości, że nawet ze zwykłego punktu wyjścia, z wysp Andamańskich, cyklon mógł dosięgnąć zatoki Perskiej i wywołać potop na nizinie Eufratu.

Dla zrozumienia tak wielkich zjawisk natury nie bez interesu będzie zbadać, jakie wrażenie wywierają one na umysły różnych ludów.

Na wyspach Andamańskich, nawiedzanych często przez trzęsienia ziemi i będących punktem wyjścia cyklonów, utrzymała się w odosobnieniu resztką pierwotnej ludności. Lud ten nie wznosił się jeszcze nawet do kultu słońca; zna tylko demona leśnego, który wywołuje trzęsienia ziemi i demona mórz. Bojaźń przed tymi duchami jest jedynym uczuciem, jakiego doznaje ten lud wobec takich katastrof.

Weźmy teraz lud na najbliższym stopniu kultury. W 1862 r. uległo wstrząśnieniu wybrzeże wyższej Gwinei i znaczna część przyległych krain. Pewien kupiec holenderski znajdował się podówczas w Abomey, stolicy państwa Dahomejskiego i był wezwany na rynek. Tu na tronie siedział król otoczony uzbrojonymi amazonkami i objawił, że to duch jego ojca wstrząsa ziemią, gdyż starodawne zwyczaje nie są jak należy zachowywane. Trzech

wodzów nieprzyjacielskich wziętych w niewolę stracono, aby okazać duchowi zmarłego, że nadal zwyczaje będą ściśle zachowywane!

Na wyższym stopniu kultury wrażenie zależy od kierunku wychowania i od zawodu pojedynczych osób.

Gdy w 1596 r. nastąpiło trzęsienie ziemi w japońskich miastach Kjoto i Osaka i wiele budynków zważyło się, a między nimi i dom, w którym znajdował się posąg boga Daibuzu, wówczas pewien wojownik japoński udał się do świątyni Daibuzu, stanął przed zwalonym posągiem, wyrzucał z gniewem słabemu bogowi, że on zamiast bronić kraju, nie ma dość siły, aby się sam na nogach utrzymać, wziął łuk i strzelił do posągu.

Inaczej zupełnie sądzi badacz przyrody, który ze spokojem umysłu szuka naturalnych przyczyn zjawiska, a inaczej znów tłum. Wśród ogólnej grozy ludzie tracą rozsądek, szukają najnieodpowiedniejszych środków ochrony: kryją się pod stopnie kolumn grożących upadkiem, na płaski brzeg morza zalewany falami, do kościołów, które gruzami zasypują tłumy, modlące się o ratunek i t. d. Kto czytał opisy trwogi, jaką przejęci byli ci, co przeżyli straszliwe trzęsienie lizbońskie, ten pojmie łatwo stan duchowy Hasis Andry po potopie.

Przy ukazaniu się pierwszego promienia słońca, pierwszego znaku ratunku, zalewa się łzami; uratowany składa ofiary bogom. Podobne uczucie ukorzenia, jakiego doświadczał Hasis Adra, obejmuje nieraz i obecnie serce ludzkie podczas wielkiego niebezpieczeństwa.

Gdy w 1780 r. podczas wojny Anglików z Francuzami, straszliwy cyklon szalał na wyspach Antylskich, rozproszył i poniszczył floty i dwa okręty angielskie rzucił na wybrzeże francuskiej Martyniki, wówczas naczelny wódz francuski odesłał uratowanych Anglików, gubernatorowi Santa Lucji z uwagą, że ofiar ogólnej katastrofy nie może zatrzymać jak niewolników. Jest to mianowicie owo uczucie

małości wszelkich ludzkich waśni, owa przygnębiająca świadomość niemocy człowieka wobec wielkich potęg przyrody, która stanowi religijny moment podania o potopie.

Moment ów tak zgodny jest z naturą człowieka, że podanie o tej straszliwej katastrofie znalazło chętnie przyjęcie w religijnych mytach najrozmaitszych ludów; a z powodu wielkiego rozprzestrzenienia się *podania* trudno było oznaczyć rzeczywiste rozprzestrzenienie się *zjawiska*. Z tych podań najważniejsze dla zbadania mezopotamskiego potopu są cztery: epos o Izdubarze, Genesis, podanie egipskie i helleńskie. Opis znajdujący się w Genesis, jest zapożyczony z eposu babilońskiego i posiada takie zabarwienie, jakie musiała przyjąć tradycja u ludu śródładowego, nieobytego z morzem: brak tu mianowicie sternika, a z okrętu zrobił się rodzaj skrzyni, «arka»; miejsce bóstw zajmuje Jehowa. Podanie egipskie jest jeszcze bardziej zmienione, ponieważ bowiem wylew dla ludu egipskiego wiąże się z pojęciem pomyślności i życia, więc karze bogów trzeba było nadać inny kształt. Ra wzywa bogów na naradę i postanawia zagładę ludzi. Bogini Hathor wykonywa wyrok, cały kraj do Herakleopolis pokrywa krwią ludzką. O wylewie jest mowa tylko dodatkowo i nie w sensie kary. A więc w Egipcie owa wielka katastrofa nie miała miejsca.

Podania helleńsko-syryjskie zawierają wiele powtarzających się wylewów, co stąd pochodzi, że wybrzeża wschodnie morza Śródziemnego i Grecji były często rzeczywiście zalewane przez fale seismiczne; z podań tych, szczególnie podanie o Deukalionie zawiera wiele rysów z podania chaldejskiego, jako to: uratowanie się w arce, zabranie zwierząt, wysłanie gołębia.

Żadne z powyższych podań nie upoważnia do wniosku, że zjawisko potopu rozprzestrzeniło się od Surippaku do kotliny morza Śródziemnego. Owszem, wobec starożytności egipskiej kultury i wobec odmiennego charakteru tam-

tejszego mytu, można z wielką pewnością przyjąć, że potop nie dosięgnął morza Śródziemnego.

Święte księgi Indów zawierają wiele podań o potopie ze szczegółami, przypominającymi podanie chaldejskie i dowodzącymi, że tylko podanie o wielkiej katastrofie dosięgnęło tutaj, ale nie ona sama, Już samo to, że arka zatrzymała się na jednym z wysokich szczytów himalajskich, pokazuje, że podanie to pochodzi z obcych krajów i zostało zlokalizowane w sposób nienaturalny.

Chińczycy mają też swe podanie o potopie; niektórzy misjonarze chcieli w tym podaniu dopatrzeć się związku z potopem biblijnym. Według najnowszych poglądów za przyczynę chińskiego potopu, należy uważać rzekę Hoang-Ho, która i później sprawiała takie spustoszenia, że nazwano ją «utrapieniem Chin.» Niestety wzmianki o powstaniu chińskiego potopu są bardzo niedokładne; wiadomo tyle, że wody długo kraj pokrywały i wyniki stąd klęski były znaczne.

* * *

Rezultaty powyższych badań dają się streścić jak następuje:

1. Katastrofa, znana pod nazwą *potopu* wydarzyła się nad dolnym Eufratem i połączona była z rozległym i niszczącym zalewem niziny Mezopotamskiej.

2. Głównym powodem tej katastrofy było znaczne trzęsienie ziemi w obszarze zatoki Perskiej lub na południe od niej; trzęsienie to poprzedziły liczne łagodniejsze wstrząśnienia.

3. Bardzo jest prawdopodobne, że w perjodzie najsilniejszych wstrząśnień, wstąpił na ląd cyklon z zatoki Perskiej.

4. Tradycje innych ludów nie upoważniają bynajmniej do wniosku, że zalew rozprzestrzenił się po za dolny

bieg Eufratu i Tygru, ani tym bardziej na całą ziemię. Z wielkiego rozpowszechnienia się podania wyprowadzono błędny wniosek o wielkim rozpowszechnieniu się zjawiska.

Takim jest wypadek, który ze świętych ksiąg starożytnych wprowadził do umiejętności geologicznej wyrażenia, jak: «diluvium,» «formacja diluwalna» i «pokłady diluwalne.» Był on gwałtowny i niszczący, ale niema dowodów na jego szersze rozprzestrzenienie. Główny przebieg tego zjawiska przedstawia się geologowi poprostu w następujących rysach:

W przeciągłej fazie seismicznej z powodu powtarzających się wstrząśnień mogły fale zatoki Perskiej wkraczać powielokroć na nizinę ujściową Eufratu. Pewien roztropny mąż babiloński, Hasis Adra (znany z podania żydowskiego pod imieniem Noego), ostrzeżony przez te fale, buduje okręt ratunkowy i wylepia go smołą ziemną, jak to dotychczas robią na nizinie Eufratu. Wstrząśnienia ziemi wzmagają się; mąż chroni się z rodziną na okręt; z popękanego gruntu niziny, występuje woda podziemna. Najgwałtowniejszym wstrząśnieniom ziemi towarzyszy wielkie obniżenie atmosferycznego ciśnienia, wyrażające się straszliwą burzą i deszczem, a prawdopodobnie cyklonem z zatoki Perskiej; morze rozlewa się niszcząco po nizinie, wznosi ratunkowy okręt, pędzi go daleko we wnętrze lądu i nakoniec osadza na owych miocenicznym wzgórzach, które poniżej ujścia małego Zabu ograniczają nizinę Tygru z północy i północo-wschodu.

Edward Suess.

AFGANIE I ICH KRAJ.

Przeważną część ludności Afganistanu stanowią *Afganie*, mieszkający głównie na południe linii Herirud-Kabul, którą przekraczają tylko we wschodniej części. Prócz

tego część Afganów wywędrowała po za naturalne granice kraju na wschodzie i mieszka między Solimanem i Indem, szczególnie na dolinie Peszaweru. Nazwa Afgan, etymologicznie nieobjaśniona, jest tylko konwencjonalno-literacką; sami Afganie nazywają siebie Pasztunah lub Paktunak i według zwyczaju muzułmańsko-azjatyckich narodów wywodzenia swego rodu od biblijnych znakomitości (np. Turcy od Jafeta) uważają się za potomków Izraela. Podanie to jest bajką, mimo to, że niezbyt dawno znaleźli się, według wyrażenia Vambery'ego, «mocni w biblii» (bibelfest) Anglicy, którzy zapisywali całe kolumny «Timesa» w obronie żydowskiego pochodzenia Afganów; na szczęście bowiem znaleźli się też «mocni» w innej gałęzi wiedzy, a mianowicie w lingwistyce, którzy dowiedli, że w języku Afganów niema ani jednego wyrazu hebrajskiego (prof. Trumpp) i że wogóle język ten nie ma w swej budowie nic wspólnego z językami semickimi. Według tych lingwistycznych badań, Afganie należą do aryjskiego szczepu i są narodem przejściowym między Persami i Indusami—narodem indo-perskim. Rzeczywiście: zachodni Afganie pod względem fizycznym, pod względem zwyczajów, obyczajów i języka, mają wiele wspólnego z Persami, wschodni—z Indusami. Wschodni Afganie, zwani wogóle Berduranami, zamieszkują wschodnie góry graniczne, Soliman i odnogi Hindukuh, i dzielą się na wiele pokoleń.

Co do cech fizycznych, to Afganie są smukli, lecz dobrze zbudowani; szczególnie Durani i Gilsaje odznaczają się niezwykłą siłą. Włosy mają ciemne i bujne, oczy czarne i pełne ognia. Nosy orle i gęste brody nadają ich fizjonomji wiele powagi. Kolor skóry u wschodnich plemion (Berdurani), podobnie jak u Indusów, ciemny, u zachodnich oliwkowy. Piękność ich powierzchowności podnosi jeszcze obfitość uzbrojenia i strój malowniczy, o który więcej dbają niż o swe mieszkania, składające się z namiotów ze skóry baraniej lub domów z niepalonej cegły.

Język Afganów, zwany Paszto albo Pakto, należy do pnia indo-europejskiego; nie jest on dżalektem perskiego lub indyjskiego, lecz stanowi mowę samodzielną, mającą pewne cechy wspólne z obydwojnami powyższemi językami i dzieli się według tego na dżalekty wschodni i zachodni. Z biegiem czasu, gdy powstawały nowe pojęcia, nowe potrzeby, a do ich wyrażenia nie było w ubogiej i nieokrzęsanej mowie afgańskiej wyrazów, weszło do niej wiele wyrazów perskich i arabskich. Dźwięki afgańskiej mowy są twarde i gardłowe, «jakgdyby zimny wicher, pędzący ze śnieżnych szczytów Hindukuh, zmuszał mówiących do przymykania ust». To też Persowie żartują sobie z nieokrzęsanej mowy Afganów. Podróżnik Burnes opowiada, iż w czasie pewnej uroczystości w Kabulu jakiś dowcipny Pers występował jako komik i improwizator. Chcąc przedstawić charakterystyczne cechy różnych narodów, obrał sobie temat, jak każdy z nich umarły będzie przyjmowany przez proroka u bram raju (na straży których umieścił Heratczyka, jako przebiegłego i chciwego urzędnika celnego). Otóż, gdy między innemi zapukał Afgan, prorok nie zrozumiał jego barbarzyńskiej mowy, uznał, że jest mową piekieł i że dla mówiących nią nie ma miejsca w niebie. Dykteryjka ta przypomina podobne o niektórych trudnych do wymawiania językach europejskich: o czeskim np. istnieje dykteryjka, że gdy przesłano pierwszą depeszę telegraficzną po czesku, drut telegraficzny porozrywał się! O biskajskim zaś powiadają, że djabeł uczył się go w Bilbao przez lat wiele, lecz w końcu uciekł biedak, nie mogąc nauczyć się więcej nad trzy słowa i t. p.

Przemysł i handel stoją u Afganów na niskim stopniu; zajęcia te pozostawiają oni Tadżikom, sami zaś prowadzą życie koczujące, pasterskie; tylko ci, co zamieszkują żyzne doliny nadrzeczne, np. dolinę Hilmendu, także niektóre doliny Solimanu, a głównie doliny Kunaru, Pandżikory i Swatu (Jusufsai), zajmują się rolnictwem.

Koczujące, ruchliwe życie Afganów wpłynęło na rozwój poczucia swobody, niezależności i odwagi — cech charakteru, któremi Afganie różnią się wybitnie od swych niewolniczych i tchórzliwych sąsiadów — osiadłych Indusów i Tadżyków. Mimo ciągłych przejść zdobywców przez ich kraj, Afganie nigdy nie byli zupełnie podbici. Odwaga jednak wobec ubogiej górskiej lub pustynnej przyrody, łatwo wyradza żądze rabunków i mordów, a kontrast ubogiej pustyni z bogactwem sąsiednich oaz jeszcze bardziej podsyca tę żądzę: «inni mają ziemię, a my — siłę», powiadają Afganie. To też, zdaniem Vambery'ego, żądzą tą Afganie odznaczają się bardziej nawet, niż stojący na równym z nimi stopniu kultury Semici i Altajczycy: «Bóg niech cię strzeże od zemsty słonia, węża i Afgana», mówią mahometanie indyjscy. Szczególniej słyną z odwagi i żądzы rabunków Gilsaje, którzy w r. 1842 zniszczyli całą armję angielską w wąwozie Khurd Kabulskim, a w 1879 wymordowali angielskie poselstwo w Kabulu; także Wasirai w Solimanie i Afrydzi, którzy, trzymając w swym ręku wąwozy Khyberskie, pobierają opłatę za wolny przepust karawan lub wojsk. Wszyscy władcy Afganistanu, nawet tacy wojownicy jak Nadir Szach, musieli im się opłacać; a jakkolwiek Auglicy po zawładnięciu Indjami, chcąc położyć koniec wycieczkom rozbójniczych górali na dolinę Indu, pobudowali u wyjść z ważniejszych dolin Solimanu (podobnie jak Rosjanie na Kaukazie, a Francuzi w Algierze) szereg fortów, to jednak dla bezpieczeństwa muszą się także uciekać do opłat i podarków; a i to nie zawsze pomaga, jak tego dowiodły liczne napady górali na tyły angielskich kolumn tak khyberskiej, jak i kurumskiej w r. 1878.

Owo poczucie wolności, będące wybitną cechą charakteru Afganów, odbija się także w stanowisku kobiety, jak i wogóle w stosunkach społecznych i politycznych. Kobiety afgańskie nie żyją bynajmniej w takim odosobnieniu,

jak wogóle na Wschodzie i mają daleko więcej wolności, mają nawet pewne przywileje, przypominające czasy średniowiecznej szewaljerji: Afganka, która pośle jakimś, choćby zupełnie nieznanemu, mężczyźnie swą zasłonę, może być pewną jego pomocy i obrony w potrzebie. Poli-gamja trafia się rzadko i to tylko u bogatych. Wprawdzie mężczyźni kupują sobie żony, to jest płacą ojcu za córkę pewną sumę, lecz to nietylko nie wpływa ujemnie na stosunki małżeńskie, ale owszem uszlachetnia i wzmacnia wzajemną sympatję, wymagając często obopólnej ofiary. Młody człowiek, nie mogąc często złożyć wymaganej przez ojca sumy, udaje się w dalekie strony, nawet do Indji na czas dłuższy i tam zebrawszy sobie pieniądze, powraca do oczekującej nań kochanki, aby osiągnąć cel upragniony. Przysłowie afgańskie oddaje pochwały tamtejszym kobietom: «po bogactwa idź do Indji, po uciechy do Kaszmiru, po dobrą żonę do Chorossanu». Według prof. Trumppa, Afganie są jedynym narodem Azji, u którego wyraz miłość («minah») pojmowany jest w naszym, wyższym znaczeniu.

Zamiłowanie wolności odbija się i w formie rządu: Afganie wyznają pod tym względem też same zasady, co wogóle nomadzi stepów azjatyckich. Jak Turkomanie mówią o sobie: «my nie potrzebujemy książąt, myśmy wszyscy równi, u nas każdy królem», i chwają się dumnie, że «nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla»; tak podobnie pewien Afgan odpowiedział posłowi angielskiemu, który przedstawiał mu korzyści porządnie uorganizowanego rządu: «my jesteśmy zadowoleni z naszych kłótni, rozruchów i krwawych zatargów, lecz nie ścierpimy nad sobą żadnej zwierzchności». To też rzeczywiście Afganistan jest zbiorem wielu republik, po większej części demokratycznych; Afganie bowiem dzielą się na pokolenia (ulus), a te na podpokolenia czyli klan-y (kheil); tych pokoleń i podpokoleń ma być według

rachuby genealogów afgańskich aż 395. Na czele pokolenia stoi chan, na czele klanu—malik; maliki zależą od chanów, a ci od emira rezydującego w Kabulu. Jednakże władza tych naczelników jest bardzo słaba: chanowie niewiele zależą od emira, a maliki—od chana. Pojedyncze jednostki również niewiele zależą od malików i chanów, a sprawy ogólne rozstrzyga zebranie ludowe (dżerga), zwykle bardzo burzliwe. Podpokolenia w częściach kraju górzystych, złożonych z odosobnionych dolin, stoją w bardzo słabym związku z pokoleniem i często odosobniają się powoli, tworząc samodzielne pokolenia; wszystko dąży tu do jaknajwiększej decentralizacji. Niektóre pokolenia górskie nie mają nawet chana (Jusufsai, Khyberowie, pokolenia Solimanu) i składające je podpokolenia łączą się ściślej tylko w czasie wojny. Tylko w zachodniej części kraju, gdzie rozciąga się szerszej nieprzerwana górami wyżyna (u Duranów), panuje większa łączność między podpokoleniami; tam też rozwinęła się arystokracja rodowa i władza chana jest nieco silniejsza; zawsze jednak jest on, jak się wyraża Trumpp, tylko «primus iuter pares».

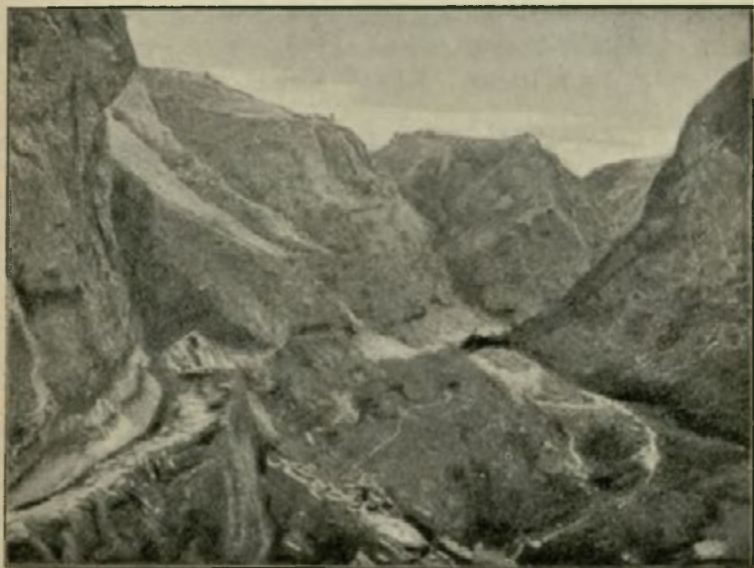
Afganie wyznają religję mahometańską przeważnie sekty sunickiej, nie są oni jednak zbyt fanatyczni i koran nie ma dla nich takiego uroku, jak dla innych mahometan (szczególniej w kwestjach prawnych nie posługują się koranem, lecz swym dawnym prawem zwyczajowym: «pasztunwal»). Religja jest dla nich tylko płaszczykiem, jeżeli chcą wyrzucić swą osobistą zemstę, wykonać mord lub grabież na ludziach innej wiary. Po za interesem własnym są tolerancyjni i wolnomyślni; opowiadają o pewnym wojowniku afgańskim, iż zeszedłszy mollaha na kopjowaniu koranu, zabił go, mówiąc: «ty bezczelny łgarzu! — twierdzisz, że ta książka z nieba pochodzi, a ja cię złapałem, jak ją sam piszesz».

Wogóle Afganie są narodem inteligentnym, wrażliwym na każdą nowość, chciwym dowiedzieć się o rzeczach nieznanych: mają w swych wsiach i obozach szkółki i znaczna ich część umie czytać i pisać. Z czasem europejska cywilizacja zapewne przyjmie się i rozwinie u nich lepiej, niż u innych narodów azjatyckiego ładu i zapewni im ważną rolę w cywilizacyjnym postępie Azji.

Położenie Afganistanu uczyniło go jedyną niemal drogą do bogatych Indji i oto najwięksi zdobywcy, od czasów najdawniejszych do naszych, przechodzą przezeń lub przynajmniej marzą o tym (Napoleon I). Górzysta i pustynna przyroda kraju uczyniła go bezdrożnym, tylko niektóre wąwozy i niektóre doliny rzek wśród pustyń są stosunkowo dogodnie do przejścia i oto temi samemi wąwozami, temi samemi drogami przechodzą wszyscy zdobywcy tak, iż pochod jednego jest powtórzeniem pochodu drugiego. W punktach przecięcia się dróg powstają niesłychanie ważne warunki, o które państwa staczają uporczywe walki, bo zajęcie ich przez jedno jest groźnym, nawet zgubnym dla interesów drugiego. Lecz te drogi, prowadzące do bogatych Indji, mają znaczenie nie tylko strategiczne: najodleglejsze narody tędy prowadzą handel z Indjami, a tego handlu nie mogą zniszczyć ani ciągłe przemarsze armji, ani wywołany przyrodą kraju łupieski charakter plemion afgańskich; nadaje on tylko kupcom wojenny charakter. Punkty przecięcia się dróg są nie tylko warunkami, lecz zarazem emporjami, gdzie zbiegają się kupcy różnych narodów. Okolica, gdzie najbardziej krzyżują się drogi we wnętrzu kraju, węzeł jego hydrograficzny, a więc i drogowy, była punktem wyjścia władzy politycznej nad Afganistanem (podobnie jak wyżyna Wałdajska na nizinie Sarmackiej) i wpływu na Indje hydrograficznie z nią połączone (podobnie jak półwysep Bałkański z niziną Sarmacką). Lecz owa władza polityczna nad

zbiegowiskiem ludów, które tu osiadły w niedostępnych górach lub koczowały na stepach, nie mogła być silną; niektóre ludy utrzymały zupełną niepodległość, zależność innych była zawsze luźna. Stąd i państwa same były nietrwałe, tymbardziej, że leżały na odwiecznej drodze zdobywców. Różnorodność ludów, odosobnienie ich przez przyrodę, nie dozwalały na ich zlanie się w jeden naród; owszem, każdy z tych ludów jeszcze porozdrabniał się na pokolenia i podpokolenia, bez dostatecznej między sobą łączności, z ciągłym dążeniem do decentralizacji, partykularyzmu. Życie wśród gór, koczowanie wśród stepów, rozwinęło zamiłowanie wolności w tych ludach, które, jakkolwiek wskutek braku spójni między sobą nie były w stanie przeszkodzić obcym zdobywcom do zakładania w ich kraju państw, jednak zawsze umiały prędzej lub później obalić je, a w czasie ich istnienia być tylko nominalnie podległymi. Afganistan więc, pobobnie jak np. Albanja, Abisynja i t. d. należy do tych krajów, w których z powodu rozdrobnienia przez przyrodę, a stąd i braku spójni między mieszkańcami, łatwym jest najazd, ale trudnym podbój; kraje takie są jak owe niższe organizmy zwierzęce, nie posiadające jednego głównego organu życia, których każdy organ żyje życiem odrębnym i które z tego powodu niezmiernie trudno zabić. Tylko na niektórych żyznych dolinach rzek wśród stepów i pustyń powstało w Afganistanie obok życia koczującego, wolnego, życie osiadłe, niewolnicze — zjawisko, powtarzające się często wśród stepów i pustyń. Ten to osiadły lud stanowił głównie poddanych całego szeregu zmieniających się państw, nie biorąc udziału w wywoływaniu tych zmian, które dlań były tylko zmianami jarzma. Przeciwnie ludy górskie i nomadyczne, biorąc czynny udział w tych rewolucjach i zmianach, gdzie jakby w jakim chaotycznym natłoku, jeden drugiego potraçał, popychał, obalał, by z kolei uledez temuż losowi, wyrobiły w sobie waleczność, energję, spo-

tęgowały ruchliwość, która się objawiła bądź w wyprawach wojennych na sąsiednie kraje, jednak bez trwałego rezultatu, bądź w emigracjach do bogatych Indji. Oro- i hydrograficzny podział kraju na dwie (lub trzy) pochyłości wywołał dwa (lub trzy) różne etnograficzne, a po części i polityczne wpływy: perski i indyjski (a po części i mongolski). Obecnie z osłabieniem państwa Perskiego,



Góry północnego Iranu.

z zajęciem Indji przez Anglików, a Turkiestanu przez Rosjan, Afganistan stał się ścianą, dzielącą te dwie nowe potęgi i już uległ wpływowi oku, po niedługim spokojnym perjodzie nastąpił dlań nowy perjod przemarszów i rewolucji.

Afganistan pod względem powyższych zjawisk geograficznych przedstawia wiele analogji ze Szwajcaryją i Hiszpanją, zwłaszcza jeżeli pojęcie geograficzne

pierwszej rozszerzymy nieco wzdłuż alpejskiego łuku. Wtedy i ona zamknie tak dostęp do bogatej i rozkosznej Italji, jak Afganistan — do Indji; wtedy znajdziemy w niej i przyrodę górską i formę karstu i zdobywców, przeciągających przez nią odwiecznymi drogami i wawozami do uroczych równin Lombardji; znajdziemy życie osiadłe obok pasterstwa na almach, znajdziemy różne wpływy etnograficzne, odpowiadające różnym pochyłościom dolin rzecznych; znajdziemy ludy republikańskie z silnym zamiłowaniem swobody, którą jednak krwią pokonywali obcy zdobywcy; znajdziemy Khurd Kabul w Morgartenie i t. d.

Podobnież mamy wiele analogji z półwyspem Pirenejskim, wprawdzie nie co do położenia, ale pod względem budowy pionowej i hydrografji, oraz wynikających stąd stosunków etnograficznych. Na półwyspie Pirenejskim znajdujemy także silny rozwój prowincjonalizmów, odrębności etnograficzne, a po części i polityczne, dawniej daleko wybitniejsze, obecnie po części stłumione w walce z centralistycznymi dążeniami obszernego wewnętrznego płaskowzgórza (Kastylja); znajdujemy też samo zamiłowanie wolności i męstwo (wyparcie Napoleona I), umiejętność prowadzenia guerilli, a zarazem i rozbójnictwo w górach; znajdujemy Kafirów w Baskach, dumnych z tego, że «kopyta arabskich hufców nie tratowały nigdy ich ziemi»; znajdujemy nawodniane sztucznymi kanałami przestrzenie (vegas) obok pustyń (campos) i życie osiadłe obok pasterskiego (merinos) i t. d.

Te i tym podobne objawy etnograficzne i dziejowe są, jak widzimy, bardzo wyraźnymi funkcjami warunków fizyko - geograficznych.

W. N.

KRAJ TURKOMANÓW I PODBOJE ROSYJSKIE.

Od chwili, gdy w roku 1580 «północny Pizarro» na czele kozackiej watahy przekroczył «Pas Kamienny», rozpoczynają się podboje rosyjskie w Azji i trwają do-



Stacja Michajłowski kolei transkaspjskiej.

tychczas; jakkolwiek bowiem Kozacy przelecieli, rzecz można, galopem Syberję i po kilkudziesięciu latach stanęli już nad cieśniną Beringa, to jednak Rosja nie dosięgła jeszcze wszędzie naturalnych granic.

Na przestrzeni między zachodnimi odnogami Ałtaju a Uralem stopy południowo-zachodniej Syberji zlewają się bez przeszkody ze Stepami Turanu (Kirgiskie), ową dzie-

dziną Arimana, «krainą piekielną» (Tartarja), solno-piaszczystą, bezwodną, bezdrzewną, z horyzontem bez końca, tęsknym jak nieziszczone pragnienie; gdzie «każda kropla wody jest kroplą życia», gdzie samotne drzewa są czczone jako osobliwość i świętość, gdzie powietrze drżące nad rozpalonym piaskiem tworzy ruchome miraż, a słone bagna chłoną wędrowca w swych zdradliwych głębiach; gdzie tumany piasku (tebbad) w lecie, a śniegu (buran) w zimie przebiegają pustynię «jak demony», a w zawody z nimi — ruchliwe hordy łupieskie, co «nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla», «na koniu nie znają ni ojca, ni matki», co «łączą się z wrogiem, łupiącym kibitkę ojcowską» — i gdzie tylko nad nielicznymi rzekami, «siewcami złota» (Serafszan) powstało życie osiadłe, uciśnione, niewolnicze, pogardzane i pogardy godne (Tadziki, Sarty).

U wrót takiej krainy stanęli Rosjanie, podbiwszy Syberję, tu już i *geograficzne* i *etnograficzne* względy pchały ich naprzód; nie mogli się powstrzymać, jak kula, tocząca się po równi pochyłej, i od tego czasu posuwają się ku południowi «z żywiołową koniecznością sił przyrody», «refleksyjnym ruchem człowieka drczonego przez muchy». Albowiem na całym tym obszarze aż do Iranu nie napotkali naturalnej granicy; pierwsze zetknięcie się z Kirgizami było niby kamykiem rzuconym w mrowisko: pobiwszy jedno plemię, a nie uzyskawszy strategicznej granicy, wklęli się w wojnę z drugim; po Kirgizach, Kokańcach, Chiwińcach, Bucharcach przyszła kolej na *Turkomanów*.

Kraj Turkomanów leży między Amu-Darją na północy, północną krawędzią Iranu na południu i morzem Kaspijskim na zachodzie. Łańcuch skalistych, dziko poszarpanych gór, ciągnący się od zatoki Bałkan na południowschód do krawędzi Iranu (Paropamizus), pod nazwami:

Bałkan, Kiurrendag i Kopetdag, dzieli Turkmenję na dwie części: południową i północną.

Południowa część, zasłonięta górami od wiatrów północnych, zraszana wodami Atreku i Giurgieny, żyzna i wydająca płody południa, jest jedną z najrozkoszniejszych krain na ziemi. Pełno tu romantycznych widoków, skał stromych, łąk kwiatnych, niw bujnych, lasów i kryształowych strumieni, spadających w kaskadach ku rze-



Pustynia Kizil Kum.

kom głównym. «Tu — mówi pewien podróżny — łączy się wdzięk krajobrazów angielskich z majestatycznymi formami świata alpejskiego». Tu spotykamy ślady dawnej cywilizacji w ruinach miast i kanałów, na miejscu których obecnie leżą tylko nieliczne wsie Turkomanów, a w pobliżu ujścia Atreku nad morzem Kaspijskim rosyjski fort Czykisslar.

Północna część wogóle przedstawia zupełnie odmienny widok. Składa się ona z bagnisto-solnej wyżyny Ust-Urt

między morzem Kaspijskim i Aralskim i z piaszczystej pustyni Kara-Kum na południe od Amu-Darji. Jest to kraina bezwodna, nieliczne studnie nad drogami karawanowymi zawierają wodę słonawą, gęstą, o nieprzyjemnej siarczanej woni. Gorąco dochodzi tu 54^o C., a powietrze napęlnia pył tak subtelnym, że przenika przez namioty filcowe, pudruje włosy, sprawia zapalenie w oczach i trzeszczenie w zębach; oraz—mirjady owadów tak dokuczliwych, że od ich ukąszeń wielbłądy z bólu tarzają się po ziemi, a czasem nawet zdychają. Roślinność tylko zrzadka daje się spotykać i składa się z krzaków ciernistych (saksaul), roślin solnych i twardej trawy, stanowiącej paszę dla wielbłądów. I ta kraina jednak inną była niegdyś, miała w swych dniach młodzieńczych chwile potęgi i świetności. «Depczemy tu nieraz—mówi dr Jaworski—po miłowych zwaliskach, których minioną świetność zdradzają zabytki starożytnej kultury, o której jednak dzisiejsze pokolenia nie mają żadnej świadomości. I nie w tym zaiste dziwnego, gdyż hordy światoburzców—Czingischana, Tamerlana i Nadira przeszumiały jak straszliwy huragan ponad tą krainą, a śmiertelne tchnienie pustyni dokonało dzieła zniszczenia». Wogóle Turan jest «krainą upadku, gdzie wysychają źródła, opadają rzeki, rujnują się kanały, morza zamieniają się w jeziora, jeziora w kałuże, a te ostatnie w wykwitły solne, albo przestrzenie piaszczyste». Podanie ludów tutejszych mówi, iż «żaby wypłyły morze a teraz dopijają jego resztek—Kaspijskiego i Aralu».

Tylko na skraju tej pustyni wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu i Paropamizu ciągnie się szereg zielniejących oaz, błogosławionych krain Ormuzda, staczających śmiertelną walkę ze spiekłami piaskami pustyni Arimana; walkę zupełnie analogiczną do tej, jaką według pojęć egipskich staczał Osiris z Typhonem. Szereg tych oaz u stóp Kiurren- i Kopetdagu zowie się Achal-oazą; tu wśród bujnych niw i ogrodów leżały turkomańskie osady:

Kizil, Arwat i Beurma, zdobyte przez Rosjan, Geok-Tepe, ów «garczek gliniany», jak go nazywali Rosjanie, który został zdobyty przez Skobelewa (1881 r.); nakoniec Aschabad. Na wschód od Achal-oazy u stóp Paropamizu nad rzekami, spływającymi z Afganistanu (Tedżend i Murghab), już na progu do tego kraju, leżą jeszcze dwie oazy Serachs i Merw, też w nowszych czasach zajęte przez Rosję. Ważniejszą z nich jest *oaza Merw*.



Saksaul w stepie Turańskim.

Jak żyzny Egipt jest «darem Nilu»; tak Merw jest darem bystrej i głębokiej rzeki Murghab (Marghus starożytnych), spływającej z Paropamizu. Rzeka ta tworzy na wysokości 170 m. wązką (2 mile) i długą (30 mil) oazę i ginie w palących piaskach pustyni. Dzięki swej żyzności, tak kontrastującej z bezpłodnością okolicznej pustyni, Merw był znany i słynny już w głębokiej starożytności. Merw to «piękny i święty» Mouru Zend-Avesty,

trzecia z rzędu kraina obfitości, stworzona przez dobrego Ormuzda. Później u Strabona znajdujemy znów Merw (Margiana), jako nadzwyczaj żyzną oazę, którą Antiochus Soter otoczył murem na 1500 stadji w obwodzie. Winogrona miały tu rosnać tak bujnie, że pnie ich zaledwie dwóch ludzi obejmować mogło, a grona bywały jakoby na dwa łokcie długie. Podobnie arabscy geografowie sławią żyzność Merwu i zowią go «królem świata» (Merw Szach Dżechan). Kalif Al Mamun obrał go sobie za rezydencję; był on wtedy pełen pałaców, ogrodów, gajów, strumieni, kwitnął uprawą jedwabiu, bawełny i melonów, był siedliskiem nauk. Upadek zupełny Merwu datuje od końca zaprzeszłego wieku, gdy chan Buchary, zawojowawszy tę oazę, zniszczył groble i kanały, a mieszkańców wprowadził w niewolę. Oaza stała się pustynią; aż dopiero w roku 1834 osiedliło się tutaj jedno plemię Turkomanów i zajęło uprawą zboża i melonów, oraz hodowlą wielbłądów.

Turkomanie czyli Turkmeni (w liczbie około 1 miliona), są narodem tureckiego plemienia, u którego typ turecki, dzięki niedostępności pustyni, zachował się najczystsiej; są to, jak się wyraża Vambery, «Turcy par excellence». Turkomanie dzielą się na kilka pokoleń, jako to: Jomudów, żyjących nad dolnym Giurgieniem, Atrekiem i na północ od niego i należących nominalnie częścią do Rosji, częścią do Persji; Goglanów między Atrekiem i Giurgieniem (na wschód poprzednich), którzy należą do Persji. Na północ od Jomudów, na półwyspie Mangiszłak żyją podlegli Rosji Ogurdżale, Szichce lub Szichlary i wogóle — mieszanina różnych pokoleń. Tekowie, pokolenie do niedawna niepodległe, najpotężniejsze (blisko połowa wszystkich Turkmenów), dzielą się na Achał - Teków i Merw-Teków, zamieszkujących oazy, od których noszą swe nazwy; Turkmeni Saryk i Salera mieszkają nad Murghabem w górę od Merwu i nad Tedżendem.

Codocech zewnętrznych, to Turkmeni są smukli, ale dobrze zbudowani, łatwo znoszą głód, oraz niewygody klimatu i dalekich podróży. Zmysły wzroku i słuchu są u nich nadzwyczaj rozwinięte. Cera ciemna, prawie brązowa, kości policzkowe wydatne, lecz nie tak znacznie, jak u Kirgizów. Oczy małe i głęboko osadzone, zmrużone, zapewne skutkiem blasku i pyłu pustyni, lecz spojrzenie śmiałe, dumne i pełne zaufania w swe siły. Włosy na głowie i brodzie kruczej czarność, zęby olśniewająco białe. Tu i owdzie zdarzają się piękne typy kaukaskie wskutek skrzyżowania z brankami perskimi. Noszą długie szlafrokowego kroju odzienie, czapkę — bardzo wysoką barankową, która chroni od zimna, jak również od promieni słonecznych i służy za poduszkę. Strój kobiet tym się różni, że zamiast czapki noszą na głowie szale, oraz różne ozdoby ze złota, srebra i różnobarwnych kamyków, a to w takiej ilości, że twarz ich, której nie zasłaniają, wygląda jak «święty obraz w kaplicy». Za mieszkanie służą namioty filcowe kształtu stożkowego, podobne do uli (kirghahs). Jedyne ich upiększenie stanowi rozwieszona na ścianach różnorodna broń.

Turkmeni wiodą życie po części osiadłe, po części koczujące. Osiedli zajmują się już to rybołówstwem, dobyciem soli i ropy na wybrzeżach i wyspach morza Kaspijskiego, już rolnictwem (pszenica, jęczmień, ryż, proso, a przeważnie rodzaj kukurydzy, dżugara, która daje 200 ziarn; z owoców — arbuzy i melony). Turkmeni koczujący trudnią się hodowlą bydła, owiec, koni i wielbłądów; jednak uboga kraina zmuszała ich do szukania zyskowniejszego zarobku w rabunkach, w niespodzianych napadach na Chiwę i północną Persję; Turkoman jest «rabusiem z profesji». Z tych rabunków zastąpiły szczególnie Tekowie; wyprawy ich sięgały na 150 mil. Z jednej strony przeszkadzali oni handlowi karawanowemu między rosyjskim portem Krasnowodzkiem (nad zatoką Bałkan) i Chiwą,

z drugiej, dostając się doliną Tedżendu do Iranu, zamienili okolicę Meszedu w pustynię. W północnej Persji napaady ich były postrachem i zarazem podstawą chronologii. Życie takie wyrobiło w Tekach charakter okrutny, tymbardziej, że Persowie, gdy im się udało schwycić rabusiów, mścili się na nich straszliwie: «gdy spotkasz — mówią oni — żmiję i mieszkańca Merwu, to wprzód zabij mieszkańca Merwu». Oto co w tym przedmiocie powiada Stein (w Petermann's «Mitteilungen» 1880 r.). W roku 1861 łupieżka banda Turkomanów (alaman), która zapędziła się w okolice Meszedu, została przez Persów rozbita, przyczym około stu Teków dostało się do niewoli. Z najwyższego rozkazu powiązano im ręce i nogi, przykuto do żelaznych sztab i popędzono 150 mil do Teheranu, gdzie mieli być rozstrzelani. Ministrowie, chcąc urządzać ludowi widowisko wedle gustu, rozkazali oddziałowi piechoty przywiązać tych nieszczęśliwych do murów miejskich i rozstrzeliwać z odległości 300-tu kroków. Niewprawni w strzelaniu Persowie bardzo źle trafiali w swe żyjące tarcze i ten charakterystyczny sport mógłby się być przedłużać do nocy, gdyby posłowie europejscy nie byli się w to wdali i nie skrócili mąk tych nieszczęśliwych przez to, że oddział piechoty został posunięty bliżej. Mimo to, strzelanie trwało do wieczora. Wielu jeńców uwolnionych przez kule, które poprzecinały powrozy, wlokło się umyślnie ku strzelającym, aby prędzej mękom koniec położyć. W roku znów 1875 dla nowomianowanego gubernatora Chorossanu urządzono powitalną uroczystość, dla uświetnienia której dwudziestu schwytanych Turkomanów nadziano na bagnety i obnoszono dokoła.

Życie wśród ciągłych niebezpiecznych łupieżkich wypraw wyrobiło w Turkomanach wielkie zamiłowanie do koni. Ręczości i wytrwałości konia zawdzięczał Turkoman życie; bez konia zginąłby niechybnie, z koniem był królem pustyni. To też konie opiewają oni w pieśniach

pod nazwą «czuprasli», t. j. bystry, rączy (tylko w zastosowaniu do konia) i «karughli», t. j. wojownik i koń.

Mimo srogości dla wrogów, wywołanej łupieżkim życiem i straszliwymi odwetami Persów, Turkomanie nie pozbawieni są szlachetnych stron charakteru, które wyrażają się w wolnym stanowisku kobiety (mimo, rzadkiej zresztą, poligamji), przywiązaniu do dzieci, zamiłowaniu w poezji narodowych bardów, czci dla poległych bohaterów, wierności danemu słowu (rewers pozostaje tam w ręku dłużnika, nie — wierzyciela), gościnności, męstwie i nieograniczonemu zamiłowaniu wolności. To ostatnie posuwają oni aż do negowania wszelkiej władzy, wyjąwszy chwilowych wodzów w czasie wyprawy lub niebezpieczeństwa, gdy np. woda grozi przerwaniem grobli i zalaniem oazy; zresztą chan nosi tytuł tylko tak sobie, dla przyjemności. Niemożliwą też do urzeczywistnienia była, w Anglii powstała myśl utworzenia z Turkomanów jednolitego państwa, jako przedmurza Afganistanu i Indji od strony Rosji. Rosja ze swej strony tak dla zabezpieczenia handlu, jak i swych granic od ciągłych napadów, musiała raz skończyć z Turkomanami, opanowała ich oazy, nareszcie ich główne ognisko, Merw. Zająwszy Merw, Rosja zagroziła Afganistanowi, a pośrednio — indyjskim posiadłościom Anglii.

W. N.

STEPY I KOCZOWNICY MONGOLSCY.

Olbrzymi obszar środkowy Eurazji od granicy Chin właściwych do wschodnich podnóży Alp — od Mongolji do Węgier zajmuje pas stepów, dziedzina traw; źródłem bytu człowieka musi tu być pasterstwo, a głównym zajęciem — dojenie zwierząt.

Ze wszystkich zwierząt najważniejszą rolę odgrywa tu koń, bez niego pasterski sposób życia byłby niemożliwy. Koń jest rezultatem fizycznej natury stepu; równy kształt powierzchni i rozległość stepu sprzyjają wybornie rozwojowi konia: znajduje on tu wspaniałe pole dla swych szybkich ruchów. W krajach górzystych koń ulega zwyrodnieniu: staje się cięższym, ostrożniejszym, cierpliwszym, traci na bystrości — przestaje być głównie wierzchowcem a zamienia się na zwierzę juczne i pociągowe. Lecz te równiny stepowe leżą nieraz na bardzo różnych poziomach, przechodząc nieraz w siebie stokami urwistymi: to przyucza konia do przewycięzania przeszkód, nadaje nodze jego pewność chodu; przytym różnice poziomów wywołują różnice klimatyczne, co czyni konia wytrzymałym na zmiany klimatu. Bardziej jeszcze działa tu kontynentalność stepowego klimatu: silne zmiany temperatury tak roczne jak dzienne. Wskutek tego koń posiada olbrzymie rozprzestrzenienie geograficzne przez różne pasy klimatyczne, od Syberji do Arabji i Egiptu. Jeżeli z jednej strony step doskonale nadaje się dla konia, to z drugiej ten ostatni umożliwia człowiekowi życie na stepie. Przedewszystkiem dostarcza on człowiekowi najważniejszego pokarmu, przekształcając trawę na mleko kobyłe. Powtóre, pomaga pasterzowi w doglądaniu trzód i utrzymywaniu ich w stadzie; «koń występuje poniekąd w roli żywego, a ruchliwego ogrodzenia». Dalej wobec niebezpieczeństwa pożarów stepowych oraz napadu wrogów, człowiek bez konia nie mógłby ratować się ucieczką i byłby skazany na śmierć.

Koń umożliwia rodzinie byt zbiorowy pod rozkazami wspólnego przodka, stworzenie rodziny patryjarchalnej, sprzyjającej szczególnie duchowi tradycji; stąd można powiedzieć, że «koń unieruchomia człowieka», że — «ludami najbardziej statecznemi są ludy konne».

Koń, ułatwiając komunikowanie się ludzi wśród olbrzy-

mich obszarów stepu, jest dźwignią uspołecznienia; utrwała jedność religijną, umożliwiając dalekie pielgrzymki do sławnych przybytków lamaizmu. W chwilach stanowych stwarza wielką spójność ludów koczowniczych pod władzą wielkich wodzów w celach zdobywczych. Nie dziw też, że koń gra wielką rolę w systemie wychowawczym koczowników; koczownik uczy się jazdy konnej już od kolebki: w kolebce Kałmuka umieszczają pomiędzy nóżkami niemowlęcia kawałek drzewa, na nim siedzi ono jak jeździec na siodle. Gdy tylko dziecko zacznie się czołgać, już wdrapuje się na owcę lub psa, po ukończeniu lat trzech jeździ na koniu w tyle za starszym towarzyszem, w roku ósmym jest skończonym jeźdźcem, a w dwunastym poskramia dzikie konie.

Obok pasterstwa koczownicy muszą też uprawiać drobny przemysł; wyroby te są odpowiednie do materiałów surowych, jakich dostarcza step i do potrzeb życia stepowego. Materiałów surowych dostarcza jedynie hodowla bydła, a życie ruchliwe wśród stepu wymaga, by wyroby były łatwo przenośne i proste, łatwe do zrobienia przy pomocy rąk, gdyż stałych fabryk budować tu nie można (stąd też nie ma niedomagań ekonomicznych). Nawet cały dom koczownika, namiot ze skór i sierści łatwo daje się przenosić. Opał i oświetlenie nie wymagają zachodów fabrycznych: na opał służy pomiot bydłocy, światła dostarcza zwykły knot pogrążony w łoju.

Praca rękodzielnika, koczownika odbywana bez fabryk, w rodzinie przez wszystkich jej członków dla wspólnego, nie osobistego, dobra, bez doskonalącego czynnika podziału pracy i pobudki osobistej, wpływa jeszcze bardziej niż sama sztuka pasterska na wytworzenie zastoju. Do takiego charakteru produkcji przyczynia się jeszcze ta okoliczność, że wspólnoty pasterskie nie mają żadnej pobudki do gromadzenia i ulepszania produktów: przewidywanie nie daje żadnych korzyści, a oszczędność jest nawet wprost niedo-

godna, albowiem z jednej strony te proste przedmioty potrzebne koczownikowi, można w każdej chwili i w każdym miejscu na oczekaniu wyrobić, a z drugiej przewóz rzeczy nagromadzonych przysparza tylko kłopotu i naraża na straty.

Step stwarza spółnictwo pracy, zarówno w zajęciu pasterskim, jak i w działalności przetwórczej, a w następstwie ten sam charakter nadaje rodzinie i własności: nikt tu nie uprawia pewnego oddzielnego kawałka ziemi, lecz korzysta z trawy, która sama wszędzie wyrasta; człowiek nie przywiązuje się więc do miejsca, a z drugiej strony jako pasterz potrzebuje swobody ruchów, którą własność ziemską tamowałaby; stąd ziemia na stepach jest własnością wspólną. Rodzina też przyjmuje charakter wspólniczy, jest rodziną patryjarchalną: życie gromadne jest tu bowiem ułatwione przez obfitość środków utrzymania, a z drugiej strony rodzina jest zainteresowana w tym, ażeby zatrzymać w swej więzi największą liczbę członków, albowiem musi własną działalnością wytwórczą zaspakajać wszystkie swoje potrzeby. Chęć urozmaicenia długich wczasów życia pasterskiego przyczynia się także do wzmocnienia tej dążności, stąd kwitną tu opowieści o przygodach i dawnych czasach, nabywa wielkiej ceny tradycja, oraz szacunek dla starców. Podleganie ciągle powadze ojcowskiej, ciągła niepełnoletność koczownika, pozbawia go osobistej inicjatywy, czyni niewolnikiem tradycji i władzy despotycznej.

Ten sam взгляд «urozmaicenia» a prócz tego utylitarny взгляд wzajemnej usługi wpływa na rozwój gościnności u koczowników: «mieszkańcy obozu, mówi Reclus, zoczywszy druha lub cudzoziemca, wysyłają do niego kobietę z pomiotem dla rozpalenia ogniska—tak bowiem kładą prawa gościnności». Co za piękny, tradycyjny obyczaj! Czyby nasi zwolennicy tradycji, którzy! szukają

w niej «ożywczych źródeł», nie zechcieli wskrzesić i tego «pięknego» obyczaju?

W warunkach codziennych, normalnych, spotykamy na stepie tylko jedną gromadę, t. j. rodzinę, a z władz publicznych—tylko powagę głowy rodziny, t. j. patrijarchy; ale w pewnych chwilach wyjątkowych i dla pewnych wyjątkowych celów powstają tam gromady nadzwyczajne, a na ich czele stają wodzowie obdarzeni władzą chwilową. Zjawisko takie powstaje na stepie, ilekroć przypadek zmusza ludzi do masowego opuszczenia widowni zwykłego ich życia.

Podróż gromadna, karawaną, jest na stepie koniecznością, z powodu znacznych odległości i niebezpieczeństw podróży; potrzebnym więc jest wódz, ów przewodnik tak sławny w historii Wschodu. Wódz taki jest potrzebny jako znawca drogi i położenia źródeł; potrzebny do utrzymania ładu. Wódz taki musi to więc być osobistość potężna, wywierająca silny wpływ na masy, umiejąca rozkazywać. Dzięki takim wodzom koczownicy okazali zdolności najezdnicze w formie strasznych zagonów, które wprawiały w zdumienie naszych pradziadów. Mahomet był pierwotnie przewodnikiem karawan. Podobnież Atylla, Dżingischan, Tamerlan i t. d., byli właściwie wodzami karawan, tylko sławniejszemi od innych, gdyż działali na szerszej widowni i zjednoczyli pod swemi rozkazami większą liczbę rodzin poprzednio rozproszonych.

Gdy tylko zajdzie przyrodzona potrzeba, jak np. nadmierny wzrost ludności, brak wody i t. p., wówczas łatwo jest zgromadzić wielkie masy stepowców i poprowadzić je na dalekie zdobycze: ludzie ci nie są niczym przywiązani do ziemi, a przywykli co rano zwijać swoje namioty. Te wielkie karawany-armje obywają się bez organizacji dowozu środków żywności: pędzą one pożywienie przed sobą—pożywienie, które samo idzie, samo siebie przewozi; a nadto przewozi wojowników. Armja taka jest nie-

zmiernie ruchliwa, bystra w napadzie, nieuchwytna w ucieczce.

Obok tych stron silnych wielkie armje koczowników miały też i strony słabe: największe ich zwycięstwa nie przynosiły trwałych rezultatów, wielkie państwa utworzone przez ich zdobycze rozpadały się szybko w gruzy, zwłaszcza gdy chciały przekroczyć granicę obszaru traw. Ta niezdolność organiczna wynika z charakteru karawany, która jest źródłem i prawzorem wszelkiej organizacji wojskowej na stepie: karawana jest gromadą chwilową, zorganizowaną dla zapewnienia bezpieczeństwa w podróży; po dokonaniu celu, ludzie powracają na łono więzi rodzinnej, do której w normalnych warunkach życia przywykli rutynicznie.

Według *E. Demolinsa*.

Z DAWNIEJSZYCH WIADOMOŚCI O LAMACH BUDDYJSKICH.

Gdy podróżnik, przybywający z Europy wielką sybirską drogą, dosięgnie Wierchnie-Udyńska, to może stąd w kilku godzinach odbyć bardzo interesującą wycieczkę do wielkiego buddyjskiego klasztoru nad Gęsim jeziorem; tu rezyduje głowa buddyjskiego duchowieństwa w Syberji, Chamba Lama. Zostanie gościnnie przyjęty tak przez wielkiego dostojnika, jako też przez poddanych mu przeszło stu kapłanów, żółto odzianych; na powitanie podadzą mu filiżankę z kumysem i kawał pieczeni baraniej, a jeżeli Jego Eminencja jest w dobrym humorze, to zaprezentuje mu małą, ulaną z bronzu, statuę Buddy. Wkrótce potym zaproszą go do zwiedzenia świątyni. Ażeby swoich gościnnych gospodarzy nie obrazić, więc obrócić mu wypadnie po kilkakroć stojące u wejścia do świątyni modli-

tewne młyny. Ten pobożny akt zapewni mu łaskę nie tylko rozmaitych bóstw, wystawionych w świątyni, ale nawet — samego Buddy. Sługa kościelny, odziany również w żółtą liberję, poda gościowi długą wonną świecę i tak uzbrojonego wpuści do sanktuarjum. Firanka z żółtego jedwabiu zaszeleści po obu stronach i odsłoni przed wchodzącym Budę, siedzącego na podkulonych nogach, ozdobionego kwiatami lotosu, i zdającego się uśmiechać swemi oczami z brązu. Równocześnie z szelestem firanek rozlega się prawdziwie piekielna muzyka dzwonów, mosiężnych miednic, długich trąb i kotłów. Kto poprzednio w Europie nie zahartował nieco swych nerwów przez zakosztowanie «muzyki przyszłości», temu nie radzimy oglądać oblicza Buddy.

Stół nakryty dla gościa u Chamba Lamy nie wiele się różni od zwyczajnej zastawy u bogatych Mongołów. Znajdujemy też samą baraninę w tych samych sosach i z temi samemi dodatkami, te same jarzyny i sałatę; tylko mięsa końskiego nie może spożywać kapłan buddyjski, brak tu więc wybornych potraw z mięsa kobyłego, którym zwykle ugascza bogaty naczelnik mongolski. Jak europejskie klasztory oddawna słyną swoim winem i likierami, tak i buddyjskie posiadają wyborną receptę na kumys; znajdujemy w nich zwykle także dobry arak i chińskie likiery. Wszystkie te napoje są podawane na ciepło w tombakowych filiżankach wielkości naparstka. Zakończenie każdej uczytury herbata, a już przed nią podają krótkie fajeczki mongolskie z bardzo lekkim, ale aromatycznym tytuniem.

Podczas jedzenia niewiele się mówi i właściwa zabawa zaczyna się dopiero przy fajce i herbacie. Z tych poobiednich pogawędek z kapłanami buddyjskimi, dowiedziałem się, mówi podróżnik niemiecki dr. Neumann, wielu rzeczy, które dotąd są mało znane.

Nad Gęsim jeziorem poznałem pięciu lamów, którzy zwiedzili L'Hasse; w wielkim klasztorze nad jeziorem

Kossogol, który miałem sposobność zwiedzić w roku 1872, znajdowało się ośmiu ludzi, którzy odbyli pielgrzymkę do Tybetu; w r. 1875 poznałem znów czterech takich pielgrzymów w stolicy Mongolji, Urga; poznałem jeszcze innych w mej podróży przez pustynię Gobi.

Pod berłem rosyjskim żyją obecnie jeszcze tylko dwa narody, wyznające religję buddyjską: Burjaci we wschodniej Syberji i Kałmucy orenburscy; między ostatnimi zresztą znajduje się wielu mahometan. Burjaci mimo swego mongolskiego pochodzenia są buddystami dopiero od niedawnego czasu; w czasie podboju Syberji przez Rosjan, Burjaci wyznawali szamanizm. Dopiero w ostatniej ćwierci zaprzeszłego stulecia przybyły tłumy kapłanów buddyjskich z Tybetu i w krótkim czasie nawróciły wszystkich Burjatów na buddyzm, podczas gdy nieustanna działalność misjonarzy rosyjskich pozostała bez skutku.

Głową całego buddyzmu jest, jak wiadomo, Dalaj Lama w L'Hassa. Buddyści uważają go za wcielenie samego Buddy. Jest to więc ucieleśniony Bóg. Oprócz tego głównego wcielenia Buddy uznają buddyści jeszcze trzy inne, które noszą miano Kutuktu; jeden z nich rezyduje w Urga.

Nie trudno jest w Urga zobaczyć Kutuktu, jakkolwiek bowiem mnisi strzegą go bardzo pilnie w klasztorze, to jednak około trzech razy na miesiąc wynoszą go stamtąd na otwarte miejsce, ażeby dał błogosławieństwo zebranemu ludowi i pielgrzymom. Przy tej ceremonji mogą też być obecni i Europejczycy.

Liczba mnichów w Urga jest zapewne jeszcze większa, niż w Rzymie. Nie widzimy tu zresztą żadnej gwardji szwajcarskiej w jej średniowiecznych ubiorach i takich urozmaiconych, błyszczących wszystkiemi kolorami tęczy, strojów, jak u duchowieństwa rzymskiego. Ubiór buddyjskich kapłanów i mnichów jest taki sam,

jak prostych ludzi, tylko kolor ubrania u duchownych jest żółty od stóp do głowy; miejsce papieskich halabardników zastępuje gwardja mongolska, uzbrojona w łuki i lance. Za to widzimy taką samą lektykę, tę samą masę świec, ten sam zapach kadzideł, te same ruchy przy błogosławieństwie i t. d.

Kutuktu, którego widziałem w Urga w roku 1875, był to zdrowo wyglądający o przyjemnym wejrzeniu chłopiec od dziesięciu do dwunastu lat. I Kutuktu, podobnie jak Dalaj Lama, nigdy prawie nie osiągają dojrzałego wieku, gdyż energiczny, samowładny, nieomylny, przedstawiający Boga władca setek milionów wierzących w niego ludzi, mógłby sprawić rządowi chińskiemu wiele kłopotów. Najbliższe otoczenie, składające się z mnichów, również woli panować w imieniu Buddy, niż być rządzonym przez ucieleśnionego Boga.

Stąd to pochodzi, że dusza «ojca bogów i ludzi» nigdy długo nie lubi przemieszkiwać w obranym przez siebie ciele; mianowicie gdy to ciało, pomimo zawartej w nim boskiej duszy, zaczyna zdradzać ludzkie żądze, szczególnie — samodzielności i władzy. Szkaradne niedowiarki, często zdarzający się i wśród buddystów, mają o tej manji Buddy do zmian mieszkania poglądy bardziej realistyczne. Te niewierne natury rozpowiadają o wielkich podarkach, jakie rząd chiński zwykł dawać najbliższemu otoczeniu Dalaj Lamy i Kutuktu. Podarki te mają mianowicie wtedy właśnie przybywać z cesarskiego pałacu w Pekinie, kiedy ockniony Budda zaczyna cokolwiek zdradzać swą samodzielność. Jakkolwiekby tam było: Budda est mort, vive Budda! Wtedy wielki rozruch zapanowuje w kraju, wszyscy przybierają się w białą żałobę. Głucho rozlegają się ze wszystkich świątyń atrybuty buddyjskiej służby bożej: dzwony, bębny, trąby. Modlitewne młyny są wprawione w taki ruch, jakby całemu światu zagrażał głód. Paciorki różańca przesuują się dzień i noc, gorze niezliczona moc

świąteł i wonnych kadzideł. Od Ceylonu przez całe Chiny aż do stepów Zabajkalskich wszystko jest w ruchu; wszędzie dymią się ołtarze ofiarne, setki tysięcy baranów musi swym życiem przypłacić wiarę swych panów. Podczas tej ogólnej żałoby jeźdźcy w żółtych kostjumach przebiegają całe państwo Buddy, pukają do każdej chaty, do każdego pałacu i pytają, czy nie urodził się tam chłopiec w ciągu tego dnia lub nocy, w której dusza boska opuściła ostatnią przezeń wybraną ludzką powłokę. Imiona wyszukanych tym sposobem chłopców, jako też miejsca zamieszkania ich rodziców, spisują się i przynoszą na miejsce śmierci zmarłego. Teraz zbiera się konklawe z kapłanów i mnichów. Imiona wszystkich chłopców pisze się na paskach papieru, które zwinięte rzucają do wielkiej urny. Potym następują dwudziestocztero-godzinne posty i modlitwy, po skończeniu których starszy lama zbliża się do urny i wyciąga zwitek papieru. Wyciągnięte imię jest nowym wcieleniem. Jeżeli zaś dziecko, które nosi to imię, umarło tymczasem, to cała ceremonia musi być powtórzona. Po ukończeniu wyboru wspaniała deputacja z kapłanów i laików w towarzystwie chińskiego mandaryna sprowadza nowonarodzone dziecko i jego rodziców, którzy muszą pozostawać przy synie aż do jego śmierci, ale nie mogą z nim rozmawiać; po jego zaś śmierci dostają bardzo dobre uposażenie. Sprowadzenie nowego Buddy jest jedną z największych uroczystości jego wyznawców.

Według *dr. Neumanna.*

Z WNETRZA I WSCHODU AZJI.

Dla przebycia nieprzejrzaných stepów, od północnych wybrzeży morza Czarnego do Pamiru, owego «dachu świata» Kirgizów, który stał się w najnowszych czasach granicznikiem między Rosją, Anglią i Chinami, jeździec

robiący dziesięć mil dziennie, potrzebowałyby pięćdziesiąt dni czasu. Równie wielka, jeżeli nie większa, przestrzeń dzieli Pamir od Pekinu, a cała ta droga z wyjątkiem kilku oaz i ostatnich mil osiemdziesięciu prowadzi przez rozpaczliwą pustynię. I czyż nie musi nas przejmować podziwem zagadkowy fakt, że Chiny potrafiły przez tę dziedzinę ruchomych piasków i w gruz rozsypujących się głazów, przez te olbrzymie przestrzenie, roznieść swe pano-



Wschodni Pamir

wanie i kulturę, która do dziś dnia wpływa na życie tujszych oaz, aż do Chotanu, Jarkandu i Kaszgaru.

Dopiero podróże badawcze ostatnich lat, pełne niebezpieczeństw, cierpień i trudów, odkrywszy wśród pustyni ślady dawnej kultury, zdołały rozwiązać tę zagadkę, a wraz z nią i wiele innych

Odnalazły one dawne zatarte drogi, któremi już w XIII wieku azjatycki Kolumb, Marco Polo, przebiegał ten kraj; odnalazły ślady wspaniałych świątyń i wielkich miast,

pozawiewane piaskami pustyni; odkryły wielkie jeziora, które pod parciem diun zmieniają co lat kilka swe miejsca; zbadały rzeki, kończące swój żywot w piaskach; odnalazły miejsce, skąd Dżyngischan rzucał swe hordy, by na zachodzie szukać piękniejszych krain dla swego państwa. I każdy rok przynosi dzięki podróżnikom, zapuszczającym się w te niegościnnie strony, nowe rzeczy z dziejów naszej planety i dziejów ludzkości.

Erę tych nowych badań Azji centralnej rozpoczęli Przewalski i Richthofen, ale z najnowszych podróżników, którzy poszli ich śladami, żaden nie dokonał tak wielkich czynów, jak uczeń Richthofena, Szwed, *Sven Hedin*, zwycięzca pustyń i gór.

W swej pierwszej podróży («Durch Asien's Wüsten, drei Jahre auf neuen Wegen im Pamir, Lob nor Tibet und China», 1899) Sven Hedin przeniknął do wysokiego Turkiestanu drogą przez Pamir, na którym przez dłuższy czas zatrzymał się dla badań; tutaj we wschodniej górzyściej części wyżyny wznosi się olbrzymi Mustagata «ojciec gór lodowych» do wysokości 7726 metrów. tonąc szczytem w regionie obłoków. Po czterykroć próbował nieustraszony Sven Hedin wdrzeć się na ten szczyt niedostępny, potrzykroć zmuszony był cofać się z wysokości 6000 metrów. Ponieważ przy znacznym wzniesieniu powietrze było bardzo rozrzedzone i utrudniało oddychanie, więc większą część drogi trzeba było przebywać na grzbiecie yaka. Po nieudanych trzech próbach, Hedin, dobrawszy starannie ludzi i yaki, przedsięwziął czwartą wyprawę. Stacja, z której wyruszono, znajdowała się na wysokości 4300 m.; zabrano w drogę namiot wołkowy, materiały opałowy, futra, kołdry, liny i zapasy żywności. Zaczawszy od wysokości 5000 m., wszyscy ulegli silnym bólom głowy, z wyjątkiem Hedina. Tylko wsiadanie na siodło męczyło go i doznawał wtedy bicia serca, oraz trudności oddychania. Na wysokości 4950 m. osiągnięto granicy

wiecznych śniegów. Droga niezbyt stroma doprowadziła do wysokości 6000 m., skąd Hedin wskutek znużenia i obawy wstąpienia na zdradziecką pokrywą śnieżną, zmuszony był poprzednio powrócić. Na ten raz rozbito obóz u samej krawędzi jednego z największych i najdzikszych lodowców; było to zapewne najwyższe i najwspanialsze obozowisko, na jakim kiedykolwiek zatrzymała się karawana. Trzebaby na szczycie Jungfrau posadzić górę Rigi,



Jezioro Sorkul na Pamirze.

aby otrzymać równie wielką wysokość. «Po lewej stronie, na jakie 100 m. nad nami, mówi Hedin, rozpościera się obszar firnu, skąpany w blasku księżyca. Na południo-wschodzie, na firnach, tańczą małe elfy, przybrane w białe zasłony — nie trzeba wielkich wysiłków fantazji, aby na widok tych obłoczków ulegać najrozmaitszym złudzeniom: wydaje się nam, iż widzimy białego wielbłąda, na którym wedle podania spuścił się ze szczytu Mustagata pewien derwisz; albo — czterdziestu rycerzy, którzy

pomagali chanowi Chodża w walce z Chińczykami; albo owych szczęśliwych z miasta Dżanaidar, kirgiskiej legien- dy, które zbudowane było na szczycie w czasie, gdy jeszcze ludzie pędzili życie bez troski. Dokoła cisza, echo nie odpowiada; rozrzedzone powietrze potrzebuje spadku lawiny, by ulec wstrząśnieniu; widać oddech yaków, ale nie słychać oddechu. Zwierzęta stoją cicho, bez ruchu; opanowywa nas dziwne uczucie u wstępu do tego świata zimnego, niemego, bezgranicznego.

W namiocie dwaj towarzysze moi siedzą bezmowni, skuleni, okutani w futra, tuż przy samym dymiącym ognisku. Wszyscy trzej byliśmy tak zziębnięci, iż zęby nam szczękały; gdyśmy podsycali ogień, namiot wypeł- niał się dymem gryzącym. Po skończeniu obserwacji wieczornych otuliliśmy się futrami i kołdrami. Była to fatalnie długa noc... Jakkolwiek kuliliśmy się w naszych gniazdach, jakkolwiek przyciskaliśmy kolana do samej brody, ciepło naszych ciał nie było w stanie pokonać zi- mna. Żaden z nas nie mógł zasnąć ani na chwilę; do- piero nad ranem zapadłem w jakiś stan półsenności, ale budziłem się co chwila, walcząc rozpaczliwie z brakiem oddechu. Moi towarzysze jęczeli jak na torturach, nie tyle z zimna, ile z potęgującego się wciąż bólu głowy.

Wreszcie ukazało się słońce; wiatr południowo- zacho- dni stoczył się jak burza po stokach góry i wzbił dookoła nas gęste obłoki śniegu, drobnego jak mąka. Trzej Kir- gizi, którzy przepędzili noc na dworze, byli napół martwi i powlekli się z trudem do namiotu, gdzie był rozłożony wielki ogień. Wszyscy byli chorzy, wszyscy milczeli, nikt nie mógł jeść, a gdy podano herbatę, ledwie zdołałem się zmusić do jej wypicia. Yaki stały bez ruchu, jak po- sągi na tym samym miejscu, co poprzedniego wieczoru.

Szczyt ginał w nieprzeniknionych obłokach pyłu śnież- nego; zrozumiałem odrazu niemożliwość dalszej drogi, chciałem jednak wypróbować moich ludzi i dałem rozkaz

przygotowania wszystkiego do wstępu na szczyt; wszyscy podnieśli się natychmiast i wzięli się do roboty, ale ucieszyli się niezmiernie, gdy otrzymali rozkaz powrotu».

Z tych lodowych wysokości badacz szwedzki spuścił się do Kaszgaru, gdzie znalazł gościnne przyjęcie. Z podróży przedsięwziętych z tego miasta w pierwszym roku, jedna miała na celu zbadanie pustyni Takla-Makan, stanowiącej zachodnią część Gobi. Po niewymownych cier-



Alaj i Transalaj.

pieniach, spowodowanych brakiem wody, karawana musiała wrócić do oazy Chotan; pozostawiając dwu Kirgizów zmarłych z pragnienia i cały namiot z przyborami wartości 5500 marek. Późniejsza wyprawa, wysłana w celu odszukania namiotu, doniosła, że całe obozowisko zostało pogrzebane pod wędrownymi diunami i nic nie można było odszukać. W rok później jednak, gdy Hedin po raz drugi odwiedził Chotan, amban (gubernator) oazy przysłał mu połowę wyekwipowania, z uwagą, że Kirgizom odrazu

udało się odgrzebać zasypany obóz, ale połowę już zdążyli przehandlować.

Rezultaty tej pierwszej, oraz najnowszej wyprawy w tej części Chin, to jest w dorzeczu Tarimu i w pustyni Takla-Makan, dadzą się streścić, jak następuje.

Jako nieruchomy, orjentacyjny punkt, jako biegun wszystkich geograficznych wiadomości i poglądów, tyczących się Azji środkowej, był uważany Lobnor. Jest to jezioro zamknięte, zasilane przez wody rzeki Tarimu, około którego prowadziła droga Marco Polo, które na starych mapach chińskich umieszczone było o 10 mil geograficznych na północ od 40° szer. pn., a które Przewalski w r. 1877 znalazł o tyleż mil na południe od tego równoleżnika.

Powstał więc spór naukowy między Przewalskim i Richthofenem o to, czy jezioro odkryte przez pierwszego jest rzeczywiście Lobnoreem starych map chińskich. Richthofen, opierając się na względach teoretycznych, głównie na podstawie małej słoności jeziora, odkrytego przez Przewalskiego, twierdził, że jezioro to nie jest Lobnoreem dawnych map; że jest utworem świeżym, powstałym wskutek zmiany łożyska r. Tarimu, która, przelawszy się przez tamy, zmieniła swój pierwotny kierunek wschodni na południowo-wschodni i wytworzyła owo nowe ujściowe jezioro na południe od dawnego, właściwego Lobnoru. Przewalski odpierał te zarzuty, zresztą argumentami nie dość przekonującymi, np. że idąc wzdłuż lewego (północnego) brzegu Tarimu, nie zauważył nigdzie śladów dawnego, opuszczonego łożyska. Spór ten na korzyść Richthofena rozstrzygnął dopiero Sven Hedin w 1896 r., odnalazszy nie tylko stary, przeważnie wyschły, Lobnor, ale i ślady starej drogi handlowej, która w pierwszym wieku po Chrystusie służyła Chińczykom dla stosunków z Zachodem.

W tej pierwszej, a jeszcze bardziej w drugiej swej podróży Sven Hedin rzucił jasne światło na zawikłany

system rzek i jezior Wschodniego Turkiestanu. Jest to wielka kraina, otoczona w podkowę wysokimi górami: z północy Thian-Szanem, z zachodu Pamirem, z południa Kuen-Lunem i jego gałęzią, Altyntagiem. Z tych granicznych górskich krawędzi wypływają wielkie rzeki, ale nie mogą pokonać suszącego oddechu pustyni, ubożeją coraz bardziej w wodę w miarę oddalania się od gór i wreszcie giną w piaskach, tworząc przy końcu nędzne, płytkie jeziora, zarośnięte trzcina; rzeki zmieniają swe łożyska, a wraz z tym i owe płytkie jeziora ujściowe zmieniają też swe miejsca, wędrują. Wielka część wody, mówi Hedin, napęlnia liczne płytkie kotliny i ulatnia się tam w suchą, spragnioną atmosferę; drugą część wody wchłania piasek jak gąbka. Nic dziwnego, że ta mała cząstka wody, która pozostaje na powierzchni, staczając rozpaczliwą walkę, aby się tu utrzymać, ulega ciągłym zmianom tak co do ilości, jak i co do miejsca. We wsi rybackiej Kumczapgan stajemy u grobu rzeki Tarimu; potężna pustynia Gobi głosi rzece wyrok nieodwołalny: «tutaj koniec twym wodom potężnym».

Te rzeki, duszone przez pustynię, okazują jednym znakiem swą siłę życiową: jest to mianowicie smuga gęstego lasu, przeważnie topolowego, ciągnąca się wzdłuż ich łożyska; gdy rzeka cofa się lub zmienia swe łożysko, lasy te pozostają jeszcze czas jakiś, póki starczy wilgoci w gruncie; następnie zamierają, a szkielety drzew mogą jeszcze po setkach lat świadczyć o dawnym istnieniu rzeki.

Jedynymi mieszkańcami pustyni są nieliczni pasterze owiec, pasący swe stada w lasach nadrzecznych. Niegdyś jednak kwitła w tych okolicach kultura; pełno tu podań o starych miastach, zagrzebanych w piaskach; i rzeczywiście: Sven Hedin w swej drugiej podróży przez pustynię Takla-Makan zdołał odszukać dwa z tych dawnych miast, zbudowanych z drzewa topolowego.

W swej drugiej podróży, w latach 1898 i 1899, Sven Hedin, dla rozstrzygnięcia kwestji Lobnoru i Tarimu, przedsięwziął długą podróż na tratwie wzdłuż tej rzeki; z dolnego Tarimu udał się następnie wzdłuż opuszczonego łożyska między obumarłemi lasami topoli i trzciny i doszedł do słonej kotliny dawnego jeziora, po której szedł przez cały dzień. Czynnikiem, wywołującym te zmiany jezior i rzek w dorzeczu Tarimu, jest «czarna burza» (Kara buran), którego siły doświadczył sam Sven Hedin w swej podróży: «Było to dnia 13 marca—pisze on w jednym ze swych listów, — postępowaliśmy ku wschodowi, gdy buran pędził ku nam ze strony przeciwnej. Szliśmy mimo to czas jakiś naprzód, ale wkrótce wielbłądy zaczęły się chwiać jak pijane; grunt zdawał się być wprawiany w ruch falowy, gdyż masy materjału podniesione burzą, zaczęły się przenosić. Zatrzymaliśmy się, ale chcieliśmy odnaleźć jakieś wzniesienie gruntu, aby się za nim schronić. Zdawało mi się, że przez tumany pyłu dostrzegam jakieś pagórki i zwróciłem się ku nim w kierunku wiatru; miałem takie uczucie, jakbym był unoszony w powietrzu; wzgórzy nie znalazłem, gdym się zaś odwrócił, przekonałem się, jak nieostrożną było rzeczą odłączyć się od karawany: wszystko znikło w szaro-żółtym тумanie; gruntu nie było widać pod stopami; byłem otoczony nieprzeniknionym obłokiem piaszczystym. a postępowanie przeciw wiatrowi było również trudne, jak przeciw wodzie płynącej. Wreszcie odnalazłem karawanę i rozbiliśmy namiot, któryśmy przymocowali linami do suchych korzeni. Ażeby wiatr nas nie zniósł, musieliśmy w tym namiocie stać na klęczkach. Termometr wskazywał 7^o poniżej zera i zimno było przesywające. O gotowaniu nie mogło być mowy, wszystkie naczynia były wypełnione piaskiem. Wiatr bił piaskiem w namiot, niby deszczem ulewnym. Dość przebyć jeden dzień śród buranu, aby zrozumieć, że ciągle burze

mogły zwać Lobnor i zmusić rzekę do opuszczenia łożyska i szukania sobie innego, bardziej południowego». W następnym roku Sven Hedin zwiedził znowu Lobnor i znalazł na północnej krawędzi kotliny, usianej muszlami, liczne zwaliska i pamiątki, między innymi, dwa nacie dobrze zachowanych chińskich rękopisów, oraz liczne kawałki drzewa z napisami chińskimi i tybetańskimi. Tutaj znalazł on również ślady dawnej chińskiej drogi handlowej z wieżami strażniczymi. Zwaliska te badał Hedin w zimie; wodę do picia w formie kawałów lodu trzeba było wozić ze sobą na wielbłądach, a pewnego razu tylko zamieć śnieżna uchroniła podróżnika od śmierci z pragnienia.

«Małe, pokryte napisami, kawałki drzewa, — mówi Hedin — są to bądź bilety wizytowe, bądź kwity, otrzymane przez mieszkańców od władz rządowych za dostawę zboża: pszenica i kukurydza rosły niegdyś wśród tej straszliwej pustyni. Śród zwalisk nad dawnym Lobnorem znalazł Hedin szczątki świątyni buddyjskiej tak dobrze zachowane, że ją można było łatwo zrekonstruować na papierze.

Dr M. Stein, który z polecenia rządu indyjskiego przedsięwziął rozkopywanie tutejszych wydm, odnalazł na północ od Nija w pustyni Takla-Makan zwaliska wielkiego miasta, mającego przeszło 30 kilometrów w obwodzie; sprzęty domowe, napisy, ślady ogrodów i inne pozostałości świadczą o wysokiej niegdyś kulturze. W zwaliskach świątyni dochowały się jeszcze masy materji jedwabnych i inne dary, które piasek zachował od zniszczenia przez 1500 — 2000 lat! W ogrodach leżały kupy zeschniętych liści, jakgdyby co dopiero zmiecione. Gdzie dziś tylko dziki wielbłąd może wytrzymać ciężką walkę o byt z pustynną przyrodą, tam kwitły niegdyś morele, brzoskwinie i morwy.

Jak i kiedy ta wysoka kultura, w której widać ślady wpływów chińskich, indyjskich, perskich a nawet greckich

i rzymskich, uległa zagładzie? Poglądy w tej kwestji są jeszcze podzielone; podczas gdy jedni, a między niemi Hedin, przypisują jej upadek jedynie przyczynie naturalnej—zalewowi piaszczystemu, postępującemu od wschodu, który stopniowo zagrzebuje oazy, miasta i świątynie, jeziora i rzeki, wreszcie dosięgnie Pamiru i zniszczy obecne resztki kultury Wschodniego Turkiestanu, cisnące się u stóp gór granicznych w oazach Kaszgaru, Jarkandu, Chotanu; inni upadek ten przypisują, podobnie jak w Mezopotamji, obojętności mahometan, którzy zaniedbali dawne kanały i urządzenia irygacyjne. Co do czasu tego upadku kultury, to także nie można osiągnąć zgody, dopóki liczne napisy i rękopisy, znalezione w zwaliskach, nie zostaną dokładnie zbadane przez sinologów. Według Hedina zalew piaszczysty postępuje rocznie na 50 metrów ku zachodowi, a zatem kultura Wschodniego Turkiestanu musiała ulec zniszczeniu przed 2000 lat; innym wydaje się ta cyfra za wysoką, sądzą, że należy ją zredukować do 1500 a nawet 1200 lat.

Już w pierwszej podróży Sven Hedin nie ograniczył się do badania pustyni; przedsięwziął on prócz tego podróż przez góry Kuen Lun i jego liczne wschodnie rozgałęzienia do tego tajemniczego i upartego Tybetu, którego mieszkańcy, trzymani w jarzmie i ogłupieniu przez buddyjskich księży, lamów, bronią dostępu do swego kraju podróżnikom, mordując ich lub w najlepszym razie wyrzucając za granicę; — lamowie obawiają się, by z wpływem oświaty nie wysunęła się z ich rąk władza nad ludem, a stąd—możność wyzyskiwania jego pracy; lud ogłupiały, stawiając czoło Anglikom, dziesiątkowany przez udoskonaloną broń, ginie właściwie w obronie swych więzów i swej głupoty.

W sierpniu 1896 roku Sven Hedin wyruszył z oazy u północnych stóp Kuen Lunu, na czele wielkiej karawany, złożonej z 21 koni, 20 osłów, 6 wielbłądów i 26 ludzi;

prócz tego zabrano ze sobą 14 owiec i kóz, jako żywy prowiant. W dwa miesiące potem, resztką karawany z trzech wielbłądów, trzech koni i jednego osła, przybyła do pierwszej zamieszkannej miejscowości po drugiej stronie gór w kotlinie Zaidam. Kości reszty zwierząt pokrywają na wysokości Mont Blancu, t. j. 4000 — 5000 metrów, zlodowaciałe przejścia górskie, przez które karawana maszerowała w ciągu 60 dni przy strasznych trudach i cierpieniach, nie napotkawszy przez cały ten czas ani jednej istoty ludzkiej. Tylko stado dzikich osłów czyli chulańców powitało rzadkich gości i znikło w szybkim galopie, dowodzącym, że zwierzęta, żyjące na tych wysokościach, opatrzone są innemi płucami, niż zwierzęta nizin. Mroźne burany zmieniają się na tych wysokościach z palącemi promieniami słońca z pogodnego nieba; człowiekowi grozi tu naprzemian zmarznięcie i upieczenie — męki Danteskie. Na ósmy dzień podróży napotkano na ślady człowieka, niezwykle wypadek w tych stronach: tędy przed rokiem przedzierał się podróżnik angielski Littledale, w zamiarze osiągnięcia Lhassy, świętego miasta lamaizmu, co mu się jednak nie udało. Karawana Sven Hedina zużytkowała nawóz obozowiska angielskiego, jako pożądany materiał opałowy, następnie znaleziono zmumifikowanego osła z karawany angielskiej: suchość i niska temperatura uchroniły trupa od zepsucia, a w tej straszliwej pustyni nie odwiedziły go w ciągu całego roku ani wilki, ani ptaki drapieżne. Wieczorem dokoła obozowiska panowała cisza grobowa; zdawało się nam — mówi Hodin, — że jesteśmy tu przybyszami z jakiejś innej planety; po nad otaczającemi nas obszarami śnieżnemi rozpościerała się czarno-szafirowa otchłań nieba; tylko migotanie gwiazd, bieg obłoków i iskrzenie się kryształków śniegu tworzyły pewną rozmaitość w tym martwym krajobrazie. Nawet strumienie pod wpływem wielkiego zimna zamieniają się całe w lód i szmer ich zamiera.

Wreszcie d. 24 sierpnia udało się przejść góry po przełęczy na 5540 metrów wysokiej i osiągnąć wyżyny Tybetu z licznymi kotlinami słonemi. Konie i osły były niezmiernie osłabione, z tych ostatnich co jakiś czas któryś padał; trzeba było robić coraz częstsze przystanki. Każdego południa z regularnością zegarka następowała burza gradowa, którą wkrótce przyzwyczajono się przyjmować z filozoficznym spokojem.

W dniu pierwszym września przebyto dziesięć jezior i następane dni 14 karawana szła wzdłuż nowych ośmiu jezior u podnóża nowego łańcucha gór, pokrytego śniegami i lodowcami, który Hedin nazwał górą króla Oskara. Położenie stawało się krytycznym; zwierzęta padały co chwila i rzadki był dzień, w którymby nie padł choć jeden koń lub osioł. Zapasy pożywienia ubywały też szybko. Na szczęście można było od czasu do czasu upolować dzikiego yaka; zwierzęta te czują się zupełnie dobrze na wysokości 6000 metrów wśród śniegów i lodów; niewiadomo doprawdy, czym się mogą tu żywić. Hedin nazywa dzikiego yaka — królewskim zwierzem, nie tylko z powodu jego imponującej postawy, ale i dlatego, że on jeden wśród istot żyjących stawia dzielnie czoło najwyższym wysokościami, największemu zimnu i najgwałtowniejszym burzom gradowym; owszem, sprawia mu to, jak się zdaje, prawdziwe zadowolenie, gdy go grad wali po grzbiecie.

«Jedno tylko, co nie przypada mu do gustu, to słoneczny dzień letni; ale ma na to sposób: kąpie się w lodowato zimnym strumieniu lub ucieka w strony lodowców i śniegów, gdzie z rozkoszą tarza się w sypkim firnie».

Od 20 września zaczęły się dla podróżników dni fatalne: burze, niepogody, przeszkody terenu utrudniały pochód; koń wierzchowy Hedina padł, a również i jeden z sześciu wielbłądów; zapasy żywności zmniejszały się szybko, trzeba je było zastępować polowaniem na zające i yaki. Dnia 27 września padł pierwszy jasny promień

na ponure tło całego tygodnia podróży: natrafiono na płyty kamienne pokryte napisami:—podróźni weszli widocznie na jedną z dróg, któremi mieszkańcy Mongolji wędrują do Lhassy na uroczystości religijne; napotkano nawet ślady stóp pielgrzymów, oraz wielkie stada dzikich osłów. Treść pobożnych napisów nie była co prawda zbyt bogata: była to tysiące razy powtarzana modlitewna formuła tybetańska: «Om mani padme hum» (o klejnocie w lotosie. Amen!).

Następnego dnia napotkano pierwszych ludzi, Mongołów, którzy przybyli w te pustynie górskie dla polowania na yaki. Przywódca tej wyprawy zgodził się przeprowadzić karawanę Hedina do najbliższej wsi mongolskiej; w drodze spotkała Hedina drobna przygoda: przywódca, który z nim znacznie wyprzedził resztę karawany, powrócił, gdy się ściemniło, aby pozostałych wyprowadzić na właściwą drogę, Hedinowi zaś wskazał tylko kierunek, w którym leżało najbliższe obozowisko; na szczęście koń podróźnika dobrze się orjentował i po godzinie jazdy—mówi Hedin — zobaczyłem ogień między krzakami; rozległo się szczekanie psów i cała ich zgraja rzuciła się na mego konia i psa, który na szczęście zdążył jeszcze w porę schronić się do mnie na siodło. Wreszcie zobaczyłem namioty i ludzi; podjechałem spokojnie do jednego z namiotów, przywiązałem konia, wszedłem do wnętrza i powitawszy zdziwionych sześciu Mongołów przyjaznym «acmir sän» (jak się macie?), usiadłem przy ogniu i zapaliłem fajkę. W rogu namiotu stało naczynie z kwaśnym mlekiem kobyli; pociągnąłem dobry łyk i orzeźwiłem się po 43 kilometrowej podróży konnej. Mongołowie patrzyli na mnie, nie mówiąc ani słowa, i dopiero wtedy otrząsnęli się ze swego zdumienia, gdy po dwóch godzinach nasz przywódca nadjechał z karawaną i objaśnił ich, co jesteśmy za jedni».

Mongołowie ci okazali się gorliwemi wyznawcami lamaizmu, prawie wszyscy byli na pielgrzymce w Lhassie, nie wzbraniali się jednak sprzedawać Hedinowi swych amuletów i bożków, które otrzymali w świętym mieście od kapłanów; zresztą naturalnie też nie darmo! Przedmioty tego rodzaju są więc wszędzie artykułem handlu. Po długim odpoczynku karawana Hedina, wzięwszy doświadczonego przewodnika, zwróciła się przez wielokrotnie już zwiedzaną, ale niebezpieczną krainę Tangutów i okolice jeziora Kuku-nor ku wielkiemu muirowi i Chinom właściwym.

Tanguci są to rabusie znieprawieni zarówno przez Chińczyków jak i przez Mongołów; ofiarą tych rabusiów padło nietylko wielu kupców, ciągnących z Chin do Mongolji, ale i podróżnicy europejscy mieli z nimi nieraz do czynienia: zamordowali oni w 1894 r. francuskiego podróżnika Dutreuil de Rhinsa, napadli na Przewalskiego, a i Hedin miał z nimi kłopoty; ale gdy Tanguci przekonali się o sile jego karawany, nastąpił pewien rodzaj zbrojnego pokoju, podczas którego Tanguci odwiedzali obozowisko Hedina, a nawet on odwiedzał Tangutów, aby poznać ich sposób życia, dając tym dowód niemałej odwagi. Towarzysze jego nie pozbyli się strachu przed Tangutami do ostatka i dla odjęcia im ochoty do napadu opowiadali przerażające bajki, np. że w pakach podróżnych są ukryci żołnierze, że piecyk podróżny jest kartaczoownicą i t. p. Pośród tych rabusiów żyją lamowie, cieszący się wielką powagą; kapłani ci, jak tu tak i gdzieindziej, są bezwstydnemi oszukańcami: sprzedają oni różne amulety, między innymi liście drzewa, na którym jakoby sam rośnie napis «Om mani padme hum» — naturalnie sami piszą go na liściach.

Korzystniej od mroźnych gór i pustyń, zwiedzonych przez Hedina, przedstawia się, bardziej otwarta na wpływ wilgotnych wiatrów morskich, południowo-wschodnia część Tybetu,

zwiedzona przez podróżnika rosyjskiego *Kozłowa*: dzięki obfitym opadom posiada ona bardzo rozwiniętą siatkę wód rzecznych, które wpłynęły na urozmaicenie, wyrzeźbienie terenu. Na północo-zachodzie występują jednostajne śnieżne grzbiety górskie, niezbyt przewyższające swą wysoką podstawę i zawierające w dolinach bezodpływowe słone jeziora. Srożą się tutaj burze śnieżne i gradowe. Tempe-



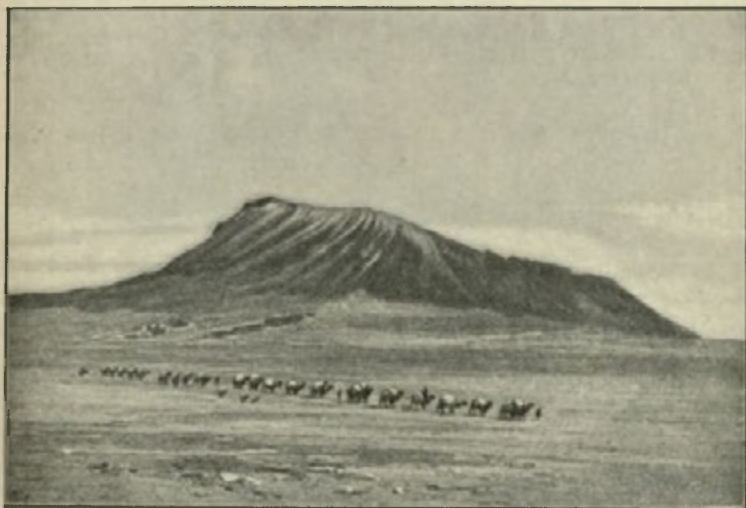
Jezioro Kuku-Nor.

ratura, bardzo wysoka pod bezpośrednim działaniem promieni słonecznych, spada w nocy nawet podczas lata daleko poniżej zera. Suchość powietrza jest tak wielka, że padłe zwierzęta juczne przez całe lata nie gniją, lecz wysychają na szkielety. Zupełnie inaczej przedstawia się część południowo-wschodnia Tybetu. Pierwotnie też jednostajna wyżyna, została z biegiem czasu porozrzynana przez

erozję rzeczną i zamieniona we wspaniałą górską krainę z wysokimi stromymi szczytami i głębokimi kanjonowymi dolinami. Podczas gdy w górze szaleją orkany, a wieczny śnieg pokrywa szczyty, w dole szumią obfite w wodę potoki, dające początek wielkim rzekom południowo-wschodniej Azji, jak Hoangho, Jangtsekjang, Mekong. Podróżnik, przebywający ten kraj, musi od doliny do doliny wspinać się po stromych ścieżkach górskich, to znów zstępować po nich i tak wciąż z kolei. Przed jego oczami przesuwiają się pełne kontrastów obrazy: powabów lata na dole i surowości zimy w górze; ożywionych osad ludzkich, tonących w bujnej zieleni dolin, i martwych szczytów. U jego stóp rozścielają się to rozległe wspaniałe górskie panoramy, to zieją skalne przepaści, z których dochodzi szum potoków górskich i błyska chwilami ich fala spieniona. U góry ciszę grobową przerywa tylko niekiedy ryk orkanu. Im dalej na południe, tym bardziej pokrajana wyżyna przechodzi w typową krainę alpejską.

Droga Kozłowa prowadziła naprzód nad mało znany górny bieg Hoangho. Jakkolwiek już dawniej, podczas nieudanych prób osiągnięcia Lhasy, podróżnicy widzieli i przebywali wiele rzek wschodniego Tybetu, to jednak nie było wiadome napewno, która z nich należy do tej lub innej z olbrzymich rzek Azji południowo-wschodniej. Przewalski w roku 1884 uznał za górny bieg Hoangho bystrą rzekę, przepływającą dwa jeziora. Kozłow dosięgnąwszy tych okolic, wykonał pomiary obu jezior, które, choć na 4000 m. nad poziom morza wzniesione, mierzą w średnicy 40 — 50 kilometrów; stąd zamierzał Kozłow udać się na zachód ku źródłom Hoangho, ale Tanguci, którzy od dłuższego czasu śledzili kroki karawany Kozłowa, zajęli teraz tak groźną postawę, że podróżnik dla uniknięcia bitwy musiał się zwrócić na południe. Wkroczył on w okolicę, gdzie dwa lata przedtem wyprawa niemiecka pod wodzą

Futterera została napadnięta przez rabusiów, utraciła wszystkie zwierzęta wierzchowe i juczne i ledwie z życiem uszła do Chin. Zbliżywszy się do rzeki Murussu, Kozłów dosięgnął okolic niższych, gościnniejszych; rzeka ta stanowi górny bieg Jangtsekjangu, sięga ona głębiej we wnętrze Tybetu, aniżeli Hoangho. Plemiona, mieszkające wzdłuż jej biegu, a zwłaszcza na południe odeń, nie



Wulkan w Tybecie, Rubruk.

są już czystymi nomadami: zajmują się w części rolnictwem.

We wrześniu roku 1900 Kozłów opuścił Murussu, zamierzając energicznym marszem ku południo-zachodowi dosięgnąć tajemniczej Lhassy i uczynić wyłom w tym hermetycznym zamknięciu, w którym utrzymują od pół wieku przeszło to miasto chytry lamowie. Pomimo groźnej postawy Tybetańczyków, Kozłów dosięgnął trzeciej wielkiej rzeki tybetańskiej, która sięga jeszcze dalej

we wnętrze kraju niż Murussu i stanowi górny bieg Mekonga. Tutaj jednak oddział, złożony z 200 dobrze uzbrojonych Tybetańczyków, wykonał gwałtowny atak na małą karawanę Kozłowa; atak został wprawdzie odparty, jednakże w sile 14 ludzi nie można było zbyt często narażać się na tego rodzaju ataki. To też karawana porzu-



Górny Mekong

ciła kierunek na Lhasę, i zoczyła ku południowi; tutaj, w pobliżu tybetańskiego klasztoru Tsiando, Kozłow został znów powstrzymany, a że tymczasem rozpoczęła się zima, więc karawana rozbiła obóz na źródłowiskach Mekongu i tu przezimowała. Mimo wysokości 3400 m. nad poziomem morza zima okazała się nadspodziewanie łagodna: jakkolwiek w nocy temperatura spadała nieraz bardzo nisko, nawet do 26° poniżej 0°, to jednak temperatura

dzienna była zawsze tak wysoka, że żaden z tutejszych potoków nie posiadał stałej pokrywy lodowej; tylko cztery razy w grudniu termometr w południe zniżał się pod 0°. Kozłow zużył czas zimowy na uporządkowanie i powiększenie swych zbiorów, starał się też zawiązać stosunki z krajowcami i zbadać dokładnie okolice.



Zródła Irawadi.

Tybetańczycy, gdy tylko osiągnęli swój cel powstrzymania podróżników od Lhassy, okazali się skłonni do zgody, jednakże do klasztoru Tsiamdo, zamieszkanego przez 2000 lamów, Kozłow nie został dopuszczony. W okolicy tej francuski uczonej podróżnik Dutreuil de Rhins znalazł śmierć w r. 1894, ale Tybetańczycy nie przyznają się do zarzucanego im morderstwa: twierdzą, iż podróżnik, pomi-

mo zakazu lamów, odważył się wejść do świątyni i wtedy, «przypadkowo» rzucony, kamień trafił go i zabił.

Sven Hedin w swej drugiej podróży 1901 r. kuślił się też bezskutecznie o osiągnięcie Lhassy. Przy końcu lipca karawana Hedina rozłożyła się prawie we środku Tybetańskiej wyżyny, gdzie nadspodziewanie napotkano obfite pastwiska. Tutaj Hedin powziął zuchwały plan porzucenia karawany i puszczenia się w drogę do Lhassy samemu. Kilku silnych jeźdźców bez ciężkiego taboru mogło stąd osiągnąć świętego miasta w dni czternaście. Przebrany za Burjata, w towarzystwie jednego lamy i jednego kozaka, dobrawszy najlepsze konie i muły, Sven Hedin pociągnął ku południowi. Całe wyekwipowanie było pochodzenia mongolskiego, ażeby nie wzbudzić żadnych podejrzeń; nieliczne niezbędne przyrządy były starannie ukryte. Pierwsze dwa dni przeszły zupełnie spokojnie, ale już w drugą noc podróżnicy ulegli napadowi rozbójników i utracili dwa konie. W dalszej podróży trzeba było przepędzać noce bezsenne, pilnując koni i mułów, często wśród burzy i deszczów. Przy końcu pierwszego tygodnia podróżni zstąpili z wyżyny na niżej leżące, zamieszkałe okolice. Lama, który umiał po tybetańsku i był już w Lhassie, pomagał porozumiewać się z mieszkańcami. Ale podróżnicy, nie domyślając się tego, byli wciąż potajemnie śledzeni z polecenia rządu tybetańskiego i gdy dziewiątego dnia Hedin zbliżył się już bardzo do świętego miasta, otrzymał od trzech naczelników polecenie natychmiastowego zatrzymania się aż do zapowiedzianego przybycia gubernatora prowincji; w razie nieusłuchania polecenia zagrożono podróżnikowi śmiercią. Ponieważ Tybetańczycy zjawili się w poważnej sile, nie pozostawało więc nic innego, jak poddać się losowi. Zresztą postępowanie z podróżnikami było bardzo dobre; mięsa i innych środków żywności Tybetańczycy dostarczali darmo.

Po pięciu dniach przybył gubernator i przez tłumacza wezwał Hedina do siebie. Sven Hedin odpowiedział dyplomatycznie, że nie ma do Kambo Bombo żadnego interesu, ale może go przyjąć. Po niedługim czasie gubernator z wielką świtą zjawił się przed namiotem Hedina. «Wszyscy byli przybrani uroczyście, gubernator w szacie z żółtego jedwabiu, w czerwonym kapeluszu i w zielonych aksamitnych butach jechał na wielkim mule. Powiedział mi, że jestem Anglikiem i że otrzymał rozkaz z Lhassy, bym nie postąpił ani kroku dalej ku temu miastu».

Na rozkaz ten nie było apelacji; podróżni pod eskortą dwudziestu żołnierzy i trzech oficerów zwrócili się na północ i musieli być zadowoleni, gdy dwudziestego sierpnia znaleźli swą karawanę na dawnym miejscu w całości.

Ale Hedin nie chciał dać zupełnie za wygraną i postanowił przynajmniej przedrzeć się przez cały Tybet do granicy indyjskiej, przez okolice możliwie najbliższe Lhassy. Gdy tylko Tybetańczycy się oddalili, Sven Hedin z całą karawaną wyruszył ku południo-zachodowi, z początku podróż szła bez przeszkód, ale następnie pojawiło się 300 Tybetańczyków i zamknęło dalszą drogę.

Mając za sobą całą karawanę, Sven Hedin, wobec archaicznego uzbrojenia Tybetańczyków, czuł się dość silnym i odrzucił ich żądanie. Na groźbę ataku ze strony Tybetańczyków, Hedin pokazał im znaczną ilość swych nowoczesnych karabinów: «powiadam wam, że każdy z nas położy trupem 30 Tybetańczyków, zanim jeszcze nabijecie wasze flinty. Tybetańczycy przyszli do przekonania, że zamiast strzelaniny, lepiej zawiązać ze sobą stosunki przyjazne». W rzeczywistości jednak położenie Hedina nie było korzystne, gdyż Tybetańczycy mogli bardzo łatwo otrzymać dziesięciokrotne posiłki. Hedin więc zmuszony był zwrócić się ku zachodowi, ku granicy

indyjskiej — droga, której przebycie kosztowało więcej, niż trzy miesiące czasu.

Jakkolwiek od czasu podróżników francuskich Huca i Gabeta w roku 1842, Lhasa jest zamknięta dla podróżników europejskich, to jednak dostały się do Europy pewne wiadomości o tym mieście za pośrednictwem rosyjskich Kałmuków, którzy w przebraniu mongolskim zwiedzali miasto i jego świątynie. Tak np. w roku 1897 Kałmuk Basa Bakchi był w Lhasie i widział dalajlamę, który rezyduje nie w samym mieście, lecz w wyżej położonym klasztorze Bogdala. Długim szpalerem, utworzonym przez kapłanów, szedł ten Kałmuk w towarzystwie trzech pielgrzymów aż do stóp dalajlamy, tego papieża tybetańskiego, który przy licznych ceremonjach udziela błogosławieństwa. Liczba mieszkańców świętego miasta ma wynosić około 30000, wśród których, według geometry indyjskiego Nainsingha (który również w przebraniu zwiedził Lhasę jeszcze dawniej), ma być nie mniej jak 18000 kapłanów i mnichów; reszta więc, dzięki tak świętemu towarzystwu, nie potrzebuje się już troszczyć o swój żywot przyszły; pozostaje jej wprawdzie tylko samej troska o żywot doczesny, tak własny jak i, zwłaszcza, kapłański, ale to już jest drobnostka.

W ostatnich czasach Rosjanie mieli szanse zawiązania przyjaznych stosunków z Tybetem i sparaliżowania Anglii, ale wojna japońska przeszkodziła temu i Anglicy przedsięwzięli zbrojną wyprawę do Tybetu, który stanowi ważną pozycję, panującą nad ich posiadłościami w Indjach.

* * *

Wschodnie tarasy wyżynowego pasa Azji, Chiny Właściwe i Mandżurja, zwróciły w ostatnich czasach uwagę całego świata nie odkryciami geograficznymi, lecz wypadkami politycznymi i strategicznymi.

Słusznie zauważono, że Chiny stawiają obecnie potęgą europejskim problemat, jakiego dotąd ludy kulturalne nie rozstrzygały nigdy: Amerykę odkryć i skolonizować, Afrykę podzielić i zbadać—gdzie miano do czynienia z ludami, stojącymi na zaczątkowych stopniach kultury lub bardzo nielicznymi — było to zadanie stosunkowo łatwe w porównaniu do «otwarcia», to znaczy eksploatacji Chin przy pomocy europejskiego handlu i wielkiego przemysłu. Na tej arenie współubiegają się obecnie przynajmniej cztery wielkie europejskie potęgi państwowe, czekające tylko na stosowną chwilę, aby się rzucić na Chiny. Tutaj jednak, naprzeciwko tej zachodniej inwazji, stoi stara kultura i liczebna potęga czterystomiljonowej ludności—ludności, której siła ekspansywna była dotąd niepokonaną, a siła asymilacyjna pochłaniała zawsze zdobywców.

Potęgi europejskie, zainteresowane w Chinach, nie w jednakowy sposób rozpoczynają swą grę. Podczas gdy Anglja, Niemcy i Francja zadawałają się dotąd zajęciem niewielu punktów nadbrzeżnych i rozszerzaniem swego handlu i swego przemysłu w Chinach, Rosja, jako państwo pograniczne, dąży do nabytków terytorjalnych, wprowadza swą administrację i swych kolonistów. Kolonizacja jednak rosyjska w Azji dawała i daje dobre rezultaty, o ile odbywała się na obszarach słabo zaludnionych przez ludność niskiej kultury; z kolonizacją na obszarach gęsto zaludnionych przez Chińczyków, niezmiernie pracowitych i wytrwałych, prowadzących gospodarstwo intensywne, sprawa jest daleko trudniejsza: wykazują to jasno próby kolonizacji w północnej Mandżurji.

Mimo to plany rosyjskie w Azji wschodniej wzrosły do olbrzymich rozmiarów. Po zbudowaniu kolei w dolinie Ussuri dla otwarcia drogi do Władywostoku, powstała linja bezpośrednia wpoprzek Mandżurji; uzyskano od Chin Port Artura, który stał się końcowym punktem kolei

żelaznej, portem daleko ważniejszym od zbyt na północ leżącego, na długo zamarzającego Władywostoku.

Obok Portu Artura powstał port Dalnij; powstał on, jak niegdyś Petersburg, na skinienie rządu, ażeby prześcignąć wszystkie porty Azji wschodniej.

Rudolf Zabel w swym dziele «Durch die Mandschurei und Sibirien» (1903 r.) tak opisuje Dalnij w chwili jego powstawania.

Z Portu Artura dojeżdża się do Dalniego w parę godzin koleją żelazną, biegnącą z początku na północ; następnie odnoga, odbiegająca na wschód, doprowadza w pół godziny do miejsca, gdzie ma powstać dworzec nowego miasta i inne budowle, gdyż dotąd nic prawie w Dalnim nie jest ukończone. Po raz pierwszy zapewne od czasu założenia Petersburga przez Piotra Wielkiego, widzimy przed sobą miasto, powstające nie z prywatnej inicjatywy i energii, lecz z rozkazu potężnego władcy. Nie pozostawiono tu niczego woli i planom jednostki: ulice, place, domy, banki, fabryki, składy, pałace, dzielnice i ogrody, port — wszystko powstało lub powstaje według planu rządowego pod przewodnictwem urzędników.

Z wyniosłości, wznoszących się za miastem, podróżnik w towarzystwie miejscowych inżynierów mógł wybornie obserwować to olbrzymie powstające dzieło. Widać stąd, jak na dłoni, całą zatokę Taljenwańską, poza którą leży chińskie miasto tegoż nazwiska, a za nim wznoszą się góry, owiane błękitną mgłą; bezpośrednio u stóp leży miejsce, na którym Dalnij, można powiedzieć, rośnie w oczach. W porcie widać statki, pogłębiające basen oraz przyrządy, wrzucające do morza olbrzymie bloki cementu dla utworzenia bulwarów. Jedziemy na dół i przyglądamy się bliżej budowlom portowym; tutaj wznoszą tamę, biegnącą w morze, do której mają przybijać parowce; tam pogrążają całe góry rumowiska dla osłony portu od falowania, zakładają

doki. Na lądzie budują warsztaty, gisernie, młoty parowe—wszystko, co potrzeba do budowy maszyn i statków. Co do planu samego miasta, to nad samym brzegiem powstaje dzielnica przemysłowo-handlowa — składy, biura, fabryki i t. d.; za nią dzielnica domów mieszkalnych dla stanu średniego, urzędników, agentów, robotników; dalej dzielnica willi dla stanów wyższych, a w pewnym oddaleniu dzielnica chińska».

Przez zajęcie Portu Artura i założenie Dalniego Rosja postawiła silną stopę na wybrzeżach oceanu Wielkiego i tym sposobem zagroziła interesom Japonji. Stąd wynikła walka o panowanie nad tym oceanem — po Atlantyckiej następuje Pacyficzna faza dziejowa. W walce tej Rosja uległa, tracąc Port Artura i Dalnij.

Według „*Jahrbuch der Weltreisen*“.

WYPRAWA DO LODOWCA ZERAFSZANU.

Zbadanie lodowca Zerafszanu było rzeczą nadzwyczaj pożądaną dla nauki, a to z dwóch względów:

1) Idea stopniowego wysychania Azji Centralnej znajduje między innymi silne poparcie w cofaniu się lodowców Thian-Szanu i Pamiru, tymczasem wyprawa Abramowa 1870 r., która widziała tylko dolny brzeg lodowca Zerafszanu, przyszła do przekonania na zasadzie świadectw krajowców i braku końcowych moren, że lodowiec ten nie cofa się, lecz przeciwnie postępuje w dół. *Chodziło więc o zbadanie, co może być przyczyną tego wyjątkowego zjawiska.*

2) Podróżnik rosyjski Fedczenko, który widział inny lodowiec, po drugiej stronie łańcucha Alajskiego, wyraził domysł, że lodowiec Zerafszanu łączy się z tamtym, t. j.

że należy do często spotykanego w Alaju typu lodowców dwustromnych (Jochgletscher).

Dolina górnego Zerafszanu przedstawia olbrzymie, wązkie i długie zagłębienie między dwoma potężnymi łańcuchami górskimi—Turkiestańskim i Hissarskim; górna jej połowa jest zajęta przez lodowiec, dolna—zamieszкана przez Tadżików, którzy skorzystali z rozszerzeń doliny, by tam założyć swe siedziby, często, jak orle gniazda, przyklepione do stromych skał. Tadżiki ci, znani pod nazwą Galecza, są to zbiegi, malkontenci z chanatów Turanu; zachowali oni w tym odosobnieniu swe zwyczaje, obyczaje i język.

Na całym Wschodzie od Chin do Turkiestanu ważną rolę w ekonomicznym bycie mieszkańców gra glina szarozółta, wapienno-piaszczysta, zwana loss; jest to «czarnoziem Wschodu», równy tam znaczeniem wodzie; nie darmo też rolnicy, Sarty mówią: «gdzie jest *turpah i su* (glina i woda), tam jest i Sart«. Na równinach wszystkie miasta i wsie są zbudowane z lossu i na lossie. Lecz w miarę jak wstępujemy z równin na góry, ilość lossu zmniejsza się (natomiast występują lite skały), a z nią i ilość osad oraz dobrobyt. Ubytek gliny gra w tem rolę współ ze zwiększeniem się wysokości nad poziomem morza. W miarę postępowania w górę doliny Zerafszanu i zbliżania się do lodowca, zmniejsza się więc ilość osad i zaczynają się osady zbudowane z kamienia. Chaty czepiają się skał i trudno je odróżnić od kupy otaczających głazów. Geolog rosyjski Muszkietow, wbrew twierdzeniom wyprawy Abramowa, znalazł końcowe moreny w odległości 50 wiorst poniżej końca lodowca. Moreny składają się z granitu i gabbro, skał zniesionych z góry i ułożonych na pochyłościach łupkowych. A więc lodowiec Zerafszanu niegdyś spuszczał się niżej.

Za zbliżeniem się do lodowca, odkrywa się uderzający widok: ze wszystkich stron, z głębokich, posepnych wą-

wozów wysuwają się spokojne masy lodowe z ogromnemi morenami i wypuszczają z siebie burzliwe, prawie czarne potoki, unoszące głazy i wielkie kawały czystego lodu. U stóp głównego lodowca wznoszą się olbrzymie gromady końcowej moreny, przecięte we środku potokiem Zerafszanu. Za morenowemi brzegami potoku następują lodowe, które się ciągną na pół wiorsty i kończą się sklepieniem lodowym, z pod którego wrywa się Zerafszan.

Wskutek silnego tajania i podmywania Zerafszanu, sklepienie to obrywa się często wraz z gromadami kamieni, naruszając od czasu do czasu martwą ciszę. Zerafszan, zaraz po ukazaniu się z pod lodu, występuje jako potężna rzeka, tak, iż z trudnością daje się przejechać wbród.

Wejście na lodowiec i postępowanie po nim było nadzwyczaj uciążliwe. Powierzchnia lodowca przedstawia zupełną pustynię. Ani lodu ani śniegu nie było i śladu, wszystko pokrywały gromady morenowe, powstałe z połączenia się mnóstwa moren środkowych. Gromady kamieni ciągną się szeregami mniej lub więcej foremnych stożków, co przy pustynnym charakterze, przy wysokiej temperaturze 25° C. i monotoni czyniło wrażenie pustyni Kizil-Kum, tylko zamiast piaszczystych wzgórz (barchanów) były tu stożki kamieni.

Z początku podróży zupełnie zapominali, że idą po lodowcu, tymbardziej, że cierpieli brak wody. Dalej w zagłębieniach między stożkami zaczęła zjawiać się woda, lecz tak błotnista, że tylko ostateczność zmuszała do używania jej. W nocy temperatura spadła poniżej 0°.

Na drugi dzień marsz był dogodniejszy, moreny zaczęły się zmniejszać, przyczym zmienił się ich skład petrograficzny: granitowe odstąpiły ku prawemu, Turkietańskiemu bokowi, a na lewym, Hissarskim, wystąpiły moreny łupkowe z bocznych lodowców Hissaru. Lodowce Hissaru odznaczają się stromością, obfitością zwikła-

nych szczelin, stosunkową krótkością i ubóstwem moren. Lodowce łańcucha Turkiestańskiego leżą w głębokich wawozach są długie, lekko tylko pochyłe i obfitują w moreny. Oba szeregi lodowców, turkiestański i hissarski, mają to wspólne, że schodzą się prostopadle z głównym. W dzień temperatura była od 30° do 40° C., w noc od od —4° C. do —6° C.

Na trzeci dzień podróży szli już po firnie, podeszli do kotła (cyrku) i do przejścia przez Alaj, które całe pokryte było typowym firnem.

Na powierzchni lodu napotykają się liczne małe, lecz głębokie, cylindryczne zagłębienia; na dnie ich znajduje się błoto, nad którym stoi woda — są to małe lodowcowe szklanki, wytopione w lodzie przez promienie słońca. Na powierzchni lodu płynie mnóstwo strumyków, które, łącząc się, tworzą lodowcowe rzeki z kaskadami. Rzeki te tworzą w lodowcu system szczelin zupełnie innych od szczelin powstałych z pękania lodu. W górnej części lodowca na prawej (turkiestańskiej) stronie zamiast granitu występuje gabbro, a na lewej (hissarskiej) zamiast łupków—granity. Zarazem lodowiec rozszerza się z 1½ do 3 wiorst. Powierzchnia lodu jest gładka bez wielkich szczelin, tylko liczne piękne stoły lodowcowe wysterczają z lodowca. W miarę zbliżania się do cyrku, moreny nikną, zaczyna się firn. Cyrk jest olbrzymi, obszar firnu, wypełniający go i zasilający lodowiec Zerafszanu, nie ma na wschodzie i południu granicy, przechodzi bowiem tak za łańcuch Alajski, jak i Hissarski, i tylko na północy grzbiet gabbrowy oddziela go od lodowców Isfary. Patrząc na ten ogromny zapas śniegu w głównym cyrku, pojmujemy dopiero potęgę lodowca Zerafszańskiego; jeżeli dodamy do tego liczne boczne lodowce-dopływy, z których każdy nie ustępuje największym lodowcom alpejskim, przy niewielkiej szerokości (1½ w.) łożyska głównego lodowca, to wystarczy to do objaśnienia: 1) niskiego pozio-

mu jakiego dosięga lodowiec (9000' t. j. o wiele niżej granicy roślinności), 2) częstych anomalji w układzie szczeplin, 3) szczególniejszego widoku powierzchni niższej części lodowca, która robi wrażenie pustyni. Rzeczywiście: ponieważ boczne lodowce prowadzą przynajmniej po 5 szeregów moren, to na powierzchni głównego lodowca tylko 1%, w szerokiej musi się pomieścić przynajmniej 30 szeregów moren, muszą więc one przy wejściu na główny lodowiec spletać się, zmieszać do tego stopnia, że nie tylko pokryły całą powierzchnię lodowca, ale nagromadziły na niej całe góry.

Z wysokości przejścia (około 14000 stóp) przed oczami podróżnych odkrywa się cudowna panorama, pełna wzniosłości i różnorodności form. Na pierwszym planie rozpościera się nieprzejrzaną pole śniegu, błyszczące oślepiającym blaskiem pod promieniami południowego słońca na bezobłocznym niebie. Śród tego morza śnieżnego sterczą tu i owdzie niby wyspy, to zębate grzbiety, to pojedyncze masywne szczyty, to śmiało zwisłe ściany skalne, rysujące się nadzwyczaj ostro na białym tle. W dali, na zachodzie wynurza się cały labirynt gór z fantastycznymi wierzchołkami, porozdzielanymi przez lśniące białe smugi lodowców; góry te, uchodząc stopniowo w dal, majaczą w przezroczej mgłę tak charakterystycznej dla całej Azji Środkowej; najbardziej oddalone wierzchołki zdają się wisieć w powietrzu, pozbawione podstawy. Z głównego pola śniegowego wynurza się zwolna lodowiec Zerafszański, surowy i martwy, przerażający swoim wspaniałym spokojem. Niby potężny pień zdaje się wypuszczać w obie strony gałęzie — lodowce boczne; prawe długie i głębokie w posępnych wąwozach, lewe strome, błyszczące z nierówną powierzchnią — jakby zastygłe wodospady. Lecz to nie wyczerpuje jeszcze obrazu. Na wschód, na dolinę Zardalu podobna panorama gór, jeszcze wspanialsza, jeszcze różnitsza: cały szereg lodowców, rozłożonych promieni-

sto, spada stromo w posepny, bezdeny wąwóz Zardalu. Powierzchnia ich pogarbiona olbrzymiemi lodospadami, popękana w niezliczone ziejące szczeliny — nadzwyczaj trudna do przebycia. Podróźni jednak przebyli średni z trzech, długość jego wynosi tylko 6 wiorst. Wskutek topograficznych warunków jak brak cyrku, spadzistość wąwozu i t. d., lodowiec Zardalu kończy się o 2600 stóp wyżej (11600 stóp) niż lodowiec Zerafszanu.

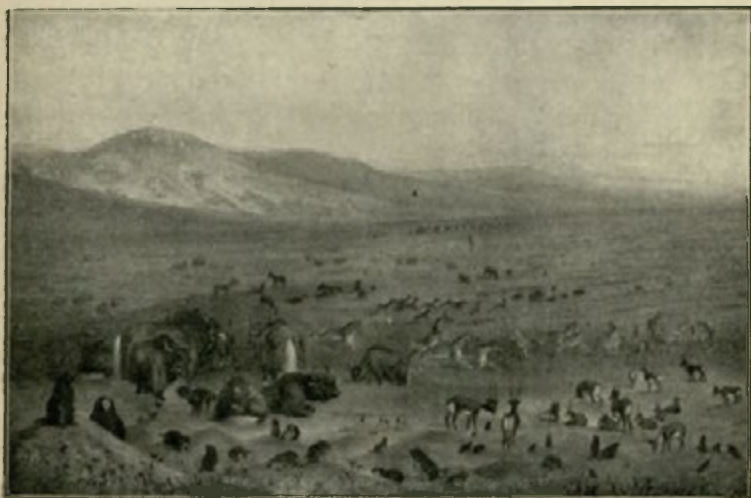
Wspólna długość lodowca Zerafszanu-Zardalu wynosi 30 wiorst. Od końca Zardalu ciągną się moreny do 10000 stóp. Jeszcze niżej leżą moreny bocznych lodowców, jedna z nich zagradza dolinę jakby groblą, a Zardal, przerywając ją, tworzy wodospad — zjawisko rzadkie w Thian-Szanie. Lodowiec Zerafszanu, łącząc się z lodowcem Zardalu, należy do dwustronnych. Na wszystkich lodowcach widać zjawisko ubywania (r. 1882).

Według *Muszkietowa*.

Z PODRÓŻY N. M. PRZEWALSKIEGO I ROBOROWSKIEGO DO LOB-NORU I ALTYN-TAGU.

Narody słowiańskie, osiadłe na kontynentalnym wschodzie Europy, a przeto odcięte od morza lub niedość z nim zetknięte, pod względem odkryć i wogóle prac geograficznych, jako też ducha kolonizacyjnego, pozostały daleko poza zbliżonemi do oceanu giermańskimi i romańskimi narodami Europy zachodniej. Wyjątek pod tym względem stanowią Rosjanie: poczęści pod wpływem bogatej sieci hydrograficznej swych ojczystych nizin, poczęści pod wpływem Normanów w samym zaraniu swego dziejowego życia wyrobili się oni na ruchliwych, nieustraszonych żeglarzy rzecznych i przedsiębrali na łodziach wyprawy awanturnicze, korsarskie lub handlowe. Ta żyłka awan-

turniczo-żeglarska pociągnęła «rosyjskiego Pizarra» za Ural i ułatwiła odkrycie i podbój Sybiru. Ta sama żyłka, otrzymawszy obecnie charakter geograficzno-naukowy, prowadzi podróżników rosyjskich w martwe lodowiska północy, na chłodne wyżyny Pamiru i ponure pustynie Azji centralnej i pomaga «północnemu niedźwiedziowi» wstrząsać i coraz bardziej osłabiać «kraty kontynentalnego więzienia». Najgłośniejsze imię z tych podróżni-



Życie zwierzęce na stepach Azji centralnej.

ków zyskał sobie w nowszych czasach pułkownik Przewalski za podróż do Lob-Noru i Altyn-Tagu. Oto co o owej podróży mówi nieodżałowanej pamięci Dr. Petermann.

«Nadzwyczaj zajmującym, ważnym i zasłużonym czynnem geograficznym jest podróż Przewalskiego z Kuldży, pogranicznego miasta rosyjskiego w dolinie Ili, przez Thian-Szan i Tarim do Lob-Noru i Altyn-Tagu. Wieńczy ona wspaniałe dzieło zbadania Azji wewnętrznej, wiąże

nasze obecne badanie z badaniami Marco Polo i innymi jeszcze dawniejszemi, oznacza na mapie nadzwyczaj ważną linię, bo idącą przez najmniej znany dotąd obszar Azji wewnętrznej. Obszar ten, jakkolwiek niezupełnie nieznan, ale umiejętnie nie zbadany, w najnowszych czasach ścieśniał się coraz bardziej wskutek badań angielskich na południu i zachodzie, rosyjskich na zachodzie i północy, oraz wiekopomnych badań Richthofena i Przewalskiego na wschodzie. Pozostawał jeszcze nie osiągnięty i nie zbadany przez umiejętnego podróżnika centralny obszar koło Lob-Noru, najgłębsze obniżenie wewnątrz owej kotliny, zamkniętej najwyższemi na ziemi górami; przez to kardynalny punkt kontynentu pozostawał ukryty. Wszystko, cośmy dotąd o tym wiedzieli, było nadzwyczaj niedostateczne, niepewne i nieokreślone.

«Według dotychczasowych map, jezioro Lob-Nor leżało bliżej systematu Thian-Szanu, według Przewalskiego zaś, tworzy ono podnóże Kuenlunu, a więc tego olbrzymiego górskiego i wyżynowego regionu, który ciągnie się nieprzerwanie od równin Indji przez Himalaje, Karakorum, wysoką krainę Khor aż do tego północnego łańcucha; Altyn-Tag Przewalskiego tworzy północny stok Kuenlunu. Tuż przy Lob-Norze wspina się ten łańcuch stromo jak ściana i dosięga już w dolinach przedgórzy 10300 stóp wysokości nad powierzchnią morza.

«Wielkie zarysy Azji wewnętrznej zyskały przez podróż Przewalskiego pewną skończoność i trwałe podstawy, ważne zadanie geografji zostało spełnione.

«Pod tym względem podróż Przewalskiego stoi na równi z tak słynnemi zadaniami, jak przebycie Australji, osiągnięcie bieguna północnego lub Timbaktu, odkrycie źródeł Nilu, przepłynięcie rzeki Kongo przez Stanleya. Podróż Przewalskiego od Kuldży do Czaglyk-bulak i napowrót, jest zupełnie tak długa, jak podróż Stanleya od Nyangwe wdół Kongo do Embomy.

«Przewalski jest podróżnikiem śmiałym, przedsiębiorczym, oględnym, zamiłowanym do przedmiotu; rozwiązuje on swe zadanie poważnie i podaje światu rezultat swych badań szybko, prosto i treściwie».

Przewalski przybył nad Tarim w tym punkcie, gdzie wpada doń Ugen-darja. Sam Tarim jest tu znaczną rzeką na 50—60 sążni szeroką i przynajmniej 20 stóp głę-



Szczyt Bogdo-Ola w Thianszanie.

boką. Woda jest dość jasna, prąd bardzo bystry. Tarim ma tu tylko jedno łóżyisko i dosięga swego najpółnocniejszego punktu. Stąd zwraca się na południo-wschód, potem na południe i przed dosięgnięciem Lob-Noru wpada do jeziora Kara-buran.

Tarim u mieszkańców tamecznych najmniej pod tym imieniem jest znany. Zwykle zowią go Jarkend-Tarim lub Jarkend-darja, t. j. tym samym imieniem, które nosi

największa ze źródłowych rzek Tarimu. Ta ostatnia nazywa się pochodząca od wyrazu «tara», t. j. rola, gdyż rzeka Tarim w swym górnym biegu używana jest na ogromną skalę do nawadniania pól.

Od Tarimu, na 50 wiorst poniżej ujścia Ugen-darji, oddziela się ramię zwane Kykala-darja, które później znów łączy się z rzeką główną. Do tego ramienia wpada z północy Koncze-darja. Prócz Kykala-darji nie ma Tarim w swym dolnym biegu żadnego znaczniejszego ramienia, i płynie po większej części w jednym łożysku. Nad brzegami po obu stronach znajdują się bagniska i jeziora. Jedne i drugie powstały po większej części sztucznie, t. j. zostały utworzone przez mieszkańców w celach rybołówstwa i hodowli bydła, dla którego sitowie, w tym nieszczęśliwym kraju, stanowi jedyną paszę. Sam Tarim przychodzi w pomoc sztucznym nawodnieniom swej doliny, albowiem wichry wiosenne pędzą kupy kurzu i piasku na zarośnięte drzewami, krzakami i trzcina brzegi rzeki, tak, iż wznoszą się one powoli, podczas gdy też same przyczyny zniżają grunt doliny, ponieważ wiatry zwiwają stąd kruchą glinę. Równocześnie podnosi się zapewne także dno i poziom rzeki, przez ciągłe napędzanie do niej kurzu i piasku. W takich warunkach dość jest przekopać brzeg, aby woda z rzeki wypływała i pokryła większe lub mniejsze przestrzenie doliny. Z wodą przychodzą także ryby do tych sztucznych jezior, a po jakimś czasie zaczyna tu rósć sitowie. Następnie kanał zostaje zasypany, jezioro miałczeje, ryby, w nim będące, łatwo dają się wyłowić, a na miejscach wyschniętych pasą się barany. Gdy sitowie zostanie spalone, można ten sam proces znowu powtórzyć i znów otrzymać ryby i pastwiska.

Ogólny charakter okolicy jest tenże sam na całym, co dopiero opisanym, dolnym biegu Tarimu: na prawej stronie rzeki ciągnie się, niedaleko od niej, naga, falista pustynia, pokryta lotnym piaskiem. Pustynia ta towarzyszy

Tarimowi nieprzerwanie aż do jego ujścia — do jeziora Kara-buran, ciągnie się dalej wzdłuż rzeki Czerczen-darja (wpadającej z zachodu do Kara-buranu) i rozciąga się na południo - zachód, prawie aż do miasta Keria. Także i w górę od ujścia Ugen-darji ciągnie się naga pustynia wzdłuż Tarimu dość daleko. Wogóle cała przestrzeń między prawym brzegiem Tarimu i oazami u stóp Kuen-Lu-



Pustynia Gobi.

nu, według wiadomości udzielonych podróżnym, jest piaszczystą pustynią, zupełnie bezludną.

Na lewym brzegu Tarimu pustynie piaszczyste są rzadsze i nie tak rozległe. Grunt składa się tam z kruchej, napojonej solą gliny, i jest poczęści nagi, poczęści pokryty tu i owdzie krzakami tamarisku, około których tworzą się wzgórki z nawianego piasku.

Roślinność nad brzegami Tarimu, oraz jego dopływów i ramion, jest nieco obfitsza; stanowią ją głównie lasy *populus diversifolia* i trzciny; łąk zaś, traw, kwiatów ani śladu! Trudno sobie wyobrazić coś smutniejszego nad te okryte kurzem lasy *populus diversifolia*, których grunt jest zupełnie nagi i tylko w jesieni pokrywa się opadniętymi, zeschniętymi liśćmi. Zeschnięte, opadłe liście, gałęzie i kora, nie gniją tutaj, lecz rozpadają się w proch, który następnie wiatry roznoszą.

Jednakże, jakkolwiek smutne są te lasy, to sąsiednia pustynia jest nierównie smutniejsza. Monotonja krajobrazu dosięga tu swego maximum. Wszędzie nieprzejrzała równina, pokryta wzgórzami, porośniętymi tamariskiem i nic więcej; nawet oddalone góry na północy, zaciemnione przepelnionym kurzawą powietrzem, widać tylko jakby przez mgłę. Żadnego ptaszka, żadnego zwierzęcia, tylko tu i owdzie ślady pewnego, zwykłego tu gryzonia!

Tarim, po połączeniu się z ramieniem Kykala-darja, płynie 70 wiorst prawie dokładnie w południowym kierunku i następnie wpada do płytkiego jeziora Kara-Buran, a raczej tworzy je swoim rozszerzeniem. Kara-Buran znaczy dosłownie «czarna burza», którą to nazwę nadali mieszkańcy jezioru dlatego, że w czasie burzy silnie się bałwani. Podczas wschodnich lub północno-wschodnich wiatrów, wody jeziora zalewają bagna solne, leżące odeń na południo-zachód. Stan wody w jeziorze jest bardzo niestały i zależy od stanu wody w Tarimie; czasem Kara-Buran zalewa szeroko płaskie swe brzegi, to znowu cofa się, zostawiając bagna solne. Głębokość jeziora jest nieznaczna, 3 do 4 stóp, czasem mniej; tu i owdzie trafiają się miejsca głębokie na sążeń lub więcej. Wolna, nie zasłonięta trzcina, powierzchnia wód, jest większa niż na Lob-Norze. Prócz Tarimu wpada do Kara-Buranu z zachodu rzeka Czerczen-Darja.

Po wypłynięciu z Kara-Buranu, Tarim coraz bardziej się zwęża; poczęści z powodu licznych kanałów, któremi mieszkańcy uprowadzają na stronę wody rzeki (w celach rybołówstwa), poczęści pustynia ściska rzekę i zwęża przestrzeń nawodnioną, palącym oddechem pochłania wilgoć i nakoniec powstrzymuje rzekę w jej dalszym biegu na wschód. Walka skończyła się, pustynia zwyciężyła rzekę, śmierć przemogła życie. Ale jeszcze przed swym końcem tworzy już bezsilny Tarim przez rozszerzenie swych ostatnich wód obszerne bagnisko trzcinowe, które od dawnych czasów znane jest pod nazwą jeziora Lob-Nor.

Nazwa Lob-Nor jest nieznaną tuziemcom; tym imieniem nazywają oni cały dolny bieg Tarimu, jezioro zaś na ujściu tej rzeki zowią Czok-Kul (t. j. wielkie jezioro) albo częściej Kara-Kurczin (lepiej Kara-Koszun).

Forma jeziora, a raczej bagniska, przedstawia nieregularną elipsę, silnie wydłużoną z południo-zachodu na północo-wschód. Największa długość w tym kierunku wynosi do 100 wiorst, szerokość nie przenosi 20 wiorst. Tak przynajmniej utrzymywali krajowcy. Sam Przewalski zbadał tylko południowe i zachodnie brzegi i na łodzi dopłynął od Tarimu do połowy jeziora; dalej nie można było płynąć z powodu płytkości i gęstej trzcinicy. Ta ostatnia porasta całe jezioro i tylko na południowym brzegu pozostawia wązką na 1 do 3 wiorst szerokości smugę wolnej wody. Prócz tego znajdują się jeszcze wpośród trzcinicy tu i owdzie małe wolne przestrzenie.

Według świadectwa krajowców, Lob-Nor jeszcze przed 30 laty był głębszy i o wiele czystszy. Od kiedy jednak Tarim mniej wód zaczął prowadzić, jezioro stawało się powoli płytsze i trzcina rozrastała się. Trwało to przez 20 lat; teraz (r. 1876) już szósty rok, jak ilość wody w Tarimie znów się powiększa, a ponieważ woda ta na dawnym, teraz trzciną porośłym, obszarze jeziora pomieścić się nie może, więc zalewa brzegi.

Tym sposobem utworzył się niedawno pas wolnej wody, ciągnący się wzdłuż południowego brzegu jeziora. Tutaj widać na dnie korzenie i łodygi tamarisków, które poprzednio rosły na suchym gruncie. Przytym głębokość wynosi 2—3, rzadko 4—6 stóp; na 300, nawet 500, kroków od brzegu głębokość nie przechodzi jednej stopy. Tak płytki jest Lob-Nor wszędzie, tylko na niektórych głębszych miejscach ma 10, niekiedy 12 — 13 stóp. Woda wszędzie jest jasna i słodka. Słoną jest tylko bezpośrednio przy brzegach, na których rozciągają się bagna solne, pozbawione roślinności. Poza pasem bagien, okalającym jezioro, ciągnie się (przynajmniej na zbadanym przez Przewalskiego brzegu południowym) wązka, z brzegiem jeziora równoległa, smuga, porośnięta tamariskami, poza tą zaś i nad nią ciągnie się kamienista równina, wznosząca się ku Altyn-Tagowi. Krawędź tej równiny była prawdopodobnie w bardzo dawnych czasach brzegiem jeziora Lob-Nor, które wtedy pokrywało swemi wodami wszystkie bagna solne.

Jezioro Lob-Nor jest bardzo rybne, lecz ma tylko dwa gatunki ryb, te same co i Tarim. Zwyczajne postępowanie krajowców przy łowieniu ryb na dolnym Tarimie i części Lob-Norze, jest następujące: obrawszy odpowiednie miejsce, kopią oni kanał od Tarimu, którego poziom, jak wiadomo, po większej części jest wyższy od otaczających nizin, i spuszczają wodę w dolinę. Powoli tworzy się tam płytkie, ale niekiedy bardzo obszerne jezioro, do którego dostają się kanałem ryby z rzeki. W maju kanał się zasypuje. W ciągu lata wskutek silnego parowania jezioro wysycha i woda zostaje tylko w głębszych miejscach, w których się ryby zbierają. We wrześniu przystępują do połowu. W tym celu robi się znów mały otwór w kanale i przed nim umieszcza się sieć. Jak tylko ryby jeziora, którym pobyt w małych przestrzeniach głębszych

miejsce stał się niemiłym, poczują świeżą wodę, śpieszą ku rzece i wpadają w sieć.

Według świadectwa mieszkańców Lob-Nor zamarza w listopadzie, a puszcza na początku marca; lód bywa gruby na 1—2 stóp. Wskutek tego w zimie życie zwierzęce, a szczególnie— wodnego ptactwa, jest tam bardzo nędzne, większa też część ptaków odlatuje wtedy na południe. Zato na wiosnę, szczególnie na jej początku, jezioro literalnie roi się wodnym ptactwem. W rzeczy samej Lob-Nor, położony wśród dzikiej bezwodnej pustyni, służy za wyborną stację dla przelotnego ptactwa z południa na północ. Gdyby nie było systematu Tarimu, to droga przelotów byłaby bezwątpienia inna. Wówczas ptaki na połowie drogi z Indji do Syberji nie znalazłyby żadnego miejsca spoczynku i nie wytrzymałyby jednym ciągiem przelotu od Himalajów poza Thian - Szan.

Musimy tu zwrócić uwagę, że przeciw takiemu zidentyfikowaniu przez Przewalskiego, odkrytego przezeń jeziora Karakoszun z Lob Norem dawnych map, leżącym u południowych stóp Thian - Szanu, wystąpił znakomity geograf Richthofen.

Przedewszystkim Richthofen zwraca uwagę, że jest absolutna niemożliwość, aby jezioro, które przez cały szereg perjodów geologicznych odbywało funkcję stałego zbiornika soli, zasilanego przez wielką rzekę, miało wodę słodką; byłoby to niemożliwe nawet wtedy, gdyby całe dorzecze Tarimu leżało w okolicach, które według zwykłego pojęcia są pozbawione soli. Tutaj jednak grunt tak obfituje w sól, że studnie z wodą słodką należą do wyjątków; nawet w wysokich na 11 tysięcy stóp dolinach Altyn-Tagu znalazł Przewalski wodę gorzko-słoną. Rzeki więc systematu Tarimu muszą unosić więcej soli, niż inne wielkie rzeki na ziemi. Osadzanie tej soli, przez ułatnianie wody w końcowym rezerwoarze, musi odbywać się w znacznej ilości, a trwanie tego procesu

przez niezmiernie długie perjody czasu winno było wywołać niezwykły osad soli stepowych wszelkiego gatunku.

Wzgląd ten razem z faktem, że w literaturze chińskiej Lob-Nor figuruje zawsze jako jezioro słone, skłonił Richthofena do wniosku, że odkryte przez Przewalskiego jezioro powstało dopiero w czasach nowszych w ten sposób, iż rzeka Tarim, o której zmienności wspominają źródła chińskie i która, podobnie jak Po, dolny Ren lub Hoangho, płynie w łożysku wysokim między groblami (wytworzonymi przez osadzanie się mułu rzecznego i piasku lotnego w zaroślach nadrzecznych), oddzieliła przy ujściu dopływu Ugen-Darji przynajmniej część wód, od swego wschodniego biegu, ku południo-wschodowi i utworzyła ujściowe jezioro Karakoszun (przepłynąwszy poprzednio przez jezioro Karaburan).

Inne względy, przemawiające za poglądem Richthofena, są: na dawnych mapach Tarim płynie wprost na wschód, a Lob-Nor leży dalej na północ, niż jezioro Przewalskiego; w dziełach chińskich niema wzmianki o górach u południowego brzegu Lob-Noru, a w miejscu jeziora Przewalskiego źródła chińskie podają inne jezioro, Khas-Omo; wreszcie według Przewalskiego Tarim przy wejściu do Kara-buranu ma zaledwie połowę tej wody, jaką toczy przy ujściu Ugen-Darji.

Tak więc, według Richthofena, Przewalski nie widział prawdziwego Lob-Noru, lecz inne jezioro, bardziej południowe.

Na powyższe wątpliwości Richthofena, Przewalski odpowiedział, że wschodniego ramienia Tarimu nie mógłby przeoczyć, idąc wzdłuż lewego brzegu rzeki; że zmniejszenie wody Tarimu przy wejściu do Kara-buranu wynika z użycia jej na nawodnienie; że wreszcie prąd Tarimu przenika daleko w jezioro Karakoszun i przez to nadaje mu wodę słodką, ale w miejscach wolnych od prądu, u wybrzeży woda jest słona.

Jakkolwiek punkty Przewalskiego nie są wystarczającymi do odparcia zarzutów Richthofena, jednakże przez długi czas kwestja ta zupełnie ucichła i mapy podawały Lob-Nor w miejscu, wskazanym przez Przewalskiego; dopiero w r. 1894 Wichman znów na tę kwestję zwrócił uwagę, zarzucając licznym podróżnikom, którzy po Przewalskim zwiedzali pomienione okolice, że żaden z nich nie zadał sobie trudu zbadania tej spornej kwestji. «Prawdopodobnie z tego powodu, że żaden z nich o niej nie wiedział».

Kwestję tę rozstrzygnął dopiero w ostatnich czasach podróżnik szwedzki, Sven Hedin.

Według niego ujściowe jezioro Tarimu zmienia swe położenie, wędruje z północy na południe i napowrót, a to pod wpływem gromadzenia się osadów rzecznych na jego dnie i wywiewania ich przez wiatry po jego opuszczeniu przez wody. Niegdyś jezioro to leżało dalej na północ pod nazwą Lob-Noru, jak wskazują dawne mapy chińskie; następnie zostało wypełnione mułem Tarimu i przewędrowało na południe w obecne miejsce, gdzie je znalazł Przewalski pod nazwą Karakoszun. Dawne dno Lob-Noru stanowi obecnie pustynię gliniastą; wiatry wywiewają tę glinę i gdy poziom jej dostatecznie się zniży, a poziom Karakoszunu pod wpływem osadów na dnie — podniesie, to wody ujściowe Tarimu znowu powrócą do starego Lob-Noru.

Mieszkańcy okolic Lob-Noru, znani pod nazwą Karakurczyńców, żyją, według Przewalskiego, w 12 wioskach, liczba ich wynosi w każdej około 300 osób.

Zdolność rozmnażania się jest u mieszkańców okolic Lob-Noru mała, do czego przyczyniają się zapewne niekorzystne warunki życia. Rzadko spotkać można familję ze znaczną liczbą dzieci, zwykle bywa ich 2 lub 3, a niekiedy tylko 1. Niegdyś liczba mieszkańców była znaczniejsza, lecz przed 20 laty ospa zabrała prawie całą ludność.

Ci Kara-Kurczyńcy, którzy żyją nad samym Lob-Norem, najlepiej zachowali swe cechy i swój wyłącznie rybacki sposób życia. Oto jak ich opisuje Przewalski. Kiedy podróżny płynie wdół Tarimu, pośród olbrzymiego szpaleru trzciny, spostrzega nagle na brzegu trzy lub cztery łodzie, a poza nimi małe wolne miejsce, na którym stoi kilka czworokątnych trzcinyowych zagród. To jest wieś. Jak tylko mieszkańcy tejże zobaczą obcego człowieka, kryją się i patrzą ukradkiem przez trzcinyowe ściany swych mieszkań. Jeżeli zobaczą w czółnie swych ziomków, to zbliżają się do brzegu i pomagają do wylądowania. Wyjdźmy na brzeg i spojrzymy dokoła. Wszędzie bagno, trzcina — nic więcej; żadnego suchego miejsca. Dzikie kaczkę i gęsi pluskają się, a dziki ryją w bagnie tuż przy mieszkaniach. Tak mało podobni są tamtejsi mieszkańcy do prawdziwych ludzi, że nawet ostrożny zwierzę nie obawia się ich.

Wejdźmy do samego mieszkania. Ta czworokątna zagroda składa się z trzciny, która jest jedynym materiałem do wszystkich budowli; nawet słupy na rogach i w środku frontu składają się z pęków trzciny. Ta sama trzcina rozpostarta jest na ziemi i tworzy cienkie pokrycie bagnistego gruntu; przynajmniej nie siedzi się bezpośrednio w błocie. Ściany są źle opatrzone, wiatr przewiewa przez nie równie łatwo, jak przez rosnącą trzcinę.

W środku mieszkania jest wygrzebana jama na ognisko; jako materiał opałowy służy znów trzcina. Roślina ta wyświadcza mieszkańcom Lob-Noru nieocenione usługi, gdyż nie tylko, że służy za materiał budowlany i opałowy, lecz jej młode wyrostki wiosenne są używane na pokarm, a liście służą na poślanie. Z tych samych liści na koniec przygotowują w lecie niektórzy, zresztą już bardziej cywilizowani, Lob-Norcy brunatną lepłą masę słodkiego smaku, której używają jako cukru.

Drugą, prawie równie ważną dla krajowców, rośliną jest *asclepias*, która, podobnie jak nasze konopie, dostarcza włókien na przędzę, z której tkają płótno na odzienie i wyrabiają sieci do łowienia ryb. Roślina ta rośnie obficie nad dolnym Tarimem, niż nad Lob Norem, tak, iż Kara-Kurczyńcy muszą udawać się po nią nad Tarim.

Ubiór Kara-Kurczyńców podobny jest do tego, który noszą Tarimcy; tylko w zimie poszywają swe suknie skórami kaczmi, garbowanemi solą. Pierze tejsze samej kaczki służy wraz z liśćmi trzcinowemi na posłanie, ale jest to już zbytek.

Wielu kładzie się bez żadnych zachodów na gołej trzcinie, rozpostartej na bagnistym gruncie mieszkania; koldry nie używają, obszarpany chałat, który noszą w dzień, służy im do przykrycia. Aby się ogrzać, Kara-Kurczyniec tarza się, spłotłszy ręce i nogi w kłębek.

Pożywienie Lob-Norców składa się przeważnie z ryb, które jedzą w lecie świeże, w zimie—suszone. Świeże ryby gotują się w wodzie, która potem bywa używana zamiast herbaty; ryby suszone, po zwilżeniu ich słoną wodą, pieką się na ogniu. Obok ryb służą także Lob-Norcom na pokarm kaczki, które łapią w sidła; jako przysmak uważają Lob-Norcy młode pędy trzciny. Chleba i baraniny nie jadają, bo tego nie mają.

Ubogi i słaby fizycznie Kara-Kurczyniec jest i moralnie ubogi: cały świat jego pojęć i pragnień zamyka się w ciasnym kółku potocznego życia; poza nim nie zna on nic. Czółno, sieci, ryby, kaczki, trzcina — to są jedyne przedmioty, których macosza natura udzieliła nieszczęśliwemu. Łatwo zrozumieć, że przy takim uposażeniu i braku wszelkiego wpływu z zewnątrz, niemożliwe jest umysłowe i moralne rozwinięcie. Ciasne koło wyobrażeń Kara-Kurczyńca nie wychodzi poza brzeg ojczystego jeziora; pozostały świat nie istnieje dla niego. Wieczna walka z nędzą, głodem, zimnem, wycisnęła na

jego charakterze piętno apatji i smutku; nie śmieje on się nigdy prawie. Jego duchowe zdolności sięgają nie dalej nad umiejętność łapania ryb lub kaczek i zadosyćuczynienia innym koniecznym potrzebom życia.

Zima jest wprawdzie niedługa, lecz bardzo ciężka dla Kara-Kurczyńców. Ich wątłe trzciniowe chaty nie mogą uchronić ich od 20-stopniowych nocnych mrozów. Prócz tego często zjawia się głód, gdy wyjdą zapasy ryb suszonych. W lecie znów dokuczają Kara-Kurczyńcom mirjady zjadliwych much i komarów, które szczególnie dają się we znaki nagim dzieciom. Z chorób nad Lob-Norem najczęstsze jest zapalenie oczów z powodu pyłu solnego, wciąż unoszącego się w powietrzu; prócz tego częste są owrzodzenia na ciele i reumatyzm.

«Tak urządzony jest, mówi Przewalski, byt Lob-Norskich biedaków, nieznanym pozostałemu światu. Gdy siedział w wilgotnej trzciniowej chacie, między półnagami mieszkańcami pewnej wioski Kara-Kurczyńskiej, nastąpiło mi się mimowolne pytanie: wiele stuleci postępu dzieli mnie od otaczających ludzi? i jak potężną jest siła ducha ludzkiego, gdy z takich istot, jakimi według wszelkiego prawdopodobieństwa byli i nasi przodkowie, rozwinąć się mogli dzisiejsi Europejczycy. Z głupkowskim podziwieniem przypatrywali mi się Lob Noryjscy dzicy, ale niemniej interesowali oni mnie. Było coś wielce zajmującego i oryginalnego we wszystkim co mnie otaczało, nad tym odległym, nieznanym jeziorem, w kółku tych ludzi, którzy żywo przypominali pierwotny byt ludzkości».

Wiosnę przepędzili podróżni na zachodnim krańcu Lob-Noru, niedaleko wioski Abdally, w bagnistej miejscowości, gdzie zajęli się polowaniem i obserwowaniem przelotu ptaków.

Obserwacje te przyniosły nowy dowód, że przeloty ptaków często odbywają się nie w najkrótszym kierunku,

południkowym, lecz w kierunku dróg dogodniejszych, chociaż dłuższych. Wszystkie stada ptaków, zjawiających się nad Lob-Norem, przychodzą z południo-południowego zachodu, rzadziej z południo-zachodu: ani jeden ptak nie przelatuje wprost z południa od Altyn-Tagu. Ta okoliczność wskazuje, że stada wędrowne, przynajmniej ptactwa wodnego, nie idą wprost od południowych stoków Himalajów na północ przez wysokie i chłodne pustynie Tybetu, lecz wybierają ten kierunek, w którym owa niebezpieczna kraina ma najmniejszą szerokość. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ptactwo przelotne ciągnie z dolin Indji w okolicy Khotanu, a stąd dopiero przez niższą i cieplejszą pustynię na Tarim i Lob-Nor. Powrót w jesieni, jak zapewnijają krajowcy, odbywa się tą samą drogą.

Możnaby przypuszczać, że Lob-Nor przez zawitanie doń tak licznego ptasiego świata, budzi się ze swego zimowego odrętwienia; ale, rzecz dziwna!—całe te masy przelotnego ptactwa mało nadają życia tej krainie. Bez wątpienia oko podróżnika spostrzeża wszędzie w pobliżu wody życie i ruch, ale w powietrzu nie dźwięczą wesole pieśni i wiosenne tony naszej strefy. Wszyscy ci skrzydlaci goście, trzymający się gromadami, nie zabawiają się, nie weselą, gdyż wiedzą, że tutaj jest tylko ich czasowa stacja i że czeka ich jeszcze dalsza, trudniejsza droga. Ani wczesnym rankiem, ani późnym wieczorem, ani w ciepły, jasny dzień nie rozlegają się nad Lob-Norem śpiewy i głosy, które dla znawcy i miłośnika przyrody droższe są, niż wszelka muzyka, miłsze niż wszelkie rozkosze.

Powietrze nad Lob-Norem było podówczas, t. j. w ciągu lutego, dość ciepłe. Około południa termometr w cieniu wznosił się do $+13,6^{\circ}$ C; w pierwszej połowie miesiąca temperatura zniżala się przy wschodzie słońca do $-15,3^{\circ}$, w drugiej połowie już tylko do $-10,6^{\circ}$ C. Niebo po większej części było powleczone warstwowemi i pierzastemi obłokami, a powietrze napełnione pyłem, jakby

mgłą lub dymem. Pył ten był unoszony w powietrze przez wiatry, które nie były wprawdzie zbyt częste lub silne, jednakże dwa razy zamieniły się w burzę (z północno-wschodu). Podczas burzy pył całymi tumanami pędził w powietrzu i zaciemnił nakoniec słońce. Na dworze nastał rodzaj zmięzchu; nie można było widzieć dalej niż sto kroków i oddech stał się ciężkim. Zwykle burza uspokajała się wkrótce, ale nawet po jej ustaniu ciemność, spowodowana przez pył, panowała całe 24 godziny. Podczas wiatru robiło się zimno, jak to bywa wogóle w całej Azji centralnej. Opadów atmosferycznych nie było całkiem; suchość powietrza była straszliwa. Tarim uwolnił się od lodów w początku lutego, ale na jeziorze lód trzymał do początku marca, chociaż zresztą bardzo był słaby.

W pierwszych dniach marca ptaki przelotne opuściły Lob-Nor. Roślinność dopiero w ostatnich dniach tego miesiąca zaczęła się budzić z uspienia; przyczyną takiego opóźnienia była nadzwyczajna suchość powietrza i perjodyczne mrozy, które zdarzały się nie tylko w nocy, ale i w dzień, gdy zawaiał silny wiatr. Pył, jak i w poprzednim miesiącu, napełniał atmosferę i osadzał się na trzcinie i krzakach, oslepiając przedzierającego się przez nie podróżnego.

Koniec marca i prawie cały kwiecień przepędzili podróżni nad dolnym Tarimem w drodze z Lob-Noru do Thian Szanu. I w tej dość lesistej krainie życie wiosenne okazało się bardzo nieznaczne, roślinność rozwijała się późno, choć w kwietniu termometr w cieniu pokazywał $+35.4^{\circ}$ C. Tylko chmury zjadliwych much i komarów unosiły się nad bagnami, a na suchych miejscach pełzały skorpjony i tarantule. Na sąsiedniej pustyni nie było ani jednej żywej istoty. Tylko częste wiry powietrzne podnosiły palący pył słupami, które, jak demony, pędziły przed oczami wędrowca.

Jeden z epigonów Przewalskiego, W. J. Roborowski za-
puścił się dalej na południe, w okolice Kuen-Lunu; oto je-
go wrażenia z tych okolic:

Rzeki, spływające z północnej krawędzi Tybetu, giną
w pasie piasków, obsypujących północne podnóża Kuen-Lunu
(grzbietu Ruskiego), lecz wsiąkszy w nie, łączą się pod
ziemią i dalej na północ występują na powierzchnię—two-
rzą jeziora, bagna i niegłębokie studnie; to występowanie
wody warunkuje pas lasów trzcinowych i tograko-
wych (*Populus Euphratica* i *Populus pruinoso*), który
ciągnie się poza pasem piasków. W pasie tym koczują
pasterze ze stadami baranów, które się karmią liśćmi to-
graków; w tym celu pasterze wyrabują lasy. Na lato
pasterze uchodzą stąd przed upałami i owadami w góry
grzbietu Ruskiego. Roborowski zmierzył tu 1 kwietnia
o godzinie 1 popołudniu temperaturę powierzchni gruntu
 $+67^{\circ}$ C. (na słońcu); latem ludzie kryją się na dzień do
studni, których woda wskutek silnego ulatniania staje się
słona. Kontrast między rozpalonymi piaskami i chłod-
niejszym pasem lasów wywołuje orkany, przebiegające ku
południowi. W dawnych czasach jednak istniało tu ży-
cie osiadłe, napotyka się bowiem zwaliska osad. Oaza
Czerczen leży zachodnią swą częścią na zwaliskach
dawnego miasta, którego szczątki sterczą wysoko wśród
dzisiejszych niskich saki. Roborowski napotkał tu-
taj znane zjawisko padania pyłu: pył szaro-żółty pokrył
całą okolicę na pół cala grubości; przebiegająca antylopa
lub zajęć pozostawiają ślady, jakby na śniegu. Tutejsi
mieszkańcy powiadają: «topa jagdy», t. j. pył pada, po-
dobnie jak u nas—deszcz lub śnieg.

W drugiej wycieczce, nad rzeką Keria, Roborowski nie
zastał w niej wody, albowiem mrozy w okolicach jej źródeł
ścięły ją w lód. Między rzeką Keria i kopalniami złota
Kan Bułak deszcze nigdy nie padają, tylko śnieg, tak zi-
mą jak i latem.

W trzeciej wycieczce, bardzo niebezpiecznej i uciążliwej, Roborowski z jednym tylko podoficerem, przekroczywszy góry przejściem na 17000' wysokim, stanął na krańcu wewnętrznej wyżyny Tybetu; kraina pozbawiona roślinności, skalista, martwa nie ma nawet porostów na skałach i gruncie. Powietrze, rozrzedzone, tak silnie pochłania wilgoć, że śnieg padający znika szybko przez ulatnianie. Deszcz zapewne nie pada tu nigdy, jak widać, z braku wszelkich wypłuczysk; są tylko szczeliny powstałe z rozpeknięć gruntu od strasznych mrozów. Na całej przestrzeni podróżni nie napotkali ani jednej żywej istoty, choćby najniższej organizacji. Martwą ciszę przerywało tylko wycie buranów i ciężkie oddychanie znużonych koni; dwa z nich padły przy objawach krztuszenia i konwulsji, trzeci i ostatni był tak słaby, iż trzeba go było prowadzić i drogę powrotną 45 - wiorstową odbyć piechotą na wysokościach 16 — 17 tysięcy stóp, po ostrych skałach, przy strasznych zamieciach północno-wschodnich, bijących w oczy śniegiem i krupami. Podróżni znaleźli wreszcie schronienie w osadzie poszukiwaczy złota, którzy «opróżnili zaraz kąt w jednej z kilku sakli, zbudowanych z nieobrobionego kamienia, i serdecznie ugościli nas herbatą i chlebem. Obdarci, drżący od zimna, kopiący złoto dla innych, a sami prawie nędzarze, ludzie ci mieli poczciwe, współczujące serca, które nie stwardniały pod ciężarem licznych własnych cierpień».

Opisy Roborowskiego tętnią żywym poczuciem przyrody i ciepłem uczuć ogólnoludzkich.

W. N.

SZTUCZNE NAWADNIANIE W AZJI ŚRODKOWEJ I WĘDRÓWKI LUDÓW.

Wiadomo powszechnie, że pośród ludów Azji Środkowej wciąż to jeden, to drugi porzuca swoje siedziby i dąży do obszarów, położonych bliżej morza; nie jest to jednak jakaś tęsknota za morzem, lecz — jak gdyby potrzeba klimatu wilgotniejszego. Te odśrodkowe prądy ludów azjatyckich trwają już od najdawniejszych czasów; początek tych prądów gubi się w mroku przeszłości, o której mówią nam coś tylko pomniki archeologiczne. Od tych prądów ludowych, naddciągających, jak burza, ucierpiała wiele nie tylko Europa, ale także, i to w wyższym jeszcze stopniu, ucierpiała Indie i Chiny.

W ścisłym związku z wędrówkami ludów zachodzą najwydatniejsze wypadki dziejowe. Potężne państwa znikają, jeszcze potężniejsze powstają, nowe ogniska kultury rozwijają się na ruinach dawnych; dawne idee, strącone, giną w pyłe zapomnienia, by ustąpić miejsca nowym. Przyczyny tych wielkich wypadków nie leżą ani w woli jakiejś potężnej osobistości, ani też w szczególnych skłonnościach pewnego ludu, lecz zawsze — w nieuniknionym przymusie. Wielkich ludzi wynoszą okoliczności; zasadniczą przyczyną wielkich wypadków jest konieczna potrzeba.

Wędrówek ludów nie można wyprowadzać ze skłonności ludów do zmiany miejsca, ani też z dążeń jakiegoś jednego wielkiego człowieka. Głębszemi muszą być przyczyny, które zmuszają pewien lud do porzucenia ognisk ojczystych, by poprzez trupy innych ludów szukać sobie nowej ojczyzny. Jakże wiele ludów zniknęło w ten sposób ze sceny dziejowej, jakże wiele szukało napróżno nowej ojczyzny, a z powrotem do starego gniazda znalazło w nim obcych przybyszów i zmuszone w ten sposób do

nowych wędrówek, zginęło w tym wirze narodów. Musi to być zaiste przyczyna szczególniejszego znaczenia, gdy zmusza ona ludy do rzucania się na tak niepewne i okrutne losy.

Wiele z tych fal ludowych łamało się na stokach Kaukazu, niby fale morskie na skalistym wybrzeżu; w niedostępnych dolinach tych gór resztki wielu ludów, rzuconych tutaj przez fale dziejowe, znalazło schronienie od zupełnej zagłady.

Wiadomo, że Azja Środkowa z klimatem kontynentalnym, niezmiernie suchym, z charakterem pustynnym, przedstawia dla osiedlenia się człowieka warunki o wiele gorsze, niż Azja Zewnętrzna («Peryferyczna»), obfitująca w deszcze i roślinność; a ludzie, którzy się w pierwszej osiedlają, zmuszeni są prowadzić osobliwy sposób życia, całkiem np. różny od naszego europejskiego.

Pośród Azji Środkowej, bezodpływowej, pustynnej, odróżnić możemy cztery wielkie obszary. Największy z nich jest to tak zwany Hanhaj, obejmujący Wschodni Turkestan, pustynię Gobi i stepy Mongolskie. Drugim z rzędu obszarem jest górska wyżyna Tybetu, należąca do najmniej gościnniejszych krain na ziemi. Trzeci, najważniejszy dla nas, obszar, tworzy równinę, rozciągającą się koło morza Kaspijskiego i wkraczającą do Europy, gdzie powoli traci charakter środkowo-azjatycki, a nabiera charakteru peryferycznego. Czwartym obszarem tego rodzaju jest stepowa kotlina Iranu.

Wszystkie wyżej przytoczone obszary mają charakter kotlinowaty, są bezodpływowe, wyjąwszy Tybet, którego większa część należy do obszarów rzek, płynących do morza.

Bezodpływowość pewnego rodzaju możliwą jest jedynie przy ubóstwie opadów, albowiem gdyby np. kotlina morza Kaspijskiego posiadała dostateczne opady, to poziom tego morza wzniósłby się i przez najniższy punkt ograniczenia, przez dolinę Manyczu, utworzyłby się odpływ na

zewnątrz. Jako skutek suchości klimatu można też uważać obfitość jezior, które, jako bezodpływowe, mają wodę słoną; gdyby ilość opadów się zwiększyła, to jeziora podniosłyby swój poziom, zyskałyby odpływ, a ten, pogłębiając wciąż swoje łożysko, dokonałby w końcu spuszczenia jezior, które przytym byłyby coraz bardziej wypierane przez gromadzenie się osadów, przynoszonych przez dopływy, spotęgowane wskutek zwiększenia się ilości opadów.

W obszarach wyżej wymienionych wznoszą się najwyższe góry na ziemi. Te strzelające ku niebu kolosy górskie są pokryte wiecznymi śniegami; poniżej krainy śniegów ciągnie się wązki pas lasów, na dnie dolin zaś rozciągają się stepy, a niekiedy prawdziwe pustynie.

Na obszarach pustynnych i stepowych uprawa zboża możebna jest tylko przy pomocy sztucznego nawadniania; przytym na pustyni życie nomadyczne jest niemożliwe, step zaś jest główną dziedziną tego życia.

Na równinach Azji Środkowej spotykają się wprawdzie pustynie, ale stepy stanowią większą część tych równin; dlatego to Azja Środkowa jest klasycznym miejscem życia nomadycznego.

Dla zupełnego rozwoju prawdziwego nomadyzmu potrzebny jest jeszcze jeden warunek: nawet nomada nie może się obyć bez płodów roślinnych, oraz niektórych takich artykułów przemysłu, których w swym ruchliwym życiu nie może sobie sam przygotować. Tak więc dla zupełnego rozwoju nomadyzmu potrzebnym jest w sąsiedztwie stepu lud rolniczy. Takie obszary rolnicze ograniczają się do wązkich pasów ziemi u stóp gór; rolnictwo tutaj jest umożliwione przez spływające z gór potoki, dostarczające wody dla sztucznego nawadniania.

Między ludźmi, zajmującymi się na tych pasach rolnictwem przy pomocy sztucznego nawadniania, a nomadami istnieje więc ścisły związek ekonomiczny. My,

mieszkańcy obszarów lesistych lub przynajmniej sawanowych, możemy być równocześnie i pasterzami i rolnikami; inaczej na prawdziwym stepie: tutaj musiał nastąpić podział, zróżniczkowanie życia ekonomicznego na dwie części, ściśle ze sobą związane, wzajemnie od siebie zależne.

Nomada, hodujący bydło, zależy zarówno od rolnika ze sztucznym nawadnianiem, jak ten zależy od nomady. Rolnik otrzymuje od nomadów mięso, skóry, wełnę i t. d. i tylko od nich, gdyż sam hodowlą bydła zajmować się nie może: musi najmniejszy kawałek gruntu zużytkować dla wytwarzania płodów roślinnych. Nomada zaś potrzebuje wielu produktów, wytwarzanych przez rolnika, mianowicie bądź płodów rolniczych, bądź artykułów przemysłu. Tak np. w Saharze Beduini należą do nomadów, mieszkańcy oaz — do rolników. Naturalnie Sahara jest zbardzo pustynią, pastwiska są w niej bardzo skąpe, dlatego też stosunki ekonomiczne między obu częściami ludności nie mogą tutaj być normalne: nomadzi Sahary nie są w stanie wytworzyć takiej ilości produktów, która mogłaby wystarczyć na ich utrzymanie; zmuszeni są oni więc zdobywać na mieszkańcach oaz siłą to, czego nie mogą otrzymać drogą handlu. Odbywa się to albo drogą rabunku oaz albo nakładania zbyt ciężkich danin pod pozorem obrony rolników od innych nomadów.

Na stepach Azji Środkowej ten stosunek między rolnikiem a nomadą jest normalny, a nawet zdaje się, że tutaj rolnik posiada nad nomadą pewną przewagę. Wprawdzie i tutaj nomada jest gwałtownikiem, ale rolnik potrafi mu przeciwstawić podstęp i spryt. Obaj jednak potrzebują się wzajemnie, by móc żyć.

O sposobie życia nomadów posiadamy już bardzo wiele wiadomości, daleko mniej — o życiu ludów tamtejszych, zajmujących się rolnictwem przy pomocy sztucznego na-

wadniania; musimy sobie obraz tego życia odtworzyć na podstawie bardzo rozrzuconych, ułamkowych danych.

Przedewszystkim musimy zwrócić uwagę na sposoby sztucznego nawadniania. Metody, według których sprowadzaną bywa woda do polewania pól, są różne. Na wschodniej krawędzi niziny Turanu i we Wschodnim Turkiestanie do polewania pól służy woda potoków, spływających z gór; na krawędzi stepów Mongolskich do tego samego celu posługują się wodą ze studzien. W Persji znów zbierają wodę w podziemnych kanałach i stąd wyprowadzają na powierzchnię.

Na krawędzi stepów, u stóp gór, posiadających lodowce, występują zwykle olbrzymie stożki nasypowe; mierzą one wiele kilometrów średnicy w podstawie, a pochyłość ich jest tak łagodna, że wstępując od podstawy do wierzchołka takiego stożka, zaledwie dostrzegamy wzniesienie, jakkolwiek różnica wysokości między podstawą a wierzchołkiem stożka może wynosić setki, a nawet tysiące metrów.

Zaledwie potok górski opuści swą niedostępną górską dolinę i wstąpi na swój stożek nasypowy, woda jego jest już opanowana przez człowieka; już tutaj rozprawdza ją człowiek kanałami, by mniej pustylny obszar stożka nasypowego zaopatrzyć w wodę. Pozostała woda dosięga stóp stożka, gdzie zaczyna się właściwa kultura. Tutaj łączą się w łańcuch nieprzerwany kwitnące oazy, które tak wyczerpują wodę potoku, że pustynia, czy step nic z niej zwykle nie otrzymuje. Tak np. nikną dopływy Tarimu, gdy tylko dosięgną stóp swych stożków nasypowych, rozciągających się na krawędzi kotliny Wschodniego Turkiestanu. Los ten spotyka np. rzeki Czerczen-darja i Kerija-darja we Wschodnim Turkiestanie, a również rzeki Czu, Zerafszan i Murghab na nizinie Turanu. Istnieją wprawdzie jeszcze dolne części dolin tych rzek, zamiast wody posiadają one jednak piasek lotny.

Kanały nawadniające są urządzone z wielką starannością w ten sposób, żeby woda mogła być rozdzielona możliwie jednostajnie przy małym spadku na wielki obszar. Trzeba podziwiać, jak małymi wiadomościami technicznymi, jak pierwotnymi narzędziami, zostały przeprowadzone te kanały, zwane przez ludy tureckie «arik». Można powiedzieć, że niwelacja tam została przeprowadzona na oko i woda została rozdzielona z tak zadziwiająco oszczędnością, że ani kropla nie pozostaje tam bez użytku. Doskonale nadają się do tego jednostajnie i łagodnie pochylone powierzchnie stożków nasypowych, nie poślizgnięte w tym stopniu przez wody płynące, jak to bywa w naszych, bardziej dżdżystych okolicach. Gdzie kanał nawadniający jest przecięty przez dolinę czasowego potoku, tam albo kanał, albo czasowy potok jest przeprowadzony po moście. Obawa przed wylewami dzikich potoków jest bardzo wielka, gdyż mogą one łatwo zniszczyć urządzenia nawadniające na znacznej przestrzeni.

Część zbywającej wody dosięga właściwej doliny rzecznej; co zaś z wody użytej na nawodnienie spływa dalej, to jest doprowadzane do rzeki zapomocą osobnych kanałów. Przy niskim stanie wody taki kanał odprowadzający służy szczególnie do ochrony zbóż od powodzi, spowodowanych przez wylewy.

Jeżeli kanały nawadniające i odwadniające znajdują się w dobrym stanie, to wydajność pól jest bardzo obfita i mieszkańcy oazy żyją w zamożności.

Urządzenia nawadniające w Persji przedstawiają pewne różnice od systemu wyżej opisanego. Mianowicie ponieważ tam woda niknie w odtoczysku stożków nasypowych, więc nie może bezpośrednio służyć do jego nawodnienia. Dla zaradzenia temu używane są tutaj tak zwane «kares». Na szczycie stożka nasypowego kopie się głęboką studnię, sięgającą do wody gruntowej; poniżej tej studni, w kierunku pochyłości stożka, kopie się nowa

studnia i łączy się ją z pierwszą zapomocą tunelu. Czynność ta powtarza się wciąż wdół stożka, przyczym głębokość każdej studni jest coraz mniejsza, aż wreszcie u stóp stożka tunel wychodzi na powierzchnię ziemi i tu wypływa z niego cenny strumień wody. Jeżeli koło takiego «karesu» przechodzi droga, to studnia posiada schody, aby podróżny mógł łatwiej zaopatrzyć się w wodę.

Przy takim urządzeniu powierzchnia stożka nasypowego jest zupełną pustynią; dopiero u stóp jego rozciąga się oaza.

Na suchszych obszarach Chin środkowych i na południowej krawędzi stepów Mongolskich istnieje też coś podobnego: wodę do polewania pól wyciąga się czerpakami z głębokich studzien lub strumieni.

Jeżeli w Azji Środkowej przez czas jakiś panuje spokój niczym nie zakłócony, to pola dostarczają obfitych plonów i gęstość zaludnienia szybko wzrasta. Gdy wzrost ten dojdzie do takiej cyfry, że ludzie zaledwie już mogą żyć z tego, co daje oaza, to następuje stan nadzwyczaj niebezpieczny; życie setek tysięcy ludzi zależy od stanu urządzeń nawadniających, a stan ten jest rzeczą bardzo nietrwałą. Te kanały nawadniające, wyłożone kamieniami lub tylko wylepione gliną, potrzebują nieustannej pieczy, gdyż każde zaniedbanie może spowodować najfatalniejsze następstwa. Mieszkańcy oaz wiedzą o tym doskonale, nie dziw też, iż otaczają oni większe urządzenia nawadniające pewną czcią religijną.

Mimo to jednak, mimo największych starań, położenie jest wciąż bardzo niebezpieczne, życie mieszkańców wisi wciąż na włosku.

Tysiączne bowiem zaiste niebezpieczeństwa grożą tym urządzeniom: nadmiar wody i susza, burze i trzęsienia ziemi, ludzie i zwierzęta — wszystko to może im przyczynić niezmiernie w skutkach szkody. Najważniejszymi niebezpieczeństwami są następujące:

1. Zaczniemy od najmniej dających się przewidzieć — od *trzęsień ziemi*. Wschodnia krawędź niziny Turanu stanowi znany obszar sejsmiczny. Niedawno jeszcze straszne trzęsienie ziemi, Andiszanskie przyprawiło o śmierć niezliczone mnóstwo ludzi i zniszczyło liczne budowle oraz inne urządzenia. Trzęsienie ziemi może zmienić pochyłość jakiejś równiny, a stąd wyprzeć rzeki z ich łóżysk, może zasypać kanały lub pozbawić je wody, która zniknie w szczelinach sejsmicznych. Wprawdzie wypadki takie nie są nam znane, ale bardzo prawdopodobne, zwłaszcza w Ferganie.

2. Niezwykłe oberwanie się chmury może spowodować straszne zniszczenie: olbrzymie masy rumowiska i błota pędzą wtedy ku dołowi i wypełniają kanały, tak, iż nie pozostaje z nich ani śladu. Gdy powódź spłynie, rzeka nie znajduje już pierwotnego łóżyska i wyszukuje sobie nowej drogi, co zmusza do zupełnie nowych urządzeń kanalizacyjnych.

3. Nawet zupełnie normalna praca erozyjna i akumulacyjna wody płynącej może spowodować zmianę łóżyska rzeki; dość jest większego rozwoju stożka nasypowego po jednej jego stronie, by kierunek strumienia, po nim spływającego, wyprzeć ku drugiej stronie — strumień opuszcza dawne łóżysko i żłobi sobie nowe. Zmiana położenia jeziora Lobnor, stwierdzona przez Sven Hedina, również tutaj należy. Daleko wspanialsza i w skutkach groźniejsza była zmiana kierunku rzeki Hoangho roku 1854. Katastrofa ta właściwie nie należy do obszaru bezodpływowego, lecz do peryferycznego, ale to w danym razie nie zmienia rzeczy, gdyż sposób życia Chińczyków jest w tej części Azji ściśle związany ze sztucznym nawadnianiem, albowiem głównym zbożem tutaj jest ryż, a ten potrzebuje zawsze obfitego, sztucznego polewania pól.

Rzeka Hoangho do roku 1852 płynęła ku południowschodowi od Kaiföng-fu i wpadała do morza wspólnie

z Jang-tse-kiangiem. Cała jej okolica posiadała wyborne urządzenia nawadniające i bardzo gęsta ludność dosięgnęła tu wysokiego stopnia kultury. Naraz, w czasie bardzo wysokiego stanu wody, rzeka przerwała tamy, porzuciła swoje pierwotne łożysko i w północno-wschodnim kierunku znalazła sobie nowe ujście do morza na południe od ujścia rzeki Peiho, omijając tym sposobem całą prowincję chińską, Szantung. Na swej nowej drodze rzeka zniszczyła naturalnie wszystko, co napotkała; zginąć przy tym miało przeszło dwa miliony ludzi, niewielu świadków tej katastrofy pozostało przy życiu. To jednak nie należy do naszego tematu. Nam chodzi o to, co się dzieje dalej na obszarze, opuszczonym przez rzekę. Naturalnie wszystkie tak piękne urządzenia kanałowe uległy zupełnemu zniszczeniu. Pola ryżowe wyschły i nastąpiła klęska głodowa. Ludzie oczekiwali jeszcze czas jakiś, że niewierna rzeka powróci w swe dawne łożysko, lub, że rząd chiński postara się nanowo ją do niego doprowadzić. Gdy jednak przekonali się, iż rzeka nie wraca, a rząd rozpoczął nawet regulacje nowego łożyska, szukali w części ucieczki od śmierci w emigracji, a wynikiłe przy tym powstanie mogło być stłumione tylko przez wytepienie powstańców prawie do ostatniego człowieka.

4. Nagła susza sprowadza podobne skutki. Rzeki górskie wskutek jednego tylko roku, ubogiego w deszcze, mogą stracić tyle na ilości wody, że nie są w stanie wystarczyć na nawodnienie całego danego obszaru. Stąd wynikają zamieszki pośród ludności, zjawia się niezadowolenie i nędza, a gdy po pierwszym roku suszy nastąpi taki sam drugi, to katastrofa jest zupełna.

Z takich wahań klimatycznych wynikają np. ciągle zmiany położenia błotnistej jeziora Hamun w Iranie. W jeziorze tym kończy swój bieg rzeka Hilmend, której delta była niegdyś bardzo zaludniona. W pierwszych dziesiętnościach lat XIX stulecia brzeg tego bagniska odsunął się

od delty Hilmendu na znaczną odległość; w roku siedemdziesiątym kultura rolna musiała się posunąć za ustępującym jeziorem, porzucając miejsca dawne, gdyż z powodu obniżenia poziomu wody stojącej grunt nie posiadał już, jak przedtem, dostatecznej wilgoci. W najnowszych czasach poziom jeziora znów się podniósł i część nowo założonych pól dostała się pod wodę; podróżnik Pumpelly opowiada, że niektóre prace rolne odbywały się tam w wodzie. Naturalnie obszar jeziora był już niegdyś większy, ale był też i mniejszy, niż dzisiaj; to nam objaśnia, dlaczego na delcie Hilmendu, równoległe do brzegu jeziora, ciągną się niezliczone ruiny. Obszary, na których występują ruiny, nie były pod wodą od czasu, gdy zrujnowane obecnie budowle zostały wzniesione — ruiny te są tego rodzaju, iż zalew musiałby je zniszczyć, albowiem cegły nie wypalane nie mogłyby się oprzeć wodzie. Możliwą jest rzeczą, że tutaj istniały również ruiny o wiele starsze, które padły ofiarą ostatniego zalewu. Dzisiaj pozostały tylko te, które od czasu zrujnowania nie były zalane.

Ważną tu jest ta okoliczność, że zrujnowane budowle zostały opuszczone nie wskutek nagłej katastrofy, lecz powoli, w miarę jak kultura musiała postępować za ustępującym brzegiem jeziora. Podobne stosunki spotykamy na Węgrzech nad jeziorem Balaton. Obcokrajowiec, nie znający stosunków miejscowych, będzie zdziwiony widokiem wielu ruin i porzuconej kultury: byłby on przekonany, że tu miała miejsce jakaś katastrofa, która kosztowała życia wielu tysięcy ludzi; tymczasem w rzeczywistości nie było nic podobnego: winnice ginęły powoli, piwnice stawały się zbyteczne, właściciele przestali się o nie troszczyć i porzucili je. Wiele z tych porzuconych piwnic uległo pożarowi, ale nie wszystkie równocześnie.

Zmiana kultury była tu przyczyną upadku i ruin.

5. Jednym z największych niebezpieczeństw, grożących obszarom sztucznego nawadniania, jest *wrogość ludzi*:

mściwy nieprzyjaciel może tu zrządzić szkody olbrzymie. Szczególniej łatwo jest nieprzyjacielowi nałożyć haracz na rolników takiego obszaru: potrzebuje on tylko stać się panem głównego kanału, aby trzymać w poddaństwie cały obszar sztucznego nawodnienia. Nie dziw też, że obszar taki bywa otaczany obwarowaniami, wzdłuż kanału głównego znajdują się wszędzie posterunki wartownicze, a na granicy obszaru wznoszą się wieże strażnicze, z których można wciąż śledzić, co się dzieje daleko na stepie i zawczasu przygotować się do grożącego niebezpieczeństwa.

Naturalnie, że bardzo często, wobec przewagi nieprzyjaciela, wszystkie te środki okazują się bezskuteczne, a wtedy nieprzyjaciel niszczy cały kraj, lub przynajmniej urządzenia nawadniające.

Historja opowiada nam o wielu wypadkach tego rodzaju, ale historycy, zwłaszcza dawniejsi, zwykle niewiele zwracają uwagi na kwestje nawadniania i sposobu życia ludu rolniczego, podnoszą natomiast wielkie czyny wodzów i ich wojsk.

6. Największe jednak niebezpieczeństwo grozi urządzeniom kanałowym ze strony *złej administracji* — zde-moralizowanych lub niedbałych urzędników. Mezopotamja, Egipt i Persja dostarczają na to najlepszych dowodów. W ostatniej zupełne zwyrodnienie moralne rządu doprowadziło naród do stanu żebraczego.

Jeszcze wymowniejszemi być może świadectwami tego są owe ruiny, których szeregi ciągną się we Wschodnim Turkiestanie i które dzięki badaniom Aurelego Steina zyskały na sile dowodowej.

Nie ulega wątpliwości, że oazy Wschodniego Turkiestanu znajdowały się w stanie kwitnącego rozwoju, dopóki w Chinach panował porządek; gdy jednak rząd zaczął się psuć, oazy te zaczęły również upadać i zwolna opustoszały. Nie było tu katastrofy, lecz zmiana powolna;

mieszkańcy opuścili te oazy nie nagle, jakby się to mogło wydawać na podstawie opisów Sven Hedina; było to raczej wywędrowanie, przy którym człowiek zabiera ze sobą wszystko, co nie jest pozbawione pewnej wartości, jak np. porozbijane naczynia, lub nie jest zbyt ciężkie, jak np. wielkie posągi. Oazy te zostały opuszczone również nie z powodu zasypania piaskiem, lecz wprost z powodu popsucia się urządzeń nawadniających.

Fałszywie byłoby wnioskować z istnienia tych ruin, że Azja Środkowa znajduje się obecnie w perjodzie wysychania. Ilość wody w rzekach jest bardzo wrażliwa: na najmniejszą zmianę klimatu ilość wody w rzekach reaguje bardzo silnie, a jeszcze silniej—ta ilość wody, która służy dla celów nawadniania; przy najmniejszym zaniedbaniu kanałów będą one zaraz zużytkowywały daleko większą ilość wody, aniżeli kanały normalne. Dalej nie obojętną jest rzeczą, jak wielka część obszaru, ciągnącego się bezpośrednio u stóp gór, jest objęta w system nawadniającego. Jeżeli obszar ten zmniejsza się, to masy wody rzecznej mogą być rozprowadzane na większą odległość i odwrotnie, przy większym obszarze nawadnianym u stóp gór, obszary dalsze, niżej leżące, otrzymywać będą mniej wody. Przy niedbałej administracji łatwo może się zdarzyć, że na tę ważną kwestję rozkładu wody nie będzie zwrócona należyta uwaga, co odbije się smutnie na bardziej oddalonych, niżej leżących okolicach. Wówczas ludność z tych niższych okolic zacznie wędrować w górę do stóp gór, do głównego obszaru nawodnienia, co spowodzi wielkie zamieszki, gdyż tutaj już każdy kawałek ziemi i każda kropla wody są zużytkowane.

Zewnętrzne granice nawodnionego kraju oznaczają maximum, do którego nawodnienie wogóle kiedykolwiek dosięgło. Naturalnie, że w pobliżu stóp gór nie napotkamy tu żadnych ruin, gdyż w razie, gdyby tu one z jakiej-

kolwiek przyczyny kiedyś były, to zostały szybko pokryte przez nową kulturę.

Zniszczenie urządzeń nawadniających może być albo nagłe, albo powolne. Pierwsze może być wywołane przez trzęsienie ziemi, oberwanie się chmury lub przez najście nieprzyjaciela. Daleko częstsze są zniszczenia powolne, spowodowane przez zmiany klimatu, zmiany łożyska lub poziomu rzeki i wreszcie niedbalstwo administracji.

Skutki zniszczenia nagłego są dla mieszkańców oazy straszliwe. Wśród pustyni czy stepu, w których tylko nomadzi żyć potrafią, w sąsiedztwie dobrze obwałowanych i bronionych obszarów nawodnienia, w których zapas wody jest zużyty do ostatniej kropli, gdzie więc niema miejsca dla nawiedzonych nieszczęściem, grozi im śmierć głodowa.

I gdzie się mają udać? — O odbudowaniu urządzeń nawadniających niema co myśleć, bez nawodnienia zaś nie wyrośnie ani źdźbło trawy w zniszczonej okolicy. Jakże smutny obraz przedstawiać muszą wyschłe kanały i wypalone zboża! Nieszczęśliwy lud składa swe rzeczy na wozy i puszcza się w drogę do okolic, gdzie bądź łatwiej założyć nowe kanały, bądź też można uprawiać zboże bez sztucznego nawadniania. Jeżeli ludność stepu nie zwiększyła się jeszcze do tyła, iż każdy dogodny kawałek kraju jest zajęty, wówczas wywędrowanie może jeszcze uratować nieszczęśliwych; ale co robić, jeżeli już niema miejsca na schronienie? — wówczas lud wędrujący musi czy to siłą, czy podstępem zdobyć dla siebie miejsce nad żywą wodą. Ilość wygnanych bezdomnych wędrowników z biegiem czasu zmniejsza się. To tu, to tam któryś z nich pozostaje: śmiertelność jest pośród nich straszna, niektórym udaje się przyczepienie się gdzieś, inni osiągną to przez podstęp lub gwałt; i taka chmura ludzka, rodząca niepokoje, ciągnie dalej.

Nagle zniszczenie urządzeń nawadniających sprowadza za sobą zwykle upadek jednej tylko oazy, nieszczęście nie rozprzestrzenia się na zbyt wielkie obszary. Mieszkańcy oazy porzucają swe siedziby i zamieszanie wzrasta z ilością opuszczonych oaz. Wychodźcy w poszukiwaniu nowego kraju gromadzą się w coraz większe kupy. Nomadzi zaś, którzy już bardzo przywykli do «swego» ludu osiadłego, nie są zadowoleni z tych ruchów: nie mogą oni egzystować bez rolników. Niepokój więc udziela się i nomadom — objaw to bardzo niebezpieczny.

Nomadzi nie opuszczają swych rolników, lecz stają na czele wychodźców, aby im przygotować nową ojczyznę, a syn stepu nie żartuje — żąda stanowczo, a gdy mu odmawiają, chwyta za broń, wygania obcych rolników z ich siedzib i osiedla tam swoich, poczym ciągnie dalej w stepy, aby i tam umocnić swe panowanie, gdyż potrzebuje pastwisk.

A gdy suchość klimatu utrzymuje się dalej, t. j. gdy ilość wody, spływająca z gór, wciąż się zmniejsza, wówczas wyżej określone katastrofy następują jedna po drugiej. Podobnie rzecz się ma w obszarach przeludnionych ze złą administracją. Wszędzie rojno i niespokojnie, jeden drugiemu przeszkadza w spokojnej pracy, aż wreszcie rozpoczyna się prawdziwa wędrówka ludów.

W stepach już niema miejsca odpowiedniego, w długich niepokojach wyczerpały się środki żywności, nawodnienie ustaje działać, wioski są zniszczone i przerażony lud szuka w rozpaczycy ucieczki gdziebądź; tę jednak można znaleźć już tylko w takiej okolicy, gdzie rolnictwo prowadzone jest bez sztucznego nawadniania.

I potok ludzki rzuca się ze stepów na obszary peryferyczne.

Najbliżej leżą Chiny Właściwe. Dopóki na obszarze tym nie było uporządkowanego ustroju państwowego, nie trudno było obszar ten zająć. Chińczycy sami przybyli do

swej dzisiejszej ojczyzny w ten sposób; wiadomo, iż przybyli tu oni z oaz u północnych stóp Nanszanu. Najście ich podobne było do najścia Madziarów na nizinę Pannonji: nie wytepełili oni napotkanych ludów, lecz osiedlili się pośród nich i uczynili ich sobie podwładnemi.

Tutaj musimy wspomnieć o pewnej kwestji, która wprawdzie pozornie brzmi nieco paradoksalnie, ale którą historia potwierdza w sposób uderzający.

W stadjum kultury pierwotnej obszary nawadniane są zawsze najgęściej zaludniane, a ich mieszkańcy stoją na wyższym stopniu kultury, niż mieszkańcy obszarów, zdatnych do rolnictwa bez sztucznego nawadniania. Ogniska kultury w ciągu całej starożytności, a wyjąwszy Europę, i później, znajdowały się zawsze na obszarach sztucznego nawadniania. Egipt, Asyrja, Babilonja, Indje, Azja Mniejsza, Persja — wszystkie te kraje są obszarami sztucznego nawadniania; nawet w Ameryce tam tylko mogła się rozwinąć wyższa kultura, gdzie ludzie zmuszeni byli używać sztucznego nawadniania: w Meksyku i Peru, na wyżynach bezodpływowych, przypominających azjatyckie. Czyż okoliczność ta nie jest zadziwiająca? Pola Rzymian i Greków były uprawiane również przy pomocy sztucznego nawadniania.

Nie może to być przypadkiem, że obszary sztucznego nawadniania odegrały tak wybitną rolę w dziejach kultury ludzkiej. Zdaje się, iż człowiek tam tylko był skłonny i zdolny do rozwoju kulturalnego, gdzie zmuszony był do pracy i walki, gdzie tylko przez wielkie napięcie swych sił umysłowych i fizycznych mógł sobie zdobyć środki utrzymania. Niejeden człowiek wtedy dopiero zaczyna pracować i zastanawiać się, gdy mu zaczyna brakować środków do życia.

Co się stosuje do jednostki, to i do całych ludów; łatwo to zrozumieć, jeżeli się weźmie pod uwagę, że tylko takie zrzeszenie jest zdolne do rozwoju, gdzie

każdy członek zmuszony jest pracować na swe utrzymanie.

Wszystkie powyższe momenty razem wzięte są przyczyną, że mieszkańcy obszarów sztucznego nawadniania mogli osiągnąć wyższego stopnia rozwoju, aniżeli mieszkańcy dżdżystych obszarów peryferycznych, które umożliwiały łatwiejszy sposób życia. Trzeba tu zastrzec, iż kwestja tyczy się pierwotnych stadjów kultury, gdyż w dzisiejszych stosunkach np. ludność Europy walczy równie ciężko o byt, jak mieszkańcy najgorszych stepów — w pierwszym razie walkę tę wywołuje przeludnienie.

Wróćmy jednak do wychodźców z oaz, którzy dążą do obszarów peryferycznych. Dopóki Chiny były zaludnione wyłącznie przez autochtonów, imigracja nie napotykała tutaj znacznych trudności, gdy jednak ludy, przybyłe tutaj z obszarów sztucznego nawadniania, przyniosły ze sobą wyższą kulturę, powstała zaporą dla nowych inwazji. Chińczycy chronili się, podobnie jak Rzymianie, od najścia nomadów zapomocą wałów warownych. Podczas jednak, gdy wały rzymskie były sypane z ziemi, to Chińczycy wznosili mury, których szerokość pozwalała umieścić na nich nawet kawalerję. Podziwiamy zwykle wspaniałe obronne prace Rzymian, podczas gdy o murze chińskim odzywamy się zwykle z lekceważącym uśmiechem, jako o oznace tchórzostwa; a przecież ta wspaniała budowa miała zupełnie ten sam cel, co i wały rzymskie — ochronę obszarów kulturowych od najścia barbarzyńskich nomadów. Mur chiński powstrzymał niejedno najście nomadów, którzy następnie zalewali Europę. Tak np. napad Mongołów był falą, odbitą od muru chińskiego, która zwróciła się ku Europie, gdzie nie było żadnych wałów lub murów obronnych, a nawet uporządkowanego wojska.

Wędrowki ludów są bezwątpienia jednym z największych zjawisk dziejowych; niema, zdaje się, żadnego epokowego

wypadku, któryby nie znajdował się w jakimś związku z nie-
stałą równowagą ekonomiczną obszarów bezodpływowych.
Kultura Mezopotamji, jej oddziaływanie na dzieje Azji za-
chodniej i krajów śródziemnomorskich, chwilowe zdobyw-
cze zapędy Persów, przybycie Indusów do ich obecnej oj-
czyzny, jak i wytworzenie się kast, przywędrowanie Chiń-
czyków i wysoki rozwój ich kultury, całe dzieje Egiptu,



Mur chiński.

biblijne wędrówki Żydów i ich rozproszenie się, powstanie
kultury greckiej, to jest przybycie do Grecji przodków lu-
du Helleńskiego, rozpadnięcie się państwa Rzymskiego,
wielka wędrówka ludów, najście Hunnów i Awarów, przy-
bycie Madziarów i Kumanów, najścia Mongołów, zwanych
błędnie Tatarami, a zapewne i podboje Turków, bezwątpie-
nia zaś światowe panowanie Arabów, zwłaszcza jego złota
era w Hiszpanji (sztucznie nawadniane *huertas*), wysoka

kultura amerykańskich Inków i Azteków — wszystko to są wydarzenia największej historycznej doniosłości, które znajdują się w ścisłym związku ze sztucznym nawadnianiem.

Według *J. Cholnoky'ego*.

STEPY DAURSKIE

Na południe od słynnego górniczego miasta Nerczyńska, w prowincji Zabajkalskiej, między Szyłką i Argunją, dwoma potężnymi strumieniami źródłowymi Amuru, rozciągają się stepy Daurskie. Wielka mongolska pustynia Gobi wysyła tu swą gałąź północną, która swą fauną przypomina wyżyny Azji Centralnej. Step te przedstawiają wyżynę, nie dosięgającą w najwyższych punktach 1000 metrów. Na grzbiecie tej wyżyny biegną łańcuchy gór w różnych kierunkach, zamykając szerokie doliny z solnym dnem; w zagłębieniach częściej napotyka się tu wykwy soli Glauberskiej i sody, niż lustra jezior. Przytym jeziora tutejsze są zwykle tylko czasowe; w lecie wysychają, a niektóre nawet znikają zupełnie na cały szereg lat. Nieliczne rzeczki wzbierają tylko w czasie topnienia śniegów. Przy takim ubóstwie wód i wysokim położeniu łatwo się domyśleć, że powietrze jest tu bardzo suche, zwłaszcza, gdy przyjmiemy pod uwagę, że z południa przytyka tutaj niezmiernie pustynia, z północy zaś góry i lasy powstrzymują chmury deszczowe.

Gdy podróżnik wkroczy na te stepy z północy, to oczom jego ukażą się liczne pagórki, wysterczające z równiny; pagórki te zawdzięczają swe powstanie gromadnie żyjącym bobakom; prócz tego grunt jest podminowany przez myszy polne. Rącze konie zapadają się w takich miejscach; mogą sobie połamać nogi. Roślinność stepowa też przyczynia się do urozmaicenia stepu, a zarazem do

utrudnienia po nim podróży. Nizkie krzaki cierniste dają oparcie piaskom lotnym, które, nawiewane przez wiatr, zasypują taki krzak i tworzą na nim trzy do pięciu stóp wysoki pagórek; na wiosnę z pagórka takiego zasypyany krzak wyrasta wyżej i daje dalszą podstawę dla gromadzenia się piasku.

Podróżnik Radde, który przybył na te stepy jeszcze w czasie zimy, tak opisuje swe wrażenie: przyroda stepu leżała pogrążona jeszcze w głębokim śnie, tylko zrzadka ptaki przelatywały ponad pustemi ulicami pogranicznego posterunku kozackiego, w którym zatrzymał się podróżnik. We wsi panowała cisza, nieprzerywana nawet szczekaniem psa podwórzowego, nie ożywiało jej ptactwo domowe, gdyż kury od jesieni przebywały w izbach pod piecem. Wszystko szukało schronienia przed mrozem i wichrem pustyni, nad którą rozpięte niebo pokrywało się coraz bardziej chmurami śniegowemi. Tylko Mongoł, przywykły od dzieciństwa do tej surowej przyrody, nie obawia się jej; okutany w futro z szerokimi rękawami, dosiada on konia, z którym jest jak najbardziej zbratany i pędzi przed siebie w mroźną dal, która jest jego ojczyzną; zna on tu doskonale każdy kamyk, każde wzniesienie, każde źródło i wszystkiemu nadał osobne nazwy; potrafi on zgóry przewidzieć stan pogody i odpowiednio się doń zastosować: dzisiejszy dzień nie będzie pomyślny, pogoda będzie zła, będzie dał silny wiatr i pędził przed sobą tumany śniegu, step wtedy jest straszny, śmierć i zniszczenie grozi ludziom i zwierzętom.

Burza się zrywa, matowa tarcza słońca ledwie jest dostrzegalna poprzez pędzone wiatrem tumany kryształków śniegu, które boleśnie uderzają w twarz i przecinają skórę. Przerażeni pasterze pędzą swe stada do domu, gdyż w stepie podczas burzy zginęłyby niechybnie: bydło, owce, konie pędzą wtedy na osłep wraz z burzą i giną bądź w głębokich wąwozach, zawianych śniegiem, bądź niez-

marzniętych słonych jeziorach i bagnach. Z dzikich zwierząt stepowych jedne dobrze znoszą tu zimę, inne chronią się od niej w nory, starannie wysłane sianem, gdzie popadają w sen letargiczny.

Szalejący wichur nie ustaje w ciągu dnia i głęboka noc zapada nad stepem. Orkan przeciska się przez najdrobniejsze szczeliny do mieszkań, zrywa dachy i grozi w stepie nomadom przewróceniem filcowego namiotu, w którym dawno już wygasło skąpe ognisko. Mongoł, owinięty w futro, chrapie przytym najspokojniej: wycie burzy jest tu kołysanką niemowląt, która wpaja im już od dzieciństwa pojęcie o rozgniewanych duchach. Ale teraz, wśród nocy, gdy na niebie nie widać ani jednej gwiazdy, step nie jest tak martwy jak w dzień: rozlega się wśród ciemności wycie głodnych wilków, gdy gromadami ciągną za zdobyczą; zbliżają się ku wsi i wdzierają do niej nawet przez ogrodzenia. Lecz czujne psy wypadają natychmiast i atakują wrogów, odpędzając w step. Oprócz wilków wychodzą również w nocy na żer lisy i korsaki, lecz często wpadają w samotrzaski, zastawiane na nich przez krajców.

Po burzy następuje orzeźwiający pogodny dzień zimowy, słońce oblewa step swymi promieniami. Tunguz opuszcza swą jurte i wychodzi na polowanie: idzie za świeżym śladem korsaka, które prowadzą w dal prosto, łukiem lub zygzakami. Wreszcie ślad ginie w opuszczonej budowli bobaka. Teraz Tunguz zastawia swój potrzask, zatkawszy poprzednio zbyt wielki otwór kamieniami i zostawiając wąskie wyjście jak głowa zwierzęcia, które w swym ukryciu słyszy tę robotę myśliwca. Jeżeli korsak jest młody, to w następną noc staje się zdobyczą Tunguza, ale stary i doświadczony, który już raz poznał niebezpieczeństwo takiego samotrzasku i szczęśliwie go uniknął (łowuszką) zatrzymuje się w swym ukryciu przez kilka a nawet kilkanaście dni, zanim się zdecyduje na wyjście; woli

nieraz nawet zdechnąć z głodu w swym więzieniu, niż wpaść w pułapkę. W ostatnim razie Tunguz pozostawia go w norze przez całą zimę i wygrzebuje go dopiero na wiosnę, gdy nastanie odwilż.

Ciekawe jest również polowanie na antylopy, które jesienią wielkimi stadami ciągną z Mongolji ku granicom Syberji; wprawne oko Tunguza rozróżnia je już w odległości 6 do 7 wiorst, jakkolwiek żółtawa barwa zwierzęcia zlewa się z barwą zeschniętych jesienią traw stepowych. Gdy antylopa raz spostrzeże niebezpieczeństwo, nie pozwoli podejść się na odległość strzału, dlatego Tunguz kładzie się jak długi za wzgórzem bobaka, podczas gdy inny na koniu objężdża zwierzęta wielkim łukiem i stara się do nich zbliżyć i zwolna nagania je ku miejscu, gdzie się skrył strzelec. Gdy antylopy zbliżą się już na odległość strzału, naganiacz wydaje głos wyjącego wilka; antylopy przeżalone stają jak wryte i zwracają się ku naganiaczowi, a wtedy czatujący strzelec może wybrać najlepszą sztukę i wziąć ją spokojnie na cel.

Gdy późną jesienią wody pokryją się cienką warstwą lodu, antylopy przychodzą w południe dla napojenia się i usiłują kopytami rozbić cienką skorupę lodu; wtedy Tunguzi napadają je raptownie tak, iż udaje im się całe stado napędzić na lód, że antylopy nie mogą utrzymać się na nogach i są zabijane nożami.

Gdy na wiosnę śniegi stopnieją i słońce ogrzeje step, zmienia się szybko jego charakter. Liczne zwierzęta czworonożne i ptaki przelotne ciągną z południa w obszar wyschniętych jezior słonych.

Równocześnie rozwijają się i liczne rośliny stepowe a kotliny słonych jezior pokrywają się białym nalotem solnym, które, odbijając promienie słoneczne, razi oczy.

Roślinność stepowa jest obfita w indywidua, a uboga w gatunki. Przeważają tu różne gatunki irysów; w maju wybrzeża słonych bagien (Tarai) porośnięte irysami na

szerokość wielu sążni przedstawiają najpiękniejszy błękit, gdyż zieleń liści znika pod kwiatami.

Pierwsze kwiaty wiosenne już się rozwinęły, pierwsze ptaki przyleciały i teraz dopiero zaczynają się budzić zwierzęta ze snu zimowego w swych podziemnych kryjówkach. Wyrzebuja one starannie w jesieni zatkane otwory swych nor i wychodzą na światło dzienne. Bobaki są pierwszemi z budzących się zwierząt, wychodzą one ze swych kryjówek już w początkach lub w środku marca. Czas ten witają Tunguzi i Burjaci z wielką radością; myśliwiec nabija strzelbę, siada na konia i wyjeżdża na polowanie, aby po długim poście zimowym przygotować sobie smaczne pieczone. Wygłodniały krajowiec kładzie się za wzgórzem bobakowym i oczekuje bez ruchu. Po niedługim czasie żółto-brunatny bobak wyłazi z nory, staje na tylnych łapach, ogląda się na wszystkie strony, porusza kilkakrotnie grubym i krótkim ogonem, szczeka i biegnie kilka kroków naprzód, wtym rozlega się strzał i zwierzętko pada martwe. Jeżeli strzelec jest bardzo głodny, to poszukuje zaraz suchej mierzwy, rozpala ognisko i piecze sobie kawałek mięsa na poczekaniu, resztę zawozi do jurty i powierza żonie sporządzenie uczy. Prócz człowieka wrogami bobaków są wilki i ptaki drapieżne.

Tunguzi mają oryginalne podanie o bobakach: zwierzętko te miały być niegdyś ludźmi, wybornymi strzelcami, zbyt zarozumiałymi na punkcie celności swych strzał; za tę zarozumiałość bóg ich srodze ukarał: kazał wybranemu strzelcowi trafić jaskółkę w locie, ale strzelec trafił ją tylko w środek ogona; zato strzelcy zostali zamienieni w bobaki, a jaskółki od tego czasu mają ogony rozdzielone.

W lecie nad stepem Daurskim zawisa żar promieni słonecznych. Spragnione stada ciągną ku wysychającym kałużom, aby nieraz dopiero po kilkunastowiorstowej wędrówce ugasić swe pragnienie. Wielbłądy pokładły się; horyzont coraz bardziej znika przed naszymi oczyma

i wszystkie kontury stają się niepewne w rozpalonym drżącym powietrzu. Widne tu i owdzie kształty zwierzęce zdają się unosić ponad ziemią.

Zbliżamy się do bagna słonego, na którym widnieje płaska wyspa, cel naszej wędrówki. Dalej poza brzeg bagniska iść można tylko pieszo, stąpamy kilka wiorst po miękkim słonym błocie; na całej przestrzeni nie ma ani jednej rośliny, na wilgotniejszych miejscach siedzą kaczki; im dalej tym wędrówka staje się cięższa, błoto jest coraz miększe, zapadamy w nim coraz głębiej, lepka masa przyczepia się mocno do nóg; przytym upał przeszło 30° R., niema ani kropli wody zdatnej do picia, tylko zrzadka płytko rozlane kałuże słone. Tymczasem na niebie zebrały się chmury, których czarny wygląd zapowiada deszcz oraz burzę. Równocześnie spostrzegamy białawą podskakującą trąbę piaszczystą, która, biegnąc, powiększa swą objętość i wysokość. Ruch wirowy powietrza wciąga w nią wszystkie lżejsze przedmioty; porywa ona ze sobą pył słony, który ciągnie się za nią, jak biały ogon. W tym samym kierunku, co pierwsza trąba, pędzi druga daleko wyższa, często ściśnięta we środku, tak iż tworzy dwa stożki, połączone ze sobą wierzchołkami. Teraz pierwsza z nich wpada na wzgórze; podskakuje, chwieje się i pędzi dalej, utraciwszy część swego materiału. Druga cięższa kolumna nie może pokonać przeszkody; odbija się od wzgórza i wywraca.

Burza szybko przemija, teraz spadają wielkie, ale nieliczne krople deszczu, tworzące w mule okrągłe zagłębienia. W pobliżu wyspy burza poruszyła mewy, które teraz krążą z wrzaskiem. Liczne stada dzikich gęsi ciężkim lotem uciekają przed zbliżającym się człowiekiem. Charakterystyczny wygląd nadają temu pustkowiu wysokie gniazda czapli, wyglądające, jak krzaki; zdaleka musiały te ptaki przynosić gałęzie, aby wznieść te gniazda na 3 stopy

wysokie, albowiem dopiero w 15-wiorstowej odległości płynie rzeczka, nad którą rosną niskie wierzby.

W porze nieco późniejszej wyspa ożywia się znacznie, gdyż corocznie zbierają się tu dzikie gęsi dla wypierzenia; chronią się one tutaj przed prześladowaniem mongolskich myśliwców, którym religja zabrania zabijać zwierzęta na wodzie, dla Mongoła bowiem woda jest czymś świętym: gdy zabijesz ptaka na wodzie — mówi on — to krew miesza się z czystą wodą i stada, które ją później pić będą zginą niechybnie. Z tego powodu w okolicach zamieszkanym przez Mongołów najbojaźliwsze ptaki stają się oswojonemi.

Według *Raddego*.

HIMALAJE.

Himalaje, «dziedzina śniegu», systemat najwyższych gór na ziemi, obrębiamą z północy swemi olbrzymiemi postaciami gorącą nizinę Indostanu. Kilkadziesiąt szczytów tego systematu, przewyższających najwyższy szczyt Andów, wznosi się dumnie z pośród niedostępnych pustyń śnieżnych i lodowych.

Południowe pochyłości tych gór podnoszą się z błotnistej pasa Tarai; pierwszy stopień tworzy łańcuch pagórków, pokrytych nieprzebytymi lasami, przed dusznym, pełnym miazmatów powietrzem tych okolic człowiek uchodzi ze strachem; jestto niepodzielna dziedzina zwierząt drapieżnych. Dalej następuje drugi i trzeci łańcuch przedgórz; ten ostatni przechodzi w szczytach już 2000 m.

Dopiero po przekroczeniu tych przedgórz oczom wędrowca ukazują się olbrzymie masy Himalajów w całej swej przygniatającej potędze; niezliczone szczyty, błyszczące na lazurowym tle nieba, ciągną się jak oko zasięgnię nie niby jakaś armja olbrzymów, szturmujących niebo.



Mount Ewerest.



Zmarzłe jezioro Schayok w górach Karakorom.

Wszystko, poprzednio widziane: cuda Alp europejskich, potężne widoki Kaukazu — wszystko niknie wobec wielkości Himalajów i człowiek doznaje uczucia, jakby się zbliżył do najgłębszych tajników natury.

Kraina, po której teraz stąpa, jest nieopisanej piękności. Od śnieżnych szczytów i lodowców pędzą ku podróż-



Most łyżwowy na Indzie.

nikowi potężne, rwące potoki, wydostając się z gór przez głębokie kanjony, wryte w twardych skałach; strome ich ściany skaliste wznoszą się nieraz do 1000 m. wysoko ponad potokami, których potężne fale toczą olbrzymie złożony granitowe. Wśród pustych rumowisk skalnych biją nieraz gorące źródła i rozlewają się w buchające parą jeziora; dokoła nich rozciągają się bujne łąki, z ubogimi chatami górali, lub święte gaje cedrów i jodeł: cel poboż-

nych pielgrzymów ze wszystkich krain Indostanu. Co jednak w tej ojczyźnie starodawnych mitów i bohaterów najbardziej uderza wędrowca europejskiego, to nagle odnalezienie tutaj europejskiego świata -- europejskiego, tylko w formach daleko bujniejszych. Europejskie zboża rosną tu dziko; jabłka, gruszki, brzoskwinie, morele, śliwki, czereśnie, agrest, maliny, poziomki i t. p. napotykają się obficie na każdej pochyłości, w każdym ogródku około chaty; a z pośród kwitnących drzew owocowych, od wonnych żywopłotów różanych do ucha wędrowca europejskiego dola tuje dobrze znany śpiew słowika.

Ze zbioru *A. Mauera*.

KASZMIR.

Niełatwo jest zrozumieć, dlaczego mieszkańcy Indostanu uważają dolinę Kaszmiru jako raj ziemski. Nikt, kto tego nie widział, nie zdoła sobie wyobrazić morza zieleni na wybrzeżach rzeki indyjskiej, gorącej czerwieni i złotości kwiatów, ich upajającej woni; i nad tym wszystkim dumnie sterczących koron palmowych. W zaroślach i na drzewach cisną się tu ruchliwe małpy, papugi i inne barwne ptaki, których tanecznym ruchom towarzyszy śpiew cykad.

Życie Indusa pośród tej bujnej natury przedstawia się obcemu wędrowcowi niby sen powabny. Cóż mieszkańiec tego kraju potrzebuje do życia, czegoby mu prawie bez pracy nie dostarczała dobroczynna przyroda? — Chata na palach z dachem i ścianami z liści, ubranie z lekkiej tkaniny, wystarczają przez cały przebieg pór roku do ochrony od słońca i wiatru; garść ryżu, napój z wody ryżowej, owoce, zaspakajają głód i pragnienie, a za spoczynek w nocy służą maty plecione własnoręcznie.

Takiemi są Indje, kraj, gdzie wiosna, lato, niosąca płody jesień, splatają się razem.

A czymże jest dolina Kaszmiru w porównaniu do Indji? — Przedsiónek do bogatej krainy cudów, który na wędrowca, przybywającego z suchych, ubogich pustynnych obszarów Turkiestanu lub Iranu, musi wywierać dziwnie dobroczynne wrażenie. Ale i dla przybywającego z Indji Kaszmir przedstawia niezwykły powab, gdyż tutaj jest siedlisko spokoju i ciszy — schronienie przed okropnościami i niebezpieczeństwami przyrody indyjskiej.

Kaszmir stanowi kotlinę na przeszło 1500 m. wzniesioną, otoczoną ścianami gór. Jest to dno dawnego jeziora, które wypełniały wody Dżilunu i jego dopływów, zanim utorowały sobie drogę przez góry ku południowi do Indusu.

Jak wody, spływające ze wszystkich stron z wysokich gór śnieżnych, znajdują tu na dawnym dnie jeziora poraz pierwszy równe łożysko, po którym płyną dalej spokojnie z niedostrzegalnym spadkiem, tak też i podróżnik, który przybędzie tu przez góry, spotyka po długich trudach miejsce spoczynku. A któż, kto o kraju tym nie wiedział, mógłby się spodziewać, że pośród tej śnieżnej pustyni górskiej znajdzie takie miejsce spoczynku, taką oazę zieleni.

Ale nietylko znużone członki wędrowca, lecz i jego zmysły znajdują w dolinie Kaszmiru miejsce miłego wypoczynku, wypoczynku tym droższego im mniej oczekiwanego. Na całej drodze przez góry zwykłym towarzyszem wędrowca jest burza i wyjątkowemu tylko szczęściu musi on przypisać, gdy do błyskawic i grzmotów nie przyłączy się wezbranie rwących potoków na ścieżkach, prowadzących przez wązkie doliny, lub zamieć śnieżna, która z dnia czyni noc i uniemożliwia dalszą drogę, a nawet nieraz strąca w przepaści lub pokrywa białym całunem.

Jakież wrażenie musi czynić na wędrowcu nagłe uwolnienie się od tych wszystkich okropności, gdy postawi stopę na równej drodze między alejami wysokich platanów nad cicho płynącym Dżilunem, pośród przyrody spokojnej i przyjaznej. Gałęzie drzew są tak nieruchome, jak gdyby na jakimś wielkim obrazie i tylko liście poruszają się zlekka jakby pod sennym tchnieniem. Bo drogi wichrów



Przeprawa przez rzekę w Indjach.

i burz biegną wysoko ponad powierzchnią kraju od szczytu jednej ściany górskiej do drugiej; i tylko po ruchu obłoków mieszkaniac doliny może rozpoznać, że tam w górze dmie wiatr z północy czy południa, wschodu czy zachodu, podczas gdy tu w głębi powietrze jest tak spokojne, że statki na Dżilunie i na jeziorach bez pomocy żagli, tylko wiosłami poruszane, prześlizgują się zwolna po zwierciadlanej powierzchni wód.

Rzadko przepływający obłok rzuca na dolinę i jej jeziora przelotny cień, a jeszcze rzadszemi są tu burze i mieszkańcy nie przypominają sobie, aby piorun kiedykolwiek uderzył w dom, w drzewo lub człowieka. Tylko słońce w zwykłym swym przebiegu rzuca na dolinę i jej letnią zieleń lub zimową biel swe dobroczynne promienie; na wiosnę wzrost ciepła nie doznaje żadnych zaburzeń, żaden późny przymrozek nie niszczy kwiecica drzew, żadna długa ulewa nie powstrzymuje młodych rojów pszczół w ich ulach, nie opóźnia dojrzewania owoców. Zupełnie w tym samym tygodniu wiosennego miesiąca, w którym przodkowie dzisiejszych mieszkańców obsiewali swe pola i ogrody, zbierali róże do wyrobu cennej kaszmirskiej wody różanej, zbierali dojrzałe morele, brzoskwinie, gruszki, jabłka, granaty i winogrona, zwozili pszenicę i kukurydzę—w tym samym czasie czynią to dziś żyjący potomkowie. Równie prawidłowy jest przebieg zimy: około połowy listopada zaczynają się przymrozki nocne, w pierwszej połowie grudnia spada śnieg, który nie będąc rozta-piany przez wiatry południowe, ani odnawiany przez północne, leży bez zmiany do marca.

Jakże wilgotne, parno - gorące jest powietrze w dole na wybrzeżach indyjskich, jakże i u nas bywa nieraz przygębajająco mglisto i dżdżysto, a jakże inaczej jest w Kaszmirze. Powietrze jest prawie zawsze suche i czyste. Deszcze zwrotnikowe nie dosięgają tego kraju; tylko w marcu, gdy pod wpływem ciepła słonecznego śnieg topnieje, zwilża on grunt przesiąkając weń niby deszcz i niekiedy w lecie obłok, przepływający od jednej górskiej krawędzi do drugiej, spuszcza na dolinę przemijający deszczyk. Roślinność tutejsza czerpie potrzebną jej wilgoć z gruntu, którego źródła i rzeki nigdy nie wysychają; na-próżno szukaćby tu było śród ogrodów i lasów jakiejś gnijącej kłody drzewnej czy torfowiska lub innych tego rodzaju objawów wilgotnego powietrza. Nawet ta mgła jesienna,

powstająca z wypalanych przez pasterzy suchych ziół oraz pyłu i pokrywająca niższe obszary doliny, jest tylko znakiem suchości powietrza i jego nieruchomości; i już na wysokości jakiejś wieży postrzegacz wzniesiony ponad te mgły widzi jasny błękit nieba ze słońcem lub jasno świecącymi gwiazdami.

Tymbardziej ponad te mgły doliny wznosi się podmiejska góra, nosząca miano «Tronu Salomona»; ale najmądrzejszy z królów nigdy zapewne nie oglądał ze swego tronu tak cudownego widoku, jaki roztacza się z tej góry. Wprawdzie wspaniały i dziki jest krajobraz znanych nam Alp europejskich, ale cóż znaczą one w porównaniu do tych górskich kolosów, które zewsząd otaczają dolinę Kaszmiru, niby fale wzburzonego oceanu, dwukrotnie przewyższające wysokością nasze Alpy i kryjące swe szczyty pod wiecznym białym całunem śnieżnym.

One to chronią dolinę w lecie od skwarów, w zimie od mroźnych zawiei, nadają tej krainie łagodność i spokój, zapewniają jej ciągły dopływ życiodajnych wód. Gdy przybysz ujrzy z doliny Kaszmiru obłoki na otaczających go górach, to wie już napewno, gdyż doświadczył już tego w drodze do Kaszmiru, jak sroga walka żywiołów toczy się tam w górach. Są to orkany, toczące śnieżne zamiecie lub pędzące wśród błyskawic i piorunów z potęgą, która nietylko całe karawany porywa i strąca w przepaście, lecz nawet wstrząsa skałami, jak przy trzęsieniach ziemi. Sam widok takich obłoków zdaleka budzi wspomnienie tych groźnych chwil, których podróżnik przedtem doświadczył.

Ale na szczęście droga walk i niebezpieczeństw jest już przebyta; tutaj w krainie spokoju czuje on się tak oddzielonym od wszelkich trosk i obaw, jak żeglarz, który zdążył do bezpiecznego portu, gdy dalej na otwartym morzu szaleją burze.

Według *H. Schuberta*.

KŁĘSKA POWODZI W INDJACH.

W r. 1856 Indje nawiedzone zostały przez wielkie i niszczące powodzie. Wielkie rzeki Indus i Ganges z licznymi swymi dopływami wystąpiły z brzegów i zalały okoliczne obszary; Ganges np. pod Mirzapurem podniósł się na 16 m. ponad swój poziom normalny; zalany przezeń kraj z pogrążonymi miastami i wsiami wyglądał jak nieprzejrzanego morza; wiele tysięcy ludzi zginęło, a szkody, zrządzone przez wylew, równały się setkom milionów marek. Pośród tego morza sterczały tu i owdzie szczyty wysokich budynków, wysepki z wsiami zbudowanymi na wyniosłościach, korony wysokich palm; po morzu tym we wszystkich kierunkach snuły się łodzie, spieszące na ratunek nieszczęśliwym, którzy bądźto walczyli z falami bądź szukali ucieczki na dachach domów, szczytach wzgórz, lub na drzewach. Prąd unosił różne sprzęty domowe, szczątki domostw, a nawet nieraz całe bambusowe domostwa. Żniwa w obrębie wylewu uległy naturalnie zupełnemu zniszczeniu i tylko żyzny muł, który pokrył pola, obiecywał wynagrodzić te straty w dalszej przyszłości.

Przy tych strasznych wylewach, obejmujących setki mil kwadratowych, obok scen, rozdzierających serce, odbywają się nieraz i takie, które pobudzają do śmiechu. W Indjach mianowicie roi się od zwierząt najrozmaitszego gatunku; wszystko co żyje boi się śmierci, to też przy zbliżaniu się groźnych fal, nawet najdziksze zwierzęta drapieżne pozbywają się swej krwiożerczości i myślą tylko o ratunku. Najzawziętsi wrogowie mieszczą się obok siebie na jednej wyniosłości, nawet na jednym drzewie. Jeden olbrzymi wąż uciekł na drzewo i obwinał się na nim wygodnie i mocno; drugi, który się nieco spóźnił, patrzy z upragnieniem w górę, lecz nie może się tam dostać. Między temi dwoma potworami znalazł się tygrys, który rozpaczliwie

patrzył na otaczające fale. Ponury, niby schwytyany przestępca, który nie widzi już możliwości ucieczki, siedział skulony między gałęziami, nie zwracając uwagi na swych groźnych przeciwników. Na szczycie drzewa usadowił się orzeł i inne ptaki, które przypatrywały się sobie z pewnym zdziwieniem, nie okazując jednak wielkiej troski, gdyż wiedziały, że woda nie może być dla nich niebezpieczna.

Wprost komicznie wyglądały niektóre drzewa, na których zgromadziły się całe stada małp, przyjmując najzabawniejsze pozycje, drapiąc się i gryząc między sobą o miesca, a przytem podnosząc nieustanny wrzask.

Według zbioru *A. Mauera*.

BENARES, MIASTO BRAMINÓW.

Na lewym brzegu majestatycznie płynącego Gangesu, w rajskiej krainie, w sercu Indostanu, wznosi się wspaniale stare miasto Braminów, Benares. Zewnętrzny widok tego świętego miasta jest różny od zwykłych miast indyjskich. Liczne połączane wieże, otoczone wspaniałymi gmachami, domami i palmami, wywierają podniosłe wrażenie na widzu. Można tu spotkać prawie wszystkie ludy Wschodu. W północnej i zachodniej części półkolisto rozłożonego miasta obrali swe siedlisko Europejczycy, szczególnie Anglicy; mieszkają oni w lekkich domach bambusowych.

Na wstępie do miasta nie ujrysz tu jakiejś wielkiej bramy, któraby cię prowadziła na szerokie ulice. Przez wązkie, ponure wejście, dostajesz się na również wązkie, kręte, ciemne uliczki; dwóch tragarzy zaledwie może się na niej wyminąć. Domy, zwłaszcza w pobliżu Gangesu, są trzy, a nawet pięciopiętrowe; znaczna ich część jest za-

mieszkana przez rodziny Braminów, które żyją z ofiar i podarków. Bardziej oddalone domy są małe i lekkie. Wszystkie ściany są pomalowane na najrozmaitsze barwy i przedstawiają cały chaos ludzi, byków, słoni, bogów i bogiń.

Liczba mieszkańców wynosi przeszło 200000, ale napływ pielgrzymów zwiększa ją często w dwujnasób. Liczba



Benares.

kościółów induskich wynosi około tysiąca, a liczba meczetów przeszło trzysta. Niezliczone przenośne ołtarzyki z malowidłami bóstw, obwieszone liśćmi palmowemi, zapychają i tak już ciasne uliczki. Mnóstwo byków różnego wieku, obłaskawionych, jak psy, spaceruje z dumą i zadowoleniem, jak panowie, lub rozłożonych w poprzek ulicy zatamowuje drogę. Zobaczysz tu wielu ludzi, którzy, klęcząc

ozdabiają te zwierzęta kwiatami i schylają się przed nimi ze czcią. A spróbuj tylko uderzyć byka, który ci zagradza drogę — pospólstwo rozedrze cię w kawałki.

Jeżeli cierpliwość twoja wytrwa i dostaniesz się wreszcie do innej części miasta, to tam czeka cię jeszcze cięższe doświadczenie. Niema tu już wprawdzie byków, ale w ich miejsce skacze i wspina się niezliczone mnóstwo małp — wyłącznie samic, poświęconych pewnemu indyjskiemu bóstwu. Skaczą one z dachu na dach, z okna do okna, ani chwili nie pozostawiają cię w spokoju, zdzierają ci czapkę z głowy, lub skaczą na ramiona; chwytają za brodę jakiegoś handlarza owoców, wydzierają dzieciom kawałek chleba z ust i t. d., a biada temu, kto by śmiał bronić się od nich kijem.

Po tych bezwstydnym małpach następują z kolei fakirzy, którzy za małemi kramami podnoszą trudną do wytrzymania wrzawę, zapomocą różnych instrumentów, od których można poprostu ogłuchnąć. Pomiędzy temi kramami, po obu stronach ulicy, zalegają szeregami religijni żebracy wszelkich sekt, chorzy i kalecy obu płci ze wstrętnym wyglądem, z potarganemi włosami, powykręcauemi członkami, z ciałami, posmarowanemi kredą i krowim nawozem, a przytym często w obrzydliwych pozach pokutniczych; ich zabójcza woń poprostu oszalała przechodnia; całe stada żebraków otaczają cię, błagając o jałmużnę.

Uderzająco wielka jest liczba trędowatych oraz tych szaleńców religijnych, którzy całemi latami zachowują wciąż nieruchomo jedną i tą samą pozycję, tak, iż ich członki jakby tężeją i niezdolne są do przyjęcia innej pozycji. Można spotkać np. ludzi z rękami wciąż wzniesionemi w górę, to znów z rozciągniętymi poziomo, to z pięściami tak silnie ściśniętymi, iż paznokcie przerażają na wylot przez ręce. Liczba ślepych jest nadzwyczaj wielka, a również i takich, którzy tak długo trzy-

mali oczy zamknięte, iż powieki wreszcie się zrosły. Inni stoją na pniach utkanych gwoździami, które przeszły im przez stopy tak, iż przy najlżejszym poruszeniu ludzie ci doznają straszliwych cierpień. Daremnie, wzruszony, rozdajesz jałmużnę, jest to kropla w morzu, a również oliwa, dolana do ognia.

Świątynie hinduskie czynią miłe wrażenie. Najpiękniejsze i największe z nich znajdują się tu na brzegu Gangesu i ich pozłacane kopuły przedstawiają z drugiej strony rzeki wspaniały widok. Zwykle świątynie obejmują wewnątrz podwórze, w którym przebywają byki boga Siwy. Dokoła podwórza biegają krążganki formalnie pokryte pokutnikami obu płci, którzy są nadzy i wysmarowani krowim nawozem oraz kredą. Ku brzegowi rzeki prowadzą wielkie kamienne schody, po których zstępują pielgrzymi, aby przez kąpiel w świętych wodach Gangesu oczyścić się z grzechów. Niektórzy z nich przychodzą z najdalszych okolic Indji, aby skończyć życie w falach rzeki i tym sposobem uratować duszę. Wielka ilość ciał, unoszonych przez rzekę, sprawia wstrętne wrażenie. Rząd brytański starał się wszelkiemi siłami przeszkodzić tym masowemu samobójstwom, ale jego starania rozbiły się o opór kapłanów; dało się uzyskać tylko tyle, że utopienia odbywają się nie wśród białego dnia, lecz w nocy.

Według *Meyera*.

SINGAPUR.

Zanim jeszcze dane mi było ujrzeć ową «królową cieśniny Malackiej», bardzo wiele obiecywałem sobie po tej podróży. Rzeczywistość jednak przeszła najśmielsze moje oczekiwania.

Rozległe na kilka mil miasto Singapur pod względem wielkości odpowiada całkowicie obszerności swego portu, który jest największy i najlepszy na ziemi, tak, że mógłby dać schronienie połączonej flocie wszystkich państw europejskich. Zmysł polityczny Anglii, która w r. 1819 nabyła wyspę Singapur za niewielką sumę od sułtana Dżochoru, przewidział doniosłe znaczenie, jakie zdobędzie sobie kiedyś ten punkt, leżący na najdogodniejszej i najkrótszej drodze stosunków handlowych Wschodu i Zachodu, między Indjami i Chinami.

Jednocześnie z nami w porcie znajdowało się kilkanaście statków wojennych angielskich, niemieckich, francuskich i rosyjskich, a między nimi tylko co przybyły z Londynu olbrzymi pancernik japoński. Stały tu również niezliczone parostatki handlowe i pasażerskie wszelkich narodowości i rozmiarów. Wokół nich uwijały się i roily tysiące łódek, pirog malajskich i dżonek chińskich. We wszystkich kierunkach mknęli pstrymi szeregami majtkowie, żołnierze, szyprowie i rybacy wszystkich narodowości Wschodu i Zachodu. Był to obraz tak żywy i urozmaicony, jaki przedstawiać może tylko pierwszorzędny port na świecie. Tenże sam pstry, mieszany tłum cudzoziemców, odpowiadający rozległym stosunkom handlowym Singapuru, krążył hałaśliwie po rozsnutej szeroko sieci jego ulic i uliczek. Wobec znacznych odległości i silnego upału w Singapurze rozwinięta jest bardzo jazda uliczna. Wśród licznych, eleganckich powozów europejskich zwolna przesuwiają się chińskie i indyjskie zaprzęgi, lekkie taczki i ciężkie wozy, ciągnięte przez woły. Większość pasażerów używa zresztą dla komunikacji niezwykłych woźniców singapurskich, zwanych *dżenrikszami*.

Te szczególne ekwipaże, zwane *rikszi*, składają się z ławeczki z oparciem i dyszlami, w które wprzęga się, zamiast konia, kulis chiński. Na czystym, skórą pokry-

tym siedzeniu, zabezpieczonym od słońca i deszczu zapomocą zasłony, jest w zwykłych riksach miejsce na dwie osoby obok siebie. W riksach droższych, «pierwszorzędnych», mieści się jeden tylko pasażer. Zapłata za przewóz jest więcej, niż umiarkowana: jedna mila angielska kosztuje wszystkiego 6 centów (mniej, niż 4 kopiejki). Wytrzymałość zaś, z jaką chiński dženriksza ciągnie swój zaprzęg, budzi podziw — zwłaszcza przy szybkim pędzie na równych drogach. Nie mniej — jeśli nie bardziej — zadziwia ich umiarkowanie w jedzeniu. Przebiegszy w przeciągu półtrzeciej godziny przestrzeń między Singapurem i Dżochorem (blisko 25 klm.) riksza zadawalnia się czystym ryżem, dodając do tego wieczorem odrobinę ryb suszonych.

Przebiegli riksowicze chińscy mają dziś w stosunkach handlowych wielu miast Wschodu duże znaczenie; w samym Singapurze jest ich do 10000. Większość tych «ludzi zaprzęgowych» nosi na ciele tylko dwa nieskomplikowane szczegóły odzienia: na nogi nakłada riksza krótkie majtki niebieskie, a głowę okrywa szerokim słomianym kapeluszem. Więcej nic. Pasażer, siedząc na ławeczce po za biegnącym w dyszlach kulisem, mimowoli podziwia jego piękne nagie ciało i żywą grę mięśni, która zachwycałaby anatoma lub artystę.

Zupełnym lekceważeniem ubrania odznaczają się nie tylko riksowicze, lecz wogóle klasa robotnicza na ulicach i w ogrodach Singapuru. Wszyscy robotnicy ograniczają się w stroju do słomianego kapelusza lub chustki na głowie i kawałka sukna barwy czerwonej, białej lub niebieskiej wokół bioder. Dzięki temu można tutaj prosto na ulicy badać budowę ciała najrozmaitszych ras ludzkich, gdyż wszystkie, rzec można, wysłały tutaj swoich przedstawicieli. Czarni Kamilowie z Indji Przedgangesowych znajdują tu zajęcie przy budowie domów; ciemno-bronzowi Indusi spełniają służbę woźniców, stajennych i ogrodników.

ków; jasno-bronzowi Malajowie zajmują się rybołówstwem itd. Pośród tych reprezentantów ras o włosach prostych ukazują się wełniste głowy Murzynów i Papuasów z Nowej Gwinei i Negrytosów z Filipin. Europejczycy i Chińczycy w ubraniu całkowitym stanowią naogół tylko nieznaczną część różnobarwnego tłumu pośród ulic Singapur.

Dzięki staraniu moich znajomych singapurskich w przeciągu krótkiego czasu zapoznałem się z najbardziej interesującymi punktami wyspy Singapur. Jak we wszystkich kolonjach angielskich, tak i tutaj drogi zamiejskie znajdują się w doskonałym stanie i przejażdżki po okolicach miasta, usianych chińskimi i malajskimi wioskami, wspaniałymi ogrodami i lasami, dostarczają podróżnikowi nadzwyczajnej przyjemności.

Szczególnie miłe wspomnienie zachowałem o wycieczce na Bukit-Timah i do Tebanu.

Bukit-Timah jest najwyższym punktem wyspy, wyniesionym ponad nią na 500 stóp. Cała góra pokryta jest gęstym lasem, noszącym tu i owdzie charakter zupełnie pierwotny. W miejscach takich roślinność nietknięta i umyślnie pozostawiona sobie splata się w gąszcz nie do przebycia. Pośród olbrzymich drzew, oplątanych pnączami, śród mnóstwa roślin pasorzytnicznych uderzają przede wszystkim niezliczone wspaniałe paprocie. Wybitnym szczegółem krajobrazu leśnego są tu «ptasie gniazda», pewien gatunek paproci trawiastej, nazwany tak ze względu na swój kształt dziwaczny. Prawidłowa okrągła korona tego pasorzyta, całkowicie pozbawiona pnia, składa się z mnóstwa językowatych liści, długich przeszło na dwa metry. Wyrastając ze wspólnego ośrodka, liście te idą naprzód łukowato ku górze, a później dopiero zwisają końcami ku dołowi, tak iż powstaje z nich rodzaj obszernego lejka, w którym zbierają się suche liście z drzew oraz woda deszczowa. Przez gnienie nagromadzonych liści w lejku tym tworzy się żyzny grunt, w którym zamieszkują

owady, pająki, stonogi, a nawet olbrzymie dżdżownice fioletowe, długie na 30, a szerokie na $1\frac{1}{2}$ centymetra. W grunt ten wrastają też korzenie samego «ptasiego gniazda», w podłoże, które samo dla siebie wytworzyło. Dziwaczność tego roślinnego tworu zwiększa się jeszcze przez to, że u dołu zwisają zeń całe pęki brązowych, zamaryłych liści oraz ich mocne, połyskująco-czarne nerwy środkowe. Te oryginalne «ptasie gniazda» napotyka się tu tysiącami, okrywają pnie i sęki olbrzymich drzew pierwotnych niekiedy aż do samego wierzchu. Zwłaszcza ładnie wygląda «ptasie gniazdo», gdy się swobodnie usadowi akurat pośrodku łuku ljan, przerzucającej się od jednego pnia leśnego olbrzyma na drugi.

Wzdłuż drogi rosną śliczne paprocie jasno-zielone, wabiące oko niezwykłym kształtem swego pierzastego listowia. Tu i owdzie wznoszą się na smukłych pniach wspaniałe korony paproci drzewiastych. Kolące gałęzie i wąsy mocno poplątanych ljan, zwłaszcza zaś niebezpieczne ostre skręty palm pnących utrudniają niezmiernie przeniknięcie w głąb lasu. Zresztą przechadzki po lasach Bukit-Timah nie są bezpieczne jeszcze i z tego względu, że ukrywają się w nich niekiedy tygrysy, od czasu do czasu przywędrowujące tu z Dżochoru. Wykopane dla chwytania ich głębokie jamy, z wierzchu przykryte warstwą liści, również zagrażają bezpieczeństwu przyrodników, pragnących zbierać tutejsze rośliny i owady.

Drugą wycieczkę zrobiliśmy do Tebanu, który leży we wschodniej części wyspy Singapur. Zatrzymaliśmy się tam dla odpoczynku na prześlicznej polance, otoczonej ze wszystkich stron przez wysokie, ljanami powiązane drzewa. Tutaj, pośród wspaniałe kwitnących storczyków, uwagę naszą zwróciła niezmiernie piękna roślina, nepentes, na której długich szypułkach listnych wiszą zgrabne «urny», podobne do małych puhałów z pokrywkami. W wodzie, do połowy napełniającej takie liście-pułapki,



Roślinność.

<http://rcin.org.pl>

pływają trupy licznych mrówek, schwytyanych przez tę owadożerną roślinę, która trawi je w tych puharach, niby w żołądku. Gdy przejeżdżaliśmy przez dżungle, sprawiło nam uciechę stado małp, wykonujących wszelkie możliwe sztuki akrobatyczne na sieci ljan i drzewnych gałęzi.

Droga powrotna była poprostu czarodziejska. Miękkie refleksy promieni księżycowych, rozsypane na gładkiej, skórzanej powierzchni liści, współzawodniczyły z niezliczonymi latarenkami świetlików, migocących w tajemniczych mrokach puszczy zwrotnikowej. Wielogłosy śpiew dużych cykad, w połączeniu z uroczystymi, urzekającymi głosami innych owadów i czystym, srebrnym wołaniem żabek drzewnych, był tak donośny, żeśmy za ledwie dosłyszeć mogli własne słowa. Niekiedy — ponad wierzchołkami drzew — mignął posępny cień olbrzymiego nietoperza - wampira.

Według *E. Haeckla*.

CHINY I CHIŃCZYCY.

Chiny, kraj niegdyś tak szczelnie zamknięty dla nienawistnych cudzoziemców, stał się w ostatnich czasach celem wyścigów dla wielkich państw europejskich, z których każde radeby z niego wyciągnąć dla siebie jaknajwiększe korzyści materialne, przy pomocy budujących się kolei żelaznych.

Rzeczywiście, to otwarcie Chin dla komunikacji musi wywołać olbrzymi wzrost handlu zewnętrznego, a nie jest to bagatela, gdy, jak w danym razie, chodzi o kraj, którego ludność jest większa, niż Ameryki i Afryki, razem wziętych i który kryje w sobie niezmierne pokłady węgla kamiennego.

Ale niezależnie od tego znaczenia polityczno-ekonomicznego Chin są też ze względu geograficznego jednym z najbardziej interesujących krajów na ziemi.

Przedewszystkim kraj ten, jako całość naturalna, to jest Chin właściwe, stanowi, rzecz można, zarazem całe państwo Chińskie, gdyż takie posiadłości, leżące zewnątrz Chin właściwych, jak Mandżurja, Mongolja, Wysoki Turkiestan (kotlina Tarimu) oraz Tybet, są z nimi związane pod względem politycznym w sposób bardzo luźny. Otóż ta całość naturalna, a poniekąd i polityczna, wywiera imponujące wrażenie już samą swoją wielkością: niewiele jest krain na ziemi, które przewyższają Chin wielkością—trzy z nich są w Ameryce (Kanada, Stany Zjednoczone, Brazylja), jeden w Afryce (Sahara), jeden w Azji (Syberja) i jeden w Europie (Rosja). Jednakże, gdybyśmy Chin przenieśli do Europy wschodniej, to z pod tego pokrycia wystawałyby tylko niewielkie skrawki Rosji.

Chin ze wszystkich krajów kontynentalnych zbliżają się najbardziej do kształtu koła, co dla państwa jest okolicznością korzystną, albowiem, jak wiadomo z geometrii, figura ta posiada w stosunku do powierzchni obwód najmniejszy, więc państwo kształtu kołowego posiada najkrótszą linię zagrożoną. Granice Chin są przytym dość równo rozdzielone między lądem i morzem: północno-zachodnia lądowa połowa granicy ciągnie się mniej więcej na przejściu od Azji zewnętrznej, odpływowej, do centralnej, bezodpływowej, dzieląc Chińczyków od ludów tej samej rasy mongolskiej, podległych potędze chińskiej; druga, południowo-wschodnia, morska połowa granicy wkracza w ocean Wielki w kształcie bardzo prawidłowego łuku półkolistego. Centrum chińskiego koła leży mniej więcej tam, gdzie wielka rzeka Jang-tse-Kiang wypływa z kotliny Seczuanu i wkracza do prowincji Hupe.

Chin tworzą prastarą część azjatyckiego lądu, która od perjodu jurajskiego, to jest od środka dziejów ożywionej

ziemi, nie ulegała już ani razu zalewowi morskemu. Szkielet skalny tego kraju tworzą prastare łupki krystaliczne, dalej łupki wapienne i piaskowce paleozoiczne, to jest z epoki, z której pochodzą najdawniejsze ślady (skamieniałości) życia na ziemi; wreszcie — warstwy mesozoiczne i to mianowicie starsze, to jest pochodzące z początku tej epoki, która nastąpiła po paleozoicznej; warstw zaś z końca tej epoki, to jest warstw formacji kredowej, a także i morskich warstw epoki późniejszej, trzeciorzędowej, brak zupełny; nigdzie tu nie sterczą białe ściany kredowe, jakie spotykamy np. na wybrzeżach bałtyckiej Rugji, lub takie stołowego kształtu góry z piaskowca kredowego, jakie przedstawia np. Saska Szwajcarja. Niema tu również czynnych lub świeżo wygasłych wulkanów, jakie występują w sąsiednim pasie wysp od archipelagu Malajskiego przez Formozę, Japonję, Kurylle i t. d.

Obszerną równinę posiadają Chiny tylko w swej części północno-wschodniej; jest to równina pokryta żółtym pyłem gliniastym, nawianym przez wiatry, znanym pod nazwą lössu; z równiny tej wysuwa się, nakszałt rogu, górzysty półwysep Szantung. Jak ten półwysep tak i reszta obszaru Chin odznacza się górzystym kształtem powierzchni; tym sposobem Chiny rozpadają się na dwie różne części: północną i południową. Głównym granicznikiem, dzielącym te dwie części, jest wschodnie przedłużenie Kuen-Lunu, zwane Tsing-ling-Szanem. Łańcuch ten dzieli nie tylko dwa różne dorzecza, rzek Hoangho i Jang-tse-Kiangu, ale dwa obszary o różnym kształcie powierzchni i różnej budowie wewnętrznej. Chiny Północne przedstawiają równinę, powstałą przez zasypianie starych gór: suche wiatry, wiejące tutaj w odległej przeszłości, unosiły tumany lössu, produktu zwietrzenia skalnego, i pokrywały nim góry i doliny, a trawiaste runo utrzymywało każde nowonawiane pokrycie; tylko grzbiety gór sterczą litemi masa-

mi skalnemi ponad to pokrycie lossowe. Mimo to krajo-
braz północno-chiński nie składa się jedynie z zaokrąglo-
nych grzbietów górskich i leżących między nimi, łagod-
nie zakłęsniętych, nieckowatych dolin, utworzonych z na-
sypanego lossu; wystąpił tu bowiem inny jeszcze czynnik



Chińskie dzonki żaglowe i łódzie.

kształtujący, mianowicie woda płynąca, która wytworzyła
niezmiernie rozgałęziony system wąwozów, zagłębionych
w miękkim lossie; materiał ten, przesnuty pionowo biegną-
cemi, włoskowatemi rurkami, pochodzącemi z obumarłych
traw, obsuwa się pionowo i tworzy strome, malownicze
ściany wąwozów. Z tych nagich ścian w czasie suchej
pory roku wiatry i dzisiaj unoszą żółty pył, który zamra-

cza słońce, nadaje atmosferze płowe zabarwienie i pokrywa wszystkie przedmioty warstwą żółtawą. Naturalnie, że rzeki, tutaj płynące, unoszą w swych wodach tak łatwo wypłókiwany i nawiewany loss; od tego rzeka Hoangho, co znaczy rzeka Żółta, nosi swe miano; osadziła ona z żółtego mułu obszerną deltę, wśród której zmienia swoje łożysko, szukając ujścia, to na północ, to na południe półwyspu Szan-tung; unosząc zaś resztę mułu do morza, przyczyniła się do jego nazwy Hoanghai, co znaczy morze Żółte.

Zupełnie inne stosunki panują w Chinach Południowych. Tutaj występują wyraźnie góry systemu tak zwanego sinijskiego, to jest rozciągające się równoległymi łańcuchami w kierunku z południo-zachodu na północ-wschód; za zbliżeniem się do wschodniego przedłużenia Kuen-Lunu — do łańcucha Tsin-ling-czanu, wyginają się one ku wschodowi, gdyż ich fałdowanie znalazło widocznie tamę w tej starej górskiej ścianie; góry te różnią się przede wszystkim od Północno-Chińskich tym, że pozostały wolne od pokrycia lossowego. Wskutek tego formy ich są wyraźne, strome; loss nie złagodził ich pochyłości; wody, spływające z nich, pędzą bystro i łączą się w przezroczyście strumienie.

Królową tych rzek jest Takiang (wielka rzeka), którą zwykle nazywamy Jang-tse-kiang; spływając z wysokiego Tybetu, przerywa się ona przez góry w wąwozach i prądowniach, aby następnie spokojnie i majestatycznie dążyć ku obfitej w jeziora delcie, którą budowała niegdyś wspólnie z Hoangho, zanim ta kapryśna rzeka w 1852 roku odwróciła się od niej. Najpiękniejszą ozdobą Chin Południowych jest ich wiecznie zielona szata roślinna. Podczas gdy loss w Chinach Północnych, podobnie jak i w innych krajach, okazał się nieprzyjaznym dla szaty leśnej, a jako nadzwyczaj żyzny został pokryty szachownicą pól od poziomu niziny aż do wysokości St. Gotarda, to w Chinach Południowych pola uprawne ograniczają się do dolin i dol-

nych pięter pochyłości, ale za to występuje tu wspaniała szata roślinności pierwotnej wieczno-zielonych krzewów i drzew, wśród których kamelje, pokrewne krzewowi herbacianemu, grają rolę charakterystyczną.

Wiatr północno-zachodni, monsun zimowy, przynosi straszliwe zimno ze wschodniej Syberji i Mongolji do Chin, tego kraju, który przecież leży na jednej szerokości z Włochami i Afryką północną; nawet w Kantonie, który leży już po za zwrotnikiem, spadają nieraz śniegi. W każdym razie Chiny Południowe mają zimy stosunkowo jeszcze, dość łagodne; w części zwrotnikowej tego kraju palmy i słonie przypominają pobliskie Indje; udają się tu oraz dalej na północ pomarańcze, nawet trzcina cukrowa, a uprawa herbaty ma miejsce wszędzie, wyjąwszy Chiny Północne, gdzie surowe zimy stawiają jej kres. Pekin, choć leżący bardziej na południe, niż Neapol, ma zimy takie jak Petersburg; Mukden pod szerokością Rzymu ma w styczniu mrozy silniejsze, niż Moskwa.

Gdy jednak na wiosnę wiatr skręci się w kierunku przeciwnym, gdy nastąpi monsun letni, południowo-wschodni, wtedy odbywa się nagła zmiana: na całe Chiny rozlewa się ciepłe powietrze zwrotnikowe, a przytym ożywcze deszcze spadają na pola ryżowe i bawełniane; najobficiej naturalnie w Chinach Południowych. Różnice temperatury, występujące w zimie między północą i południem Chin, ulegają w lecie zatarciu; między Kantonem, Szanghajem i Pekinem nie ma wtedy prawie żadnej różnicy, albowiem w środku lata temperatura w Chinach rośnie nie ku południowi, lecz ku silnie rozgrzanej wyżynie wewnętrznej, to jest ku zachodowi. Już w Hankou, ważnym mieście handlowym w punkcie, gdzie wielka droga północno-południowa przecina Jang-tse-kiang, powiadają: «gdyby djabeł przebywał tu w ciągu lata i następnie powrócił do piekła, to musiałby nadziać palto». Jeden tylko drugi taki kraj spotykamy na ziemi, który pod wpły-

wem rocznej zmiany monsunów waha się od polarnego zimna do zwrotnikowych upałów, od posuchy do obfitych opadów, jest to wschodnia część Stanów Zjednoczonych.

Przez ciąg tysiącleci Chińczycy podlegali wpływowi natury swej, wyżej scharakteryzowanej, ojczyzny. Przewszystkim periodycznie powtarzająca się zmiana monsunów, wywołując kontrast między polarną zimą i zwrotnikowym latem, musiała wciąż usuwać, tępić ludzi zbyt delikatnych, niezdolnych do znoszenia wielkich wahań temperatury; utrzymać się w tym kraju mogli tylko ludzie zdolni do znoszenia zarówno wielkich mrozów, jak i wielkich upałów, ludzie więc łączący w sobie pod tym względem cechy Jakutów z cechami Murzynów. Dla tego Chińczycy są jedynymi ludźmi, którzy, emigrując w obce kraje, czy to bardzo wysokich, czy bardzo niskich szerokości, nigdy prawie nie padają ofiarą klimatu.

Chińczyk znosi doskonale w Mandżurji lub wschodniej Syberji zimno, przy którym rtęć zamarza, a z drugiej strony pracuje swobodnie pod pionowemi promieniami słońca Jawy i Singapuru, albo w łązebnym powietrzu przy kotłach cukrowni na Kubie. I nic dziwnego: wszakże w swej ojczyźnie musi on w lipcu, przy 30^o do 40^o C. gorąca wiosłować przez dzień cały, pchając ciężką kłodź w górę rzeki i tylko od czasu do czasu chłodząc sobie rozpaloną głowę wachlarzem, a w pół roku potym z tą samą wytrzymałością popycha jeszcze większe ciężary na saniach po lodzie tej samej rzeki przy przeszywającym zimnie. Myśl Emina Paszy, aby użyć Chińczyków do skolonizowania Afryki zwrotnikowej, była z punktu fizjologicznego zupełnie słuszną, albowiem Chińczycy po murzynach są ludem najmniej podlegającym malarji, jak tego dowiedli przy budowie panamskiej kolei żelaznej.

Co się zaś tyczy cech psychicznych tego najstarszego z ludów kulturowych, to te wynikają w znacznej części z wielkiego zgęszczenia ludności, a to znów wy-

nikło z dwu przyczyn: jednej, tkwiącej w przyrodzie kraju, drugiej—w religji Chińczyków.

Północna połowa Chin była punktem wyjścia chińskiej kultury i organizacji państwowej. Ta część Chin, jak widzieliśmy, jest krainą lössową, gdzie niezwykłą żyzność ziemi podsyca wysokie ciepło letnie i równoczesna obfitość opadów monsunowych. Tutaj więc na olbrzymiej przestrzeni przyroda umożliwiła rozwój bardzo licznej ludności rolniczej. Kultura ta zrodziła się naprzód we wnętrzu kraju, a następnie rozszerzyła na nizinę nadbrzeżną morza Żółtego, która nadawała się jeszcze bardziej do wielkiego nagromadzenia ludności, ale jako świeżo z wód wynurzona, potrzebowała odwodnienia; to też praca nad osuszaniem była najdawniejszym dziełem kulturalnym chińskiego ducha i chińskiej energii.

Że zaś umożliwione przez naturę wielkie nagromadzenie ludności zostało przez człowieka urzeczywistnione, to było skutkiem religji Chińczyków, mianowicie czci przodków: mimo swego trzeźwego realizmu w życiu doczesnym, Chińczyk jest przejęty mistycznym przecuciem o życiu na tamtym świecie i obawia się niezmiernie kar, jakie go tam czekają; pociesza się jednak, że zdoła ich uniknąć, gdy tylko w każdą rocznicę jego śmierci będą złożone pewne ofiary przez syna lub jego męskiego potomka. Stąd gorące pragnienie każdego Chińczyka wstąpić jaknajprędzej w związki małżeńskie, doczekać się licznych synów i tych znów jaknajprędzej pozeńić.

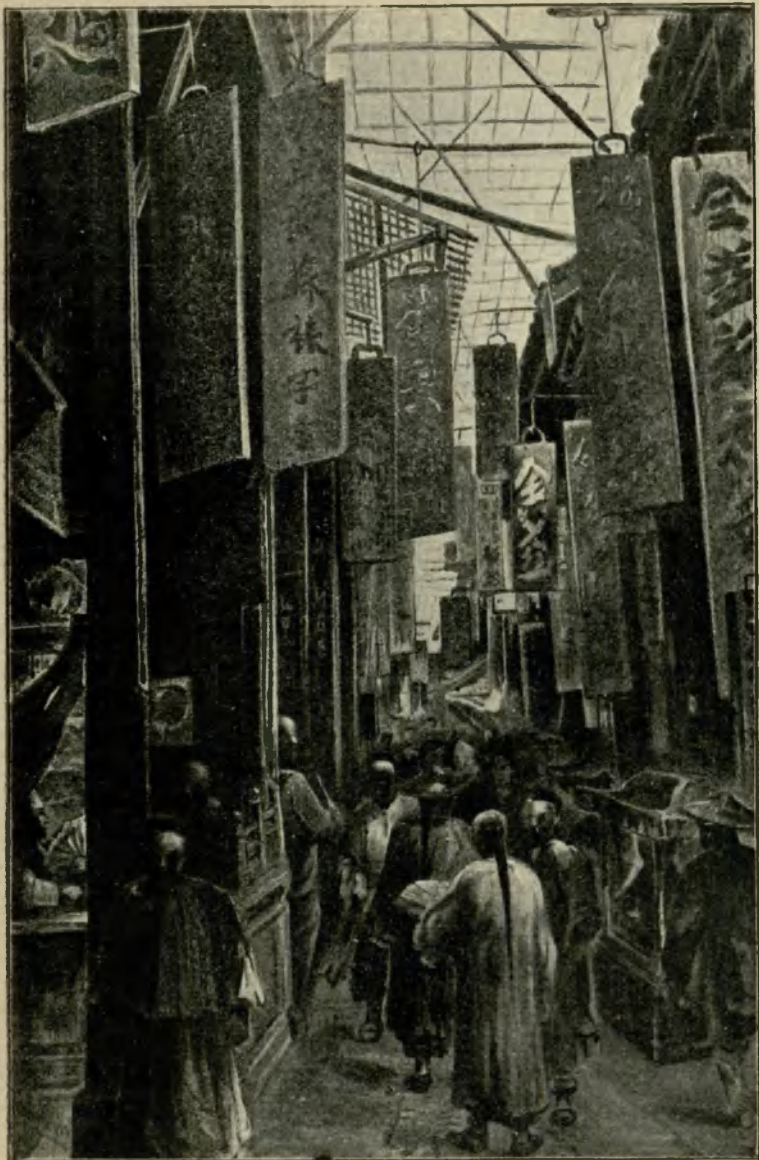
Tylko najokropniejsza nędza może powstrzymać Chińczyka od małżeństwa. Starych kawalerów nie ma w Chinach prawie zupełnie, dziadków zaś trzydziestoletnich napotyka się często. Narodziny chłopca są w najuboższym domu chińskim przyjmowane z żywą radością, narodziny zaś córki nawet w domu najbogatszym są uważane prawie jak żałoba. Żona, która przez kilka lat nie urodzi syna, musi się zgodzić bez szemrania, że mąż

przybierze sobie drugą towarzyszkę; w Chinach, żadna Sara nie odważy się wygnać żadnej Hagary z jej synem, przeciwnie: musi ona pokornie otaczać Hagarę czcią, albowiem ta dopomogła jej mężowi do spełnienia najwyższego obowiązku. Jeżeli do tego wreszcie dodamy, że mimo wielkiej emigracji Chińczyków do Ameryki i Australji, emigranci chińscy po zdobyciu pewnego mienia zwykle powracają do rodzinnej ziemi, to zrozumiemy, że Chiny stały się krajem największego nagromadzenia ludności. W ciżbie ludzkiej, napełniającej ulice licznych wielkich miast, oraz wielkich jak miasta wsi, rzuca się odrazu w oczy wielka ilość dzieci, a zarazem wielka liczba starców, albowiem Chińczycy, pomimo licznych chorób, jakie ich trapią, pomimo znęcania się znachorów nad chorymi, należą do ludzi najdłużej żyjących.

Wprawdzie Chiny pod względem gęstości zaludnienia stoją niżej od najgęściej zaludnionych państw europejskich nawet od Niemiec: podczas gdy w tych ostatnich przypada na kilometr przeszło 100 mieszkańców, to w Chinach tylko około 80, ale trzeba pamiętać, że Chiny teraz dopiero zbliżają się ku okresowi wielkiego przemysłu, rozpoczynającego się obecnie budową kolei żelaznych, za któremi pójdzie zapewne wprowadzenie maszyn parowych i motorów elektrycznych.

Do chwili obecnej Chińczycy żyli, podobnie jak my w wiekach średnich, przeważnie z rolnictwa oraz przemysłu rękodzielniczego i drobnego handlu, otóż dla tego stadjum gospodarczego gęstość zaludnienia Chin jest bardzo wielka.

Patryjotyczna duma Chińczyków, wyrażająca się często w pogardzie dla cudzoziemców, nie jest zupełnie pozbawiona podstawy. Ich organizacja państwowa przetrwała, jak żadna inna, od epoki współczesnej faraonom, aż do dziś dnia; najrozmaitsze systematy religijne wzrastały i ginęły dokoła «państwa środkowego», a nauka Konfu-



Ulica w Kantonie.
<http://rcin.org.pl>

cjusza przetrwała w całej sile przez lat tysiące. Chiny wystarczały też same sobie pod względem ekonomicznym, pod względem zaś politycznym zhołdowały całą prawie Azję Środkową, a ich wojska zwycięskie sięgały pod sztandarem smoka powielekroć morza Kaspijskiego. Tak więc Chiny nie potrzebowały nic od obcych, z dumą odrzucały one towary «rudowłosych djabłów», tak, iż Anglicy musieli się uciec do niegodziwego środka, przywozu opjum, by otrzymać od Chin w zamian herbatę i jedwab.

W tym olbrzymim domu roboczym, jaki przedstawiają Chiny, człowiek nie zna, co to próżniactwo, nawet co niedzielny odpoczynek, gdyż inaczej umarłby z głodu; tutaj popęd do pracy stał się drugą naturą człowieka. Nawet u znienawidzonego pana w San Francisco, u którego Chińczyk przyjmuje miejsce służącego, wykonywa on, niedozorowany, należącą doń pracę dlatego poprostu, iż według niego żyć, to znaczy pracować. A mimo tej pracowitości, mimo zadziwiającej zręczności, Chińczyk otrzymuje w ojczyźnie wobec silnej konkurencji zapłatę nadzwyczaj nędzną: nam wydaje się to poprostu bajką, że pożywienie dorosłego Chińczyka kosztuje dziennie osiem fenigów, a w złych czasach nawet sześć; tym opędza on swe potrzeby. Tłumaczy się to wprawdzie po części taniością środków spożywczych (ryżu, jarzyn, ryb, herbaty) i wielce wydoskonaloną sztuką kucharską, która najgorsze produkty potrafi uczynić znośnymi, nic z nich nie odrzucając, a także brakiem wszelkiego wstretu u Chińczyków: mięso psie, kocie, szczury pieczone, nawet mięso zdechłych na zarazę koni i osłów—wszystko są to dla Chińczyków miłe przysmaki.

Cnota oszczędności jest u Chińczyków bardziej rozwinięta niż u jakiegokolwiek innego narodu; jest ona, obok pracowitości i przestawania na małym, główną bronią Chińczyka w ciężkiej walce o byt. Wieśniak północno-

chiński wygrzebuje sobie niby kret mieszkanie pod swym polem prosianym lub pszenicznym w stromej ścianie losowej, aby budową chaty na powierzchni pola nie zmniejszać go o kilka metrów kwadratowych.

Ta oszczędność Chińczyków prowadzi niekiedy do scen wzruszających: widziano starą, wycieńczoną kobietę, za ledwie mogącą się poruszać, która jednak, opierając się o ściany domów, wlokła się z trudem: była umierająca. i chciała zbliżyć się jaknajbardziej do cmentarza, aby po jej śmierci niosący trumnę nie żądali dużo pieniędzy za dalszą drogę od jej mieszkania.

Naród, stanowiący piątą część całej ludzkości, żyje tak, z dnia na dzień, w szarej pracy od świtu do późnego wieczoru, a nawet po nocach odmawia sobie snu dla zdobycia tak nędznego zarobku. Czyż życie dzikiego nie jest godniejszym zazdrości, niż to życie pracy i nędzy człowieka kultury; czyż rodzaj ludzki, wkładając na siebie jarzmo pracy, wymagane przez uobyczenie, nie utracił radości życia?— Jednakże jest to sąd według naszej miary: mylimy się, sądząc, że Chińczyk w ten sposób los swój odczuwa, że się nim trapi, przeciwnie: pomimo różnic temperamentów, a nawet zewnętrznego wyglądu od żółtego, skłonnego nieco ku otyłości Chińczyka południowego do brunatnego wysmukłego i wyższego Chińczyka północnego, wszędzie ludowi temu właściwą jest pogoda umysłu, zadowolenie i wesołość, nie łatwo uginająca się nawet pod najtwardszemi ciosami losu. I w tym objawie widać wpływ przystosowania, doboru: jak długie noce polarne pozostały przy życiu tylko jednostki z usposobieniem wesołym, tak samo nieubłagana chińska walka o byt usunęła nie tylko jednostki próżniacze i bujne, ale nawet pośród bohaterów pracy i zaparcia przeprowadziła jeszcze dobór: usunęła tych, którym bohaterstwo to sprowadzało niezadowolenie życiowe; tym sposobem obok powagi pracy i ubós-

twa postawiła odziedziczoną wesołość, niby anioła pojednania.

Z drugiej strony tak wielka konkurencja o nędzny zarobek rozwinęła też ciemne strony charakteru Chińczyków, jak chytrność, kłamstwo, oszukaństwo. Ciasnota mieszkań, źle przewietrzanych, wraz z ubóstwem, spowodowała zubożenie na czystość ciała i ubrania. Gonitwa za groszem zabiła prawdziwą sztukę, wybiegającą poza użyteczność i wszelką prawdziwą naukę, dążącą do wewnętrznego przyczynowego powiązania zjawisk. Muzy i gracje nie znalazły w Chinach ojczyzny.

Kultura chińska przeciwstawia się ostro kulturze europejskiej. Zetknięcie się tych dwu kultur spowoduje doniosłe zjawiska dwudziestego stulecia. Szranki, które dzieliły Europę od Chin znikają; na miejsce ich powstał olbrzymi most pierwszej kolei oceanu Spokojnego na Łądzie Starym, kolei Transsyberyjskiej.

Co się stanie z kwestją płacy zarobkowej, gdy rasa żółta pojawi się na europejskich rynkach pracy? Jaki przewrót nastąpi w handlu wszechświatowym, gdy Chiny ze swemi niezmiernymi pokładami węgla, ze swą tanią pracą wstąpią w okres wielkiego przemysłu, gdy gienjusz Zachodu przeniknie kulturę chińską, gdy udzieli jej swych metod i techniki, nie zmieniając etnicznych cech Chińczyka—jego wytrwałości nerwowej, jego oporności na wpływy różnych klimatów, jego niewyczerpanej pracowitości? wielka przyszłość czeka bezwątpienia naród, który w pierśiach swoich żywi taką siłę.

Według *A. Kirchhoffa*.

Z PODRÓŻY DO CHIN BELI SZECHENYI'EGO.

Dnia 7 Grudnia 1878 roku podróżni opuścili Szan-ghai i popłynęli w górę rzeki Jang-tse-kiang do Hankou, a stąd w górę jej lewego dopływu, Hanko, którego okolice są mniej znane.

Wybrzeża Hanko są niskie, mieszkańcy chronią się od wylewów sypaniem grobli, które służą zarazem za drogi lądowe i w przyszłości mogą być ważne dla budowli kolei żelaznych. W okolicach znacznego miasta Ngan-lo-fu napotyka się szeregi pagórków bez związku, jakby wyrosłe z aluwjalnego gruntu. Grunt jest gliniasty, co jakie sto kroków napotyka się cegielnie, gdzie wypalają cegły przy węglach kamiennych. Cegła ta idzie nawet do Hankou.

Pod Szoj-jao, małym miasteczkiem, leżącym w malowniczym położeniu, u wyjścia wązkiego i strome go wąwozu, na prawym brzegu rzeki Han-ko, nagie góry wznoszą się już do 2000'. Dotąd napotyka się tylko niższe góry zwykle uwieńczone klasztorami; w każdym z takich klasztorów żyje dwóch lub trzech księży buddyjskich, którzy pożywiają się z otrzymanej jałmużny i pędzą żywot próżniaczy, leżąc na miękkim posłaniu w trumnach, gdzie z czasem będą pochowani. Gdy już wszystko zjedzą, idą dalej kwestować. Chińczycy uważają tych lamów za złe konieczne.

Na początku 1879 r. podróżni przyплыnęli do bliźnich miast Fan-czeng i Siang-yang-fu, leżących naprzeciw siebie, pierwsze na lewym, drugie na prawym brzegu rzeki, która tu roi się od dżonek; są to miasta bardzo handlowe, liczą podobno do miliona mieszkańców.

Powyżej tych miast strome, nagie, do 320 metrów wysokie skały, przystępują do samego prawego brzegu rze-

ki, dalej zaś na zachód podnoszą się one w znaczny łańcuch, będący gałęzią gór Sinling; gałąź ta tworzy dział wodny między Han ko i Bajsuj-kiang, która pod nazwą Kia-ling w prowincji Szczuen wpada też do Jang-tse-kiangu. Góry te mają śmiałe, ostre formy i dosięgają 1000 metrów. Stoki ich są bezleśne i tylko skąpo trawą pokryte, albowiem deszcze spłókały z nich ziemię rodzajną i zniosły do rzeki, która osadziła ją na dolnym biegu, jako błogosławieństwo tamtejszych mieszkańców. Tutaj zaś pozostał grunt kamienisty, bezpłodny; mieszkańcy w nędznych lepiankach z gliny lub trzciny, są biedni i często cierpią taki głód, że jedzą tłustą ziemię, która z czasem zupełnie rozstraja żołądek i przyprawia o śmierć; dochodzi nawet do tego, iż pożerają własne dzieci. Trupy zmarłych z głodu pokrywają drogi i ulice miast. W kraju tym misjonarze działają dość pomyślnie, albowiem wobec panującego głodu rozdawane pieniądze są bardzo przekonującym argumentem do zmienienia wiary.

Płynąc wciąż w górę Han-ko, natrafili podróżni na ujście rzeki Sieho (z lewej) i dalszą drogę odbywali w górę tego dopływu. Sieho płynie wśród ścian skalistych, wyjąwszy w jednym miejscu na lewym brzegu, gdzie ściany te nagle znikają, jak gdyby się zapadły, a potem znów występują, pozostawiając między sobą nadrzeczną równinę, z której wiatr sypał piaszczysty deszcz na podróżnych. Okolice jest bezleśna, tylko tu i owdzie rośnie pojedynczo cyprys lub topola, doznające religijnej czci i oceniające zwykle grób jakiegoś znakomitego człowieka. Dalej kraina stała się tak kamienistą i bezpłodną, że tu dopiero można było jasno pojąć przyczynę głodu, trapiącego tamtejszą ludność. Gdyby to tutaj mógł zjawić się jakiś «Deus ex machina», któryby kamienie w chleb pozamieniał! Nieliczni mieszkańcy tej bezpłodnej krainy żyją w chatkach z marmurowych, luźnie ułożonych kamieni, lub w jaski-

niach skalnych. W kraju tym niepodobna zarabiać na życie uczciwą pracą: ani drzewka, ani zwierzyzny, ani ryb w rzece (bo już się oddawna wyczerpały), w powietrzu ci cho, żaden ptak go nie ożywia, grunt kamienisty, niezdolny do wydania plonu... z czegoż więc żyją ci mieszkańcy? z rabunku i kradzieży, jak domyśla się Kreitner.

Ponieważ rzeka stawała się zbyt płytką, podróżni więc zarzucili kotwicę i udali się w dalszą podróż lądem na mułach po przykrych przejściach przez odrośle gór Sinling; i tutaj góry były pokryte klasztorami, co dowodzi, że i w Chinach, jak wogóle, uczucie religijne przechowuje się dłużej w krajach górzystych, niż na równinach. Następnie podróżni doszli znów do doliny Sieho w miejscu, gdzie ona się rozszerza, a strome jej ściany podziurawione są sztucznymi jaskiniami, które według podania służyły ludziom za schronienie przed rabusiami w czasie wielkich głodów.

Nareszcie podróżni stanęli u stóp głównego łańcucha gór Sinling, który dosięga w szczytach 1530, w przejściach zaś 1260 metrów i ciągnie się z zachodu na wschód. Północny jego stok przechodzi wyżynami ku żyznym, uprawnym i ludnym równinom, ku którym zejście jest bardzo przykre. Pierwszym miastem na północy gór Sinling, do którego podróżni przybyli, było Singan-fu nad rzeką Wejho, w prowincji Szen-si, niegdyś stolica Chin, dziś upadłe i pełne wygłodzonych żebraków.

Z Singan-fu wyruszyli podróżni w dalszą drogę już nie na mułach, lecz na dwukołowych wózkach, których używają w Chinach północnych na północ gór Sinling, czyli płynącej u ich północnego stoku rzeki Wejho, dopływu Hoangho i dalej na północ tej ostatniej rzeki aż do morza. Po krótkiej podróży przed oczami wędrowców ukazała się rozpacзлиwa i martwa *kraina żółtej gliny*, zwanej przez Niemców «Löss» («Lösslandschaft»). Granice

tej obszernej krainy stanowią: od wschodu 115° długości wsch. od Greenw., od południa Hoang-ho i 34° szer. pn., zachodnia granica nie jest pewna, zdaje się, że idzie od źródeł Hoang-ho ku północy; północną granicę stanowią góry Nan-san i północny łuk Hoang-ho. Według przybliżonego obliczenia, kraina ta zajmuje obszar 900000 klm. kwadr. Grubość tego pokładu jest rozmaita. W Chinach Wschodnich 20 m., w prowincji zaś Szen-si ściany lossu mają już 600 m. wysokości. Loss leży nawet na wysokich górach pod Sining-fu i na przejściu gór Nan-san; badacze nasi spotykali loss na wysokości 3000 metrów.

Najbujniejsza fantazja nie zdoła wyobrazić sobie orograficznego charakteru krainy lossowej. Najrozmaitsze rozpeknięcia, szpary i zawile o stromych krawędziach, wymyte przez wodę wąwozy, pokryte na dnie głębokim pyłem — wszystkie te formy przedstawia falista powierzchnia gliny. Często, idąc doliną, stajemy naraz przed stromą ścianą, olbrzymie tarasy o ścianach prostopadłych podnoszą się amfiteatralnie z ziejących otchłani ku wyżynie, zdaje się, jakby tu był jakiś kraj zaczarowany, gdzie duch zniszczenia rozwija swoją działalność; na próżno wzrok szuka ożywczego drzewa lub chaty, wszędzie panuje cichość, spokój, śmierć... «Na księżycu musi być tak smutno, tak rozpaczliwie».

Porównanie do olbrzymiego kręgu starego, zeschłego sera szwajcarskiego, ponacinanego w wielu miejscach, daje pewne pojęcie o charakterze krainy lossowej, tymbar-dziej, że i barwa jest zbliżoną. I tutaj prostopadłe ściany wydrążone są w liczne otwory, to większe, to mniejsze, to równoległe w poziomych linjach, to znów tak nieprawidłowo pokrywające ściany, «jakby te były podziurawione kulami armatnimi kalibru przyszłych czasów». Te otwory porobione są przez ludzi i służą za mieszkania tanie, ciepłe w zimie, a chłodne w lecie. Szczególniej zamieszka-
kane są ściany tych dolin, w których płynie niewysycha-

jąca woda, albowiem loss jest bardzo żyzny o ile posiada wilgoć. Mieszkańcy zajmują się rolnictwem. Cała atmosfera nad krainą lossową napełniona jest żółtym pyłem, przez to słońce wygląda, jakby we mgle, pył ten pokrywa wszystko barwą żółtą, roślinom odbiera zieloność, a niwa wiosenna wygląda tu, jak u nas rżysko. Kraina lossu nie posiada materiału opałowego, dla tego znajduje się tu klasa ludzi, zajmująca się zbieraniem nawozu mulego; chodzą oni po drogach za karawanami i zbierają gnój do koszyków, a ponieważ konkurentów jest wielu, więc w danych chwilach nie brak komicznych wypadków.

Gdy podróżni weszli do prowincji Kan-su i zbliżali się do działu wodnego między Wej-ho i Hoang-ho pośród lössu zaczęły ukazywać się skały. Przejście przez dział jest przykre, wysokość jego wynosi 2606 metrów. Na północ od tego przejścia wznoszą się stromą ścianą góry Ma-ha-san (10000'), spadające ku Hoang-ho. Po drugiej stronie działu rozpościera się znów kraina lossu, pozbawiona deszczu i bezpłodna. Przykre wrażenie, jakie ona na wędrowcu wywiera, tak maluje Kreitner: «Nie chcę mówić o tęsknocie za czystymi rękami, których skórę porozpękaną od suchości tatuuje żółty pył, za zwilżeniem spiekłych ust czystą wodą; nie, to są przykrości, spotykające każdego podróżnika. Ale jakże okropne jest porównanie między świeżą zielenią krajobrazów, których lasy napełnia śpiewające ptactwo, których kryształowe strumienie odbijają drżące promienie słońca, porównanie między krajobrazami kipiącymi życiem a tą martwą krainą pyłu, która rodzi apatię, obojętność i idjotyzm».

To też mieszkańcy tutejsi są mali i wątli, młodość zdaje się nie istnieć tutaj. Już twarze dzieci są pokryte zmarszczkami, blade i żółte, jak воск. Ciężka praca od dzieciństwa wywołuje przedwczesną powagę, która w trudnej walce o byt rozwija się w skrytą przebiegłość i pomaga do zwyciężenia konkurentów.

Podróźni dosięgnęli Hoang-ho pod miastem Lanczu-fu (około 500,000 mieszkańców), stolicy prowincji Kan-su. Poniżej tego miasta Hoang-ho przedziera się wąską doliną między stromemi ścianami skał (wspomniane wyżej góry Ma-ha-san). Podróźni przeszli rzekę po lodzie (w lutym) i w niewielkiej odległości od lewego jej brzegu wstąpili znów w krainę lossową, której grunt był przesycony solą i saletrą; mieszkańcy otrzymują sól przez odparowanie wody ze sztucznych wozobiorów. W pobliżu gór Nan-san badacze przecięli drogę Przewalskiego, który szedł tędy na zachód ku śnieżnym góróm Gadzur (4400 m.). Po przejściu gór Nan-san (wysokość przejścia 2714 m.), podróżni wkrótce ujrzeli przed sobą nieograniczoną równinę — znajdowali się na południowym kraju wielkiej pustyni azjatyckiej.

Wielka pustynia azjatycka. — Kopi i Szamo ciągnie się od 76° do 115° dług. od Greenw. pasem szerokim na 700 do 800 km. Thian-Szan dzieli ją na dwie części: zachodnią, kotlinę Tarimu i wschodnią, właściwą Kopi «albo» Szamo. Według Kreitnera wyraz «albo» jest tu niewłaściwie używany: Kopi znaczy skalistą pustynię, Szamo zaś piaszczystą, podczas gdy Ta-kopi znaczy przestrzeń pokrytą kamykami (zwykle porfirem i kwarcem); są to więc nazwy lokalne, podobne do używanych w Saharze.

Południowy kraj pustyni tworzą góry Nan-san ze szczytami na 7000 metrów i więcej; u północnych jej rozgałęzień leżą oazy. Pustynia ma klimat tak suchy, powietrze tak przezroczyste, że gołym okiem widać gwiazdy siódmej wielkości. Roślinność, nawet w oazach skąpa, składa się po większej części z twardych traw, jak np. dyrusum wysoka na sążeń i tak twarda, iż kruszy się, jak szkło i kaleczy ręce.

Mieszkańcy pustyni, Mongołowie i przybysze, Chińczycy, wiodą nędzny żywot w oazach, zajmując się hodowlą

bydła, rolnictwem i wynajmowaniem mułów lub wielbłądów dla karawan. Mieszkaniem ich jest lepianka z gliny, pożywieniem herbata cegiełkowa, opałem gnój wielbłądzi. Zmarłych chowają owiniętych w szmaty, dla braku drzewa na trumnę. Mongołowie, zamieszkujący góry Nan-san zwani Tangutami, trudnią się rozbojem.

Według *G. Kreitnera*.

GRZEBANIE ŻYWCEM W CHINACH.

Podczas mego pobytu w Chinach uderzony byłem opowiadaniem o pogrzebach ludzi żyjących; rzecz tyczyła się zawsze osób, które stały się niemiłe dla swej rodziny. Byli to bądź gracze namiętni, bądź złodzieje niepoprawni, bądź palacze opjum nieuleczalni, bądź nieszczęśliwi trędowaci; ci ostatni dostarczają zapewne najwięcej ofiar tego okrutnego zwyczaju.

W pewnej osadzie żył trędowaty wdowiec około lat 60; miał on syna, który ze swej strony był ojcem liczego potomstwa. Od czasu ukazania się choroby nieszczęśliwy zamieszkał sam odosobnioną chatę i nie miał żadnych stosunków ze swą rodziną. Ta ostatnia jednak nie czuła się zupełnie bezpieczną, obawiała się wciąż zarazy i żądała od chorego, aby się wyniósł zupełnie z tej miejscowości, ten jednak nie mógł się zdecydować, a tymczasem choroba się wzmagala i wygląd nieszczęśliwego stawał się coraz bardziej odrażający. «Wuju Azamie — mawiali do niego po wielekroć młodzi członkowie rodziny — jeżeli nie możesz zdecydować się na wyniesienie z tej miejscowości, to czy nie lepiej byłoby zrobić z tobą koniec». Ale ta alternatywa nie wydała się nieszczęśliwemu ponętą; nawet kupno ubrania mandaryńskiego, w które chciano go przystroić na pogrzeb, nie zdołała go zachęcić, zgodził się tylko

na trzymanie pod łóżkiem dozy opjum, przeznaczonej do wyzwolenia go z więzów cielesnych, które mu zresztą już dość dokuczały. Pewnego dnia syn przyniósł ojcu codzienną strawę, ale napróżno dobijał się do drzwi i wołał; chory nie ukazał się. Sądząc, że nieszczęśliwy spożył opjum i umarł, syn postanowił jak najprędzej go pochować, aby muchy, obsiadające trupa, nie rozniosły zarazy. W tym celu udał się do wsi po ludzi; gdy ludzie przyszli i wtargnęli do chaty, przekonano się, iż chory nie umarł, lecz był pogrążony w głębokim śnie. Wtedy syn chciał ludzi odesłać, ale ci nie chcieli odejść i żądali obiecanej zapłaty; rodzina nie chciała zaś płacić za darmo; rada w radę, postanowiono wytłumaczyć staremu ojcu, że korzystniej będzie, gdy się zgodzi na pochowanie teraz, aniżeli odkładać to do drugiego razu i tracić na darmo pieniądze. Ponieważ zaś dobry syn nie zaniedba żadnych ceremonji, wymaganych przez kult przodków, więc ojciec będzie miał na tamtym świecie żywot daleko przyjemniejszy, niż tutaj. Wobec tak przekonywających argumentów chory dał swe przyzwolenie. Zaraz też pośpieszono sprowadzić trumnę oraz wykupić suknię mandaryńską, którą kupiono już dawniej, lecz która była zastawiona za niewielką sumę. Ze swej strony chory zalecał wnuczce, aby starannie doglądała dwóch wieprzów oraz gęsi, a wnukom, aby się przykładali do nauki. Dobra wnuczka zabiła najtłuściejszą kurę, a inni krewni przynieśli piękny kawał wieprzowiny, aby chory mógł się dobrze posilić na daleką pielgrzymkę. Gdy ucztę skończono, cały orszak puścił się w drogę, poprzedzany przez pustą trumnę; chory szedł za nią piechotą, dalej szedł syn, niosąc na ręku suknię mandaryńską. Po przybyciu do miejsca, gdzie grób był wykopany, nieszczęśliwy odbył ostatnią toaletę i zażywszy opjum, ułożył się sam w trumnie, a syn zamknął ją i przygwoździł własnoręcznie. W pewnym odda-

leniu stała starszyzna wioski, bacząc, aby wszystko odbyło się zgodnie z prawidłami pogrzebowemi.

Dziwnym może się wydać taki zwyczaj tracenia, dający się w Chinach już od odległej starożytności a nie napotykanym w żadnym innym kraju i w żadnej epoce historycznej. Ale jak niema wogóle skutku bez przyczyny, tak i tutaj musi istnieć jakaś racja, dla której w Chinach wynaleziono taki specjalny sposób zadawania śmierci. Zwyczaj ten jest bezwątpienia w związku z budową geologiczną Chin północnych. Kraj ten, z wyjątkiem gór wysokich oraz równin aluwjalnych, jest pokryty żółtą gliną, lossem, na grubość przechodzącą niekiedy 600 metrów. Loss pierwiastkowo miał powierzchnię równą, lecz z czasem wody płynące powyrzynwały w nim cały labirynt głębokich wąwozów o ścianach pionowych; wypłukiwanie podziemne i zapadanie się gruntu wywołało powstanie tak zwanych «studni lossowych». Otóż dawniej państwo Chińskie nie miało jeszcze tak wielkiego rozpostarcia, jak obecnie; ograniczało się ono wtedy przeważnie Chinami północnemi, głównie obszarem Hoangho, t. j. obszarem lossowym. W takim kraju idea pozbycia się skazańców lub jakichkolwiek ludzi niedogodnych za pomocą strącania w wąwozy i «studnie», nastęrczała się sama przez się. Przytym studnie były w tym celu dogodniejsze, jako niemające wyjścia. Studnie więc były to gotowe naturalne groby, w które strącano żywych skazańców, przysypując ich być może ziemią. W takich tylko razach, gdy chodziło o zamordowanie setek jeńców wojennych, studnie były niewystarczające, trzeba było ich strącać do wąwozów. Z czasem ten sposób zadawania śmierci rozpowszechnił się i na te okolice Chin, które nie posiadają lossu. Prawdopodobnie przesąd religijny wpłynął na rozpowszechnienie tego zwyczaju. Chińczycy uważają życie przyszłe jako dalszy ciąg życia na ziemi, w tych samych

warunkach, nawet ułomności cielesne pozostają w życiu zagrobowym. Według wierzeń ludowych, człowiek ścięty nosi na tamtym świecie głowę pod pachą lub też zawieszoną u spodni. Z tego powodu kodeks karny chiński rozróżnia wiele stopni kary śmierci — kara jest tym większa, im większe obrażenie ponosi ciało podczas egzekucji. Powieszenie jest więc karą lekką, ścięcie — daleko cięższą; najstraszniejszą zaś karą jest «linczi» to jest pokrajanie na tysiączne kawałki. Śmierć więc przez zakopanie żywcem, przyczym ciało nie doznaje żadnego kalectwa musi być według Chińczyków karą najłżejszą.

Według *Ch. Pitona*.

(Bulletin de la société Neuchâteloise de géographie,
t. VII, 1892 — 1893 r.).

LÖSS CHIŃSKI.

Nazwa lossu, który występuje w różnych krajach, między innymi i u nas w Sandomierskim i Lubelskim, jest niemiecka; mianowicie mieszkańcy doliny Renu oddawna oznaczali tym mianem tamtejszą żółtawą, żyzną glinę. Następnie odkryto taką samą glinę i w innych okolicach ziemi, zwłaszcza w Chinach północnych, i nazwa lossu stała się ogólną.

W Chinach löss zajmuje olbrzymi obszar, przynoszący dwa razy całe państwo Niemieckie, udzielając wszystkiemu barwy żółtej: żółty pył osiada na wszystkich przedmiotach, żółty muł zabarwia rzeki i nadaje nazwę rzece Hoang-ho (rzeka żółta) i morzu Hoang-hai (morze żółte), któremu Hoang-ho przynosi masy żółtego mułu. Żółta barwa wreszcie, jako barwa żyznej, karmiącej ziemi, stała się dla Chińczyków barwą narodową, świętą.

Loss co do swego składu nie jest gliną czystą, lecz zmieszaną z piaskiem i węglanem wapnia. Ziarna piasku nie są tu zaokrąglone, lecz kanciaste, nie noszą więc śladu toczącego działania wody płynącej. Węglan wapnia nadaje lossowi pewną, choć słabą, spoiłość.

W swej budowie wewnętrznej loss przedstawia się przesnutym niezliczonymi, cienkimi, pionowymi rurkami, rozgałęziającymi się ku dołowi pod kątami ostremi. Rurki te są wyłożone osadem węglanu wapnia i nadają lossowi własność oddzielania się, obrywania pionowymi ścianami. Prócz tego nadają mu one własność sita w stosunku do spadającej nań wody deszczowej: woda znika szybko, tworzenie się jezior jest tu niemożliwe. Ponieważ woda prześiąka w loss pionowo przez całą jego masę aż do nieprzepuszczalnego podłoża, więc na obszarach wyłącznie lossowych niemożliwe jest też istnienie źródeł.

Że ta przepuszczalność lossu jest zawisła jedynie od jego rurkowej budowy, łatwo się przekonać na drogach, prowadzących przez kraj lössowy: na drogach tych po deszczu powstaje nieprzebyte błoto, albowiem tutaj loss pod naciskiem kół i kopyt utracił budowę rurkową.

Wielce jednostajna w całej swej masie budowa lossu jest tylko tu i owdzie urozmaicona lokalnymi wtrętami, z których szczególnie zasługują na uwagę tak zwane lalki lössowe (*Lösspuppen*, *Lössmännchen*, *Lösskindel*); są to konkracje wapienne, które przyjmują niekiedy nadzwyczaj dziwaczne kształty, jak to wskazuje załączony rysunek.

W naszym lössie takie lalki lössowe można zbierać masami, szczególnie na północnym stoku gór Świętokrzyskich pod wsią Jeziorko, gdzie je lud nazywa «żuźłami». Chińczycy nazywają je charakterystycznie «kamiennym imbierem».

Konkracje te są w lössie ułożone pokładami i dawniej sądzono błędnie, że one odpowiadają płaszczynom uwarstwienia.

Drugim rodzajem wtętów lossowych są muszle ślimaków prawie wyłącznie lądowych: muszle ślimaków słodkowodnych napotyka się bardzo rzadko, a morskich niema zupełnie; muszle lossowe występują w niewielkiej ilości form, ale w niezmiernej ilości indywiduali.

Trzecią wreszcie grupę wtętów stanowią kości zwierząt ssących i to znów wyłącznie lądowych.

Co do budowy wielkich mas lossowych, to uderza przede wszystkim zupełny brak uwarstwienia, mimo to, iż łatwo by je było zauważyć na pionowych ścianach lossu, na setki stóp wysokich i ciągnących się na wiele mil wzdłuż rzek i wąwozów. Za to loss jest skłonny do pionowej



Lalki lossowe.

oddzielności, która wytwarza wysokie pionowe, a nawet zwisające ściany, przyczyniające się do nadania krajobrazom lossowym najfantastyczniejszych kształtów.

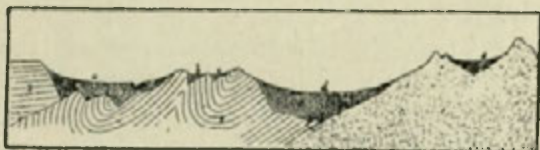
Loss, jak już wspomnieliśmy, występuje przeważnie w Chinach, gdzie zajmuje olbrzymie przestrzenie, sięgając od wybrzeży na zachód do słonych stepów na odległość 840 mil. Północną jego granicę stanowi dział wodny od stepów Mongolji, a południową — łańcuch gór Tsin-ling-szan, przedłużenie Kuen-Lunu. Na tym obszarze loss wypełnia kotliny między górami na grubość 1,500, a może nawet przeszło 2,000 stóp.

Pionowe rozprzestrzenienie lossu jest też bardzo znaczne. Richthofen napotykał go od niskich pasów nadbrzeżnych aż do wysokości przeszło 2,000 m.; do tej wysokości

tworzy on mianowicie olbrzymie nieprzerwane masy, oddzielnymi zaś strzępami, oszczędzonymi od spłókania, sięga do 2,400 m.

Rzeźbiarskie działanie wody płynącej na wielkie masy lossowe znakomicie przedstawił Richthofen. Widoczną jest rzeczą, iż utwór, który ułożył się masami tak olbrzymiej miąższości na krainie górzystej, musi sprowadzić wyrównanie nierówności, jak to pokazuje idealny przekrój na załączonym niżej rysunku.

Loss tworzy łagodne nieckowate doliny ponad skalistymi górami; z wyniosłego punktu widzi się krajobraz jednostajny, gdzie bez lossu byłoby urozmaicenie form. Ale ta łagodność, jednostajność form lossowych jest tylko po-



Idealny przekrój szeregu kotlin lossowych: 1. Góry granitowe. 2. Góry warstwowe. 3. Loss (łöss jeziorny nie jest wyszczególniony); a, b, c, d, e—szereg poszczególnych kotlin lossowych.

zorem, w rzeczywistości ukrywa ona większe trudności komunikacyjne, niż te, jakie spotykamy w skalistych górach, a to znów wynika z działalności wód płynących, które pożłobiły w równym, lekko pochyłym gruncie lossowym głębokie i bardzo rozgałęzione kanały. Przypatrzmy się dla przykładu okolicom miasta Ping-yang-fu nad rzeką Fön-ho; miasto to leży w zamkniętej zewsząd, płytkiej kotlinie, której dno w centrum składa się z osadów jeziornych; ściany lössu, któremi spada on ku tym osadom, nie są wysokie, lecz jeżeli udamy się wzdłuż jednego z dopływów Fön-ho w górę jego biegu, to zamykające jego dolinę żółte ściany lossowe rosną coraz wyżej i wyżej, albowiem

każdy strumień wodny ma spadek daleko mniejszy, niż powierzchnia lossu, w którym wyźłobił swą dolinę. Wkrótce ściany zaczynają się wznosić coraz wyższymi tarasami, które coraz bardziej oddalają się od rzeki.

Nieco dalej, z wąwozem, którym stąpamy, łączy się pod kątem ostrym drugi wąwóz, wyżłobiony przez dopływ pierwszego strumienia; jeżeli udamy się w górę drugiego wąwozu, to wkrótce zobaczymy, iż łączą się z nim od prawej i lewej strony nowe wąwozy, a w tych powtarza się to samo rozgałęzienie ku górze itd.; tak iż wkrótce stajemy wśród labiryntu wąwozów. Jeżeli dojdziemy do ich najdalszych odgałęzień, to okaże się, iż większa ich część już w samym początku przedstawia szczeliny, głębokie na 30 — 50 stóp, przy szerokości często nie większej jak 4 — 6 stóp.

Jeżeli zaś będziemy podróżowali po łagodnej powierzchni lossu, to staniami nagle na krawędzi jednego z tych głębokich wąwozów; ponieważ nie możemy go przekroczyć, więc wędrujemy wzdłuż niego w górę, ale wkrótce stanie nam na drodze nowy wąwóz, uchodzący pod ostrym kątem do pierwszego; idziemy w górę tego drugiego wąwozu i jeszcze bardziej oddalamy się od pierwotnego kierunku naszej drogi. Wkrótce napotykamy nowe odgałęzienia i jeżeli będziemy kontynuować podróż, to wkrótce zgubimy się pośród, wciąż nowopowstających, wąwozów. Powracamy więc skwapliwie do naszego punktu wyjścia i probujemy podróży w dół; ale wkrótce znajdujemy się na wysokim przylądku, który z jednej strony jest ograniczony pierwszym wąwozem, a z drugiej innym, do pierwszego uchodzącym. Zstępujemy z trudem po kilku tarasach w dół, ale gdy się dostaniemy na taras ostatni, przekonamy się, iż spada on pionowo w głęboką przepaść obu wąwozów. I tak trudności podróży mnożą się do nieskończoności.

Gdyby można było ten system wąwozów obserwować z lotu ptaka, to przedstawiłby on się w punkcie swego ujścia jak pień, wyrastający z połączenia korzonków i włókien. Zobaczylibyśmy też, że liczne tego rodzaju rozgałęzione systematy wąwozów wrzynają się w pochyłości niecki lossowej; jedne z nich kończą się pośród pochyłości niecki; inne sięgają aż do jej granicy.



Tarasy lössowe.

Wielkim urozmaiceniem krajobrazu lössowego jest ta okoliczność, że powierzchnia lössu nie spada bezpośrednio do dna dolin, lecz jak to już wspomnieliśmy — tarasami; tarasy te Richthofen objaśniał pierwiastkowo (China I) ławicowym układaniem się kongrecji wapiennych w lössie; objaśnienie to powtarza też i Keilhack («Prometheus», 1889), którego pracy się tutaj trzymamy; tymczasem Richthofen już dość dawno («Führer für Forschungsrei-

sende», 1886) sam zarzucił to objaśnienie i dał inne, które daleko lepiej tłumaczą ukształtowanie tarasów lossowych, tarasy te w miarę zbliżania do linii wąwozu, zmniejszają swe rozmiary poziome, a zwiększają spadek pionowy.

Ten układ tarasowaty — według nowego objaśnienia Richthofena — powstał wskutek cyrkulacji wody na dnie lossu; woda unosi cząstki lössu, podrywa mu podstawę, wskutek tego masy lossowe obsiadają, a że loss ma skłonność do tworzenia ścian pionowych, więc obsiadanie to, coraz znaczniejsze w miarę zbliżania się do głównej ryny, ku której zdążają wody podziemne, musi się ujawnić na powierzchni szeregiem tarasów.

Z powodu takiego tarasowatego układu, który powtarza się przy każdym wąwozie, towarzyszy wszystkim rozgałęzieniom,—kraina lossowa nabiera labiryntowego urozmaicenia i jeżeli podróżując w tej krainie całemi tygodniami, mamy przed oczyma wciąż ten sam gatunek gruntu i jeżeli to może geologa doprowadzić do rozpaczy, gdyż mu zakrywa wszelkie przekroje warstw, wszelkie obnażenia i zacieśnia pole obserwacji, to jednak jest się za to wynagrodzonym wielką obfitością form. Każdy rzut oka z góry w głąb tego labiryntu, lub z dołu, z głębi wąwozu, w liczne, rozchodzące się zeń gałęzie, przynosi nowe widoki. Mógł ktoś widzieć tysiąc krajobrazów lossowych, a mimo to spotka zawsze nowe i nieoczekiwane kombinacje, pełne powabu lub dziwaczności.

Szczególniej charakterystycznie występują obrazy tam, gdzie zbiega się wiele wąwozów; tutaj wznoszą się między końcami dwu sąsiednich wąwozów słupy lossowe na wiele setek stóp wysokie; spadają one tarasami w każdą stronę i wreszcie wybiegają ostrym grzbietem, który na końcach rozpada się jeszcze na oddzielne ruiny. Tutaj to występują zamki, forty, wały, wieże i obeliski w najrozmaitszym ugrupowaniu.

W innym miejscu idziemy wzdłuż głębokiego korytarza między pionowymi ścianami lossowemi; naraz zdziwieni spostrzegamy w ścianie otwór, wybity dla odprowadzenia wody deszczowej z wąwozu. Zdawałoby się, że jestto przedsięwzięcie niemożliwe, tymczasem przekonywamy się, że to zbocze wąwozu stanowi naturalną cienką ścianę, otwór w niej jest jakby oknem, za którym spostrzegamy bezpośrednio przy naszym wąwozie ziejącą przepaść. Zapuszczamy wzrok w dół i spostrzegamy dziki chaos, gdzie tysiące pionowych przyłądków z żółtego lossu dzielią tyleż niedostępnych wąwozów.

Jeżeli pójdziemy dalej naszym kurytarzem, to w końcu poprowadzi on nas być może stromo na dół lub też w górę tak, że trzeba nieraz wóz wyprzęgać, zdejmować zeń pakunki i przeprowiać go z wielkim mozołem przez trudne miejsce. To znowu nagle ściany się kończą po obu stronach, droga wstępuje na wązki grzbiet, po którego obu stronach zieją żółte przepaści, rozgałęziając się bez końca. Gdzie grzbiet ten znowu się wznosi, droga znajduje być może dogodną dla siebie płaszczyznę tarasu; ale wkrótce znajdujemy się znów w kurytarzu, z którego wychodzimy znów do labiryntu wąwozów i t. d., do nieskończoności.

Nietylko woda płynąca wytwarza tego rodzaju wąwozy, ale i wiatr, unoszący pył ze spulchnionej drogi, — tym sposobem drogi, prowadzące pierwotnie po powierzchni lossu, zagłębiają się w nią coraz bardziej.

Obszary lossowe mają wielkie znaczenie dla państwa chińskiego, albowiem loss przewyższa żyznością wszystkie inne grunty i podczas gdy w innych okolicach Chin rolnictwo i ogrodnictwo wymaga obfitego nawożenia, to na obszarach lossowych pola nie potrzebują żadnego nawożenia, lub co najwyżej bywają pokrywane od czasu do czasu świeżą warstwą lossu. Według Richthofena loss dlatego nie potrzebuje odnowy, utraconych na korzyść

roślin, cząstek mineralnych, mianowicie różnych soli, albowiem wskutek swojej włoskowatej budowy otrzymuje wciąż je nanowo z dołu: woda deszczowa przesiąka w loss aż do wody gruntowej, zawierającej różne sole i wywołuje podnoszenie się tych soli w górę na zasadzie dyfuzji. Do tego trzeba naturalnie znacznej ilości deszczu: przy małej jego ilości bowiem nie może nastąpić połączenie wodne między roztworami solnymi głębin i powierzchnią.

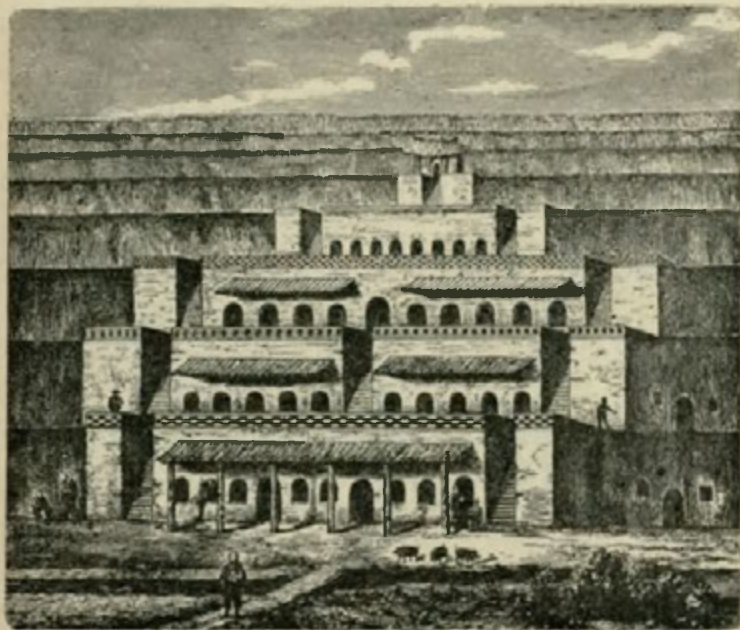


Kraina lossowa.

Nietylko jednak swą żyznością loss przynosi korzyść Chińczykom: z powodu swojego układu tarasowatego nadaje on się doskonale do urządzania w nim mieszkań w sztucznych jaskiniach,—są tu całe olbrzymie wsie jaskiniowe; dla umocnienia ścian mieszkańcy powlekają je pewnego rodzaju cementem, otrzymanym przez wypalanie lalek lossowych. Jedną z takich osad lossowych, urządzoną z większym staraniem, przedstawia niżej załączony rysunek.

Richthofen świadczy, że na granicy Mongolji często na obszarach żyznych, uprawnych, nie widać ani jednego domu; dopiero przystąpiwszy do ściany, ograniczającej dolinę lossową, można ujrzeć rojowisko ludzkie, niby pszczoły w ulach.

Naturalnie nie wszystkie mieszkania są urządzone



Fasada osady lossowej.

(Każde piętro odpowiada naturalnemu tarasowi lössowemu).

z takim komfortem, jak na powyższym rysunku, nieraz wyglądają one tak niewyszukanie, jak na rysunku niżej załączonym.

W każdym razie wnętrza tych mieszkań odznaczają się wielką czystością. Korzystnym warunkiem jest ich

jednostajna temperatura, tak, iż w zimie wydają się ciepłymi, w lecie zaś chłodnemi.

Prócz tego kraina lossowa ma ważne znaczenie strategiczne, z powodu bowiem niezliczonych wąwozów ruchu wojsk nieprzyjacielskich, przy odpowiednio wybranych obwarowaniach mogą być całkowicie powstrzymane. Dlatego to główne wejścia do obszarów lössowych są oddawna silnie obwarowane.



Mieszkania lössowe.

Zanim zwrócimy się do kwestji powstawania lossu, zastanowimy się pokrótce nad burzącym działaniem wielkich rzek na ich strome brzegi lössowe. Żółta ściana lossu wznosi się pionowo nad zwierciadłem rzeki do najbliższego tarasu, niekiedy na wysokość 500 stóp. Rzeka podmywa ścianę, unosi jej podstawę, tworzą się w lossie pionowe szczeliny, zbiegające się ku górze klinowo, wzdłuż nich masy lossu odrywają się i wpadają do rzeki, tak, iż ściana nabiera teraz formy zwisającej. Masy oberwane ulegają uniesieniu przez wodę, a ściana zwisająca obrywa

się powoli pionowo, głównie pod wpływem opadów atmosferycznych; jednak ta dążność do wytworzenia ścian pionowych jest udaremniana przez ciągłe podmywające działanie rzeki, które szybciej postępuje, niż obrywanie się górnej części ścian; dopiero wtedy, gdy rzeka zmieni koryto, ściana pozostawiona w spokoju, może z wolna przyjąć normalne pionowe położenie.

Rzeki, przepływające chińską krainę lossową, unoszą



Mieszkania lossowe.

masę materiału lossowego. Grubsze części, ziarnka piasku, osiadają pręcej i tworzą mielizny piaszczyste, których położenie zmienia się za każdym wezbraniem; delikatniejsze cząstki gliniaste, unoszone dalej, osiadają dopiero w obszarach ujściowych i w morzu. Ten osadzony z wody loss, tworzący nizinę nadbrzeżną w okolicach Pekinu, nie posiada prócz barwy żadnej innej cechy lossu pierwotnego, tworzy on zbitą bezpostaciową glinę, uwarstwioną, zupełnie nieprzepuszczalną dla wody. Osadzający

się loss posuwa linię brzegową w morze. Taka sama modyfikacja struktury lossu występuje naturalnie i tam, gdzie bogate weń rzeki uchodzą do jezior: powstaje tutaj różny od właściwego lossu utwór gliniasty poziomo uwarstwiony, który Richthofen nazwał «lossem jeziornym»; odróżnienie to jest bardzo ważne, jak to niżej zobaczymy, dla rozstrzygnięcia kwestji pochodzenia lossu.

Gdzie loss właściwy, lądowy spoczywa na jeziornym, tam różnica obu ujawnia się bardzo widocznie, albowiem wody atmosferyczne przenikają przez włoskowaty loss lądowy, a zatrzymują się na nieprzepuszczalnym jeziornym i występują na granicznej powierzchni obu jako potężne źródła.

Przechodzimy teraz do kwestji powstania lossu.

Kwestja ta przedstawiła się po raz pierwszy w całej trudności Richthofenowi, gdy zwiedzał krainę lossową chińską. Od brzegów morza do grzbietów górskich, na 8000 stóp wysokich, na linii blisko 1000 mil geograficznych, spotykał on wciąż ten sam utwór zupełnie jednostajny, na setki metrów gruby. Wszędzie ta sama barwa żółta, wszędzie ta sama budowa włoskowata, ta sama pionowa oddzielność i tarasowatość, wszędzie te same wtręty organiczne.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że utwór ten osadził się w olbrzymim wodobiorze. Ale hipoteza zalewu morskiego nie miała żadnej podstawy: trzeba by bowiem przypuścić, że ta część Azji obniżyła się naprzód przynajmniej na 8000 stóp, a następnie po osadzeniu się lossu, znowu się podniosła; tymczasem inne badania geologiczne nie potwierdzały tak olbrzymich ruchów skorupy ziemskiej w tej części Azji. Powtóre, przy morskim pochodzeniu niepojętym byłby brak wszelkich szczątków fauny morskiej, które przecież w materiale tak dogodnym musiałyby się dochować, — przynajmniej w spokojniejszych zatokach tego przypuszczalnego morza.

Hipoteza wód jeziornych, postawiona przez najdawniejszego badacza lossu chińskiego, Pumpelly'ego, też nie była szczęśliwsza: niepodobna przypuścić istnienia jezior, sięgających wysoko w góry, albowiem dla większości tych jezior brakłoby ograniczających krawędzi. Powtórę przy osadzaniu się w jeziorze musiałyby nastąpić zróżniczkowanie cząstek drobniejszych i grubszych, uwarstwienie, które też występuje w lossie jeziornym. Z tego samego względu nie można także przypuścić osadzenia przez wody płynące, albowiem w takich osadach zróżniczkowanie cząstek jest jeszcze wyraźniejsze, niż w osadach wód stojących.

Ponieważ tym sposobem udział wody w wytworzeniu lossu może być wykluczony, więc Richthofen przypuścił wiatr, przyznał lossowi powstanie «eolskie», i ta jego znakomicie przeprowadzona teoria wietrzana znalazła, przynajmniej co do lossu chińskiego, powszechne przyjęcie.

Że löss jest utworem atmosferycznym, lądowym, to na to, prócz powyżej wymienionych dowodów negatywnych, istnieją też i pozytywne.

Pierwszym z nich jest występowanie w lossie skamieniałości zwierząt wyłącznie lądowych; mianowicie muszle, występujące w lössie, w całej jego grubości, należą do ślimaków lądowych, kości zwierząt kręgowych, rozproszone tu i owdzie, należą też do istot lądowych.

Drugim dowodem jest budowa rurkowa, włoskowata lossu: że rurki włoskowate, wyłożone węglanem wapnia są śladami korzonków roślinnych, pozostałymi po ich zbudowaniu,—to łatwo się przekonać, obserwując obecną powierzchnię lossu, pokrytą roślinnością: widać tu, jak korzonki obecnie istniejących roślin przenikają głęboko w grunt lossowy i, rozgałęziając się, tworzą taki sam system rurek, jaki spotykamy w głębszych masach lossu; ponieważ zaś loss w całej swej, setki metrów wynoszącej,

grubości, posiada wszędzie taką samą budowę włoskowatą, trzeba więc przyjąć, że każdy centymetr tej olbrzymiej masy stanowił niegdyś powierzchnię ziemi, pokrytą roślinami. Widocznie przyrost masy lossowej musiał odbywać się tak powoli, iż rośliny miały dość czasu rozwijać się wraz ze wzrostem lossu wciąż na coraz wyższym poziomie; tym sposobem loss jest olbrzymim cementarzem niezliczonych generacji roślinnych.

Że to wiatr jedynie mógł być tym czynnikiem, który przez ciąg tysięcy lat gromadził jedną milimetrową warstwę na drugiej, aż powstały te, na setki metrów grube masy, pokrywające wszystkie nierówności, to o tem, prócz wykluczania się wszystkich innych czynników, przekonują nas obserwacje stosunków, obecnie w tej części Azji zachodzących.

Mianowicie, tak w Chinach północno-zachodnich, jak i w Azji Środkowej, burze pyłowe są zjawiskiem bardzo częstym, które trapi podróżnych. Nawet podczas ciszy powietrze jest niekiedy po całych dniach tak napełnione pyłem, że krajobrazy wyglądają jakby przysłonięte gęstą gazą z poza której wygląda wybladła niebieskawa tarcza słońca. Gdy zaś w okolicach Pekinu srożą się burze, przybywające z wnętrza Chin, to unoszą one ze sobą tak olbrzymie masy pyłu, że domy, drzewa, pola, nawet ludzie, przywdziewają żółtą barwę od spadającego i osiadającego na nich pyłu. Wprawdzie pył, spadający tutaj, jest tylko na inne miejsce przenoszonym lössem, który gdzieindziej już gotowy spoczywał, ale w Azji Środkowej można dziś jeszcze obserwować tworzenie się nowego lossu i tutaj można się dowiedzieć, skąd pochodzi ten materiał, używany przez wiatr do osadzania wielkich pokładów pyłu. Jestto mianowicie rozkruszone, rozdrobnione przez mechaniczne i chemiczne wietrzenie rumowisko potężnych gór; grubsze części tego rumowiska pozostają na miejscu, drobniejsze zaś porywa wiatr i unosi na stopy; jedna część

osiada na stepach, inna na górach i dolinach; ale stąd z czasem porywają je nowe wiatry lub wody płynące i unoszą też na stopy, gdzie dalsze działanie wiatru jest osłabione przez roślinność, która sprzyja osadzaniu się i utrwalaniu pyłu.

Dzisiejsze powstawanie lossu można, jak się rzekło, najlepiej obserwować na obszarach Azji Środkowej, noszących charakter stepów słonych. Są to nieckowate doliny między grzbietami gór, ze wszystkich stron zamknięte, zawierające w najniższych częściach jeziora słone, które zbierają wody, spływające z krawędzi niecek. Powierzchnia takiej niecki przedstawia w przekroju poprzecznym kształt słabo naciągniętej liny, t. j. pochyłość ku krawędzi niecki jest największa i ku środkowi staje się prawie nieodróżnialna.

Ponieważ ulatnianie w tej części Azji jest bardzo znaczne, więc jeziora te są drobne, a przytym bardzo zmienne, odpowiednio do każdorazowego stosunku między ilością opadów i natężeniem ulatniania. Wskutek braku odpływu w nieckach tych z biegiem czasu nagromadzają się sole, przynieszone jeziorom w stanie rozpuszczonym przez rzeki. Te bezodpływowe środkowo-azjatyckie niecki przedstawiają—jak to spostrzegł Richthofen—normalne warunki powstawania lossu. W częściach niecki, otaczających słone jezioro, wiatr osadza loss lądowy, gdy tymczasem w jeziorze ten sam materiał, przyniesiony poczęści przez wiatr, poczęści przez rzeki, osadza się zupełnie w inny sposób, jako utwór bez budowy włoskowatej, zato doskonale uwarstwiony—loss jeziorny. W każdym więc przekroju takiej kotliny można zauważyć środkowe jądro z lossu jeziornego, który w kierunku ku krawędziom wyklinowuje się pośród lossu lądowego.

Ten zygzakowaty przebieg linji granicznej między lössem jeziornym i lądowym dowodzi, że obwód jeziora

słonego wskutek drobnych zmian klimatycznych podlega wahaniom; jezioro raz się szeroko rozlewa, przez co loss jeziorny osadza się na większej powierzchni, to znów obszar jeziora, a z nim i obszar osadzania lossu jeziornego zmniejsza się.

Według poglądu Richthofena wszystkie obszary lossowe nosiły pierwotnie charakter słonych stepów i powstały, jako wypełnienie zagłębień bezodpływowych, — i rzeczywiście znajdował on wśród obszarów lössu lądowego, nieuwarstwionego, jądra lossu jeziornego uwarstwionego; z początku uważał on te jądra jako wtórne osady, powstałe ze spłókania powierzchni lössu lądowego, dopiero stosunki zalegania tych utworów w obszarach bezodpływowych dały mu klucz do występowania i na obszarach lossowych, mających odpływ do morza. Te jądra lub pnie lössu jeziornego odznaczają się dziś jeszcze znaczną zawartością soli, dlatego obszary przezeń zajęte są nieużyteczne dla rolnika: stanowią one pustkowia z roślinami solnemi; czasami wydobywają tu różne sole prymitywnymi sposobami.

Przypuszczeniem powstania lossu w kotlinach bezodpływowych wyjaśnia się też właściwe rozprzestrzenienie i układ lalek lössowych.

Jeżeli w obszarze lossowym, pokrajanym wąwozami, będziemy rozpatrywać pokład lalek lössowych w kierunku ku krawędzi niecki, to dostrzeżemy, że pomiędzy te lalki wciśkają się kanciaste kawałki skalne, tym liczniejsze, im bliżej krawędzi niecki, tak iż wreszcie tworzą one samodzielne pokłady, o wciąż powiększającej się grubości. Kanciastość tych kawałków dowodzi, że jest to rumowisko, które stoczyło się z gór okolicznych podczas silnych ulew. Nagromadzenia te więc świadczą o perjodycznych przerwach w osadzaniu się lössu i jest rzeczą prawdopodobną, że przerwy te były związane z drobnymi zmianami kli-

matu, wahaniami w ilości opadów. Gdy nastąpił perjod silniejszych opadów, to gromadzenie się materiału wietrzanego zmniejszyło się lub całkiem przerwało i powierzchnia lossu uległa zmienionym warunkom fizycznym. Gdy znów nastąpił perjod suchy, to osadziła się nowa masa lossu, która w pobliżu niecki jest oddzielona od poprzedniej pokładem rumowiska, ale ku środkowi niecki spoczywa na poprzedniej warstwie bezpośrednio. Na tej powierzchni granicznej wody, przesiąkające z góry, napojone węglanem wapnia, znajdują pewien opór, który wywołuje tutaj, jak i w innych podobnych wypadkach, wydzielanie się wapienia, powstawanie konkrecji, któreśmy poznali, jako lalki lossowe. Posiadają więc one o tyle pewną cechę warstwowości, że są związane z powierzchniami, oznaczającymi przerwy w osadzaniu się lossu. Zachodzi jednak wielka różnica między bezodpływowymi kotlinami Azji Środkowej i na wschód od niej rozciągającymi się, pokrajanymi przez rzeki, obszarami lossowymi północnych Chin właściwych. Kotliny bezodpływowe z powodu wielkiej zawartości soli w gruncie są niezdatne pod uprawę, zaledwie są zdolne zapewnić nędzny byt nomadom, tymczasem lossowe obszary odpływowe stanowią żyzne i bardzo gęsto zaludnione krainy rolnicze. Żyzność swą, a zarazem urozmaicenie plastyczne, pokrajanie wąwozami, obszary te zawdzięczają temu, że wskutek zmiany klimatu na wilgotniejszy stały się z bezodpływowych odpływowemi: po części przelanie się przepełnionych jezior przez krawędzie niecek i pogłębienie przez erozję łożysk odpływów, po części erozja wsteczna posuwaniem łożysk odpływów w górę dopełniły odwodnienia i odsolenia lossu.

Według *Richthofena* i *Keilhacka*.

Z HI-GAN-KI DO TA-CJAN-LU.

Za Hi-gan-ki droga szła przez jałowe góry, wśród których tylko gdzieniegdzie napotykały się urodzajne doliny. Droga przez góry była przykra, i w wielu miejscach niebezpieczna: przed samym wejściem do wąwozu Ta-cjan-lu, zaledwie na trzy stopy szeroka ścieżka, wyrębana wśród pionowych skał, prowadziła na grzbiet górski, z którego krawędzi widać było w pionowej głębokości sześciuset stóp spienioną rzekę. Jeden z przodowych kulisów dostał zawrotu głowy i upadł; drążek od lektyki złamał się i lektyka wraz ze mną zawisła nad przepaścią! Przez kilka sekund siedziałem, jakby tknięty paralizem, z oczyma wlepionymi w straszliwą otchłań, niezdolny do ruchu. Tragarze trzymali silnie za pozostałe drążki, choć byli również przerażeni; dopiero gdy nadeszło kilku kulisów z pakunkami, zdołano wyciągnąć lektykę na drogę. Byłem zupełnie bezsilny, i gdyby nie to, że kulisi wrzeszczeli i hałasowali, byłbym z pewnością zemdłał. Wzruszenie, jakiego doznałem, kołyszając się między życiem a śmiercią nad przepaścią, było straszliwe i trzeba było kilku dni, zanim się moje nerwy uspokoiły.

Przy wejściu do wąwozu dopędziliśmy szereg dwuchset blisko kulisów, którzy nieśli herbatę z Ya-cen do Ta-cjan-lu. Wprawdzie spotykałem już setki budzących litość kulisów, ale ci, których teraz widziałem, szczególnie zwrócili moją uwagę. Nieśli oni wielki transport herbaty, który rząd chiński posyłał w podarku wielkiemu lamie w L'Hassa, byli więc do tej pracy zmuszeni przez mandarynów i najniegodziwiej wyzyskani; zarobek wystarczał im zaledwie na połowę dziennej racji, składającej się z kukurydzianej mąki. Widok ich wzbudzał politowanie: każdy człowiek niósł ośm koszów herbaty, t. j. 160 funtów, a niektórzy dwanaście koszów, t. j. 240 f. Kosze te

leżały jeden na drugim w drewnianych ramach, które za pomocą szerokich rzemieni były przymocowane do ramion. Część ramy zaginała się i wystawała nad głową, tak iż tragarz musiał iść z pochyloną głową; tak obciążeni i zgłodniaли muszą oni odbywać stumilową drogę po górach, a ich ciężki zarobek napełnia kieszenie manderynów.



Jangtse.

Znajdowaliśmy się teraz w straszliwym i ponurym wąwozie Ta-cjan-lu, na końcu którego leży pograniczne miasto tegoż nazwiska. Na przestrzeni 20 mil ciągną się z dwóch stron pionowe skały, przeszło tysiąc stóp wysokie i zbliżają się do siebie w niektórych miejscach do 20 jardów. Ich szczyty pokryte są śniegiem, niżej zaś zalega mgła tak, iż nawet w południe panuje tam tylko półświatło. Płynąca w głębi rzeka zwilża w wielu miejscach wąską nadbrzeżną ścieżkę bryzgami swych licznych

wodospadów, a wielkie odłamy skał, zerwane ze szczytów szalonymi wichrami, staczają się w szumiący potok i napełniają wąwóz piorunowym hukiem. Wielu ludzi traci tu życie corocznie. Przechodziliśmy właśnie kupę ruin, oznaczających miejsce, gdzie mała wioska ze wszystkimi mieszkańcami została zniszczona przez olbrzymi odłam skalisty. Po dziesięciogodzinnym marszu przez wąwóz zatrzymaliśmy się na noc w Kung-guanie, który, jak ludzie mówili, rzadko bywa nawiedzany przez promienie słońca. O dziesięć kroków od drzwi huczał szalony potok i trudno się było opędzić myśli, że sześćset stóp wysokie skały zwisły nad kruchą budową i ciągle grożą zawaleniem.

Następnego dnia przebyliśmy pozostałe dziesięć mil bez żadnego przypadku i odetchnęliśmy swobodniej, gdy góry zaczęły się rozstępować po obu stronach i wstąpiliśmy na otwartą równinę, na której leży miasto Taj-cjan-lu.

Pierwsze kilka dni spędziłem na oglądaniu miasta, oraz obserwacji zwyczajów i obyczajów Tybetańczyków, którzy stanowią większość mieszkańców.

Samo miasto leży w głębokiej dolinie pośród śniegiem pokrytych gór. Strumień przepływa przez środek miasta i dzieli je na dzielnicę Chińską i Tybetańską. Wysokość i stromość gór po obu stronach doliny czynią to miasto naturalną niezdobytą warownią, a silne mury, zbudowane w poprzek po obu końcach doliny, zamykają jedyne drogi do miasta.

Dzielnica chińska składa się ze sklepów, w których chińscy kupcy sprzedają herbatę, tabakę i turkusy, a za to od Tybetańczyków otrzymują piżmo, boraks, zioła lekarskie, złoto i skóry zwierząt.

Wielu mieszkających tu Chińczyków jest Mahometanami, nie odróżniają się oni jednak ubiorem od reszty

swych ziomków i z koranem, jak się zdaje, nie bardzo są obznajmieni, chociaż szanują jego zakaz wina i wieprzowiny. Ich meczet, który leżał blisko mojego hotelu, stanowił najpiękniejszy budynek w całej chińskiej dzielnicy. Wierni zgromadzają się w nim bardzo licznie, zwoływani wieczór i rano za pomocą głośnego trąbienia ze wszystkich możliwymi dyssonansami, które mi często przeszkadzały spać.

Przy każdej bramie miejskiej znajduje się urząd celny, gdzie rewidują każdy przywożony lub wywożony towar; cały handel między Chinami i Tybetem przechodzi przez Ta-cjan-lu, stąd znaczenie tego miasta.

Mieszkałem już kilka dni w Ta-cjan-lu a jeszcze nie zetknąłem się z władzą, gdy pewnego poranku odwiedził mnie główny lama z klasztoru, leżącego w pobliżu miasta. Jechał on na białym mule w towarzystwie czterech tybetańskich służących i przedstawił mi się, jako jeden z głównych asystentów wielkiego lamy w L'Hassa. Był wysokiego wzrostu, młody, i jak na Tybetańczyka, miał jasną barwę skóry. Zwrócił moją uwagę swym nadzwyczaj grzecznym obejściem i rozpoczął zapomocą tłumacza rozmowę ze zreżnością światowca. Oświadczył mi, że dopiero od dwóch dni dowiedział się o moim przybyciu i korzysta teraz z najbliższej sposobności, aby odwiedzić angielskiego doktora, który przybył aż z tak daleka dla zwiedzenia kraju Buddy.

Filip przyniósł fajki i herbatę i młody lama przesiedział u mnie kilka godzin, zadawszy mi wiele pytań. Jakkolwiek panował on bardzo nad sobą, zdradzał jednak tu i owdzie, że pragnie wyciągnąć ode mnie wyznanie co do moich projektów podróży do Tybetu. Zauważywszy to, rzekłem, że słyszałem, iż lamowie są bardzo przeciwni francuskim misjonarzom i dodałem, że zupełnie się nie dziwię, iż wielki, religijnie usposobiony kraj, jak Tybet, broni się przeciw wprowadzaniu nowej religii. Uwaga ta, którą

uczyniłem pozornie z wielką obojętnością, zdziwiła niezmiernie lamę; «ach, więc nie jesteś nauczycielem tej nowej religji—rzekł — czemże więc jesteś, jeśli wolno zapytać?» — «Jestem—odrzekłem mu—zwykłym podróżnym, który zwiedził już wiele krajów, a teraz chce zobaczyć kraj Buddy, i ani religji nie uczy, ani o nic innego nie dba, prócz o osobliwości, jakie się napotykają w odległych i nieznanych krajach». — «To dziwne— rzekł lama — ja słyszałem, że przybywasz dla otwarcia drogi, po której mogliby przyjść wasi żołnierze, aby zabrać nasz kraj i lud nasz nawrócić na inną wiarę. Czyż nie jesteś jednym z tych nowych nauczycieli?» Odpowiedziałem mu, że jestem Anglikiem, a nie Francuzem, których religja nie jest moją, że nie jestem żadnym nauczycielem, lecz szanuję religję każdego kraju, który zwiedzam.

Po tych słowach mój gość wstał, zawołał jednego ze swych towarzyszków i żywo z nim rozmawiał, poczym zwrócił się do mnie i rzekł: «Bardzo mi przykro, ale muszę ci to powiedzieć, że słyszałem, iż będziesz aresztowany, jeżeli poważysz się posunąć za Bathang, albowiem uważany jesteś za zupełnie inną osobistość, niżeli się przedstawiasz. Radzę ci wyruszyć, dopóki jeszcze droga jest otwarta, i być ostrożnym, t. j. nie rozmawiać o religji i nie wdawać się z misjonarzami». Lama zaprosił mnie następnie ze sobą do klasztoru, na co się z chęcią zgodziłem. Po drodze napotykaliliśmy małe kupki, składające się z płaskich kamieni, na których była wypisana Tybetańska modlitwa «Om mani padme hum».

Klasztor był wielkim czworokątnym budynkiem z nieociosanych kamieni z szeregiem czworokątnych okien od licznych celi. Budynek ten robił wrażenie więzienia.

Weszliśmy do wielkiej drewnianej bramy, która prowadziła do ciemnego kurytarza, zakończonego tak samo po drugiej stronie. Po obu stronach tego kurytarza stały drewniane ramy, w których umocowane były cztery

drewniane cylindry na cztery stopy wysokie i jedną stopę średnicy. Cylindry te obracały się nadzwyczaj szybko, gdy przechodzący lama poruszył je, mrużąc modlitwy i przesuwając paciorki swego różańca. Na każdym cylindrze były modlitwy wypisane złotemi literami. Podobne cylindry stoją u wszystkich wejść klasztornych i każdy lama, wchodząc lub wychodząc, obraca je i przesuwają paciorki różańca.

Przeszedłszy wewnętrzną bramę, znaleźliśmy się wśród czworobocznego podwórza. Wzdłuż drugiego piętra szedł kryty drewniany balkon, na którym liczni lamowie przechadzali się tam i napowrót, licząc różańce i powtarzając cichym, grobowym głosem wieczną modlitwę «Omani pemi». Tak wymawiali oni wyrazy «Om mani padme hum». Zapytywałem lamów i innych ludzi o znaczenie tych wyrazów i otrzymałem stałą odpowiedź: «Cześć Boga», jakkolwiek europejscy uczeni tłumaczą te wyrazy przez «Dyament na lotusie».

Lama poprowadził mnie przez podwórze do swego pokoju, który odróżniał się od pokojów innych lamów tylko swym umeblowaniem i większą czystością. Inne pokoje były brudne i nie zawierały nic więcej, prócz małego pieca na środku i wielkiego cebrzyka drewnianego, w którym znajdowała się herbata z masłem. W pokoju zaś mego gospodarza znajdowało się wiele krzeseł chińskiej roboty, a koło pieca leżał gruby wełniany kobierzec, na który zaproszono mnie usiąść. Gdym się rozgościł, młodzieniec w ubraniu lamów, wniósł srebrne filiżanki, z których jedną mój gospodarz napełnił herbatą i włożył doń, jako szczególny znak gościnności, kawał masła wielkości pięści, odłamany z wielkiej bryły jełkiego masła. Następnie napełnił tak samo swą filiżankę i poprosił, bym pił z nim razem.

Zwyczaj zmuszał mnie do wzajemności i udało mi się połknąć porządny łyk tłustej brei, a przytym zrobić wielce zadowoloną minę. Lama zauważył to z przyjemnością, skło-

nił mi się grzecznie głową, dotknął swym małym palcem kawałek masła w mej filiżance i napił się do mnie powtórnie. Byłbym się z chęcią w mysią dziurę schował, ażeby nie przebywać tej drugiej próby, ale tak być musiało! Skupiłem całą potęgę mej woli, wychyliłem tę czarę goryczy i zapaliłem szybko fajkę, podczas gdy mój gościnny gospodarz z taką lubością smakował swe topniejące masło, jakby to był stary portwein.

Gdy wyraziłem chęć zwiedzenia klasztoru, lama ofiarował mi się za przewodnika; zwiedziliśmy kaplicę, gdzie on modlił się co dzień do wielkiego lamy, pod którym, jak sądzę, musiał rozumieć Buddę. Był to bardzo piękny mały budynek: na jednym końcu szereg zdobnych i pozłacanych sztachet zamykał pozłacaną statuetę Buddy około pięciu stóp wysoką. Przedstawiała ona bóstwo w postawie siedzącej, wyrażającej zamyślenie i była pokryta białą jedwabną draperją. W czterech ścianach znajdowały się nisze, wielkości stopy kwadratowej, na kształt gniazd gołębic; w każdej takiej niszy stał posążek Buddy około dwóch cali wysoki ze szczerzego złota. Posążków tych było z kilkaset, sądziłem też z początku, że są pozłacane, ale przekonałem się potem, że były rzeczywiście ze szczerzego złota. Przechodziliśmy następnie przez liczne korytarze, po obu stronach których znajdowały się cele; tu rozlegały się monotonne głosy księży, odmawiających pacierze. Całe urządzenie tego klasztoru i uroczysta cisza, jaka tu panowała, przeniosły mnie w odległe średniowieki. Pod tym względem byli oni zupełnie podobni do tybetańskich lamów, którzy, jak wszyscy podróżnicy świadczą, swym życiem klasztornym i religijnymi obrzędami niezmiernie przypominają mnichów i religijne ceremonje w krajach katolickich. Stosuje się to nawet do powierzchowności tutejszych lamów, którzy chodzą boso, z głową wygoloną i w długich sutanach. Około bioder wisi mała skórzana torba z krzesiwkiem i krzemieniem, na szyi różaniec, poruszany co chwila

lewą ręką, podczas gdy prawa obraca modlitewny młynek. Każde poruszenie takiego młynka poczytanym będzie za dobry uczynek, a więc zarówno księży, jak lud obracają ciągle swe młynki, przesuwiają ciągle różaniec i mruczą bez końca modlitwę «O mani pemini».

Zapewniano mnie, że przed chińskim podbojem lamowie wstępowali w związki małżeńskie, ale Chińczycy, obawiając się potęgi kasty kapłańskiej, uzyskali z L'Hassy polecenie, nakazujące księżom celibat. Pomimo tego więcej, niż trzecią część tybetańskiej ludności stanowią lamowie, można więc sobie wyobrazić, jaki ucisk wywierają księży na lud. Prawie w każdej familji jeden lub kilku synów zmuszeni są wstąpić do stanu duchownego. Opór rodziców wywołałby klątwę wielkiego lamy. Tym sposobem szeregi kapłanów są zawsze uzupełniane. Ludność zmniejsza się wskutek tego, a świeccy są poprostu niewolnikami księży, którzy pędzą życie w słodkiem i rozkosznym próżniactwie, albowiem każdy klasztor posiada niezmiernie dobra i pobiera olbrzymie podatki od świeckich w bydłe i w zbożu.

T. Cooper.

NA JAWIE.

Prowincja Preanger Land jest najpiękniejszą i najbogatszą miejscowością nietylko na Jawie, ale i na całym archipelagu Malajskim. Pociąg mknie szybko pośród przeludnych krajobrazów, to wspina się po lesistych zboczach gór, to zjeżdża w doliny, po mostach zawrotnych i wiaduktach przelatując wąwozy górskich rzek. Przed oczami wędrowca rozwija się cała panorama zachwycających obrazów przyrody i ogarnia żal, że się nie można w przelocie napić do syta wciąż znikającymi widokami. Szczególny urok krajobrazu jawańskiego i jego cecha zasadnicza po-

lega na różnorodnych połączeniach wciąż jednych trzech jej części składowych. W głębi widnieją potężne góry, jaśniejące barwami błękitu i fioletu; ich kształty stożkowe oraz obłoczki dymu, zwisłe nad wierzchołkami, świadczą o wulkanicznym charakterze tych gór. Bliżej rozciągają się zwykle obszary starannie uprawnej ziemi, najczęściej jasnozielone tarasy pól ryżowych. Wreszcie pierwszy plan obrazu mieści nieskończoną różnorodność form roślinności zwrotnikowej, okalającej siedziby tutejszych mieszkańców.

W przeciwstawieniu do Bornec, Sumatry i większości wysp archipelagu Malajskiego, Jawa jest bardzo gęsto zaludniona, a grunt jej od dziesięciu wieków znajduje się w starannej kulturze. Miejsca dzikie, nietknięte stopą ludzką, w których dziś jeszcze gospodaruje tygrys królewski i nosorożec, spotykają się tutaj bardzo rzadko—jedynie w niedostępnych miejscach gór lub na obszarach niezdrowych. Pomimo przeszło dwudziestopięciomiljonowej ludności wyspy niezliczone, przez nią zamieszkałe, wsie i osady mało są widoczne oku wędrowca, gdyż większość ich kryje się w zielonej gęstwinie wysokich drzew owocowych.

Wszystkie prawie siedziby Jawańczyków budowane są z bambusu, owej rośliny niezmiernie użytecznej, której różne części mają w tych okolicach więcej, niż sto różnych zastosowań. Dom mieszkalny Jawańczyka spoczywa na grubych pniach bambusowych, wbitych albo prosto w ziemię albo opartych o leżące w dole kamienie. Zwykle dom taki składa się z jednej izby, chociaż wewnątrz obszerniejszych budowli bywają podzielone przepierzeniami na dwie lub trzy części. Ściany, zarówno jak podłoga chaty, pokryte są matami, plecionymi z liści bambusu albo palmy. Podobnie matami pokryty jest rozległy dach, wystający znacznie poza ściany i tworzący swym okapem rodzaj krytej galerji wokół całej chaty.

Gaje i ogrody, otaczające siedziby jawańskie, zawsze prawie składają się z lekkich i wdzięcznych zarośli bam-

busu, jasnozielonych bananów o szerokich, gigantycznych, pięknie odgiętych liściach i dumnych palm kokosowych, wyrastających ponad otoczenie pióropuszami koron, zatkniętymi na pniu przedziwnie wysmukłym. Pośród tych roślin głównych rosną tu jeszcze palmy cukrowe, betel (gatunek pieprzu) i różne drzewa owocowe. Prócz tego wszędzie barwi się rozsiana na tle zieleni masa kwiatów i roślin dekoracyjnych o liściach rozmaitych kolorów. W wielkiej ilości spotykają się też ananasy, uprawiane na długich grzędach. Wspaniałe, złotożółte lub pomarańczowe owoce tej rośliny tkwią malowniczo pośrodku wielkiego pęka niebieskawozielonych, do mieczy podobnych liści. Te drogie owoce hodowane są na Jawie w takiej ilości, że na wszystkich stacjach kolejowych można ten przysmak orzeźwiający dostać za bardzo tanie pieniądze.

Rys zasadniczy krajobrazu jawańskiego stanowią, jak już wspomniałem, pola ryżowe, pokrywające tutaj wielkie obszary ziemi i dostarczające tutejszym mieszkańcom najważniejszą część składową pożywienia. Jawańczycy, od tysiąca lat zajmujący się już uprawą ryżu, posiadają znakomity sposób uprawiania ziemi, znany pod nazwą «systemu tarasów». Ryż, jako roślina zwrotnikowa błotna, znajduje w klimacie Jawy doskonałe warunki. Niezliczone szczyty wulkaniczne górskich łańcuchów gromadzą co dnia mnóstwo pary wodnej, wznoszącej się z powierzchni oceanu pod palącymi promieniami równikowego słońca. Powstałe w ten sposób ciężkie chmury burzowe skraplają się co dnia w obfite potoki deszczu. Spływając z wyniosłości po mniej lub więcej stromych zboczach górskich w doliny, woda deszczowa unosi ze sobą próchnicę z lasów i sole mineralne z gruntów wulkanicznych. Te skarby, zawarte w wodzie, jawańczycy starają się rozdzielać jak najrównomierniej na całej przestrzeni ryżowych zasiewów. W tym celu cały obszar pola zostaje podzielony na mnóstwo poziomych tarasów, leżących jeden nad drugim.

W tamach, oddzielających tarasy, zrobione są małe otwory albo śluzy, któremi woda spływa z tarasu na taras.

Ponieważ na Jawie panuje wieczne lato, to uprawa i posiew ryżu trwa tutaj przez cały rok bez przerwy, a na każdym polu żniwa odbywają się po dwakroć. To też z okna wagonu kolejowego można z łatwością obserwować wszystkie fazy uprawy ryżu. Przedewszystkiem pole z wielką starannością uprawiane jest pod zasiew. Jestto praca mężczyzny i dla tego pole roi się wówczas od rolników jawańskich, wyglądających zdala jak wędrujące grzyby, z powodu olbrzymich płaskich kapeluszy słomkowych, których średnica dosięga jednego metra. Kapelusz ten służy dla ochrony głowy i ciała zarówno przed palącymi promieniami słońca, jak i przed deszczem. Odziany w krótką kurtkę i krótkie spodnie Jawańczyk, brodząc po kolana w wodzie, idzie tam i z powrotem za ciężkim pługiem, który z wysiłkiem ciągnie po błocie para silnych bawołów. Gdy grunt zaorany w ten sposób zostanie jeszcze wypielony i zabronowany, wówczas wodę z pola odprowadzają. W tym czasie wschodzi już właśnie ryż zasiany wcześniej na osobnych polach, zalanych wodą.

Teraz dopiero zaczyna się ciężka robota kobiet i dzieci. Schodzące rośliny zostają przez nie wyjęte z gruntu i przeniesione na uprawione już pole, gdzie sadzone są w dołkach prawidłowemi rzędami. Po zasadzeniu, pole na nowo zostaje nawodnione i na pewien czas zmienia się w spokojny staw. Jednak wkrótce z pod zwierciadlanej powierzchni wód wyłaniają się delikatne żółte źdźbła ryżu, a lśniący staw szybko zmienia się w falującą niwę, której zieleń aksamitna pieści oko wędrowca. Gdy kłosa zaczynają dojrzewać, to wszędzie na polach pojawiają się strachy na ptaki, zrobione z liści palmy kokosowej albo cukrowej. Liście te poruszają się z szelestem przy powiewie wiatru i straszają ptaki. Prócz tego na polach mieszkańcy przeciągają w różnych kierunkach długie sznury, do których przywią-

zane są straszaki i jaskrawe strzępy materji. Na wysokich pniach bambusowych, rozrzuconych tu i owdzie, siedzą strażnicy i poruszają całą sieć tych sznurków, odpędzając skrzydlatych amatorów ziarn ryżowych.

Za nastaniem żniw pola ryżowe znowu zmieniają swój wygląd: teraz są one znowu suche i jakby przystrojone na uroczystość. Wszyscy mieszkańcy wsi pośpieszają teraz na pola złociste i starannie małemi nożykami ścinają oddzielne kłosa, wiążąc je naprzód w pęczki, a następnie w snopy. Snopy te przywiązują do długich pali bambusowych, których końce biorą na ramiona dwaj rośli Jawańczycy i zaraz odnoszą plon albo prosto na targ albo do niezbyt dalekich spichrzów, tu i owdzie rozrzuconych między chatami. Czerwone, fijołkowe i zielone ubiory kobiet; białe, żółte i niebieskie stroje mężczyzn, olbrzymie płaskie kapelusze—wszystko to przyczynia się do zwiększenia malowniczości i uroku, jaki przedstawia barwny obraz żniw.

Bardzo charakterystyczną składową część krajobrazu jawańskiego stanowi wspaniały bawół tutejszy, zwany przez tuziemców «Karban». Bawołu używają tutaj nie tylko do pracy na roli i przewożenia ciężarów, ale także do zwykłego zaprzęgu. Bawoły malajskie są bardzo silne i ciężkie, sierść mają jasno popielatą, niekiedy z odcieniem czerwonym, z powodu przeświecającej przez rzadkie włosy skóry. Ich łeb, szeroki i płaski uzbrojony jest w dwa wielkie, silne, ku wnętrzu zagięte rogi. Nadzwyczaj ciekawie i zabawnie wygląda nagie małe cielę bawole, leżące rozciągnięte na grzbiecie starego bawołu, gdy ten nieruchomo stoi w wodzie.

Te spokojne sielskie obrazy, zmieniające się nieustannie towarzyszyły mi przez cały ciąg podróży.

Według *E. Heckla.*

WYBUCH WULKANU KRAKATAU.

Krakatoa albo *Krakatau* jest to wyspa wulkaniczna w archipelagu Wschodnio-Indyjskim, mianowicie w cieśninie Sunda między Sumatrą a Jawą. Krakatau przed wybuchem w r. 1883 składała się z dwóch stożków wulkanicznych, z których wyższy dosięgał prawie 860 m. i miała obszar 33 km.² Dawniejsze wybuchy, z których ostatni zdarzył się w r. 1680, były nieznaczne, dopiero słynny wybuch r. 1883 przyjął olbrzymie rozmiary, większą część wyspy wyrzucił w powietrze i zmniejszył jej obszar do $\frac{1}{3}$ poprzedniego. Wstrząśnienie powietrza, wywołane tym wybuchem, zdmuchnęło wszystkie płomienie gazowe w odległej o 150 km. Batawji. Wybuch ten zaczął się 21 Maja; w dniu tym z wulkanu wzniosła się kolumna popiołu, sięgająca 11000 metrów wysokości; po upływie miesiąca kolumna ta została oświetlona odbłaskiem ognistej lawy, wznoszącej się w kraterze. W dniu 26 i 27 sierpnia miał miejsce wybuch główny; pumeks pokrył morze na długość 30 km. i szerokość 1 km.; grubość pokrycia wynosiła 3—4 metrów. Fala do 35 metrów wysoka zalała brzegi Sumatry oraz Jawy i zatopiła do 40000 ludzi; pewien parowiec został rzucony na ląd na odległość 4 km. Fala ta ujawniła się na wybrzeżach oceanu Indyjskiego a nawet Atlantyckiego (na Południowej Georgii i na przesmyku Panamskim) od brzegu. Huk wybuchu było słycać na odległość 4775 km. Osad popiołu do 60 mm. grubości sięgnął od Singapuru na północy do wysp Kokosowych na południu i od Benkulenu (na Sumatrze) na zachodzie do Patuba (na Jawie) na wschodzie, to jest zajął obszar 827000 km.² Ilość wyrzuconych materiałów oceniają na 18000000 metrów sześciennych. Część wyspy pozostała po wybuchu przedstawia wyborny okaz pionowego przekroju stożka wulkanicznego: na ścianie

przekroju widać pionową żyłę jaśniejszej skały trachitowej, wypełniającej kanał pośród ciemnej góry, usypanej z popiołów, przesnutych jaśniejszemi pasami lawy. Co do przyczyny tego straszliwego wybuchu, to przypuszczają, że naprzód zwyczajna działalność wulkaniczna wytworzyła, wskutek parcia lawy, szczelinę w stożku popiołowym, przez tę szczelinę woda morska przeniknęła aż do rezerwoaru ognistej lawy i wtedy dopiero nastąpił straszliwy wybuch, który wzdłuż poprzednio wytworzonej szczeliny wyrzucił w powietrze mniej oporną część (większą) wyspy; woda nie była tu przyczyną pierwotną, lecz tylko — potęgującą. Pył wyrzucony przez wybuch stał się przyczyną wspaniałego i długotrwałego zjawiska zorzy dokoła kuli ziemskiej w jesieni roku 1883: subtelne cząsteczki pyłu stały się ośrodkami pęcherzyków mgły; promienie słońca przy pewnym kącie padania podczas zmierzchu załamują się w tych pęcherzykach i wychodzą z nich jako promienie czerwone.

Według *W. M. Meyera* i innych.

DOMY JAPOŃSKIE.

Domy japońskie nie mają stołów, nie mają krzeseł, nie mają łóżek — i człowiek zapytuje siebie: w jaki sposób Japończycy śpią, jak jedzą, w jakiej postawie spełniają różne czynności życia towarzyskiego?

Brak mebli, pustka, oto pierwszy rys charakterystyczny. Jest wszakże i wiele innych, które odślaniają nam opisy podróży. A przedewszystkiem uderzyła ich w domu japońskim nietylko ta pustka i wynikający stąd zupełny brak komfortu, ale i nietrwałość domów i fakt, że wnętrze ich jest dostępne dla wszystkich spojrzeń z zewnątrz.

Na Zachodzie ludzie budują domy mocne, wskazujące, że opanowali ziemię; chcą mieć dla mieszkań swoich obszar

zupełnie zamknięty, tworzący wnętrze, ognisko domowe, to, co Anglicy wyrażają słowem *home*. Japończycy, pochodzący od mongolskich nomadów, budują sobie mieszkania podobne jeszcze do namiotów przodków.

Budynki, jakie wznoszą, nie czynią nawet wrażenia mocnych. Są zazwyczaj z drzewa zarówno najwspanialsze, jak i najskromniejsze. W kraju tym nie umieją jeszcze obrabiać kamienia, a zresztą kraj dostarcza daleko mniej kamienia niż drzewa. Skały są kruche i nie nadają się na materiał budowlany, ze względu na małą odporność na deszcze i mrozy. Drzewo stanowi tedy pierwiastek przeważający w budowlach, a używana bywa w tym celu zazwyczaj sosna, do budowy zaś domów mniej pospolitych cyprys.

Na nietrwałość domów najbardziej wpływa ta okoliczność, że nie posiadają one zazwyczaj wcale fundamentu. Budowa zaczyna się zawsze od dachu, w którego urządzenie Japończycy wkładają dużo pracy i zręczności. Dachy te są zazwyczaj płaskie na domach mieszkalnych, na świątyniach zaś i starych pałacach szlacheckich zagięte są na brzegach do góry. Podtrzymywane są one przez słupy drewniane, wsparte na nieobrobionych kamieniach. Dom taki, nie posiadający jakiegokolwiek poważniejszego fundamentu i wzniesiony zaledwie na dwie lub trzy stopy ponad powierzchnią gruntu za pomocą kamieni węgielnych, robi do pewnego stopnia wrażenie, że jest zawieszony w powietrzu.

Co przytem nie mniej może zadziwiać, to, że domy tak wzniesione nie posiadają bodaj wcale ścian. Z ziemi ubitej i gliny budują tylko na wybrzeżach. Front i tył mieszkania zamknięte są skromnymi ramami z cienkiego drzewa, obciągniętymi papierem tekturowym, dość grubym wprawdzie, ale robionym ze szmat, skutkiem czego nie jest naturalnie w stanie ostać się długo przed wilgocią powietrza. Trzeba go zatem często zmieniać. Wpływa to, wraz

z częstymi pożarami, które również zmuszają właściciela do odbudowy lub odnawiania domu, na nadanie domom tym piętna czystości, co tak podziwiają wszyscy w Japonji, w przeciwstawieniu zwłaszcza do stałego ładu, na przykład sąsiednich Chin.

Architektura jest prawie wszędzie ta sama, zarówno w domach miejskich, jak i wiejskich, w domach bogaczy



Zniszczenie wskutek Taifunu.

i ubogich. Te ostatnie różnią się od siebie tylko wartością materjału, z jakiego są stawiane. Między miastem zaś a wsią ta znów tylko zachodzi różnica, że w mieście widzimy większą liczbę domów.

Rozkład wewnętrzny domów jest również wszędzie niemal jednakowy. Domy japońskie, nie posiadające mebli,

nie mają również i pokojów. W mieszkaniu takiej a takiej rozległości mieszkańcy tworzą sobie poprostu pewną ilość pokojów za pomocą ram ruchomych, wsuwanych w przygotowane zawczasu rowki. Ramy te, pełniące funkcje ścian, ustawiane są tu lub tam, stosownie do potrzeby. Latem naprzykład, dla otrzymania większej ilości powietrza, wszystkie te ramy są usuwane, niekiedy nawet zostają zamiast ścian same drzwi, co daje istotnie niezwykły widok. Mieszkańcy robią sobie zatem tyle pokoi, ile im potrzeba; na podłodze rozciągają plecionki z sitowia, wymiarów rozmaitych, wysłane słomą, albo grubą tkaniną i obrębione na brzegach. Powstają stąd pokoje o czterech, sześciu, ośmiu, dziesięciu plecionkach i t. p.

Przeznaczeniem tych plecionek nie jest tylko zastępować podłogę; jak zaraz zobaczymy, służą one również jako sprzęty do siedzenia i jako łóżka.

Dwuch tych niezbędnych mebli brak istotnie Japończykom. Zwraca to uwagę cudzoziemców od pierwszego rzutu oka. Napróżno również szukamy w mieszkaniach japońskich stołów, komód, wogóle tego wszystkiego, co stanowi umeblowanie naszych mieszkań europejskich. Japończycy wogóle uprościli to sobie niezmiernie. Kiedy Japończykowi przyjdzie ochota zabrać się do pisania, wydobywa z umieszczonej w murze szafki maleńki stoliczek o jednej nodze, co najwyżej stopę wysoki i przykłęka przed nim do pisania. Po ukończeniu roboty stolik idzie z powrotem do schowanka.

Na czas spożywania posiłku przynoszone są również małe stoliki. Każde z rodziny ma taki swój osobny stolik. Wszyscy jedzą przy nich, przykucnąwszy na plecionkach. Kiedy wreszcie nadejdzie czas spoczynku, na tych samych plecionkach układane są grube okrycia, bawełniane lub jedwabne, stosownie do stopnia zamożności właścicieli, i Japończycy kładą się do snu na nich lub okrywają się

niemi, zdjawszy wprzód szatyienne, a włożywszy koszule lub kaftaniki z jakiejś tańszej lub droższej tkaniny.

Rano cała ta pościel chowa się do ukrycia; okna otwiera się dla przewietrzenia pokoju; plecionki wreszcie podlegają gruntownemu wytrzepaniu i wyczyszczeniu. Ściśle biorąc, możnaby w tych domach powynosić nawet przegródki między pokojami. Zastępują je zresztą często zasłony innego rodzaju, np. parawany. Mieszkanie po rannem uprzątnięciu staje się najzupełniej wolne. Stosownie do potrzeby, można tam teraz urządzić biuro, pokój stołowy, salon, a wieczorem znów bez wielkiego zachodu—sypialnię. Ten oryginalny rozkład pokoiów ułatwia w znacznym stopniu utrzymanie porządku i czystości w mieszkaniach japońskich.

Są jednakże dwa przedmioty (bo nie można nazwać tego meblami), które znajdują się we wszystkich mieszkaniach i są w użyciu powszechnem. Jednym z nich jest *hibatsi*, mały piecyk, zawsze rozgrzany, zarówno w dzień, jak i w nocy, latem tak dobrze, jak i zimą, gdyż Japończycy muszą mieć na każde zawołanie wodę gorącą do herbaty, oraz ogień do fajeczki.

Hibatsi jest przyrządem przenośnym, wykonanym pięknie z miedzi lub brązu. Pełno w nim zawsze węgla, płonących na podłożu z popiołów, przesypanych codzień zrana przez rzeszoto. W niektórych domach, gdzie przechowywane są ściśle starodawne zwyczaje, zamiast tego przenośnego przyrządu znajdujemy duży czworokątny dół pośrodku pokoju. Dół ten, wysłany ubitą ziemią dla ochrony od pożaru, jest również napełniony zawsze popiołem i płonąciami węglami.

Japończycy niezmiernie lubią palić swoją fajeczkę, maleńką, wielkości zaledwie naparstka, którą noszą przywieszoną na sznurku u kapciucha z tytoniem, kapciuch zaś przyczepiają do pasa. Wymyślili też inny jeszcze sposób zapalania fajki: jest to *tabako-bon*, drugi po za *hibatsi*

przedmiot, niezbędny w każdym domu japońskim. *Tabakobon* zbliżony jest wyglądem do naszej tacki, której część zajmuje małe palenisko, urządzone na wzór *hibatsi*, a ponadto znajduje się tam spluwaczka, którą zastępuje niekiedy odcinek łodygi bambusowej.

Zadanie *hibatsi* nie ogranicza się do spełniania usług powyższych; służy ono również do ogrzewania mieszkania. Zimą cała rodzina zbiera się dokoła tego ogniska. Tu Japończycy palą fajki i piją herbatę z maleńkich filiżaneczek, tu gawędzą i używają rozkoszy *far niente*. Gospodyni nawet przygotowuje tu posiłek, zwłaszcza po wsiach.

Podróżopisarz Bousquet opowiada o tych wielkich ogniskach, szerokich i długich na jeden metr kwadratowy, pełnych dREW sosnowych, dokoła których zasiadają domownicy i goście, grzejąc nogi przy ogniu, ale w tej pozycji, aby nie być oślepienymi przez gęsty dym, kołysany wiatrem. Nad ogniskiem wisi na żelaznym haku kociołek z wodą wrzącą, skąd w każdej chwili zaczerpnąć można łyżką drewnianą wody do herbaty, do zwilżenia ryżu, lub do umycia naczyń z lakki. Jest to najważniejsze miejsce w całym mieszkaniu.

Po za przedmiotami, o których była wyżej mowa i które, jakżeśmy już powiedzieli, są w powszechnem użyciu, możnaby, dobrze poszukawszy, porobić jeszcze pewne odkrycia na pustkowiu mieszkań japońskich. W jednej trwałej ścianie pokoju (trzy inne są tylko zasłonięte papierem, który można usuwać i przywracać dowolnie) zrobione jest małe schowanko o dwóch przedziałach, zwanych *toko-nama*. W jednym z tych przedziałów na całej gładkiej ścianie, okolonej ramą drewnianą, zawieszane bywa wyobrażenie bóstwa, wyrysowane przy pomocy atramentu chińskiego, lub też jaka sentencja moralna którego z filozofów chińskich, wyznaczona na kawałku papieru. Poniżej, na małym wzniesieniu, znajdują się zazwyczaj dwie wazy, zawierające kwitnące gałązki ulubionych roślin.

Między dwiema wazami znaleźć można było niegdyś zawsze podstawkę do broni (*katanakake*), gdzie składano szable w tych czasach, kiedy szlachta nosiła je po dwie, a w razie potrzeby przy ich pomocy wykonywała *harakiri*, o którym później będzie mowa.

Drugi przedział zajęty jest przez szafę w murze, dającą się rozbierać na części, jak i całe mieszkanie, i również osłonięty ścianami papierowemi. Tam to składane są wszelkie przybory kuchenne: naczynia, miotły i t. p., wogóle wszystko, co właściciele pragnęliby ukryć i co stanowiloby poniekąd plamę na wzorowej czystości mieszkania. Na wyższej półce tej szafki chowana jest pościel, o której wyżej mówiliśmy, a którą wydobywa się stamtąd przed pójściem na spoczynek. Następnie wymienić należy odzież nocną, która zastępuje dla Japończyka zarówno koszulę nocną, jak i prześcieradła i kołdry, używane w Europie. Ta odzież nocna składa się z kaftana o szerokich rękawach, na zimę dobrze watowanego. Nareszcie wspomnieć należy o czymś, co zastępuje Japończykom poduszkę, a co jest jedną z najciekawszych części składowych pościeli japońskiej.

Jest to wałek pod głowę, mający kształt żelazka do prasowania, w górnej swej części wysłany bawełną lub też pokryty całym zeszytem papieru. W tym ostatnim wypadku kobieta zdiera co wieczór jedną kartkę z tego zeszytu, na którym daleko częściej niż głowę opiera kark, aby nie potargać pracowicie i z niemłą trudnością ukończonego czesania. Z czterech stron tej poduszki mieszczą się szufladki, do których Japonki chowają swe sakiewki, klucze, niekiedy listy, świętości i t. p. Europejczycy namęczą się zawsze okropnie przy utrzymywaniu w równowadze głowy na tym kołyszącym się pniaku, który nadomiar złego ma taki kształt, że koło szyi pozostaje wolne miejsce do przewiewu powietrza, bez czego każdy chętnieby się obył. Nad łóżkiem tym, a raczej nad tą karykaturą łóżka rozciąga

się dla zabezpieczenia od komarów *kasja*, zasłona płócienna lub bawełniana, przybita czterema gwoździami do sufitu.

Jak widzimy z powyższego, rewolucja nie przeniknęła jeszcze do pościeli japońskiej. Również dużo byłoby jeszcze do zrobienia i pod innymi względami w mieszkaniach japońskich. Tak np. mieszkańcy wysp japońskich nie znają, a przynajmniej nie znali przed wielu laty, sposobów wyrabiania szkła, skutkiem czego okna ich nie są zaopatrzone w szyby i mają tylko ruchome ramy drewniane, niekiedy wykonane z wielką pomysłowością i zaklejone papierem przezroczystym.

Dom zazwyczaj posiada ozdobę w postaci werandy, która podczas pogody przez cały dzień pozostaje otwartą. Parter, a zwłaszcza jego pokoje wychodzące na ulicę, również pozostają otwarte przez dzień cały. Zamyka się wszystko tylko na noc i na czas niepogody. Używane wówczas okiennice zrobione są z grubych desek z twardego drzewa. Deski te są ruchome, bronią one mieszkańców od najścia nieproszonych gości, podobnie jak ściany tekturowe zasłaniają od deszczu i wilgoci. Osoba, pragnąca wejść do domu, zatrzymuje się przed tą swego rodzaju barykadą i woła: «Przepraszam», albo mniej grzecznie: «Słuchajcie! Słuchajcie!», lub też poprostu klaszcze w dłonie, aż służąca przyjdzie jej otworzyć.

Ale po za temi zasłonami *home* japoński niema zresztą żadnych tajemnic dla przechodniów. Latem oko przenika do wnętrza bez żadnej przeszkody i obserwować może wszystko, co się tam dzieje. Zimą przy odrobinie dobrych chęci i ciekawości można również doskonale śledzić wszelkie szczegóły życia domowego. Życie Japończyków upływa przy świetle dziennem, jak gdyby w domach szklanych.

«Budynek, wystawiający na pokaz wszystko, co powinno być ukryte, i dający schronienie za przegrodą, którą palcem można rozwalić—pisze cytowany już Bousquet—

razi nieprzyjemnie widza, jak bombastyczny, a niewłaściwy opis. Nikt nie ma prawa spędzać w ten sposób całego życia na drodze publicznej. A dalej nieco: «Nic tak nie razi Europejczyka, przyzwyczajonego ukrywać tryb swego życia za grubemi murami, jak te przewiewne parawaniki, które oddają całkowicie mieszkańców na pastwę podglądania i podsłuchiwania».

Domy japońskie są zatem nietylko wystawione na chłód, wiatr i wilgoć, ale są nadto zbyt przejrzyste wobec spojrzeń ciekawych i niedyskretnych. Jakiż wniosek wyciągnąć możemy z tego faktu? Ten tylko, że życie domowe, tak rozpowszechnione na Zachodzie, nie istnieje wcale u Japończyków. Dom taki, osłonięty zbyt cienkimi ścianami, z po za których słycać dokładnie rozmowy i przez które widać, co się dzieje w domu, nie może być tem, co Europejczyk rozumie pod nazwą *home*. Istotnie nie ma tu kominka, ani w dosłownym ani w przenośnym znaczeniu, gdyż ruchomy piecyk w żaden sposób nie może go zastąpić. Przy spożywaniu posiłku rodzina nie zbiera się za jednym wspólnym stołem, jakeśmy to już wyżej powiedziałem, przynoszone są na ten czas osobne stoliki samotne, dokoła których krąży tylko służący, przynosząc coraz to nowe porcje ryżu. Również i wieczorem rodzina nie zbiera się koło jednego stołu, gdyż takiego sprzętu niema w domach japońskich. Rodzina wogóle nie zbiera się wspólnie, skutkiem czego nie może wytworzyć się ciepła atmosfera rodzinna.

Do nadania ciemnych barw temu obrazowi przyczynia się jeszcze system oświetlenia: świece, będące w powszechnym użyciu, rozświetlają bardzo słabo ich mieszkania, lampy naftowe teraz się dopiero zaczynają rozpowszechniać.

Wreszcie jedną z poważniejszych przeszkód, powstrzymujących rozwój życia domowego, jest położenie kobiety, aczkolwiek przyznać trzeba, że są one tam na ogół lepiej

traktowane i znacznie szczęśliwsze, niż w innych krajach Wschodu.

Trzeba jednak w końcu dodać, dla usprawiedliwienia Japończyków, że warunki fizyczne ich kraju są poniekąd głównym powodem takiego systemu budownictwa, i w następstwie, siłą rzeczy, odpowiedniego urządzenia mieszkań. W Japonji trzęsienie ziemi jest objawem bardzo pospoli-



Wulkan Fudzi Jama.

tym. Japończycy zatem wnoszą domy niezbyt trwale nie tylko dla tego, że mało mają w swym kraju kamienia, zdatnego do budowy. Budowle ich, wzniesione z drzewa, są przytym wystawione na inne jeszcze niebezpieczeństwo, mianowicie na pożary. Tym tłumaczyć można niewielką dbałość Japończyków o piękne umeblowanie i urządzenie swych mieszkań.

W Tokio rzadko kiedy mija noc bez bicia w dzwony na trwogę. Na ulicach spotyka się tam co pewną przestrzeń duże dzwony, zawieszzone wysoko między dwoma wbitemi w ziemię słupami. Stoją przy nich w pogotowiu drabiny, służące zarazem i do zapobiegawczego stróżowania przed pożarem i do niesienia ratunku w razie wybuchu ognia.

Pod ścianami domów spotyka się często drewniane pompy, oraz wiadra, pełne wody, ukryte pod daszkiem, chroniącym je od słońca i od słońca.

«Ogień jest kwiatem Jedda» — mówi stare przysłowie japońskie; a kwiat ten zakwita to tu, to tam, jak się zdarzy. To też Japończycy są w tym wypadku wielkimi filozofami. Przedewszystkiem domy ich kosztują niewiele: można już tam kupić dom za 200 franków, przeciętnie kosztują one mniej więcej po 100 dolarów (500 franków), te zaś, które dochodzą do cen wysokich nabyć można za trzy do czterech tysięcy franków.

Również i ruchomości domowe Japończyka, opisane szczegółowo powyżej, nie kosztują na ogół zbyt wiele. Prócz tego dodać trzeba, że koło domów znajdują się tam zawsze schowanka, zbudowane z gliny, o grubych ścianach, będące dostatecznym schronieniem od ognia. Do nich w razie wybuchu ognia znoszą mieszkańcy cenniejsze przedmioty, zabezpieczając je tym sposobem od zniszczenia. Spalone domy odbudowywane są natychmiast. Kupcy mają zawsze do zbycia zapasy przedmiotów niezbędnych. Przychodzi im to tym łatwiej, że różnorodność w umeblowaniu jest w Japonji prawie nieznaną: wszystkie prawie mieszkania urządzone są według jednego typu. To też w tych warunkach spalona dzielnica odbudowana może być najzupełniej w ciągu dwóch tygodni. Niekiedy nawet natychmiast po pożarze tego samego dnia wieczorem posiadają już nowe domy i mieszkańcy zagospodarowują się ponownie wśród dymiących jeszcze zgliszczy.

Obliczają, że niektóre dzielnice stolicy odbudowują się w ten sposób z gruntu przeciętnie co trzy lata. Niema też w całej Japonji mieszkańca, któryby się urodził, spędził życie i umarł pod jednym i tym samym dachem.

W. Depping.

HARAKIRI.

Harakiri było dla Japończyka pewnym sposobem ocalenia honoru. To też rząd japoński, który byłby mógł położyć koniec temu krwawemu zwyczajowi, posługiwał się nim przeciwnie jak bronią doskonałą, zwłaszcza dla karania zbrodni politycznych. Długie formalności były zbyteczne: skazany podejmował się sam wykonać wyrok. Rząd posunął się dalej jeszcze; uczynił z tego samobójstwa rodzaj przywileju; arystokrata za łaskę uważał, gdy został skazany, że mógł sobie zadać śmierć sam, zamiast zostać zabitym, podobnie jak dawniej w Europie szlachcic jak o łaskę prosił, by go ścięto, nie zaś wieszano, a to dla ocalenia honoru rodu. Po otwarciu Japonji dla cudzoziemców, gdy zbrodnie na nich popełniane szerzyły się w sposób przerażający, rząd, chcąc temu położyć kres, nie znalazł innego środka, tylko oświadczył, że na przyszłość zabójca Europejczyka zostanie zdegradowany z całą rodziną i będzie ścięty, jak najgorszy zbrodniarz, zamiast, jak dawniej, uzyskać wielką łaskę — pozwolenie na rozplatanie sobie brzucha.

Z tych to różnych powodów *harakiri* musiało przechować się do naszych czasów, albo przynajmniej do dnia, w którym, wraz z przekształceniem się Japonji, zwyczaj ten wyszedł z użycia już przez to samo, że kasta samurajów (wojowników) została usunięta, feodalność zniszczona, a nowe prawo zabroniło Japończykom nosić broń publicznie.

Harakiri jest zatem już tylko osobliwością historyczną; lecz przeróżne obrzędy, z których się składało, są takie szczególne, miały niegdyś w Japonji taką władzę, a zagranicą rozlegały się takim głośnym echem, że należy zapoznać się z głównymi rysami tego zwyczaju.

Japończycy posiadali cały zbiór przepisów, rodzaj kodeksu ceremonjału i etykiety przestrzeganych aż do śmierci. Stosując się do zwyczajów tradycyjnych, delikwent mógł być przynajmniej pewien, że nie umrze jak człowiek źle wychowany. Czyż w starożytnej Rzymie gladiator nie był również obowiązany umierać z wdziękiem w oczach tłumu? Czyn Japończyka bowiem miał również świadków, których obecność była obowiązkowa, a których pomoc, jednego przynajmniej—była niezbędna.

Czyn ów dopełniany był bądź na wolnym powietrzu, bądź w mieszkaniu, niekiedy w świątyni, we dnie lub też w nocy. Gdy chodziło o człowieka wysoko postawionego, jego przyjaciele, a niekiedy książe, uważali sobie za honor oddać mu do rozporządzenia salę specjalną, poczytując sobie za wielką łaskę, że dom ich został na taki cel obrany. Dla każdego z tych wypadków istniały osobne przepisy. Kodeks *harakiri* ustanawiał rozmiary miejsca, drzwi, przez które miał wchodzić aktor główny, te, które przeznaczone były dla asystentów, punkt widnokregu, ku któremu delikwent miał się zwrócić itd. itd. Maty musiały pokrywać ziemię, aby mógł pójść boso na widownię egzekucji, gdyż byłoby nieprzyzwoicie, gdyby zostawił sandały gdzie w drodze, a człowiek w takim położeniu mógł bardzo łatwo nie zauważyć tej zguby. Regulamin przewiduje przynajmniej taki wypadek i dodaje, że maty, tworzące kobierzec, powinny być dokładnie zbliżone do siebie, tak, aby nie było żadnej przerwy w ciągłości, a noga nie uderzyła o żadną przeszkodę.

Jeśli egzekucja odbywała się w nocy, świeczniki z drzewa białego musiały być ustawione w sposób określony,

na czterech rogach widowni egzekucji; w miejscu, gdzie zasiadali świadkowie lub delegaci (którzy niekiedy byli nawet przyjaciółmi delikwenta), stawiano świeczniki zwyczajne, istotnie «iluminacja nadmierna nie byłaby przyzwyczajoną», dodaje ceremonjał. Na matach, zasłaniających ziemię, rozpościerano prześcieradła bawełniane, aby maty nie zostały poplamione krwią. Niemniej ceremonjał zaznacza, że jeśli kto, obawiając się zbrukać, zanieczyścić swój dom, zachowuje na dokonywanie *harakiri* miejsce poza jego obrębem, taki właściciel nazbyt dbały o czystość swej nieruchomości, powinien otrzymać surową naganą za tę nadmierną ostrożność. «Na dom żołnierza — mówi ta sama książka — któremu każą oddać ostatnie posługi umierającemu w ten sposób samurajowi, nie spada wstyd żaden. Zabić nieprzyjaciela, z pobudek słusznej zemsty, potem zabić siebie samego, to czyn arystokraty-Japończyka i niedorzecznością jest mniemać, iż miejsce, w którym ktoś z tej sfery rozpruwa sobie brzuch, jest nieczyste i splamione».

Często skazany (gdy istotnie chodziło o skazanie), powierzony był do chwili śmierci straży jakiego księcia, daimio, który zachowywał w stosunku z nim najwytworniejszą grzeczność; przed chwilą ostatnią można pan udawał się osobiście do swego więźnia, by się dowiedzieć, czy ten nie ma mu dać jeszcze jakich zleceń. Ceremonjał przepisuje formułę odpowiedzi, jaką winien dać skazany: «Jaśnie panie, dziękuję za pańską uprzejmość, ale nie mam żadnych życzeń. Jestem panu wielce wdzięczny za łaski, jakie mi pan wyświadcza od chwili, kiedy zostałem oddany w ręce pańskie. Proszę, żeby pan wyraził mój szacunek swemu władcy, jak również i szlachcicom swego klanu, którzy obeszlą się ze mną tak łaskawie». Skazany mógł jeszcze powiedzieć, gdy daimio nie był sam: «Pano wie, nie mam nic do powiedzenia; wszelako, skoro jesteście tacy dobrzy, że pomyśleliście o mnie, byłbym wam

bardzo obowiązany, gdybyście zechcieli powiedzieć to a to, temu a temu».

Pokój, w którym obrzęd miał się odbyć, był wybitny materją białą, — jedwabną, jeśli chodziło o człowieka wybitnego; kolor biały jest, jak wiadomo, kolorem żałoby u Japończyków. Po za tym obiciem żadnych ozdób; zbytek byłby w złym guście. Ubranie harakirzysty musiało również być bardzo skromne, stosownie do zwyczaju tradycyjnego. Światła niewiele (zazwyczaj egzekucja odbywała się w nocy), półcień, odpowiedni do okoliczności, tajemniczy. Przyszły samobójca wchodził z miną radosną, zajmował miejsce na małym wzniesieniu, zwracając twarz ku północy; świadkowie nieruchomi i milczący siadali w półkole w pewnym oddaleniu od niego.

Jeśli był skazańcem, odczytywano mu uroczyście wyrok, a potem zaczynała się rola *kaiszaka*. Kaiszaiku był osobą niezbędną; nietylko spełniał rolę świadka w pojedynku, to jest, był doradcą i pomocnikiem skazanego, ale nadto dopomagał mu czynnie. Gdy bowiem skazany zadał sobie w brzuch cios śmiertelny, kaiszaku niezwłocznie potym, lub w teje chwili, kiedy dopełniał się akt krwawy, a *czasem nawet, zanim został dokonany*, — jednym cięciem szabli ścinał skazanemu głowę. Był to zatym kat, ale kat życzliwy (niekiedy czynność tę spełniał przyjaciel skazanego), który zachowywał formy względem swej ofiary; zbliżał się do niej grzecznie i mówił z szacunkiem: «Ponieważ będę miał zaszczyt ściąć panu głowę, przeto radbym pożyczyć od pana w tym celu jego szabli. Będzie to, nie wątpię, dla pana pociechą, że pan umrze ugodzony bronią, tak dobrze znaną». Jeśli ten egzekutor wytworny miał drugiego, a nawet trzeciego pomocnika, obowiązkiem drugiego było przysunąć taburet, na którym złożona była szabla lub sztylet, narzędzie męki, a trzeci winien był wziąć i zanieść świadkowi głównemu głowę samobójcy dla dokładnego stwierdzenia jego tożsamości.

Przyjaciel — jeśli to był przyjaciel — albo poprostu ten, któremu proponowano podjęcie się roli egzekutora, nie mógł przyjmować z twarzą uśmiechniętą propozycji tego rodzaju; nie powinien był wszelako przybierać miny zrozpaczonej. «Umieć ścinać przyzwoicie głowę nie jest bynajmniej czynem bohaterskim; ale czynić to w sposób niezręczny, byłoby hańbą. Wszelako męczyzna nie powinien wymawiać się niezręcznością od spełnienia tego obowiązku, niegodnym bowiem samurajego jest nie umieć należycie ściąć głowy człowiekowi». «Każdy samuraj powinien posiadać umiejętność ścinania głowy» — napisane jest gdzieindziej; «a zatym, gdyby trzeba było uciekać się do pomocy ręki obcej w podobnej okoliczności, byłoby to niemal przyznawaniem się do nieznamomości sztuki wojennej, co stanowiłoby dotkliwe upokorzenie». Zalecano wszakże, aby nie powierzać tej czynności młodzieńcom, jako zbyt roztargnionym, ani ludziom, mogącym utracić zimną krew wobec publiczności.

Traktat o *harakiri* nie pomija najdrobniejszego szczegółu; wylicza wszystkie *akcesorja* ceremonji: taburet, na którym spoczywa fatalna broń, cebrzyk, gdzie niebawem złożoną zostanie głowa, wiadro z wodą, kadzielnicę itd. itd.; wszystkie te przedmioty ukryte były za parawanami papierowymi. Delikwent wchodzi i przybiera odpowiednią postawę; sztylet w futerale z drzewa składano blisko tak, że dość, by wyciągnął po niego rękę; niekiedy oszczędzano mu nawet tego trudu, jeden z pomocników podawał mu broń. Zdarzało się też, że w chwili, gdy skazany chciał chwycić za sztylet, znajdował pod ręką tykę bambusową, a nawet tylko wachlarz kobiecy; rozpacz jego wówczas nie miała granic, gdyż musiał w takim razie przypuszczać, że uważano, iż jest niezdolny do czynu bohaterskiego.

Harakirzysta wypowiadał wówczas swoją ostatnią wolę i prosił przyjaciela, — jeżeli kaiszyku był przyjacie-

lem,— by go nie chybił, by mu oddał tę ostatnią przysługę i ściał mu dobrze głowę; był to jeden z tych dowodów przywiązania, jakiego samurai nie mógł odmówić towarzyszowi broni. Następnie delikwent, chwytając za broń, odslaniał tę część ciała, w którą miał ugodzić i z niepojętą zimną krwią, która nadawała czynowi wysokie znaczenie moralne, robił głębokie cięcie w brzuchu od strony lewej ku prawej, o 20 do 24 centymetrów poniżej pępka. Poczym, przyjaciel stojący z tyłu, zadawał mu cios ostateczny i silnym cięciem odłączał głowę od tułowia. Ceremoniał wskazuje nawet, którą nogą egzekutor stąpnie napród, by wymierzyć cios śmiertelny, — zaleca nogę lewą, zupełnie jak uczyniłby nauczyciel tańca swoim uczniom.

Książka wchodzi dalej w szczegóły, przejmujące odrazą, które wszelako nie miały nic wstrętne dla samuraja, gdyż znajomość najdrobniejszych obrzędów, pozostających w związku z *harakiri*, należała do dobrego tonu. Japońska młodzież wojskowa rozkoszowała się opisami scen tego rodzaju, przepelniających romanse, scen, w których sławiono męstwo tych, co naprzykład, rozplatawszy sobie brzuch, zanurzali pendzel w otwartą ranę i własną krwią kreślili historję ostatniego dnia życia swego. Byli nawet tacy, którzy nie chcieli uciekać się do ręki przyjaciela i, po rozplataniu brzucha, podrzynali sobie sami gardło; inni znów mieli jeszcze odwagę wypowiedzenia poematu, ubolewającego nad ich zgonem przedwczesnym. Wreszcie widziano i takich, którzy, brocząc we krwi, mieli jeszcze siłę, przed odejściem do królestwa Buddy, włożyć napowrót do pochwy szablę, jaką zadali sobie cios śmiertelny.

Ale z drugiej strony widzimy, że często ścinano głowę delikwenta, zanim jeszcze zaczął lub przynajmniej w chwili, gdy zaczynał nacinanie brzucha. Ten ostatni szczegół jest bardzo ciekawy, gdyż wykazuje, że *harakiri*

nie zawsze było takie okropne jak się wydawało i że kompromis był możliwy. Utrzymują zresztą, że zadawano cios dlatego właśnie z taką szybkością, żeby ofiara nie zdążyła dać oznaki słabości, która okryłaby hańbą jej rodzinę i potomków. Niektórzy zalecali, by nie ścinać jednym zamachem głowy, która stoczyłaby się na ziemię, lecz, by ją pozostawić zawieszoną u tułowia na małym strzępie ciała. Zapewniali bowiem, iż zauważyli, że w takiej głowie zupełnie od tułowia odłączonej, oczy mrugały jeszcze, a usta otwierały się i chwyciły kamienie i piasek. «Ale — dodaje ceremonjał — to rzecz bardzo trudna ścinać głowę tak, żeby zostawić tylko strzęp ciała, któryby ją przytrzymał».

Zresztą, po dokonaniu aktu pokazywano, jak już wspominaliśmy, głowę pomocnikom, lub przynajmniej najstarszemu z nich. Egzekutor cofał się nieco w tył, by otrzeć miecz, a w tym celu nosił za pasem pewną ilość papieru; następnie wsuwał miecz do pochwy, doprowadzał do porządku ubranie i zajmował miejsce wśród tych, którzy asystowali ceremonji. Gdy kaiszaku nie miał ze sobą pomocnika, sam, trzymając w lewej ręce miecz odwrócony, a prawą biorąc głowę za kosmyk włosów zbliżał się do świadka i pokazywał mu tę głowę, której podbródek spoczywał na rękojeści szabli. Według innego przepisu mógł, odkładając miecz, wziąć jeden z arkuszy papieru, jakie nosił przy sobie, złożyć na nim głowę i tak przedstawić ją świadkowi do stwierdzenia tożsamości. Tak pisze księga ceremonjału i dodaje «że oba sposoby są zarówno zgodne ze zwyczajem».

Dość smutnem było już, że jeden człowiek mógł tak bez najmniejszego skrupułu zabijać się dla zadośćuczynienia przepisom tak zwanego punktu honoru; ale niekiedy ta krwawa egzekucja dokonywała się w towarzystwie. W historjach japońskich przytaczane jest ciągle samobójstwo czterdziestu siedmiu walecznych podwładnych,

którzy, pomściwszy śmierć pana swego na tym, co był powodem jego zguby, zabili się dobrowolnie. wykonali *harakiri*, nie czekając, żeby ich skazano jako zabójców.

Harakiri, jak wspominaliśmy, nie istnieje od czasu rewolucji; zwyczaj ten znikł jednocześnie z rządem, który mu dał początek. Sprzeciwiałby się zresztą przyjętem od Zachodu obyczajom. Cudzoziemcy widzieli wszelako ostatnie jego objawy. Fanatycy japońscy, którzy napadli na przybyszów z Zachodu, uważając ich wtargnięcie za klęskę, a nawet za hańbę dla kraju, zostali wówczas skazani na wykonanie na sobie *harakiri*, owi cudzoziemcy zaś, których nienawidzili, obecni byli na egzekucji.

Kiedy chodziło o zniesienie *harakiri*, rozprawy parlamentu japońskiego w r. 1869 dowiodły do jakiego stopnia ta stara instytucja była droga ludowi. Wychwalano ją, jako najpiękniejszą ozdobę państwa, podporę religji ¹⁾, arystokracji i t. d. W zgromadzeniu, złożonym z 209 członków, 200 oświadczyło się przeciw wnioskowi; bronić go odważyło się tylko trzech mówców.

Harakiri zapuściło tak głębokie korzenie w obyczajach japońskich, że podczas rewolucji, kiedy zwyciężony szogun cofnął się, ogłaszając swoje postanowienie nie walczenia dalej, lecz przeciwnie ustąpienia na wszystkich punktach, pewien oficer jego rady podszedł do niego ze słowami:

— Najjaśniejszy panie, jedynym środkiem, który ci pozostał do ocalenia honoru rodziny Tokogawa, jest otwarcie sobie brzucha; na dowód szczerości gotów jestem rozpruć sobie brzuch równocześnie z tobą.

Szogun uznał propozycję za nieprzyzwoitą i obrócił się tyłem do oficera, ale ten usunął się do innej części pałacu i rozpruł sobie brzuch w samotności.

W. Depping.

¹⁾ Podobnie jak obecnie—karę śmierci w Rosji.

POŁOŻENIE ROBOTNIKÓW I KAPITALIZM W JAPONJI.

Podróżnik Siebold, który podczas wycieczki z Nagasaki do Jeddo (Tokio) w 1826 r. zwiedził japońskie kopalnie soli, czyni z tego powodu następującą uwagę: «istnieje powszechne mniemanie, że w tych miejscowościach Japonji, gdzie rozwój przemysłu dosięgnął znaczniejszych rozmiarów panuje wśród ludności ogólny dobrobyt, że nie ma tu tej fizycznie i moralnie zdegenerowanej klasy ludzi, która miastom fabrycznym europejskim nadaje piętno cierpienia i występku — mniemanie to, ciągnie dalej Siebold, potwierdza się i w danym wypadku».

Taki był pogląd Siebolda na położenie ludności robotniczej w Japonji w pierwszej połowie zeszłego stulecia; gdyby jednak podróżnik ten dożył do naszych czasów, to byłby zmuszony do radykalnej zmiany swego poglądu.

Większość parowców, prowadzących handel z Japonją zaopatruje się w węgiel w portach Nagasaki albo Modzi. Ta ciężka, szkodliwa dla zdrowia i zanieczyszczająca praca ładowania węgla jest wykonywana wyłącznie przez kobiety, w części młode dziewczyny. Na wybrzeżu widać tu wciąż snujące się nieskończone szeregi tych robotnic, które z niezwykłą szybkością przenoszą kosze, napełnione węglem. Szybkość tej roboty jest tak wielka, że ogromny oceaniczny parowiec napełnia się węglem w ciągu kilku godzin. Bolesny widok zmęczonych, uginających się pod ciężarem, pokrytych błotem postaci kobiecych, a nieraz i dzieci—oto pierwsze wrażenie, jakie Europejczyk otrzymuje o życiu ludu japońskiego, które często jeszcze i teraz bywa przedstawiane w kształcie pociągającej idylli.

Przechodząc ulicą miasta japońskiego, słyszymy ze wsząd ostry łoskot *rikszy* — dwukołowego wehikułu, ciągniętego przez człowieka, który biegnie jednostajnym

kłusem. Już sam ten widok wywiera na nas przykre wrażenie, ale przykrość ta zwiększy się jeszcze, gdy się dowiemy, że w samym tylko Tokio istnieje cała masa robotników w różnych gałęziach przemysłu, którzy zarabiają tak mało, że po ukończeniu swej roboty wieczorami, gdy ruch na mieście się zwiększa, zwłaszcza w pobliżu różnych



Japońska riksza.

miejsce rozrywek, robotnicy ci zamiast odpoczynku po pracy muszą jeszcze zaprzęgać się do rikszy.

W wielkich miastach robotnicy mieszkają w dzielnicach najbardziej ściśniętych, błotnistych i brudnych, gdzie nieraz 7 do 8 ludzi ciśnie się na przestrzeni 12 stóp □. Pomieszczenia warsztatowe nie o wiele są lepsze. Tak np. w Kjoto zdarzyło mi się oglądać fabrykę, mieszczącą się

na strychu pod samym dachem; ta niewielka przestrzeń była całkowicie zastawiona niskimi stołami, przy których siedziały skurczone młode dziewczęta, często nawet dzieci, tak blisko siebie, że otwarte piecyki z rozżarzonymi węglami zaledwie się mogły między nimi pomieścić. I w tej rozpalonej atmosferze, gdzie ja nie mogłem wytrzymać nawet kilku minut, dzieci te pracują po 12 — 15 godzin dziennie! W jednym ze słynnych zakładów artystycznych, dzieci rysują przez lupe; łatwo zrozumieć, jak zgubny wpływ praca ta wywiera na wzrok, zwłaszcza, że nie ogranicza się ona do światła dziennego, lecz odbywa się przy niedostatecznym oświetleniu naftowym.

Rozwój ustroju kapitalistycznego w Japonji wywarł rozkładowy wpływ na rodzinę. Udział kobiet w pracy najemnej zwiększa się wciąż, jak również i udział dzieci; całe ich masy są dostarczane ze wsi do miast, gdzie dostają się do rąk przedsiębiorców, gdy zaś który z tych nieszczęsnych niewolników ucieknie, to policja wkrótce go chwyta i odstawia do *prawego właściciela*. Do czego prowadzi podobny stan rzeczy, to jasno pokazują następujące przykłady.

Pewna burżuazyjna, ale demokratyczna gazeta wydrukowała list robotnicy tkaczki, w którym ta ostatnia opowiada, że w 14 roku utraciwszy rodziców znalazła się bez kawałka chleba! Ażeby w jakibądź sposób utrzymać się przy życiu sprzedawała się na 10 lat jednej fabryce tkackiej za 20 ien (ien = mniej niż 1 rs.). Przytym 5 ien musiała wypłacić pośrednikowi, który jej dostarczył tak wspaniałą posadę, drugie 5 ien wydała na grób dla rodziców. W fabryce, do której wstąpiła, praca odbywała się przez cały rok, przyczym każdego miesiąca fabryka daje pół dnia odpoczynku, a w styczniu i w czerwcu po całym dniu. Co każde 3 lata robotnica otrzymuje nowe ubranie. Tylko ten fakt, że przedsiębiorca po upływie 10 lat

nie chciał jej zapłacić resztujących 10 ien, był uważany za zły postępek.

Nieco później inna gazeta, i to zupełnie burżuazyjna, ogłosiła następujące wiadomości o pewnej fabryce tkackiej na prowincji. Dzień roboczy dla dziewcząt trwa tam od 5 rano do 10 wieczór; w ciągu roku jest tylko 3 dni odpoczynku, pożywienie jest niedostateczne i złe, a często, w celach dyscyplinarnych, bywa zupełnie robotnikom odejmowane. Prócz tego bywająznaczane inne okrutne kary, świadczące o zwyrodnieniu obyczajowym przedsiębiorców; skończyło się to wprawdzie skazaniem ich na więzienie, ale swoją drogą oddawali się oni spokojnie swym okrutnym praktykom przez całe lat 3.

Jeżeli porównamy średni zarobek robotnika z utrzymaniem więźnia w Japonji, to okaże się, że pierwszy znajduje się w warunkach daleko gorszych, nawet co do najważniejszej części składowej pożywienia, t. j. ryżu, nie mówiąc już o takich dodatkach, jak jarzyny i ryby, a także odzież, opał, kąpiel i t. p. — z tych wszystkich zbytków, które otrzymuje więzień, robotnik musi albo zupełnie zrezygnować, albo jeszcze bardziej uszczuplić sobie na ryżu. A jednak przedsiębiorcy japońscy wciąż narzekają na zbyt wysoką cenę robotnika!

Kapitalizm w Japonji zaczyna przenikać również, jak trucizna w cały organizm państwowy; a oto jeden z przykładów. W Japonji ministerjum oświaty nie wydaje samo podręczników szkolnych, lecz tylko daje swoją aprobatę na niektóre z książek, wysłanych w wydaniach prywatnych i następnie książki te rozsyła do szkół. Z tego skorzystali różni panowie wydawcy, powierzając opracowanie podręczników szkolnych różnym przypadkowym, nie przygotowanym do tego osobom, korzystnym dla wydawców, gdyż pracującym za marną zapłatę; następnie; podkupiwszy którego z profesorów, nabywali od niego pozwolenie

podpisu jego nazwiska na podręczniku; wreszcie pozostało już tylko podkupić władzę, a nowa książka drogą przymusu bywała wprowadzona do szkół. To systematyczne łajdactwo zostało odkryte w 1902 r. i wówczas cała prasa zawrzała, demaskując wciąż nowe i nowe sfery, biorące udział w tej manipulacji, tak, iż jeszcze przed ukończeniem śledztwa aresztowano i poddano pod sąd kilkudziesięciu inspektorów i dyrektorów szkół oraz gubernatorów.

Trzeba jednak z drugiej strony przyznać, że w wielu warstwach społecznych utrzymał się jeszcze dotąd dawny duch rycerski z gotowością do poświęceń, z pogardą śmierci — zresztą w formach nieraz barbarzyńskich. Tak np. w maju 1901 r., w gmachu rady miejskiej w Tokio został zabity prezes tej rady, były minister, Toru Hoszi. Zabójca oznajmił, że do czynu tego doprowadziła go chęć uwolnienia ojczyzny od tego przedajnego i podłego człowieka; trzeba dodać, iż zabójca nie był to jakiś młodzieniec entuzjasta, lecz człowiek przeszło 50-letni. Inny przykład. Pewien major, prowadząc manewry z dwoma setkami żołnierzy, stracił prawie cały oddział z powodu zamieci śnieżnej, sam zaś, odnaleziony nawpół zmarznięty, został odwieziony do szpitala. Gdy o wypadku tym dowiedział się jego ojciec, przysłał list, w którym dowodził, że gdy syna spotkało takie nieszczęście, a on pozostał przy życiu, to nie pozostaje mu nic innego, jak odebrać sobie życie przez harakiri. I jeszcze przykład. Pewien młody oficer odebrał sobie życie uroczyście przez harakiri, pozostawivszy list do gazet, w którym wyjaśnia, że przez długie lata starał się zwrócić uwagę swych przełożonych oraz opinii publicznej na konieczność lepszego obwarowania północnej granicy kraju przeciw Rosji. Ponieważ dotąd nie udało mu się tego osiągnąć, więc zdecydował się na ten ostateczny środek.

Bohaterstwo, jakie Japończycy wykazali w wojnie z Rosją, jest u wszystkich w świeżej pamięci.

z *G. Eksteina.*

POLOWANIE NA WIELORYBY NA WSCHODNIM POBRZEŻU KOREI.

Bursztynowy świt już rozedniał nad zatoką okrągłą i eichą jak jezioro. Ale gwiazdy w niebiosach jeszcze nie pobladły; na południu płonął wspaniały Orjon, na północy Wielka Niedźwiedzica ogonem prawie nurzała się w morzu, Wenus, różowa od blasku dalekiego słońca, gorzała jak rubin nad blednącym widnokregiem.

Opuściliśmy tłumnie wielki żelazny parowiec, który był właściwie wielką kuchnią do gotowania wielorybów, i przewiezieni małą łodzią parową, wsiedliśmy na statek myśliwski, norweskiej roboty, 96 stóp zaledwie długi i 18 szeroki, zwiezły, krępy, mocny i zwrotny. Nie posiadał wielkiej szybkości, robił 11 węzłów (11 mil morskich) ¹⁾ na godzinę, lecz dla statków tych nietyle ważną jest szybkość biegu, ile sprawność i moc maszyny, wciąż zmieniającej tempo pracy i często gwałtownie szarpanej tam i na powrót.

W godzinę po ruszeniu już byliśmy w otwartym morzu i płynęliśmy wprost na wschód, gdzie z białych fal w złotym rozświecie wynurzała się krawędź słońca, jak wzgórek purpurowego zarzewia. Chwilę jeszcze, i ogromna ognista kula, podbita przez refrakcję, odskoczyła od widnokregu, jak piłka, błysła i rozsypała płachtę złotych iskier na majestatycznie kołyszących się wodach.

¹⁾ Mila morska = $1\frac{3}{4}$ wiorsty.

Dokoła latały białe czajki o załamanych skrzydłach, czarna ostrodzioba wrona morska przyciągnęła wysoko od morza ku opuszczenemu przez nas lądowi.

W prawo o parę stajań płynął drugi parowiec wielorybiczny, należący do tego samego Towarzystwa, a na widnokregu mgliły się lekkie obłoczki dymu z «norweżczyków», którzy przez noc drejlowali w morzu, a teraz już polowali.

Niezadługo byliśmy w tym samym miejscu, gdzie wczoraj zabiliśmy wielkiego przegowanego wieloryba.

— Wytrysk — wyrzekł spokojnie gruby sternik, Łotysz nadbałtycki.

— Gdzie?

Nim odszukaliśmy lornetę, już znikł, a gołym okiem nikt nie mógł zmierzyć się ze starym «wilkiem północnym».

Statek zwolnił biegu. Z pod nas poderwało się stado kaczek i sznurem pociągnęło ku spiętrzonej różowo mglistej Korei; przeleciał rój drobnych morskich ptaszków, po których wielorybicy poznają pastwiska wielorybów. Słońce chyżo szybowało w górę, jak zwykle w niskich szerokościach; blask jego coraz szerzej złocił sine fale. Wiatr wzmagął się. Znów wytrysk ukazał się w dali. Tym razem wszyscyśmy w porę dostrzegli jego biały zwiewny obłoczek. Majtek pośpiesznie wdarł się po sznurowej drabinie na szczyt masztu do bocianiego gniazda. Strzelec podszedł do stojącej na dziobie okrętu armaty, nabitej harpunem, i oparł się o nią.

Zmieniamy kierunek, mamy teraz wiatr z boku.

— «Pełny»—mówi sternik maszynieście przez tubę.

Statek zaczyna drgać, jak w ataku febrycznym. Bałwany ciskają się nań, zalewają pianą i mocno kołyszą. Pędzimy im na przelaj ku spostrzeżonym już dwukrotnie wytryskom.

Z roztańczonych fal znowu bucha wytrysk, już zupełnie blisko. Wtem ogromny bałwan zalewa przód statku, pokrywa strzelca, armatę i zmywa z tarczy zwiniętą w kręgi linę harpunu. Wezwani sygnałem majtkowie biegną po zachlapanym, stojącym co chwila dęba pokładzie, aby ją nanowo ułożyć. Strzelec niedbale strzepuje wodę z czapki i kurtki.

— Bardzo rozkołysało bałwany! — mówi sternik. — Żle będzie strzelać.

Nie zmieniamy jednak kierunku i, wspinając się z fali na fale, ścigamy uchodzący przed nami coraz dalej i dalej wytrysk. Znikł, nie widać go nigdzie. Wszyscy wpatrujemy się z natężeniem w siny horyzont, kołyszący się jak rzucona na wiatr tkanina. I wszędzie bieleją czuby bałwanów. Wiatr zrywa z niektórych pianę i rzuca wysoko do góry; łatwo pomylić się i wziąć je za słupy wody, wyrzucanej przez wieloryby. Wśród tych pian wiją się gromadnie czajki białe, jak piany. Morze granatowe cisza się gniewnie pod niebem drażniąco jasnym, przesłonecznionym, bez śladu chmur.

— Nie będzie pociechy! — mruczy sternik. — Wielorybów ani śladu, gdzieś się pochowały.

Maszyna ledwie drga. Statek z wytkniętym ostrzem harpuna, niby orzeł w chmurach, kołuje się i nurza wśród skotłowanych odmetów, wypatrując zdobyczy. Chwile wloką się długo, jak godziny. Na mostku cisza.

— Pilnuj! Na prawo! — rozlega się z bocianiego gniazda.

— Pilnuj! Z tyłu! Blisko! — powtarza ten sam głos.

Sternik aż się do podłogi nachylił, obracając koło rudiła, wśród pian, wycia wiatru i chlustania bałwanów. Statek, jak fryga, obrócił się prawie na miejscu.

— Pełny! — grzmi przez tubę do maszyn.

Wszystko drga w szalonym pędzie... «Fale z drogi, wichry z drogi».

Z niepokojem śledzimy trzy ogromne ssaki, kolejno wynurzające się z wody i ciskające wysoko ku niebu białe fontanny. Brunatne ich grzbiety błyszczą na słońcu, łącząc się z falami w potoczystych linjach.

— Na dno!— mówi ze zniechęceniem kapitan, gdy te potężne grzbiety, opisawszy w powietrzu łuk mocno wygięty, mignęły rozdwojonemi ogonami nad wodą i znikły.

— Jeszcze będzie jeden!— ostrzega sternik.— Nilson, pilnuj!— woła na strzelca.

Ten już dawno ma się na baczności, nogą odemknął śrubę, tamującą wahadłowe ruchy działa, prawą ręką ujął drewnianą rękojeść, gdzie znajduje się kurek. Ogromny słup rozpylonej wody wznosił się tuż przed dziobem statku, poczem wypłynął ciemny, błyszczący i wielki, jak mielizna, grzbiet.

Strzelec pochylony nad działem wciąż czekał. Wieloryb był zbyt, według niego, daleko, strzelać do niego można harpunem zaledwie na 20 sążni. Jeszcze kilka silnych obrotów śruby i statek go dopadnie... Lecz potwór też nas dostrzegł i zapadł się z sapnięciem, podobnym do loskotu staczającej się fali.

— Stop, maszyna!— krzyczy w tubę sternik.

— Proszę do kajuty na śniadanie!... mamy czas... Nie prędko teraz wypłynie!... — zaprasza uprzejmie kapitan.

Po śniadaniu to samo. Statek kołuje się wśród sinych, spiętrzonych wód; zalewany przez czuby ich pian i wodną kurzawę, szarpany przez wicher, sili się wciąż, aby wśród tych zawrotów nie stracić z oczu stada ściganych wielorybów. Widać ich dużo na widnokregu; białe obłoczki wytrysków pękają to tu, to tam, jak małe wulkany. Lecz lepiej ścigać ciągle to samo stado, i sternik bacznie śledzi je wśród krzyżujących się wirów.

Gdy znikają, okręt zwalnia biegu, i zataczając się lub obracając na miejscu, czeka i wypatruje, gdzie się znów ukażą. Niekiedy sternik odgaduje drogę stworzeń z kierunku ich zapadających się grzbietów, z kolei, w jakiej płyną za sobą, w jakiej rzucają wytryski. Wtedy okręt zatacza półkole i mknie całą siłą pary na miejsce domniemanego ukazania się zdobyczy. Ale wieloryby mogą rozwijać ogromną szybkość ruchów i mogą zostawać pod wodą nawet pół godziny, a przez pół godziny robią z łatwością 10 mil morskich (dwie i pół mile nasze). Następnie często już pod wodą zmieniają kierunek. Stąd pochodzi, że nieraz ukazują się z zupełnie innej strony, niż przypuszczają najwytrawniejsi sternicy.

— Dziś szczególnie trudno je śledzić. Grzbiety płaczą się z falami—usprawiedliwiał się sternik.

Wiatr wzmagał się, stawał porywczym i zmiennym. Na niebie zjawily się wysokie, pierzaste obłoki i utworzyły tam piękny mglisty wachlarz z zawiniętymi spiralnie końcami.

— Zwiastuny tajfunu. Jutro, najdalej pojutrze, będzie burza!

— Ale dziś czy zdążymy jeszcze co upolować?

Kapitan odwrócił się w milczeniu.

— Nie należy nawet pytać się o to marynarzy! — ostrzegł mnie cicho mój towarzysz.

Fale wielkie, ciężkie, przykre, tłukły się o okręt, który nagle jakby stracił zwinność. Słona wodna kurzawa, zdmuchiwana przez wiatr, dolatywała aż na mostek kapitana. Czapka moja i notes pokryły się całe perlistą rosą, wichur nie pozwalał wysunąć twarzy z za żaglowej osłony u burty. Od szumu i kołysania się statku w głowie mi się zlekka mącić zaczęło, a towarzysze moi, wytrawni marynarze, niezdolnymi okazali się w tym razie do współczucia.

Nic więc nie mówiąc, spuściłem się do kajuty, aby się na chwilkę położyć. Spokój i ciepła czapka na głowie — to najlepszy środek na morską chorobę. Wyciągnąłem się na posłaniu skołatany i znużony, gdyż ubiegłej nocy nie spałem prawie: wywoływałem zdjęcia fotograficzne, zrobione na morzu. Ale usnąć nie mogłem, wszystko wkoło mnie brzęczało i latało, stukał jakiś obluźowany luminator, a przez tubę wystającą nad łóżkiem kapitana dołatywała z maszynowego przedziału smętna, monotonna piosenka palaczy i urywane rozkazy:

— Pełny.... Stop!... Wolno!...

Wkrótce i moi towarzysze zeszli z góry do jadalni, gdzie były w porządku przymocowane kołeczkami do stołu talerze, szklanki, butelki, widelce i noże.

Zanim jednak zabraliśmy się do jedzenia, mocne gwizdanie wywołało nas na pokład.

— Wieloryb tuż.... — rzekł gburowato sternik.

Nim skończył, morze rozwarło się z łoskotem, słup wody wyleciał wysoko i brunatny grzbiet wynurzył się z wodnych skrętów.

Płynął ku nam na ukos wielki jak rafa. Strzelec nachylił się do celu i ścigał go ostrzem harpuna. Potwór zwolna zataczał ponad wodą łuk, dając w głębiny; już mała jego pletwa koło ogona błysnęła w powietrzu...

— Spóźnił się, niedołęga! — mruknął sternik.

Jednocześnie w poświstach wiatru buchnął strzał, i czarna błyskawica rozwijającego się sznura przecięła blask morza. Dym prochu zakrył na chwilę pocisk i ofiarę. Strzelec podniósł pytająco do góry głowę.

— W wodę... — odpowiedział mu dozór.

Zmieszany Nilson włożył ręce do kieszeni i odszedł od armaty, po chwili jednak opamiętał się i wrócił pośpiesznie. Majtkowie i sternik już biegli z hałasem, aby natychmiast nabić wystrzelone działo.

— Ostrożnie, bydlęta! oczy chcecie mi wybić? — krzy-
czał gniewnie sternik na marynarzy, ciągnących linę.

— Bomba nie pękła! Ostrożnie!

Zarzucili linę na stukający o burtę długi żelazny pocisk, na którego końcu przyśrubowana była wielka ostra grusza z surowca, zawierająca dwa funty prochu i zapal piorunujący, przywiązany do skrzydła harpunu. Gdy skrzydła te, szarpnięte przez porażone ciało, otwierają się jak haki zębate, drucik przymocowany przetrze mieszaninę zapalną, bomba pęka i czyni wewnątrz ranionego zwierzęcia straszne spustoszenia.

Chociaż fale wciąż zalewały pracujących, działło szybko zostało nabite i znów żądło jego zaczęło pilnie szukać ofiary wśród odmetów. Lecz wystraszone olbrzymy znikły. I długo kołysaliśmy się i szybowali między krętymi bałwanami, nim dostrzegliśmy na widnokregu nęcące wytryski.

W pościgu za nimi ubiegła i druga połowa dnia. Słońce nisko opadło, do zachodu została najwyższej godzina. Zniechęceni ludzie już pracowali niemrawo. Strzelec z rękoma w kieszeniach, choć armaty nie opuszczał, patrzył gdzieś w bok niedbale.

Jedynie sternik zawzięcie kręcił kołem i parowcem, oraz krzyczał jak przedtym przez tubę:

— Pełny!... Wolno!... Stop!... Nazad!...

Za to wieloryby jakby poczuły, że mogą mniej sobie nas ważyć, krążyły coraz bliżej i coraz dłużej pozostawały na ciemniejszej powierzchni oceanu. Potworne luki ich grzbietów wydawały się jeszcze większemi w ukośnych promieniach zachodu. Szczególnie wyzywająco zachowywała się trójka brunatnych olbrzymów. Raz wynurzyły się z boku statku tak blisko, że plusk ich fontann i łoskot sapania wszystkich poruszył. To ich zgubiło. W myśliwych ożył znowu zapal, i zaczęło się wściekłe polowanie. Wieloryby, ośmielone zapadającym zmrokiem,

dworowały sobie z nas, a może, przyzwyczajone łączyć się w gromady, brały też ciemny kadłub naszego okrętu za żołądek jednego ze swych współbraci. Dość, że sternikowi udało się kilkakrotnie dopaść do nich w chwili wynurzenia się i przeciąć im drogę. Strzelec na chwilę nie wypuszczał z dłoni rękojeści armaty. Ale i noc zapadła chyżo, i słońce już tykało widnokregu.

Wreszcie padł strzał...

— Hurra! Trafiony! Trafiony!

Dziób parostatku mocno się pochylił, przyciśnięty potężnie do wody. Lina, zawiązana do sznura harpunu, z węzowym szelestem rozwijała się z metalowego bębna i snuła dygocąc przez pokład i łożysko u dzioba w zieloną głębinę.

Tam szybował raniony wieloryb. Wszyscy zbiegli się na przód statku i pochyleni, przyglądali się dygocącej linie. Statek, choć szedł całą mocą pary w tył, sunął jednak naprzód z szybkością 6 węzłów (6 mil na godzinę), wleczony przez morskiego tytana.

— Już wybrał 120 sążni! — zauważył kapitan.

— Niech zahamują linę na chwilę! — rozkazał strzelec, próbując napięcie sznura nogą.

Naciśnięta lewarem lina wolniej zaczęła się z bębna odwijać, ale rychło ją trzeba było popuścić, gdyż idące z głębi szarpnięcia były jeszcze za silne i mogły albo linę oberwać albo statek uszkodzić. Nareszcie po długiej gonitwie napięcie liny zwolniało i szybko przybierać zaczęła kierunek poziomy.

— Lada chwila wypłynie!

Istotnie, nie minęło i pięć minut, gdy o ćwierć wiorsty na przodzie statku zakotłowały się fale, buchnęła fontanna, i z zakrwawionych pian ukazał się wieloryb z tkwiącym w grzbiecie żelazem.

Spuszczona ze statku mała szalupa z dwoma wioślarzami, ślizgając się jak drobna łupina wśród wielkich

wodnych pagórków, biegła ku zdobyczy. Pośrodku szalupy stał sternik z niezmiernie długą dzidą, gotową do uderzeń, zawieszoną poziomo na ramieniu. Wieloryb spostrzegł ich i dał nurka, ale, osłabły, już długo pod wodą wytrzymać nie był zdolny i znów po chwili wypłynął, miotając w górę wodę i krew. Morze w koło niego zabarwiło się purpurowo. Łódź dopadła go w mgnieniu oka, i długa dzida sternika, pchnięta mocno, zagłębiła się jak igła w olbrzymie ciało, szukając serca.

Ogromne, ale łagodne stworzenie ciskało się szalenie od bólów, które go zmysłów pozbawiały, tłukło potężnym ogonem po wodzie, rzucało fontanny, rozwierało szeroko paszczę, ale widocznie nie pojmowało, gdzie szukać nieprzyjaciela i co robić, aby się od niego uwolnić. Łódź, skakała dokoła niego, jak drobny listek, lecz nie uchodziła, i okropne zimne żądło z ręki sternika raz wraz zapuszczało się we wnętrzości ofiary. W podobny sposób męczyły wieloryba jedynie czasem staje rekinów, ale od nich mógł uciec, nawet gdy zdążyły urwać mu pletwę lub wypruć połać sadła. Od tych nowych, nieznanym mu wcale stworzeń biedny potwór uciec nie mógł, coś go trzymało i sprawiało ból tak szalony, że wołał już krążyć na wodzie i poddawać się przejmującym ukłuciom, niż znowu uchodzić w głębie i szarpać obolałe trzewia.

Nareszcie dzida sternika sięgnęła mu do serca. Książę morza wspiął się na falach i runął z łoskotem w odmęty.

Łódź szybko uciekała do statku.

Słońce zgasło, złoty zmierzch muskał spienione bałwany, na których już spokojnie kołysało się ogromne, podłużne ciało, błyskając wśród pian atlasowo-białym podbrzuszem i ostremi pletwami, wielkimi jak uszy mamuta.

Na statku szybko warkotał bęben, ciągnąc zdobycz na linie. Trzeba było się śpieszyć, gdyż czasami zabity

wieloryb tonie i trudno go wydobyć. W dodatku wzburzone fale mogły przy lada niezręczności urwać linę lub oblużować harpun i... zabrać zdobycz.

— Wieloryb wtedy jest nasz, kiedy w kotle! — rzekł właściciel parowca. — Nawet podwiązany u statku urywa się na wzburzonym morzu i idzie na dno. Każdy z nich przecież waży tyle, co stado wołów: siedemdziesiąt sześć tysięcy funtów tłuszczu i mięsa i dziesięć tysięcy funtów kości. Cały, panie, majątek! W zimie, kiedy można świeże jego mięso przewieźć do Japonji, sprzedajemy go za 2000 rubli. W lecie, kiedy głównie na tran go się przetapia, dostajemy zaledwie 1200 rubli za sztukę. Mięso wtedy i kości suszymy i mielimy na kompost, to też cena niezła, ale gorsza niż świeże lub solone mięso. Za świeże mięso Japończycy chętnie płacą w Nagasaki 10—12 kop. za funt, jak za wołowinę. Pociętego wieloryba składamy w kosze i stawiamy na pokładzie w przewiewnym miejscu. Wiatry w zimie wieją chłodne i w ciągu dwóch dni przejazdu stąd do Japonji mięso się nie psuje. Mięso jest smaczne, podobne smakiem do wieprzowiny. Na targach japońskich bywa w mgnieniu oka rozchwytywane. Interes byłby dobry, gdyby zawsze można odgadnąć, gdzie te szelmy wypłyną. Ale nieraz po kilku dniach upędzania się zaledwie jednego uda się złapać, a wydatki na utrzymanie statków, załogi, urządzenie kuchni pływającej, przenoszą zgórą 1000 rubli dziennie. Prawda, że bywają dni, kiedy dwa nasze statki myśliwskie złowią trzy, nawet cztery wieloryby, albo złapią «siniego» wieloryba, który za cztery starczy i daje za 4000 rubli towaru, ale to zdarza się rzadko. Zwykle liczyć można zaledwie na jedną lub dwie sztuki dziennie. Wieloryby tutejsze są o wiele mniejsze od północnych, których wartość dochodzi do 20000 rubli, ale za to wciąż ich łowić można. Polowanie trwa rok cały, z przerwami, gdy szaleją burze lub śnieżne zamiecie.

— Czy tu bywają śnieżne zamiecie?

— Panie, tu w zimie na morzu nieraz tak zimno, jak w Syberji; liny tak marzną, że rozwijać się nie chcą, a fala tak samo płócze ludzi, jak dziś. Cóż robić? Ciężko, ale zimowa zdobycz cenniejsza, bo ją sprzedać można łatwiej i z większą korzyścią...

W czasie naszej gawędy przyciągnięto wieloryba do parowca i przytroczono go na łańcuchach za ogon do dzioba statku, który mocno chyląc się na bok pod ciężarem zdobyczy, ruszył wśród ciemnych, ryczących bałwanów ku niewidzialnemu lądowi.

W. Sieroszewski.

JAPONJA I JAPONCZYCY.

We Władywostoku wsiedliśmy na «Hatsu Maru», jedno z tych licznych cacek, które w ostatnich latach coraz gęściej zaludnia Japonia przestworza oceanów. Noc kołysała okrętem, a po skaczącej fali połowa skośnego księżycy igrała i muskała po szczytach, a tonęła w dołach, dłużyła się na skraju widnokręgu w nie złota, która nas wiązała i wiodła do ziemi Nipponu. Jeszcze był mrok, gdy po raz drugi wyszedłem na pokład, przed oczami moimi roztoczył się wtedy widok, którego nigdy nie zapomnę. Z pod osłonki rannych mroków sterczał ku górze poszczerbany grzbiet skalny, tonący swymi szczytami w łunie brzasku. Za krajem «wschodzącego słońca» wschodziło słońce, a siłą swego światła i ciepła rozwiało ranne mroki i okazało w całej pełni światłości mur górski, który stanowił granicę światła i świetlanego świata. I skądkolwiek jechać ku ziemi słońca, wszędzie stoją na jej straży potęgi gór. Ibukiyama od zachodu, Cukubaran od wschodu, majestatyczny, święty, ukochany Fudży od południa. A mur górski szczelny i przepaścisty, nie czło-

wiek, ale oko się po zań nie wędrze! Wiele razy dojeżdżesz z nieskończoności oceanu do lądu, już znasz kraj, w którego porcie szukasz schronienia; wszak oko bramami dolin poza góry w głąb kraju się wkrada i nie ma tajemnic. Ale Japonja nie pokazuje nic, tylko gór brzeżnych ścianę, swą nieśmiertelną granicę, którą nawet i szumne morze szanuje, którego nawet burzliwa fala nie tyka. Gdy mgły ranne zbiegły przed siłą promieni słonecznych, które rozlały się po stalowym nocnym morzu, wynurzyła się z nocnych mroków wąziutka smuga brzegowa, która okalając ścianę graniczną, chroni ją od niszczącej fali i pozwala bujnej japońskiej zieleni wędrzeć się na zbocza i stworzyć w ten sposób niezuanany gdzieindziej zespół krajobrazowy wesołej gry kolorów z groźną, ponurą formą.

Wązka smuga brzegowa roi się od osad ludzkich; na morzu dniem i nocą tłumy łodzi i barek. I masz przed sobą kraj, na którego granicy napisała przyroda: «tajemnica»; masz kraj na zewnątrz groźny i zamknięty, ale który kryje w sobie naród pełen życia i ruchu.

«Hatsu-Maru» zawinął do portu ojczystego. I byliśmy na okręcie świadkami takiego lądu, takiej perlistej czystości, pracy tak skrzętnej a cichej, jakby na tajne sprzysiężenie wyglądającej, a przy wylądowaniu zetknęliśmy się z taką rozwągą, ale i uprzejmością organów państwowych, po załatwieniu formalności z tak bezinteresowną uczynnością tych niemal kosmicznie obcych ludzi, że zrozumiałem... jestem w kraju «wschodzącego słońca», nad którym słońce pomyślności nigdy nie zajdzie!

Planem podróży wymuszony pośpiech w drodze między portem a dworcem kolejowym japońskim pozbawił mnie zapewne wielu tych pierwszych wrażeń, najpełniejszych, najtrwalszych. A jednak i w tym pośpiechu, pierwszy, roztaczający się przede mną obraz życia japońskiego, obraz zarówno obcy jak czarujący, nie minął przelotnie. Rój ludzi pracujących i śpieszących się w ciasnych ulicz-

kach w przedziwnym zawsze ładzie, ludzi zajętych szczerze, zdradzających swe zainteresowanie tylko dobrodusznym zda się uśmiechem; ale uśmiech Japończyka to nie jest naiwność, skoro z twarzy jego nigdy, nawet po gruntownej obserwacji, nic zgoła nie wyczytasz! Drobnii, zgrabni i ruchliwi ludzie, każdy z miniaturową wystawą sklepową, wzbudzającą mimowolnie pytanie: dla kogo? dość, że obfitość, a raczej powszechność sklepików potęguje egzotyczność tego świata do niebywałych rozmiarów. Wszak każdy sklepik japoński dla przybysza to wystawa osobliwości, a gra kolorów i rysunku ornamentacyjnego przenosi widza w istną krainę baśni. Szczególne wrażenie sprawiają tysiące powiewnych sztandarów różnobarwnych, na których malowane tuszem powabne linje symbolów japońskich zdradzają świadomym tajniki magazynów.

Przecinając Japonię od Curugi do portu położonego nad Japońskim morzem Śródziemnym, do Kobe, nie spotykamy nigdzie gór wysokich, toniemy w kolorach bujnej roślinności, nie spostrzegamy nigdzie ani cienia śladów epoki lodowej, choć alpejskie formy są powszechną właściwością owych średnich, małych, czasem karlich gór.

Strome zbocza, ciasne i kręte wąwozy, uwieńczone skałkami, zamykają ciasny wszędzie widnokrag tego miniaturowego kraju alpejskiego. Wody rzek i potoków biegną z szumem i hukiem, któremu towarzyszy na każdym kroku widomy skutek pracy wodnej, świeże na dnie łożysk wodnych obnażenia skalne, woda tam na darmo nie huczy! Wody rzek i potoków Japonji zachodniej całą swą siłę zużywają na twórczą pracę nad rozwojem i ciągłym odświeżaniem rzeźby krajobrazu japońskiego.

Oko mniej wprawne, mniej nawykłe do analizy form krajobrazowych, może porwane barwnością obrazu, bujnością zieleni, majestatyczną powagą czarnych gajów tui, strojących najbardziej urwiste zbocza dzikich potoków, może zachwycone wielkimi, małymi, nawet malutkimi

polkami cudownie uprawionego ryżu, wsuniętymi w każdy zakątek płaski z natury lub z ludzkiego trudu, a wsuniętymi choćby między skały i kaskady, może nie zdoła odróżnić ostrości i grozy linii i płaszczyzn rzeźby krajobrazowej od cudów pracy ludzkiej i wysiłku, skierowanego ku ujarzmxieniu dzikiej przyrody kraju, który się ukochało i w którym się żyć pragnie.

Nizka przełęcz prowadzi z krainy górskiej, odwodnionej od zatoki Curugi w rozległą kotlinę jeziora Biwa. Jezioro to, wielkości Lemanu, jest największym słodkowodnym zbiornikiem w Japonji. Krajobraz to zupełnie inny. Zachodnie ramy jeziora tworzy wał gór dosyć wysoki (ponad 1000 metrów), ale słabo urzeźbiony i jednostajny, wysuwający szereg równoległych, potężnymi schodami ku jezioru zwisających garbów. Wschodnie jednak ramy jeziornej kotliny szczególną zwracają uwagę. Oto jak daleko i gdziekolwiek w tym kierunku oko sięgnie, wszędzie świecą czerwone i wiśniowe góry, poorane gęsto w długie, ostre, a dziwnie symetryczne zagony.

Obraz sam przez się dziwny staje się jeszcze większą zagadką, gdy sobie uprzytomnimy, że takie czerwone grzędy górskie są właściwością krain pustynnych; jeszcze się nie ocknęliśmy z wrażenia powodzi zieleni, którą się oko poiło w górach Carugi, a już wraz z wiśniowemi górami wita nas i inna cecha pustyni — bezleśność. Góry wiśniowe są zupełnie nagie, a tu i owdzie, spinająca się po stromych zboczach gór wiśniowych chimerycznie wygięta sosna japońska «matsu», kształtami swemi symbolizującemi smutek i nieszczęście, przyczynia się jeszcze bardziej do złudzenia, że jesteśmy w pustyni. I złudzenie byłoby zupełne, gdyby błękitne w pełni słońca skąpane jezioro nie przypominało nam Lemanu czy włoskiej Rivieri, gdyby jego część południowa, zasiana gęsto skalistemi wysepkami, nie przenosiła nas myślą do południowych, słońcem lata oświetlonych fjordów Norwegji, gdyby wreszcie nie

ta niesłychana zieleń dywanów ryżowych, okalających szeroką taśmą jezioro i wciskających się zatokami i cieśninami zieleni w masę gór wiśniowych, gdyby wreszcie nie liczne roje zgrabnych i drobnych domków, otoczonych potężnymi, kwieciami i owocami strojnymi drzewami. Wszelkie wątpliwości znikają: nie w pustyni jesteśmy, ale w ludzkim raj, a góry wiśniowe są w tym krajobrazie niby igraszka natury, zapewne przeżytkiem minionych wieków i klimatów.

Kolej pędzi dalej, opuszcza świetlaną i kolorową kotlinę jeziora Biwa i znowu przedziera się przez cieśniny i wąwozy skalne, nieznaczne wysokością, ale swymi kształtami przypominające najdziksze przejścia alpejskie. Z ponurych deber, z czeluści, w których pod najeżonymi groźnie skałami szumią huczne wody, wydostajemy się niemal w oka mgnieniu w nową kotlinę pogodną, łagodną a bogatą; jest to kotlina, w której się rozpanoszyła prastara stolica japońskiej kultury i państwa Kjoto. Tu krajobraz jakby karpackiego podgórze. Doliny szerokie, uprawione wspaniale, przedstawiają rozległą a doskonale geometrycznie wyciągniętą szachownicę pól ryżowych, poprzedzielanych gęstą tkaniną kanałów, nawadniających na brzegach rzek i większych potoków wieńce płaczących bambusów, na tarasach gęsto rozsiane domostwa, okolone ogrodami kwiatów i różnorodnych warzyw.

Silne rozdrobnienie parceli wodnych wraz z bujną różnorodnością kultur nadają polom japońskim szczególnie wiele uroku. Wprawdzie ryż jest podstawą całego gospodarstwa rolnego japońskiego, ale obraz niezmiernie od monotonii, jaką przedstawiają łąny naszych pól zbożowych, a to nie tylko dlatego, że Japonja wogóle nie zna łąnów, a najdoskonalszą równinę praca ludzka przeobraża w drobiazgowy relief tarasowy, ale też dlatego, że ryż jest to pojęcie zbiorowe tysiącznych dosłownie odmian,

przystosowanych do różnych warunków klimatu, nawodnienia i gleby, ba, wreszcie tradycji rodowych czy plemiennych, tak, że pole ryżowe to gra najbogatszych tonów zieleni, jaką sobie tylko bujna fantazja zdoła wyobrazić.

Obok ryżu odgrywa w rolnictwie japońskim pokazniejszą rolę już tylko żyto, a więc ten gatunek zboża, który panuje od Renu do Wołgi i prócz japońskiej enklawy gospodarczej nigdzie więcej na świecie nie jest na większą skalę uprawiane. Nieco tatarki i prosa uprawia Japończyk już po ogrodach, gdzie panuje bulwiasta roślina, zwana ziemniakiem japońskim, a pięknym krojem i rozmiarami liści przypominająca ziele lotosu, w towarzystwie rzodkiewki, marchewki i różnorodnych groszków; kopulaste krzewy herbaty dodają tym barwnym ogródkom linji i powagi, akwarja z płynącą i tryskającą wodą, ze złotemi rybkami i żółwiami, błakającemi się w zacieniach paproci, tworzą z nich zaczarowany i czarujący zakątek, nad którym zwisają istne złote jabłka persimomu, a ponad tym szumią gaje «matsu», tui i kryptomerji, drzew olbrzymich i wspaniałych.

Gaje kotliny Kjoto rozrzucone są po łagodnych lekko falistych wzgórzach, które tej kotlinie nadają krajobrazowy charakter krainy podkarpackiej. Dolina Yodogawy, wijąca się i rozwijająca po kotlinie, wpływa niżej zwężenia południowego w rozległą, obok tokijskiej największą dolinę napływową Japonji. A jaką rolę odgrywają w życiu Japończyka niziny i równiny, dość wskazać na to, że wszystkie wielkie rojowiska japońskie, miasta liczące nad 300000 mieszkańców, są właśnie do owych równin deltowych i kotlin przywiązane. W delcie Sumidagawy rozłożyła się nowa dwumiljonowa stolica Tokio wraz z olbrzymim miastem portowym Yokohamą; podobnie w delcie Yodogawy zakwitło wielkie ognisko przemysłu w miljonowym mieście Osaka, a w najbliższym sąsiedztwie zakwitnął port handlowy Kobe; w pobliskiej delcie Kisegawy,

w kolebce dawnego rycerstwa japońskiego, zakwitnął dziś przemysł i handel, który u stóp dawnego zamczyska szogunów w Nagogi wskrzesił miasto w nowożytniej potęgze. W jedynej śródlądowej kotlinie legło jedyne wielkie miasto śródlądowe Japonji, jej stara stolica Kyoto.

Myliłyby się jednak, ktoby mierzył miasta japońskie miarą i pojęciem miast europejskich. Różnica między wioską a największym nawet miastem japońskim jest tylko ilościowa. Stojąc na wzgórzach, okalających Tokyo, ma się przed sobą istne mcrze domów,—wszak powierzchnia zwartej, zabudowanej masy obejmuje zwyż 100 km. kw. powierzchni,—ale co uderza przedewszystkim widza, to ów las masztów telefonowych i tramwajowych, ponad które żaden bodaj budynek tej sławnej stolicy japońskiej się nie wznosi.

Niziny deltowe Osaki jeszcze więcej może, aniżeli okolice jeziora Biwa, mogą służyć za przykład, że jedną z głównych cech krajobrazu japońskiego jest kojarzenie przeciwnieństw. Z niezmiernych równin, ledwie że wzniesionych ponad poziom morza, strzela nagle, jak zamknięte zamczysko z murami, wieżami i gzymsami potężne pasmo gór, nurzających swe stopy w morzu, a szczytami dosięgających 1000 m.

Potoki wżarte w ich masę unoszą z wnętrza gór w obfitości gruz skalny, a sypiąc go u stóp gór, gdzie wody tracą spadek i siłę, spychają morze od brzegu, usypując na miejscu fal wodnych wieniec potężnych stożków — na jednym z takich stożków rozsiadła się nowożytna metropolja handlowa—Kobe. A gdy z gruzów przyrody, na których się dziś zaroił człowiek, przedostajemy się po piętrach ulic we wnętrze gór do uroczego parku naturalnego «Nunobiki», to się znajdujemy w czeluści odludnej, mrocznej; na dnie jej tłuką się wody po olbrzymich blokach granitu, ściany łoża wodnego obnażone i obślizłe, a w znacznej

wysokości ponad dzisiejszym poziomem wody położone są kotły olbrzymów, studnie okrągłe w skale przez dawne wiry wodne kute, oczywiście świadectwa energicznej pracy wody, działającej nieporównanie prędzej, aniżeli wszystkie inne siły, czynne w wykształceniu i przeobrażeniu krajobrazu. Ale woda wykonywa tu zaiste pracę Danaid, pośpiech jej w pracy oczywiście daremny, bo chociaż w li-tej skale wykuła głęboką i przepaścistą rynnę, a porwany z głębi opornych skał gruz usypała w potężne stożki, na których się dzisiaj tłumy stotysięczne roją, huczą ponad doliną czeluściową liczne wodospady, które stwierdzają, że choć woda pracowała długo i nie bez skutku, jest jednak dzisiaj dopiero u progu swego zadania. I któż, widząc ta-ki ogrom pracy wody, nie mniemałby, że jest w głębi gór o charakterze alpejskim, któżby uwierzył, że się znajduje o pół godziny pieszej drogi od morza, w którego tonie wo-dy wszelkie udają się na dziesiątki tysięcy lat spoczynku. Życie wody odzwierciadla też jej główne dzieło — dolina. Spadek doliny w biegu górnym gwałtowny, kaskadami i wodospadami przerywany, łagodnieje ku dołowi, aż go wreszcie w dolnej, ujściowej części od poziomu mo-rza czy jeziora oko nie odróżni. Doliny Japonji, a zwłasz-cza jej części zachodniej, temu powszechnemu i prawidło-wemu typowi zgoła nie odpowiadają. Ileż to razy mia-łem sposobność oglądać na wysokich wierzchowinach wody błędne, rozlewające się po dolinie szerokiej, gar-batej, pozbawionej jasno określonego spadku; te same wody wypadają później kaskadami z wązkich czeluści do morza.

Droga do Mijanoszita przewija się nad przerażającą swą głębią i przepaścistością doliną szczelinową, jakby nad Aarą w Meiringen, nad jej jednak ścianami nie ponure, łysinami skał przeświecające bory świerkowe, lecz na łagodnych plecach doliny najbujniejsza, kwietna roślinność japońska ściele się, a z pośród niej dymią, syczą i bryzgają

wrzątkiem dziesiątki solfatar i gejzerów, ot jakby ponad Aarę przeniósł Flegrejskie pola z pod Neapolu. Na tyłach wiecznie w opary otulonej doliny stoi wieniec gór wulkanicznych, ulanych na kształt dzwonów, a pomiędzy to dziwne gór towarzystwo rozlało się wspaniałe jezioro górskie, Hakone. W błękitnej toni jeziora płasają zatopione dzwony, barwne łąki górskie i aleje majestatycznych kryptomerji, wiodących do pałacu mikada, który wieńczy najbardziej butny, najgłębiej w toń wysunięty przylądek; na północno-zachodnim brzegu jeziora jest wieniec gór przerwany — to brama, którą wkracza w horyzont Hakone dostojny stożek, odziany w biały rurkowany kołnierz a la Marja Stuart, jeden na niebie, a drugi na wodzie... to wielki, potężny, ukochany Fudzi-Yama!

Fudzi-Yama jest to młody wulkan o nietkniętej prawie, geometrycznej formie stożka, strzelisty w dziedzinie szczytowej, tam też z powodu zbytnej stromości pokarbowany, promienisto rozchodzącymi się wyrwami, wyścielonemi rok cały śniegiem, łagodnie wygiętym łukiem przechodzi on w swą szeroką podstawę, tak lekko pochyloną, że gdy się stąpa po jej popiołach podczas rześkiego deszczu jesienno-go, ani oko ani noga nie odczuwa pochyłości tej pozornie doskonałej i poziomej równiny ziemskiego zgorzeliska. Profil Fudzi-Yamy, oglądany z pewnej odległości jest imponujący: najmniejszy garb, wypukłość żadna, czy wklęsłość nie przerywają ciągłości linii — snąc potężny stożek o średnicy wynoszącej z górą 25 km. został wyrzucony z łona ziemi i usypany podczas jednego kataklizmu; w każdym razie po ostatnim akcie twórczym, któremu ten kolos zawdzięcza swą dzisiejszą postać stożka, nastąpiła cisza. Powłóczyściego płaszczu stożkowego nie szpeci żaden większy komin czy pasorzyt wulkaniczny, a Japończyk tak ceni i kocha tę doskonałość linii swego ojczystego kolosu, że jakkolwiek się pieści widokiem jego z trzydziestu dwu stron, nigdy go nie wyobraża od strony po-

łudniowo-zachodniej, skąd Fudzi traci swą wytworną linię z powodu nasadzonego na jego płaszcz drugorzędneho stożka — Hoeisan.

Szlachetny profil Fudzi, z tej czy owej strony — za wyjątkiem jednej — oglądany, zawsze tę samą okazuje postać, a jeśli Japończyk mówi o trzydziestu dwóch stronach Fudzi, to ma na myśli tyleż obrazów życia swego, tyleż różnorodnych zespołów krajobrazowych, na tle których króluje Fudzi i wzniosłością swych linii podnosi i uszlachetnia. Pomysłowość w japońskim obrazowaniu Fudzi jest istotnie niewyczerpana.

Czystość i przejrzystość atmosfery japońskiej jest niemal bezprzykładna, a jest to właściwość przywiązana nie do dziedzin wierchów i turni, ponad lodowce strzelających, nie, to jest osobliwość w całej ziemi «wschodzącego słońca» pospolita. Wystarczy przypomnieć jedną obserwację, dokonaną przez świat żeglarski od lat dziesiątków na wybrzeżach morza Japońskiego. Na japońskich wybrzeżach niema, z wyjątkiem bardziej ponurej wyspy Jezo, ani jednego portu, w którymby najbardziej dżdżysta pora roku miała bodaj co trzy tygodnie dzień mglisty, na wybrzeżach rosyjskich co trzeci dzień mgły letnie zagrażają żegludze. Ale jeszcze więcej niż brak mgły jest uderzająca owa niezwykła krystaliczność japońskiej atmosfery; obrazy przechodzą przez nią jasne i dziwnie zbliżone. Jest to atmosfera oceanu, która dzięki silnej przewiewności powietrza wpoprzek wąskiej barjery Japońskiego Archipelagu stale nad nim i w doskonałej czystości panuje.

W tej to ruchliwej, a czystej atmosferze widoki odległe stają się wyraźne i blizkie, a ponieważ prawa optyki i w najczystszej atmosferze nie zawodzą, i wielkość przedmiotów pomniejsza się z kwadratami odległości, więc horyzont japoński pełen jest krajobrazowych elementów, za-

rysowanych wyraźnie, a drobniutkich, naturalnych pierwowzorów japońskiej sztuki... miniatury!

Przyroda ziemi japońskiej stworzyła w duszy tego narodu poczucie piękna. nadała temu poczuciu indywidualny kierunek i drogi rozwoju. Wzniósła w swym pięknie przyroda jest wszakże groźną i srogą potęgą, która nietylko sercem i duchem Japończyka włada, ale wkracza wszechmocnie we wszystkie strony jego życia. Jakże bowiem już niegościnna jest ziemia japońska, a czyż inaczej być może, gdy wszędzie jest piękna? Pięć szóstych części powierzchni Japonji zajmują skały, pustkowia i zgorzeliska wulkaniczne, jedna szósta część jest zaledwie przydatna do uprawy roli, a i to tylko dzięki szkole, którą przeszedł naród na swej ziemi: brak ziemi powiększył jej wartość i nauczył Japończyków szukać jej pomiędzy najdzikszymi i niedostępnymi skałami.

Wstrzemięźliwość, skromność i tym podobne cnoty japońskie, dzięki wiekowej walce Japończyka, staczanej nietylko z przyrodą ziemi, ale i ze swą własną duszą, przestały być wogóle cnotą, bo stały się jego naturą. Można je oceniać z rozmaitego stanowiska, można nawet ubolewać, że istnieje na świecie wielki i kulturalny naród, postawiony w takich warunkach geograficznych, iż musi pędzić żywot, który Europejczyk nazwałby ciągłym stanem «półgłodu»; to pewne, że Japończyk, zdobywszy ten hart życia z przywiązania do ziemi ojczystej, ograniczył troski życia codziennego do najmniejszej miary i może całą swą energję skierować ku budowie większej, lepszej przyszłości swojej ojczyzny. W tej gonitwie do sławy i wielkości, w której dziś biorą udział wszystkie narody, wyprzedza Japończyk innych hartem duszy i ciała, rozporządza w każdym razie środkiem walki, gdzieindziej nieznanym.

Według *D-ra Eugenjusza Romera.*

U WRÓT SYBERJI.

W Permie przebyliśmy jedną noc tylko. Tutaj po raz pierwszy zetknęliśmy się z policją i chociaż fakt ten sam przez się nie ma wielkiego znaczenia, opowiem go jednak, gdyż dowodzi on, jaką nieograniczoną władzę posiada policja w Rosji, skoro waży się bez żadnego prawa i żadnej podstawy poddawać badaniu kogo jej się tylko podoba. Fakt ten stanowi przytym ilustrację tych wypadków i «historji», które na każdym kroku przytrafiają się podróżnikom, jadącym przez wielki trakt syberyjski.

Pod wieczór z towarzyszem moim wybrałem się na wzgórze, leżące na wschód od miasta, by z jego szczytu naszkicować sobie widok Permu. Po drodze musieliśmy przejść koło budynku więziennego, a ponieważ było to pierwsze napotkane więzienie i znajdowało się przytym na naszej drodze do Syberji, więc oczywiście z wielką uwagą i zainteresowaniem zaczęliśmy je oglądać. Chcąc puścić się następnie w dalszą drogę, zauważyliśmy, że wzgórze owo leży znacznie dalej, niż się nam pierwiej wydawało, a że było już późno, postanowiliśmy odłożyć wycieczkę tę do dnia następnego. Zawróciliśmy więc i w ten sposób raz jeszcze przeszliśmy koło więzienia. Na drugi dzień wczesnym rankiem udało nam się wreszcie nasz projekt wykonać. Towarzysz mój naszkicował na papierze widok miasta z przedmieściami i po upływie półtorej godziny skierowaliśmy się ku domowi. Na otwartej przestrzeni w pobliżu więzienia ujrzeliśmy jadące naprzeciwko dwie dorożki, a w nich czterech oficerów, uzbrojonych w szable i rewolwery. Zauważyłem, że dwaj pierwsi bacznie nam się przyjrzeni, ale wówczas jeszcze nie znałem uniformów policji i żandarmerji rosyjskiej tak dokładnie, jak dzisiaj, i nie wiedziałem, kim są napotkani oficerowie. Dwaj siedzący w następnej dorożce wysiedli, odeszli od siebie na

odległość 50 — 60 kroków i po liniach przecinających się zaczęli iść ku nam. Następnie pierwsi wysiedli również i obejrzawszy się na tamtych, zachowali się zupełnie podobnie.

Wówczas dopiero błysnęła mi myśl, że wszyscy oni są urzędnikami policji, żeśmy obudzili w nich jakieś podejrzenie i że grozi nam areszt. — Gdy nas otoczyli, jeden z nich, przystojny oficer żandarmski, wyglądający na lat trzydzieści, złożył nam ukłon i zapytał:

— Kto panowie jesteście?

— Jesteśmy amerykańscy turyści.

— Kiedy przyjechali panowie do Permu?

— Wczoraj.

— A skąd?

— Z Niższego Nowogrodu.

— A gdzie panowie jedziecie?

— Na Syberję.

— Ach tak, na Syberję? A po co, jeżeli wolno wiedzieć?

— Żeby zwiedzić ten kraj.

— Turyści — rzekł z pogardą w głosie — nie mają zwyczaju zwiedzać Syberji. Panowie muszą mieć co innego na celu. Jakaż to przyczyna?

Wytlomaczyłem mu, że amerykanie są zajadłymi podróżnikami i jeżdżą wszędzie, a na celu mają jedno tylko: poznać rozmaite narody i ich zwyczaje i w ten sposób wzbogacić swe wiadomości. Wyjaśnienie to jednak nie było wystarczające dla żandarma, który w dalszym ciągu zasypywał mnie pytaniami, aby dowiedzieć się prawdy. Wreszcie zauważył:

— Panowie przechodzili wczoraj koło więzienia.

— Tak — odpowiedziałem.

— A poco?

Wyjaśniłem mu przyczynę.

— Panowie oglądali więzienie ze szczególną starannością i zainteresowaniem.

Zgodziłem się z tym.

— W jakim celu?

Znów objaśnienie z mej strony.

— Przecież panowie zupełnie na wzgórze nie poszli, tylko zawrócili i znowu z tym samym zainteresowaniem oglądali zamek więzienny. Dziś rano znowu. Dlaczego więzienie właśnie tak bardzo panów zajęło?

Tu już nie wytrzymałem i roześmiałem mu się prosto w twarz. Ale że żandarmi nie zdradzali żadnych oznak wesołości, a oglądanie zamku więziennego było przestępstwem w ich oczach bardzo poważnym, zacząłem przeto nanowo tłumaczyć im całe zajście. Koniec końców oficer żandarmski, wcale memi słowami nieprzekonany, surowo zażądał dokumentów. Dowiedziawszy się zaś, że takowe pozostały w hotelu, oznajmił nam, że jesteśmy aresztowani aż do chwili, póki nie zostanie stwierdzone, co my za jedni i co nas do Permu sprowadza. Towarzysz mój pod nadzorem jednego z żandarmów wsiadł do jednej dorożki, ja z siwobrodym urzędnikiem, zapewne policmajstrem — do drugiej, i w ten sposób zajechaliśmy do hotelu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wzięto nas za spiskowców politycznych, zamierzających wykraść jakiegoś więźnia.

Zaprosiłem uprzejmie naszych opiekunów do pokoju, i gdy oglądali nasze papiery, poczęstowałem ich papierosami i herbatą. Mimo to młody, ale już podejrzliwy oficer żandarmski przyglądał mi się tak, jakgdybym był okazem nieznanego dzikiego zwierzęcia, po którym nic dobrego nie można się spodziewać. Dokumenty nasze nie zadowolili go jakoś, ale rekomendacja ministra spraw zewnętrznych położyła wreszcie koniec tej «komedji omyłek». Czytając pismo to, oficer żandarmski poczerwieniał i szeptem zaczął się naradzać z policmajstrem. Poczym,

zmieszany nieco, podszedł do mnie i wyraził nadzieję, że nie zachowamy w pamięci tego «przykrego nieporozumienia» i że mu wybaczymy. Wzięli nas za dwóch ważnych przestępców niemieckich, których poszukiwano właśnie, więc aresztując nas, pragnęli jedynie spełnić swój obowiązek. Na znak, że nie żywimy urazy, prosił o pozwolenie uściśnienia nam ręki, poczym obaj urzędnicy pośród głębokich ukłonów wyszli.

To drobne zdarzenie było dla mnie ciekawe jako przykład działalności policyjnej w Rosji, zarazem jednak przejęło mię obawą o przyszłość. Jeżeli aresztowano nas już po tej stronie gór Uralskich i to tylko dlatego, że zewnątrz obejrzelśmy więzienie, to co będzie, gdy zaczniemy poważnie plan nasz wprowadzać w życie.

Dnia 11-go czerwca o godzinie wpół do dziesiątej wieczorem, koleją żelazną uralską wyjechaliśmy z Permu do Jekaterynburga. Dwa dni ostatnie tak nas zmęczyły, że w ciągu całej nocy doskonale spaliśmy w wagonie.

Obudziwszy się o ósmej rano, ujrzałem, że pociąg znajduje się już na wyniosłości Uralu, na stacji Bizer. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Świeże powietrze poranka pełne było żywicznego aromatu sosen górskich i woni niezliczonych kwiatów. Z poblizkiego brzoźowego gaju słychać było kukanie kukułki — świat cały dyszał pięknnością pierwszych dni lata. Towarzysz mój udał się na poszukiwanie kwiatów wzdłuż nasypu kolejowego: rosły tu setki kwiatów, nieznanych mi nawet z imienia.

Za stacją Bizer droga staje się bardzo kręta i przez cały czas wije się pośród niewysokich wzgórz, często pokrytych lasami. Pociąg niekiedy w ciągu całej godziny nie wychodzi z lasu świerkowego lub też biegnie wzdłuż kopalni złota, gdzie setki mężczyzn i kobiet przepłukuje złoty piasek; tu i owdzie widać wyřęby, pokryte miękką darnią, niby dywanem z zielonego aksamitu, z pośród którego wyrastają kępy srebrzystych brzoź. Dzikie róże,

fijołki, rumianki, poziomki, dzwonki obficie rosły wzdłuż nasypu, a wszystkie łąki widziane mieniły się bogactwem najwspanialszych kwiatów.

W niemały podziw wprowadził nas doskonały stan i wygląd tej linii kolejowej, zbudowanej w miejscowości górzystej i na skrajnym wschodzie Rosji Europejskiej. Budynki stacyjne pomiędzy Permem i Jekaterynburgiem są jednymi z najlepszych, jakie widziałem w Rosji. Tor kolejowy odznaczał się solidną budową, wagony mogły rywalizować z wagonami najbogatszych linii kolejowych w Rosji; wszystkie urządzenia kolejowe znajdowały się w największym porządku. Otoczenie budynków stacyjnych sprawiało bardzo miłe wrażenie, a dbałość o upiększenie toru widoczna była na przestrzeni całej tej linii, słupy wiorstowe miały do czterech stóp średnicy, a cyfry, oznaczające odległości, układane były z kamieni kolorowych sposobem mozaikowym.

Stacja Niżnij Tagil, leżąca już po azjatyckiej stronie Uralu, gdzie pociąg stoi pół godziny, aby pasażerowie mogli zjeść obiad, mogłaby stanowić ozdobę pierwszorzędnej linii kolejowej. Maszynowy dworzec, długi na sto stóp, na całej tej długości posiadał szeroki na dwadzieścia stóp peron. Ściany dworca pomalowane były na kolor czerwony, a dach miał pokrycie blaszane. Wokoło budynku stacyjnego rozciągał się cały park z grzędami kwiatów pachnących i pokrytymi darnią polankami; srebrny szmer fontanny, bijącej pośrodku tego ogrodu, mile pieścił ucho znużonego wędrowca. Sala jadalna miała dębową posadzkę i dębowe boazerje, sięgające do połowy ścian, które wyżej obite były skórą koloru drzewa. Sufit miał ozdoby sztukateryjne. Stojący pośrodku sali długi stół jadalny nakryty był obrusem śnieżnej białości; przepyszna zastawa stołowa z porcelany zdradzała gust wykwintny, świeczniki kryształowe, kwiaty w wazonach, wreszcie akwarjum — wszystko to wprowadziło nas w podziw. Prócz tego

w sali znajdowały się krzesła rzeźbione, drogocenny zegar i kominek pokryty bronzami. Usługujący odziani byli w nieposzlakowaną bieliznę i stroje frakowe, kucharze od stóp do głowy w bieli mieli na głowach czworokątne czapki również białe. Mogę powiedzieć bez przesady, że była to najelegantsza, bogata, a zarazem przytulna publiczna sala jadalna, jaką kiedykolwiek widziałem. A gdy się jeszcze zapoznał bliżej z doskonale podanym i smacznie przyrządzonym obiadem, trudno mi było uwierzyć w to, gdzie się znajduję. To było nasze ostatnie pożegnanie z kulturą europejską: upłynąć miało później wiele ciężkich i pełnych wyrzeczeń miesięcy, zanim dane nam było nanowo ujrzeć pociąg kolei żelaznej.

Dnia 12-go czerwca wieczorem przybyliśmy wreszcie do Jekaterynburga, który leży na wschodnim stoku gór Uralskich w odległości 150 wiorst od granicy Syberji. Ponieważ budowa kolei żelaznej między Jekaterynburgiem i Tiumentem nie była jeszcze ukończona, więc dalszą drogę odbywać musieliśmy końmi i tak podróżując zrobiliśmy w ciągu dziewięciu miesięcy osiem tysięcy mil. Pomiedzy Jekaterynburgiem i Tiumentem istniała komunikacja pocztowa i droga trwała dwie doby. Rząd udzielił koncesji towarzystwu, które wydawało podróżnemu bilet wprost do Tiumentia i dostarczało mu pojazdu, w którym zmieniano konie co mil osiemnaście.

Ekwipaż, używany przez pocztę latem, nosi nazwę tarantasa. Główna jego część składowa podobna jest z kształtu do łodzi i nie ma siedzeń; prócz tego tarantas posiada budę skórzaną i zasłony, by w czasie złej pogody chronić podróżnych od deszczu i wiatru. Pudło pojazdu spoczywa na dwóch lub więcej długich żerdziach, łączących ze sobą oś tylnią i przednią i tworzących coś w rodzaju resorów, osłabiających wstrząśnienia na wybojach drogi. Podróżny składa na dnie tarantasa swe pakunki, okrywa je słomą, dywanami i kocami, poczym sam sadowi

się na wierzchu, opierając plecy na poduszce, Woźnica siedzi na desce przed podróżnym i zapomocą czterech lejcy powozi trójką koni. Jeżeli droga dobra, to trójka robi na godzinę osiem mil. Kupiwszy bilety, wybraliśmy najlepszy tarantas, rozmieściliśmy w nim jaknajdogodniej nasze rzeczy, przyczym kufer mego towarzysza obrócony został na siedzenie i dnia 16-go czerwca wybraliśmy się w dalszą drogę. Nasz siwobrody woźnica zebrał w rękę lejce, zrobione ze starych postronków i krzyknął na konie. Rozległ się mało harmonijny dźwięk dzwonek, przyczepionych do dugi dyszlowego i tarantas ruszył po szerokich, niebrukowanych ulicach Jekaterynburga, przejechał obszerny plac przed koszarami i przez dwa białe słupy, ozdobione orłami dwugłowymi, wydostał się za miasto, w ciemny bór sosnowy.

Oto jesteście wreszcie na wielkim trakcie syberyjskim, ciągnącym się od Uralu do Amuru na przestrzeni trzech tysięcy mil. Jeżeli uważałem kiedy Syberję za kraj biedny i nieurodzajny, to teraz, patrząc na nieskończone szeregi wozów, jadących od granicy Syberji w stronę Jekaterynburga, przekonałem się, że byłem w błędzie. Można śmiało twierdzić, że wozy te stanowią niezbędną część krajobrazu zauralskiego. Są to wozy niewielkie, niskie, czworokolne, zaprzężone w jednego niezgrabnego konia i naładowane do wierzchu towarami syberyjskimi.

Każdy koń przywiązany jest za długą uzdę do poprzedzającego wozu i w ten sposób tworzy się łańcuch z 50 do 100 wozów, stanowiący tak zwany «obóz». W niecałe dwie godziny minęliśmy się z 538 takich wozów, w ciągu zaś całego pierwszego dnia naliczyłem ich 1445. Sądzę, iż stanowi to dowód najlepszy, że Syberja nie jest pustynią.

W miarę, jak zapadała noc i stawało się coraz ciemniej, «obozy» zatrzymywały się na nocleg. Przez czas

pewien napotykalismy malownicze obozowiska na tle lasu: woźnice wokół ogniska, dalej krąg wozów, dalej konie wyprężone i spętane, które pasą się, skacząc niedołącznie z miejsca na miejsce, wreszcie czarna ściana lasu iglastego, obłana światłem ognisk. A szczyty sosen i świerków drżą jeszcze w ostatnim zmierzchu światła dziennego. Czerwone i czarne kontury wozów, postacie woźniców, w długich kapotach, w koszulach czerwonych i niebieskich, pijących herbatę, przyjmujące w blasku ognisk kształty fantastyczne — wszystko to składało się na oryginalny, czysto rosyjski obraz o rembrandtowskim kolorycie.

Jechalismy przez całą noc niezłą szosą, robiąc osiem mil na godzinę i zatrzymując się po to tylko, by przeprząc konie. Słońce zachodziło o wpół do dziesiątej, wschodziło zaś o wpół do trzeciej, tak, że panował właściwie półmrok i ciemność nocy nie była zbyt głęboka.

Tego dnia, gdyśmy wyjechali z Jekaterynburga, ujrzeliśmy po raz pierwszy więzienie etapowe i etapy zesłańców w drodze na Syberję. Odkąd istnieje prawidłowa komunikacja wodna pomiędzy Niższym Nowogrodem i Permem oraz kolej żelazna uralaska, punktem zbornym dla wszystkich zesłańców z miejscowości, leżących po zachodniej stronie Uralu, to jest z Moskwy, Niższego Nowogrodu i Kazania, jest Jekaterynburg.

Po przebyciu Uralu cała partja zesłańców dzieli się na grupy i zarówno mężczyźni jak kobiety muszą odtać iść piechotą na miejsce przeznaczenia w Syberji zachodniej; wyjątek czyni się tylko dla osób, które należą do sfer uprzywilejowanych: razem z choremi i słabemi jadą oni na zwyczajnych wozach.

Gdyśmy już w drugim dniu podróży z Jekaterynburga przejeżdżali nieco przetrzebiony las pomiędzy wsiami Markowem i Tugulińską, woźnica zatrzymał konie i powiedział: «Oto granica».

Wyszliśmy z tarantasu. Na drodze stała czworokątna

kolumna wysoka na 10 — 12 stóp, zbudowana z cegły; z jednej strony umieszczony był na niej herb gubernji europejskiej, Permskiej, z drugiej herb sybirskiej, Tobolskiej. Był to graniczny kamień Syberji. Żaden punkt na przestrzeni Rosji, od Petersburga do Oceanu Wielkiego, nie łączy się z tyloma smutnymi wspomnieniami; żadna miejscowość w Rosji nie jest tak ciekawa dla podróżnika, jak ta mała polana w lesie i ten słup kamienny, uświęcony niedolą człowieczą. Setki tysięcy istot ludzkich, mężczyzn, kobiet i dzieci, książąt, szlachty i ludu, na tym miejscu żegnały się na zawsze z blizkimi sobie i z ojczyzną.

Żaden na świecie słup graniczny nie był świadkiem tylu cierpień i rozterki, jak ten; mijały go nieskończone szeregi ludzi z sercem rozdartym. Ponieważ znajduje się on mniej więcej w połowie drogi pomiędzy ostatnim etapem europejskim i pierwszym sybirskim, to od czasów niepamiętnych istnieje zwyczaj, że zesłańcom pozwalają tu zatrzymać się na odpoczynek i przesłać ojczyźnie ostatnie pożegnanie. Nic dziwnego, że rozgrywać się tu muszą sceny rozdzierające. Jedni milczą, skamieniały w cierpieniu, inni we łzach szukają ulgi; niektórzy padają na ziemię rodzinną i tulą do niej twarz albo całują zimny słup kamienny, jakgdyby stanowił on dla nich symbol tego wszystkiego, co musieli opuścić...

«Do szeregów!» brzmi surowa komenda. «Marsz!» Zesłańcy i katorżnicy żegnają się pośpiesznie i cała partja rusza w pochód przy dźwięku łańcuchów przez granicę Syberji.

Do niedawna syberyjski słup graniczny poryty był napisami, słowami imion i pożegnań, wyskrobanymi na cemencie, pokrywającym cegłę. W czasie jednak, gdy przejeżdżał, tynk już się obsypał i tylko gdzieś można było odnaleźć jaki napis. W jednym miejscu przeczytałem: «Żegnaj na zawsze, Masza». Dla wygnańca,

który wyrzył to pożegnanie ostatnie, Masza była najdroższą istotą na ziemi; przechodząc granicę rozstawał się z ojczyzną i z miłością. — Narwaliśmy kwiatów, rosnących u stóp kolumny, wsiedliśmy do tarantasa i na podobieństwo owych setek tysięcy przed nami, posłaliśmy Europie słowo pożegnania.

Woźnica popędził konie i koła potoczyły się już po terytorjum Syberji.

Według *G. Kennana*.

RÓWNINA ZACHODNIEJ SYBERJI.

Przeszedłszy granicę, oddzielającą gubernję Permską od Tobolskiej, wkraczamy w tę część Cesarstwa Rosyjskiego, której rozmiary i znaczenie nie są, zdaje się, nigdzie należycie ocenione. Syberja rozpościera się z północy na południe, od Semireczeńska do przyłądka Czeluskin, na przestrzeni trzydziestu stopni szerokości, a z zachodu na wschód, od Uralu do cieśniny Berynga, na przestrzeni stu trzydziestu stopni długości. Stany Zjednoczone Ameryki północnej łącznie z Alaską, oraz wszystkie państwa europejskie, razem wzięte, za wyjątkiem Rosji, mogłyby się pomieścić na tej przestrzeni, i jeszcze pozostałoby miejsce dla połowy Niemiec.

Rozumie się samo przez się, że kraina, zajmująca obszar $5\frac{1}{2}$ miliona mil kwadratowych (12 milionów kilometrów kwadratowych) nie może stanowić jednej pustyni polarnej i musi przedstawiać pod względem klimatu, topografji i roślinności wielką różnorodność. Przyjrząwszy się mapie, spostrzeżemy, że znaczna część Syberji zachodniej leży bardziej na południe, aniżeli Nicea, Wenecja i Medjolan, i że południowa granica Kraju Semipałatyńskiego bliższa jest równika, aniżeli Neapol. W niektórych częściach Kraju Jakuckiego średnia temperatura w styczniu dosięga — 45,5 stopni Celsjusza, gdy w kraju

Semipałatyńskim średnia temperatura w lipcu dochodzi do +22 stopni Celsjusza, przyczym zdarzają się upały trzydziestopięcio- i czterdziestostopniowe w cieniu. Na półwyspie Tajmir w najgorętsze lata grunt odmarza tylko na głębokość paru cali, a nędzna roślinność składa się wyłącznie z jagód i mchu, podczas gdy w południowej części Syberji zachodniej rosną w obfitości arbuzy i dynie, tyśiączne plantacje tytoniu zajmują niezmierzone obszary, a zboża dają urodzaj nadzwyczajny. Widać z tego, że Syberja nie jest krainą jednostajną.

Naogół w całej Syberji zimy są surowe, lata natomiast niesłychanie gorące. W żyznym pasie, ciągnącym się wzdłuż Azji Centralnej i Mongolji znajduje się cały szereg miast, których izoterma wyższa jest od londyńskiej. Średnia temperatura letnia Irkucka jest o 3° C. wyższa, niż Dublina, Tobola zaś o 2,5° wyższa niż Londynu; temperatura Semipałatyńska odpowiada bostońskiej, a lato w Wiernym jest tak gorące, jak w Chicago.

Nic tak nie może zadziwić podróżnika, który poraz pierwszy w czerwcu przebywa Ural, jak upał syberyjski oraz niezwykła piękność, barwność i aromat flory tutejszej. Chociaż poniekąd byliśmy już przygotowani na to dzięki podróży naszej w górę Kamy, ale i tak pogoda, roślinność i piękność krajobrazowa u progu Syberji Zachodniej obudziła w nas zachwyty. Nic nie przypominało tu, że kraina, przez którą jedziemy, pokryta przepyszny kobercem kwiatów, uprawiona i urodzajna, należy... do pasa arktycznego. Gdybyśmy zostali na to miejsce przeniesieni nagle, nie odgadlibyśmy nigdy, w jakiej części kuli ziemskiej się znajdujemy. Niebo było jasne i przezroczyste; drzewa pokryte jasno-zielonym listowiem; pszczoły brzęczały, śpiewały ptaki, kołyszące się na gałązkach przydrożnych brzoź; powietrze tchnęło zapachem kwiatów i świeżej trawy, a słońce czerwcowe darzyło ciepłem i ukojeniem—jak w krainach pasa umiarkowanego.

Pomiędzy stacjami Czeremisskaja i Sugackaja, rozciąga się okolica otwarta, dobrze uprawna i urodzajna. Większych lasów nie było widać nigdzie, ale na gruncie falistym tu i owdzie ukazywały się zarośla i gaje brzoź lub topoli; często jednak jak sięgnąć okiem ciągnęły się tylko niezmierzone niwy; obok zagonów żyta i pszenicy czerniały role, świeżo zorane lub zieleniały łąki, na których pasły się krowy i owce. A na tym tle zielonym jaskrawiły się wdzięcznie różnobarwne ubiory kobiet i mężczyzn, pracujących w polu.

Niekiedy wjeżdżaliśmy na krótko w chłodzący cień lasu, gdzie słychać było krzyk przerażonej kukułki. A później tarantas nasz zanurzał się znowu w morze bławatków i niezapominajek — i wszędzie znów tylko kwiaty i kwiaty, cały ocean kwiatów. Trawy nie było widać zupełnie: na dalekiej przestrzeni step był jakby przykryty żółtym dywanem, tak szczelnie porastały tu piękne kwiaty złociste, podobne do róż; później znów rozwijał się przed oczami kobierzec niebieski niezapominajek — i wyglądał, jakgdyby w wodnym zwierciadle odbijało się niebo błękitne. Parokrotnie naprawdę ulegliśmy temu złudzeniu.

Na całej przestrzeni między Jekaterynburgiem i Tiumentiem droga w okolicach bezleśnych wysadzona była wspaniałymi, wysokimi na 70 — 80 stóp, srebrzystymi brzożami, sadzonymi w dwa albo trzy rzędy i tak gęsto, że poplątane ich gałęzie stanowiły listne sklepienie, nie przepuszczające promieni słońca.

Przez całe mile jechaliśmy w ten sposób, jakgdyby krytą kolumnadą z białych pnii, pod dachem wdzięcznie zwisłych nade drogą gałęzi brzożowych. Mogło się zdawać, że znajdujemy się w jakimś bardzo starannie utrzymanym parku angielskim — i oczy mimowoli oglądały się za palcem właściciela tego cudnego parku.

Według *G. Kennana*.

WYCIECZKA W GÓRY ALTAJSKIE.

Koło stacji Mało-Krasnojarskiej pozostawiliśmy Irtysz po prawej stronie i odtąd jużemy go nie widzieli. Po obiedzie ukazały się pierwsze przedgórza Altaju i droga zaczęła się zwolna wznosić ku stacji Altajskiej. Pod wieczór następnego dnia jechaliśmy już po przewiewnych równinach alpejskich, pokrytych świeżą zielenią, usianych dzwonicami i goździkami, a szczyty gór nad naszymi głowami srebrzyły się spadłym niedawno śniegiem. Przejście nagle z istnej pustyni afrykańskiej nad Irtyszem w tę czarującą okolicę alpejską zupełnie nas oszołomiło. Zapytywałem wciąż sam siebie, czy nie śniła mi się czasami tamta spieczona pustynia lotnych piasków, usiana pobielalimi kośćmi; czy istotnie możliwa jest taka zmiana dekoracji w przeciągu jednej doby? Oczom, znużonym monotonnymi widokami równin, droga ku stacji Altajskiej, wiodąca przez okolice tak malownicze, wydawała się wprost cudowną.

Z lewej strony ciągnął się łańcuch wzgórz, których stoki pokryte były przepyszną roślinnością, a przepływające niebem obłoki rzucały na nie łagodną grę światła i cienia; po prawej stronie stromą ścianą piętrzył się grzbiet górski o śmiałych, przepysznych konturach; wierzchołki gór, sięgające 7—9000 stóp, pokryte były śniegiem i przepasane smugami wiecznie zielonych lasów. Droga przerzynała czarowną dolinę i kryła się w cieniu podwójnego szeregu wielkich sosen; niekiedy przebywaliśmy strumienie górskie, ślicznymi kaskadami spadające po kamieniach i dyszące wonią kwiatów łąki.

Nareszcie o godzinie szóstej po południu przybyliśmy do stacji altajskiej, zwanej po kirgizku: Koton-Karagaj. Był prześliczny, rześwy wieczór letni. Na całe życie pozostanie mi w pamięci widok czarodziejski, który ukazał

się oczom naszym, gdy wyjechaliśmy z owej aromatycznej doliny i minawszy malowniczy obóz różnobarwnych jurt i namiotów kirgizkich, zatrzymaliśmy się u wrót wsi, aby objąć wzrokiem leżącą u stóp naszych panoramę. Nie, widziałem nigdy krainy alpejskiej, która mogłaby się równać z tą pod względem przepychu, wspaniałości i piękna chociaż znałem był przedtym Sierra-Nevadę, grzbiet górski na Nikaragua, Kamczatkę i Kaukaz.

Sama stacja jest forpocztą kozacką i składa się z czerkwi drewnianej i około osiemdziesięciu chat, stojących wzdłuż szerokiej, porządnej drogi; dla podróżnika jednak, który wyszedł cało z niebezpieczeństw, grożących mu na stepach Irtysza, nawet ta mała osada posiada urok niewypowiedziany. Przed każdą chatą zieleni się mały ogródek, gdzie rosną brzozy, topole srebrne i kwitnące krzewy; przez ogródki przechodzą płynące z obu stron drogi chłodne i jak kryształ przejrzyste strumienie; słychać wszędzie szmer i plusk wody; na to jednak, by umieć odpowiednio ocenić tę czarującą muzykę, należy przebyć uprzednio z miesiąc w Saharze rosyjskiej na brzegach Irtysza. Małe rzeczułki górskie, szemrzące i połyskujące na słońcu, zdają się przynosić stamtąd, gdzie leżą ich kolebki, świeżość i ochłodę; termometr może sobie twierdzić, że dzień jest upalny, a powietrze duszne — zdanie jego ustąpić musi wobec plusków fali, opowiadającej o wiecznych śniegach i lodowcach i zwyciężającej rozsądek upajającym powiewem gór.

Przez cały ciąg pobytu na stacji Altajskiej odbywaliśmy z komendantem i jego małżonką wycieczki w góry sąsiednie, zwiedziliśmy i sfotografowaliśmy koczowisko kirgiskie oraz zebraliśmy wiadomości o części wschodniej łańcucha Altajskiego, którąśmy zwiedzić zamierzeli.

Ostatnie sześćdziesiąt wiorst drogi do Alp Katuńskich, najdalszej i najwyższej części Altaju, obfitowały w niezwykle trudy i niebezpieczeństwa, trzeba było przebywać

grzbiety górskie lub zstępować w głębokie kotliny po stromych ścianach, trzymając się biegu rzeczek górskich; przechodziliśmy pokryte lodem polany, brnęliśmy po błotach, przedzierali się przez nieprzebyte gąszcze krzaków i w poprzek leżące, zwalone burzami olbrzymy leśne. Spadek góry był niekiedy tak znaczny, że z trudem można było utrzymać się na siodle. Konie nasze z połowę drogi przebywały jakby pełzając na czworakach, a kamienie, toczone im się z pod kopyt, rozbijały się na kawałki w przepaściach bezdennych; jestem dość doświadczonym wędrowcem po górach, gdyż zwiedziłem konno cały górzysty półwysep Kamezatkę, trzykrotnie przebyłem Kaukaz — raz na wysokości 12.000 stóp, ale muszę wyznać otwarcie, że nieraz, spuszczać się w doliny Rachmanowskiego grzbietu, Białego lub Czarnego Berełu lub Katuni, doznawałem trwogi. Tylko z końmi kirgizkimi możliwym było przedsięwzięcie takiej wyprawy, inne nie byłyby do niej zdolne. Mój wierzchowiec raz jeden potknął się i upadł na ziemię, mnie jednak nic się nie stało.

Miejscowość, jaką przebywaliśmy teraz, ostęp leśny, w który zapuścić odważają się tylko «kirgizi dzikich skał», obfituje we wszelkiego rodzaju zwierzynę; widzieliśmy wilki a nawet świeże ślady niedźwiedzie w wysokiej trawie u stóp gór. Trwożyliśmy sarny i mogliśmy upolować setki kuropatw, cietrzewi, dzikich kaczek i gęsi, orłów i żorawi. Roślinność dolin górskich była też niezwykłe bujna i bogata. Rośnie tu dziko mnóstwo roślin, które u nas udają się tylko przy starannej uprawie. Co zaś do gatunków, to wspaniałością znacznie przewyższają kaukazkie.

Dnia 1-go sierpnia stanęliśmy u stóp ostatniego łańcucha górskiego, dzielącego nas jeszcze od głównego grzbietu Alp Katuńskich. Noc spędziliśmy w wysokiej dolinie górskiej, na brzegu Białego Berełu, który bierze

początek z wielkiego lodowca o parę mil od miejsca naszego popasu. Powietrze było jasne i chłodne; rozpaliliśmy ognisko i spędziliśmy przy nim noc dosyć przyjemną.

Następnego dnia rano wyruszyliśmy na szczyt ostatniego grzbietu górskiego na 2000 stóp wysokiego i stąd rzuciliśmy wzrokiem na pełną dzikiego uroku dolinę Katuni, nad którą wznosi się słup Katuński, najwyższy szczyt Ałtaju rosyjskiego. Byłem oczywiście przygotowany w pewnym stopniu do oczekującego mię widoku, gdyż przedtem już rzucałem przelotne spojrzenia na rysujące się pośród jasnego nieba wierzchołki; lecz widok ich z łączących naprzeciwko wysokości tak dalece przeszedł najśmielsze moje oczekiwania, że w oszołomieniu myśli zebrać nie mogłem. Jedno słowo tylko dziś jeszcze mimowoli z ust mi się wyrwa, gdy przypomnę sobie tę chwilę: «Straszne!» To, com miał wówczas przed oczami, nie było piękne ani malownicze, to było coś niewypowiedziane, niemal demonicznie, straszne. Wązka dolina rzeki Katuni, leżąca prawie u naszych stóp, była na 2 — 3000 stóp głęboka, a po drugiej jej stronie wznosił się w jasne, błękitne niebo śnieżnobiały cypel najwyższego szczytu gór Katuńskich.

Opona śnieżna, pokrywająca cały łańcuch od stóp do wierzchołka, gdzieniegdzie tylko była przerwana czarną przepaścią, skałą stromą lub ostrym szczytem. Ze zboczy spływało siedem olbrzymich lodowców; największy z nich dosięgał 4000 stóp długości. Lodowiec, znajdujący się po prawej stronie, stanowił ścianę lodową, opuszczającą się prostopadle w dół na 1500 stóp; z lewej krawędzi tej ściany rzucał się w głęboką na 800 stóp szczelinę skalną wodospad, z łoskotem gromu roztrącający swe wody o tysiączne występy i załamania, zanim dosięgnął dna szczeliny. Części najwyższe wierzchołków górskich były prawie przez cały czas zakryte obłokami, co jeszcze potęgowało groźną wspaniałość widoku, gdyż lodowce zdawały

się sływać poprzez chmury z jakichś wysokości legiendarnych. Szum wodospadu mieszał się z łoskotem odłamujących się lodów. Oko nie mogło pochwycić wśród nich najmniejszego poruszenia, lecz łoskot nieustanny staczających się brył świadczył o pracy olbrzymich sił przyrody.

Napatrzywszy się dowoli tej przygniatającej panoramie górskiej, obróciliśmy oczy ku dolinie aby się przekonać, czy można zejść do stóp lodowca, z którego bierze początek rzeka Katuń. Towarzysz mój twierdził, że zejście jest niemożliwe i nawet zniecierpliwiał się, gdy nalegałem, aby przewodnik nasz zrobił próbę zejścia. «Widoczne jest przecież — mówił — że zbocze góry prowadzi stromo w przepaść i jeżeli nawet konie potrafiłyby zejść, to w żaden sposób nie wyjdą na górę z powrotem. Niema nawet o czym mówić. Ja jednak powziąłem takie zaufanie do zręczności koni kirgiskich — z tego, com widział przedtym, że chociaż i mnie to zejście wydawało się niebezpiecznym, nie chciałem nawet słyszeć o zaniechaniu swego zamiaru. W trakcie, gdyśmy na ten temat dyskutowali, przewodnik nasz spróbował spór ten rozstrzygnąć w praktyce. Zniknął nam z oczu; niekiedy tylko słychać było kamień, lecący z łoskotem z pod kopyt końskich w przepaść bezdenną; nareszcie kozak ukazał się na występie skały o 600 stóp niżej i z widocznym zadowoleniem krzyknął: «Można schodzić bezpiecznie, tutaj droga szeroka, że i wóz przejedzie». Oczywiście była to hiperbola, podziałała jednak o tyle dobrze, że towarzysz mój wziął konia za uzdę i ostrożnie udał się za mną, podczas gdy ja usiłowałem, o ile możliwości, trzymać się śladów przewodnika. Gdy doszliśmy do skały, na której oczekiwał nas kozak, ten tak silnie zacisnął popregi, że konie aż stęknęły. Mnie wydawało się znacznie bezpieczniej jechać w dół wierzchem, niżeli prowadzić konia za sobą,

gdyż w tym wypadku koń w każdej chwili mógłby albo upaść na mnie albo stracić mi pod nogi kamień, który napewno zepchnąłby mię w przepaść. Pierwsze 400 stóp były bardzo ciężkie. Utrzymanie się w siodle wymagało niesłychanych wysiłków; raz tylko co nie zrobiłem kiziołka przez łeb konia. Wreszcie dosięgliśmy stromego, trawą pokrytego zbocza, podobnego do zbudowanej przez tytanów grobli; z uczuciem przykrym w duszy, lecz bez niebezpieczeństwa zesliśmy z niego w dolinę rzeki Katuni. Im bardziej zbliżaliśmy się do wysokich wierzchołków górskich (zeszedłszy z koni, wstępowaliśmy teraz na główny lodowiec), tym jaśniej okazywało się, jak dalece omyliliśmy się w określeniu odległości oraz wysokości z naszego wyniosłego punktu. Rzeka Katuń, z góry wydająca się wąską, brudnawo-białą wstążką, którą z łatwością przeskoczyć mogłoby małe dziecko, teraz okazała się rzeką, szeroką na 30 — 40 stóp o falach tak rwących i burzliwych, że z łatwością mogłyby unieść konia z jeźdźcem. Główny lodowiec, którego szerokość określałem na 300 metrów, okazał się szerokim więcej niż na 800 metrów.

Według *G. Kennana*.

JEZIORO BAJKAŁ.

Linja Nadbajkalska jest najpiękniejszą częścią drogi Syberyjskiej, piękniejszą i od Uralu, i od Chinganu i nawet od Laoduńskiego półwyspu, gdzie z obu stron linii miga wciąż błękitne morze. Pociąg biegnie z początku samym brzegiem jeziora, i fale jego biją miejscami w nasyp. Bajkał należy do najpiękniejszych może jezior na świecie. Znam go dobrze, gdyż mieszkałem nad nim dość długo. Łączy

on przestwór morza z lekkością i dźwięcznością fali wód słodkich. Ma nieporównane świetlne efekty. To brzegi jego nikną, zamieniając się w cieniuchną, ciemną nitkę, to znów wyrastają niepomiernie, jak mgliste obrazy czar-noksięskiej latarni. Wody jego mają kolor perłowy, który czasami przechodzi w czarny lub błękitny. Dokoła piętrzą się i często stromo spadają do wody kopcowate, le-siste góry.

Modrzew, sosna, cedr, świerk, olcha, brzezina, topola, układają śliczne, pełne najrozmaitszych odcieni wzory w szmaragdowym pokrowcu lasów. Lasy te mają bogate podszycia z leszczyny, z dzikich, czarnych porzeczek, z maliny i innych krzewów o liściach najrozmaitszej bar-wy i kształtu. W lesie nadbajkalskim o wiele weselej niż w tajdze syberyjskiej. Są tu i dzikie, czarne ostępy, zarosłe ogromnemi drzewami, i śliczne polanki z jaskra-wemi kwiatami, i gaje gęstych krzewów liściastych. Wi-dywałem nawet usiane moroszką, «jagielowe» tundry, kie-dy obok kwitną róże, biały powój, fijołki, aromatyczny irys syberyjski i «soranka», pomarańczowy, podarty na strzępy tulipan syberyjski. W zielonej trawie miga jak płomień kwiat, przezywany «gorącym», istny granat Pół-nocy, wcielenie gwałtownej, żywiołowej miłości.

Piękny kwiat, który tryska wprost z łodygi, nie lubi towarzyszków, jakby czując, że samotnie w wilgotnej, so-czystej murawie potężniej nęci i czaruje oczy swą niepo-równaną barwą, przesiąkniętą słońcem i ogniem.

Wiosną, gdy na stokach nadbajkalskich zakwitnie li-ljowo różaniec syberyjski i łuna liljowa pada na wody, świeżo oswobodzone od lodów, gdy ze skał toczą się w dół skwapliwie liczne, spienione wodospady, gdy zielona mgła młodego listowia zawisa wśród konarów, a przez nią prze-gląda wszędzie błękitna toń jeziora, tak tu czarująco, że godzinami siedzieć można w leśnym zaciszu, przyglądając

się zabawom dzikich kaczek lub naradom gromadnie żyjących czarnych bakłanów.

Nad brzegami jeziora rojno, niedźwiedzie licznie je odwiedzają, szukając trupów fok zabitych w czasie zimy, a obecnie wyrzucanych przez fale; przychodzi koza i jeleń szlachetny; dzik z zamarzłych, jeszcze pokrytych



Jezioro Bajkał.

śniegiem górskich ostępów śpieszy na wilgotne wybrzeża. czubate «udody» gęsto latają wśród drzew, zjawiają się cietrzewie, głuszce. Polowanie nad Bajkałem poprostu bajeczne!

Ale bądź co bądź, najpiękniejszym jest samo jezioro, szczególnie w te dni ciche, gdy las w przesianym słońcem ciepłym powietrzu stoi bez ruchu, gdy zamiera na

chwile w rozkosznym omdleniu oczekiwania, a jedynie jezioro sine, śliczne, tknięte daleką burzą, ryczy, pieni się i ciska na nadbrzeżne kamienie. Falując bez wiatru, wydaje się jakąś żywą, potężną istotą, która czuje i myśli, jak my, i jak my, kocha i cierpi.

Podróżnik, jadący koleją nie dojrzy tych wszystkich piękności Bajkału: lasy wzdłuż linii wyrąbane, wypalone, przerzedzone, zwierza i ptactwa niema, widać tylko jezioro w jego wiecznej, niepokalanej piękności. I to wszakże wystarcza, aby otrzymać wrażenia niezwykle, nadprzyrodzone, zwłaszcza gdy z dalekich horyzontów, wywołany szczególną grą światła, wypłynie skalisty Olchon, niby ptak Gandharwu, który skrzydłami sięga wschodu i zachodu. On unosi się nad wodami, oddzielony od nich szlakiem srebrnych mgieł; na wiszarach jego złudnego obrazu, drżącego zlekka, widać wyraźnie każdą rysę, szczelinę, żyłeczkę, krawędź, nawet drzewa i krzewy, chociaż 100 wiorst wodnej równiny oddziela go od widza... lecz oto na słońce napłynęła chmurka, lub lekki powiew wiatru zmaćił kryształową zasłonę i wyspa znika, jak widziadło.

Nie mogę się oderwać od tych wspomnień ślicznych.

W. Sieroszewski

T A J G A.

Wspaniałym bukietem zieloności wznosi się od ziemi las sosnowy. Kędzierzawe korony, nagie pnie czerwone, rozstawione szeroko, niby wzdłuż spacerowej alei, wydają się być zdjęte z obrazu nowoczesnego artysty, tak są same dla siebie pełne podziwu, poważne, wyniosłe i efektowne. Widziałem i w Europie ciemne i posępne ostępy leśne; ale tam ciągną się one na przestrzeni kilku czy kilkudziesięciu wiorst — i po przebyciu ich wychodzi się na

otwarte pole. Wielki pierścień łąk zielonych, uprawnych pól, pastwisk i siedzib ludzkich, zamyka drzemiące lasy i dzikość ich łągodzi. Widziałem lasy południa, pełne blasku, radości i wesela. Wszyscy przywykliśmy uważać las za coś określonego, zamkniętego, otoczonego polami i wsiami, za coś opanowanego przez człowieka.

W tym pojęciu tajga nie jest lasem. Należy sobie uprzytomnić, że ten posępny i zwarty żywioł rozciąga się w dal—do tundry, do mórz — na tysiącówiorstowych przestrzeniach; należy uprzytomnić sobie, że można iść i iść setki wiorst — i nie napotkać człowieka, że w głębinach tej puszczy nie powstała noga ludzka. Wszystko tu mroczne i ponure. Cedry kosmate i posępne, ciemne świerki smukłe piramidy jodeł, chmurnie zadumane modrzewie. Gdziegdzie tylko błysnie biały pień brzozy lub krzywa jarzębina wyciągnie ku światłu gałąź pierzastą, niby dziecko żebracze, z pomiędzy dorosłych wyciągające dłoń biedną po jałmużnę, gdziegdzie zaczął się we wgłębieniu czeremcha zadumana w otoczeniu drobiazgu dzikich porzeczek i jeżyn — i znowu masą nieprzerwaną ciągną się ciemne iglaste konary. Czasami tajga rozstępuje się aby dać przejście rzece lub uczynić miejsce dla siedziby człowieka — i znowu zwiera się ciasnym pierścieniem, zazdrośnie strzegąc swej tajemnicy.

I tajemnicę właśnie wyczuwa się w głębinie tajgi. Zdarzyło mi się raz jechać konno z przewodnikiem przez cały dzień głuchą tajgą. Słońce gasło, z nieba zstępowała biała noc północna, a jej światłość zimna i martwa sączyła się między pnie drzewne. Cisza zupełna, nie widać tu ani nie słychać ptaków, tylko kiedyniekiedy głucho uderzy o korzenie kopyto wierzchowca. Coś zagadkowego, coś groźnie tajemnego było w tej dziwnej, chwiejnej światłości wiosennego zmierzchu, w tych drzewach nieruchomych i milczących, co nas z powagą i surowością obstały. Wydało mi się, że jestem w świątyni mrocz-

nej, gdzie blade światło spływa zwolna poprzez iglaste gałęzie niby przez wązkie ostrołuki okien, gdzie ciężarem kładą się na człowieka mury wysokie i cieniste sklepienia, a surowe linje gmachu strzelają w niebo igłami wieżyc, ciemnymi wierzchołkami jodeł i świerków.

Biała noc rozpostarła się szeroko ponad obszarami tajgi. Aromatyczna woń świerków, cedrów i modrzewich wieje się w powietrzu, głębiną lasu przechodzi głuchy powiew, niby westchnienie.

Przez pewien czas nie zwróciłem uwagi, jak coraz częściej ciężko wzdychała tajga — i zadrżałem. Głośny jęk rozległ się gdzieś w dali, przebiegł wierzchołkami drzew, załopotał nad moją głową i poszedł dalej w głąb tajgi. Głuchy pomruk ozwał się z innej znów strony. Niby olbrzymia orkiestra, strojąca instrumenty, wciąż donośniejsze dźwięki przebiegały po leśnych ostępach; jeszcze tylko najbliższe drzewa stały w milczącym, groźnym spokoju. Ale oto z ciężkim jękiem zakołysał się cedr olbrzymi, zieloną głową panujący ponad tajgą, zawyla burza i zgłuszyła oddzielne dźwięki dzikim rykiem tajgi. Trwoga ścisnęła mi serce. Słyszać, jak gniewnie i ponuro szumią blisko stojące drzewa, ale zapomina się o nich prędko; stamtąd, z głębin puszczy, niby z olbrzymiej paszczy potwora, idzie wciąż ryk głuchy i nieprzerwany — ryk tajgi. Dzień i noc i jeszcze dzień i noc jechałem przed siebie, a tajga wyła wciąż głosem strasznym i złowieszczym, niby ryczący, rozszalały zwierz.

Wysłuchany w tę dziką pieśń, myślałem o człowieku tajgi. Zapuścił się on w głąb tych lasów za zwierzyną, sam, bez rodziny — dobroduszny, o szerokiej naturze przybysz z równin Europy wschodniej. Przyniósł ze sobą swe pieśni, swoje podania i bajki. Ale tajga go zwyciężyła! Staje się milczący i poważny. Tajga oducza go od śmiechu, śpiew nie wrywa mu się z ust — tak dziwny wydałby się pośród martwoty tego pośpnego lasu, i tak

bezsilny wobec śpiewu burzy w tajdze. Nie ogląda już wschodu ani zachodu słońca; światłodajna kula ukazuje mu się z ponad jednej ściany drzew i znika za drugą, również mroczną—to wszystko, co tutaj widzi. Oko jego wszędzie napotyka pnie mchem porośłe i konary iglaste jodeł i świerków, wyobraźnia zacieśnia się coraz bardziej i nie może już wykroczyć poza obręb tego zwartego pierścienia. Milknie pieśń, wystyga tęsknota, gaśnie marzenie. Zacieśniają się dawne wspomnienia, głos nawet zatracą dawny dźwięk. Tajga nie jest dla łowcy świątynią i nie po to przybył on tutaj, by się modlić. Zewsząd czyha nań konieczność walki, walki nieprzerwanej, nieuchronnej; nieubłaganej. Czai się sobol na nieostrożnego ptaszka, ryś krwiożerczy rzuca się z drzewa na idącego jelenia, niedźwiedź miażdży łapą wielkiego łosia, a wszystkie zwierzęta tępi człowiek.

I ten człowiek walczący musi być wciąż na straży, musi wciąż wyteżać oko i słuch, czy gdzie nie zachrząści gałązka pod ciężarem stąpania niedźwiedziego, czy gdzie błękitny grzbiet lisa białego nie błysnie. W miarę, jak zapomina mowy ludzkiej, uczy się człowiek języka zwierząt—rozpoznaje doskonale krzyk ptaków i wycie zwierza, rozumie ich obyczaje i po śladach na śniegu odgadnie, czy przeszedł tędy niedźwiedź zły czy spokojny. W miarę, jak zapomina obyczajów ludzkich, zaczyna żyć według obyczajów zwierzęcych. Jest samotny i na siebie tylko liczyć musi. Cały skupia się w sobie i zamyka, usta jego stają się zacięte, oko nie patrzy otwarcie, ale z podejrzliwością i badawczo. Ręka mu nie zdrzą, twarz nie zblednie, serce nie zabije ze strachu, gdy wśród drzew drogę niespodzianie zastąpi mu niedźwiedź.

Nareszcie myśliwy opuszcza tajgę i naładowany zdobyczą wraca do swego domu, do osady, zamieszkałej przez takich, jak on, łowców. Usta jego nie są już skore do gawędy, nie łatwo przejdzie przez nie słowo serdeczności

i uczucia. Spotyka on tu przyjaciół swoich i sąsiadów, i czuje się nieswój, odwykł od rozmów długich i mówi teraz urywanemi zdaniem, a sąsiedzi, którzy też właśnie powrócili z tajgi, odpowiadają mu podobnie. Ten urywany, zwięzły sposób mówienia charakterystyczny jest wogóle dla mieszkańców tych stron.

Myśliwy niedługo przebywa między swemi, przywyknie nanowu do nich, ale prędko znowu wyruszyć musi w lasy. I za każdą taką wędrówką wciąż głębiej wryje się na nim piętno tajgi. A po jakimś dziesiątku lat będzie go już ciągnęło do tajgi, stanie się jej niewolnikiem, poczuje nad sobą tę jej szczególną władzę, której przemoc wciąż widziałem na tutejszych mieszkańcach, przebywszy tajgę około 3000 wiorst. na włoczęgach tutejszych, na wieśniakach starcach, co nieraz przez rok cały nie wyjeżdżają z tajgi do rodzin, zamieszkałych we wsi. Znałem pewnego kulturalnego człowieka, który całkiem szczerze mówił mi, że nie pojmuje życia bez tajgi.

I syn takiego myśliwca już tylko ze słyszenia wie-dzieć będzie o dawnej swej ojczyźnie. Jeszcze jako młody chłopak wyrusza z ojcem na łowy i tajga kładzie na nim swe piętno niezatarte. A jego potomkowie zapomną zupełnie o pochodzeniu swym i będzie im się zdawało, że ich przodkowie zawsze żyli na Syberji i podbici zostali nigdy przez Jermaka, staną się prawdziwemi «sybirjakami». Tutaj nie człowiek panuje nad przyrodą, ale przyroda nad człowiekiem. Tajga zdaje się jedynie zezwalać na to, aby na jej polanach powstawały miasta, a wsie gnieździły się wzdłuż jarów jej i rzek.

Dziwne wrażenie robią wsie tutejsze. Przedewszystkim rzuca się w oczy zupełny brak pól uprawnych. Do wsi wjeżdża się prawie bezpośrednio z tajgi i przebywszy długą ulicę, znowu ma się tajgę przed sobą. Nie widać śpichrzów ani stodół, niema nawet prawie wcale ogrodów warzywnych. Wszystko to znajduje się gdzieś dalej pośród

tajgi, w odległości często jakich dwudziestu wiorst, gdzie wieśniak przenosi się na czas lata. Wieś, rozciągnięta długą wstęgą po obu stronach drogi, wydaje się ściśnięta wąskimi murami tajgi. jakgdyby lękała się bardziej rozszerzyć, zajrzeć w tę ciemną masę. Na skraju wsi lub pośrodku, zawsze jednak w pewnym odosobnieniu, niby dwór szlachecki, stoi tu etapowe więzienie. Jestto bardzo wielki w porównaniu do reszty budynek drewniany, posiadający rozległe, ostrokołem ogrodzone podwórze.

Na pierwszy rzut oka uderza oryginalny rozwój tych osad, rozsypanych wzdłuż traktu. Pośrodku wsi wznoszą się domy duże, dwupiętrowe albo wydłużone jednopiętrowe, stare, od czasu i deszczów poczerniałe, ze sklepami na dole, niekiedy z murowanymi składami, zawsze z rozległymi, krytymi podwórcami. Wszędzie tutaj widnieje sytość i dostatek. W miarę przybliżania się ku skrajom wsi domy stają się wciąż nowsze, a na końcu przechodzą w niskie chałupy o dwóch lub jednym oknie, a nawet w nędzne lepianki. Mieszkańcy tych domostw są to świeżo wyszli z więzienia etapowego zesłańcy. Z roku na rok przybywa tych domostw zesłańczych, z roku na rok wieś wydłuża się w głąb tajgi. I zdarza się, że wieś taka ciągnie się na długości siedmiu wiorst, a cmentarz, dawniej leżący poza obrębem wsi, obecnie znajduje się w samym jej środku.

Wsie są tutaj ciekawe ze względu na różnorodność zamieszkującej je ludności. Spotykamy tu żydów, cyganów, małorusów, polaków, góralów kaukaskich, Niemców i Rosjan. Różnorodność ta odbija się w sposobie budowania, w ubiorach i języku. Ludzie ci, jak widać, nie żyli się ze sobą, nie złączyli się w jedno społeczeństwo. Każdy żyje swym życiem odrębnym, samoistnym; i ta odrębność odbija się na wyglądzie całej wsi.

Po obu stronach brudnej, rozjeżdżonej szosy wiją się liczne ścieżki, wydeptane w tej obcej ziemi przez przyby-

szów zdaleka. Oto wązkim, daleko rozciągniętym pasmem zaczerniła się wzdłuż drogi partja zesłańców. Powoli snują się aresztanckie, szare kaftany, jękliwie skrzypią wozy, na których jadą kobiety z dziećmi przy piersi. Niewesoło wita tych przybyszów Syberja. Posępne niebo ołowiane nisko zwisło nad głową; deszcz jesienny ostremi igłami siecze twarze i przesycą wilgocią kaftany aresztanckie. Nogi, zakute w kajdany, ciężko stąpają po grzązkim błocie. Po obu stronach suną powoli bagnety konwoju, a po za nimi złowieszczą wyje tajga.

Według *G. Elpatjerskiego*.

TUNDRY.

Na północnej Syberji, wzdłuż wybrzeży oceanu Lodowatego ciągną się szerokim pasem tundry. Południowa granica tego pasa nie jest ściśle określona. Miejscami lasy sięgają daleko na północ w postaci nędznych, pokoszlawionych drzewin, rosnących kępami na miejscach wzniesionych lub na wybrzeżach rzek, wzdłuż których lasy dosięgają niekiedy oceanu. Owemi najdalej ku północy wysuniętymi drzewami są brzozy, jodły, osiny, jarzębina i czeremcha. Jodły mają tu wygląd szczególny i smutny: wierzchołki ich są zupełnie suche i pozbawione gałęzi, a jedynie u podstawy pnia, tuż nad ziemią, gałęzie, przywarłe do gruntu, rozrastają się gęsto i szeroko. Podobne jodły widziałem już na nagich szczytach skalnych Uralu.

Cóż to są tundry? Ogólnie można je określić jako obszary polarne pozbawione szaty leśnej i pokryte głównie mchami i porostami. Obszary te bywają dwóch typów: tundry błotniste i tundry suche.

Tundry błotniste są to kępy torfiaste najróżnorodniejszych kształtów i wielkości, poroździelane pełnemi wody, krętymi zagłębieniami. Zagłębienia te łączą się zazwyczaj z najbliższą rzeką. Brzegi tych kęp torfowych są strome, niekiedy prostopadłe, ich wielkość dosięga dziesięciu sążni w średnicy, powierzchnia zaś nierówna, pokryta jest mchem zielonym, jagodami i inną roślinnością błotną; na pewnej głębokości pod warstwą



Północna granica drzew.

tych roślin leży grunt wiecznie zamrożony. Dlatego droga przez takie tundry jest zupełnie bezpieczna.

Tundry suche pokrywają wzgórza kamieniste lub piaszczyste, występujące gdzieniegdzie pośród równiny. Wzniesienia takie pokryte są całkowicie roślinnością, która się składa z iwy niskopiennej, karłowatej brzozy, mchów i porostów. Zasadniczą barwą tundr suchych jest biaława — nietylko z powodu porostów, lecz także od siwych, mszystych listków iwy, ścielącej się po ziemi. Taką warstwę ciasno splecionych korzonków i gałązek

udaje się niekiedy bez rozerwania znacznemi szmatami zdzierać z granitu, na którym spoczywa.

Smutne jest lato w tundrach. Błota, pagórki szarzielone, nad niemi niebo, zakryte niskimi chmurami, z których wciąż prawie mży drobny deszcz. mgły częste, nieprzeliczone chmary komarów, brzęczących monotonnie w wilgotnym powietrzu, porywy zimnego wiatru, od którego chwieją się niskie gałązki iwy polarnej — oto cechy charakterystyczne tundr; zrzadka tylko, gdzieś na brzegu rzeczki, osłonionym od wiatrów północnych, zdarzają się polanki niewielkie, okryte jasnym kobiercem kwiatów. Rosną na nich te same kwiaty, które turyści alpejscy spotykają na znacznych wysokościach górskich, w pobliżu granicy wiecznych śniegów.

Świat zwierzęcy na tundrach nie przedstawia naturalnie wielkiego urozmaicenia. Jednakże znajdujemy tam olbrzymie stada drobnych gryzoniów, myszy, lemingów, tępionych przez białe sowy polarne; żyją tam też lisy białe, wilki i reny dzikie. Latem zlatują się na tutejsze jeziora nieprzeliczone stada ptactwa wodnego, dzikich kaczek, gęsi edredonowych i t. d. Niektóre drobne ptaki dosięgają w znacznej ilości brzegów oceanu. I całe to ptactwo — oprócz ostrożnych gęsi — nie zwraca żadnej uwagi na człowieka. Jeżeli na kaczkę, płynącą w odległości trzydziestu kroków, rzucić grudką ziemi, to ta bynajmniej nie ucieknie, tylko odpłynąwszy cokolwiek dalej, ze zdziwieniem ogląda się poza siebie.

Jesienią wszystkie ptaki odlatują z tundr. Przez cały rok żyje tam tylko pewien gatunek kuropatwy. Trudno jest wyobrazić sobie stworzenie, lepiej przystosowane do otaczających warunków bytu. Na podobieństwo samych tundr posiada ona dwie postacie, letnią i zimową, z których każda znakomicie zharmonizowana jest pod względem barwy z wyglądem tundry. Przytym w zimie, gdy tak łatwo napozór byłoby jej zginać pośród nieprzejrzaney

śnieżnej przestrzeni, po której szaleją straszliwe zamiecie, kuropatwa czuje się zupełnie dobrze, gdyż z niezwykłą zręcznością i niezwykłym sprytem potrafi ryć w śniegu, jak kret ryje w ziemi, z pod śniegu wyszukuje przemarzłe jagody i w śniegu śpi. Nie zapominajmy, że poza kołem polarnym w środku zimy niema dnia i tylko blaski księżyca oraz wątłe promienie zórz polarnych darzą światłem równinę tundr. Ale kuropatwie wystarcza to skąpe światło, gdyż i tak większą część zimy spędza ona pod śniegiem.

Zdawałoby się, że ta posepna kraina, o której mówią, że Bóg o niej zapomniał, nie może być zamieszkała przez człowieka. Jak może on znaleźć schronienie pośród tych błót, pośród tego zimna, mroku i opuszczenia.

A przecież i w tundrach żyje człowiek. Osiadłej ludności jednak jest tu bardzo niewiele i składa się ona z Rosjan, którzy zamieszkują głównie wybrzeża rzek. Pierwotni zaś mieszkańcy tutejsi, Samojedzi, wiedą żywot koczowniczy. Jest to lud brzydki, odziany w skóry renów, włosem na wierzch, niezwykle brudny, nie myjący się nigdy i nie zmieniający odzienia. Mieszkają Samojedzi w tak zwanych «czumach», to jest szałasach ze skór reniferowych i kory brzozonej, umocowanej na żerdziach. Pośrodku takiego szałasów płonie ognisko, a nad nim wisi kocioł do gotowania żywności. Jedyłą podstawą bytu samojeda jest stado reniferów. Dawniej miał on po kilkadziesiąt sztuk tych zwierząt, dostarczających mu żywności, odzienia i schronienia, teraz jednak, gdy niewielu tylko z pośród Samojedów posiada własne stado, zmienili się oni w nędzarzy i włóczęgów, wlokących nędzne życie w pobliżu osad rosyjskich. Przyczyną takiego zbiednienia Samojedów jest zetknięcie się ich z kupcami rosyjskimi i zyrjańskimi. Nie stosują się oni do istniejącego zakazu, wzbraniającego dowozu wódki do tundr i wzamian za wódkę, mąkę, sól i tytoń zabierają Samojedom wszystko,

co zabrać się daje. Przytym Zyrjanie wdzierają się w tundry ze swemi renami i olbrzymie ich stada niszczą tak cenne dla Samojedów pastwiska. Prawnie tundry należą do samojedów, ale prawo nie określa ściśle ich granic, tak iż Rosjanie bez żadnych ograniczeń zajmują się tu łowieniem ryb, budują domy i trzebią zwierzynę, nie płacąc nikomu dzierżawy, i do roboty najmując samych zbiedniałych panów tundry.

Mieszkanie Samojedą, nawet jeżeli posiada on renifery, jest w najwyższym stopniu opłakane, ale nie do pogardzenia dla podróżnego, który zimą jedzie przez tundry. Mija w drodze dzień, mija noc; zmęczone reny w biegu chwytają w mordy płatki śniegu; zimno przenika do kości, przygnębienie i tęsknota wciska się w duszę. Z zachmurzonego nieba zaledwie przedziera się matowy blask księżyca. Nagle gdzieś w dali pies zaszczekał, potem drugi i trzeci. Podróżny przeciera oczy, ogląda się za schronieniem, gdzieby mógł ogrzać się i wypocząć. Po chwili sianie zatrzymują się przed czumem Samojedą. Kontur stożkowy szałas wyrasta blado z cienia nocy. Z trudem odnalazłszy zawieszzone skórąmi wejście, podróżny wpelza do tego legowiska samojedą — ale zaraz na wstępie uderza go zaduch nie do zniesienia, kłębiące się wewnątrz czumu chmury dymu i nie dający się opisać, niesłychany brud. Powietrze wyżera oczy, zapiera oddech. Nagie dzieci, psy, mężczyźni i kobiety mieszają się w jedną ohydłą masę. Ale podróżny nie ma wyboru, więc musi zająć miejsce pomiędzy niemi — bo za ścianami zimno i zawieja.

Według *S. Miecza*.

WIECZNY LÓD I ŻYCIE W PÓŁNOCNEJ SYBERJI.

Pośród typów geograficznych Syberji zasługuje na szczególną uwagę wieczny lód, występujący w dwóch formach, mianowicie jako grunt zlodowacony (Eisboden) i jako lód gruntowy (Bodeneis, Steineis). Najpółnocniejsze okolice Syberji, jako też Ameryki północnej składają się z tundr, których grunt przez cały rok już w nieznacznej głębokości jest zmarznięty. Prócz tego w dolinach rzek nawet już w obszarze lasów napotyka się często w odtoczysku rzeczonym, mniej lub więcej grube pokłady czystego lodu; masy te powstały z wody rzecznej, która zamarzała w czasie wylewów, a następnie, pokryta podczas nowych wylewów mułem i odtoczyskiem, utrzymała się przez długie lata jako lód «kopalny», «skamieniały». Podobny lód skamieniały i to w wielkich masach występuje w pobliżu dzisiejszych wybrzeży morskich i tutaj odsłonięty przez działanie fal (abrazję) ujawnia się na stromych ścianach wybrzeża. Tym sposobem w wielu miejscach północnej Syberji (a także na północno-zachodnim wybrzeżu Ameryki) strome wybrzeża przedstawiają się niby góry z czystego lodu, pokryte na szczytach osadami ziemnymi.

Najwspanialsze masy tego lodu znalazł Toll i Bunge jeszcze w 1886 r. na wyspie Wielki Lachow. Co się tyczy pochodzenia tych mas lodowych, to Toll doszedł do przekonania, że jest to lodowiec martwy, pozostały z epoki lodowej, «lodowiec kopalny». Początkowo jednak wyjaśnienie to spotykało się z zarzutem: dlaczego niema tutaj baranich łbów (Rundhocker), oszlifowań lodowcowych, moren i głazów eratycznych? Obecnie Toll znalazł na wybrzeżach zatoki Anabarskiej pod warstwą lodu piaszczystą morenę z porysowanymi głazami; zatoka Anabarska ma

wygląd typowego fjordu. Prócz tego ziarnista budowa lodu tak na lądzie, jak i na wyspach, jest dowodem, iż pochodzi on z firnu, nie ze zmarzłej wody (i ten ostatni gatunek lodu znalazł Toll w stanie kopalnym w osadach czwartorzędowych pewnej rzeczki na lądzie).

Wreszcie strome brzegowiska wyspy Wielki Lachow ukazały co następuje: w warstwach słodkowodnych, spoczywających na lodzie i zawierających prócz kości zwierząt kopalnych, skorupy mięczaków, szczątki owadów, liście wierzby, brzozy i t. d., jednym słowem, w warstwach mamutowych sterczały całe drzewa olchy z doskonale zachowanymi liśćmi, a nawet szyszkami. Zjawisko to usuwa wszelką wątpliwość, że tamtejsza flora czwartorzędowa wyrosła na miejscu i dowodzi, że mamut i jego towarzysze mieli dostateczne środki pożywienia, uczy ono wreszcie, że za czasów mamuta granica lasów sięgała nie mniej niż na trzy stopnie szerokości dalej na północ, niż dzisiaj mianowicie do 74^o szer., podczas gdy dzisiaj na sąsiednim lądzie leży ona pod 71^o.

Co się tyczy rzadkości napotykania moren, oraz braku baranich łbów w Syberji arktycznej, wynika to nietylko z silnej denudacji w klimacie arktycznym, ale także i z deflacji (zwiewanie).

Skutki tej ostatniej występują podobnie jak na pustyniach. Prócz tego mechaniczne działanie rzek na obszarze z gruntem wiecznie zmarzłym, odznacza się zupełnie innym charakterem, niż w naszych szerokościach: podczas gdy u nas rzeki wykonywają pracę w kierunku pionowym (erozja), tutaj na gruncie zmarzłym rozlewają szeroko, zmieniają łożyska — jednym słowem, wykonywają pracę w kierunku poziomym (denudacja).

Nie wszyscy jednak zgadzają się na takie wyjaśnienie genezy lodu gruntowego. Początkowo te nadbrzeżne ściany lodowe uważano wprost za powierzchną skorupę lodową, powstałą ze zmarznięcia wody, spływającej po tych

ścianach, ale ten początkowy pogląd został obalony właśnie przez powyższe badania Tolla na wyspie Lachow, gdzie lód ten występuje najbardziej typowo: cała prawie ta wyspa składa się z lodu, tak, iż dośoby było nastąpienia cieplejszego perjodu, ażeby większa część tej wyspy rozplynęła się w masę błota i została przez fale morskie uniesiona. Nawet i obecnie każdego lata wyspa ta traci na obwodzie: skały lodowe są podminowywane przez działanie promieni słonecznych i fale, spoczywające na lodzie masy gliny, utraciwszy podstawę, spadają w morze i są unoszone przez fale. Prawdopodobnie nawet wyspa ta łączyła się niegdyś z lądem, na którego wybrzeżu znajdują się podobne masy lodowe; przez powolne topnienie lodu i działanie fal, wyspa została oderwana od lądu.

Możnaby również mniemać, że ta osobliwa formacja lodowa powstała w taki sam sposób, jak owe wyżej wspomniane pokłady lodu w odtoczysku rzeczonym, tylko na większą skalę, że mianowicie są one zamarznąłą wodą rzek, które rozlewały się szeroko w swych obszarach ujściowych i zamarzały, ale objaśnieniu temu zaprzecza poznana przez Tolla ziarnistość tego lodu, która wskazuje, iż powstał on z przemiany śniegu. Toll, jak widzieliśmy, wywnioskował stąd, że są to szczątki dawnego pokrycia lodowcowego północnej Syberji, oszczędzone przez pokrycie osadami ziemnymi. Odtąd Nordenskjold, syn odkrywcy północno-wschodniego przepływu i sam badacz polarny nie odrzuca wprawdzie zupełnie możliwości takiej genezy lodu gruntowego, ale sądzi, że prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż były to tylko lodowce miejscowe. Przedewszystkiem zwraca on uwagę, że owe resztki lodu lodowcowego występują wszystkie, bądź na wyspach, bądź w zatokach na ujściach rzecznych. Możliwość przypuszczać, że powstały one na miejscu z olbrzymich zasp śnieżnych, ale i to wyjaśnienie nie wydaje się Nordenskjoldowi dostatecznym, gdy chodzi o zjawisko tak rozpowszechnione.

Zamiast tego sądzi on, że śnieg w czasie epoki lodowej nagromadzał się tutaj na mieliźnie nadbrzeżnej przez długie periody czasu i utworzył u wybrzeża taras lodowy, podobny do tych, jakie napotykają się wzdłuż wybrzeży krain polarnych. Punktami oparcia dla takich zlodowaceń bywają skaliste wysepki nadbrzeżne; takie też wysepki tworzą jądra wysp Nowej Syberji. Takie nadbrzeżne zlodowacenie nie mogło daleko rozciągać się we wnętrze kraju, gdyż tam klimat był zbyt suchy, czyli lato zbyt ciepłe, ażeby śnieg mógł tam wytworzyć rozległą pokrywę lodową. Później klimat stał się łagodniejszym i płynące rzeki naniósłły masę odtoczyska i mułu na te nadbrzeżne tarasy lodowe, chroniąc je tym sposobem od stopnienia. Na tych warstwach ziemnych powstała nędzna roślinność podarktyczna, świat zwierzęcy przywędrował tu z południa, aż wreszcie ta flora i fauna wskutek zapewne nowego oziębienia się klimatu wymarła, a siły niszczące fal i słońca pozostawiły tylko nieznaczące szczątki tych nadbrzeżnych pasów lodowych.

Ze związków między przyrodą dalekiej północy i życiem organicznym, Toll podnosi dwa zjawiska, mianowicie: wędrówki i przystosowanie; wreszcie kreśli charakter człowieka w zależności od przyrody.

Z pierwszej kategorii zjawisk przytacza Toll wędrówki lemingów; Lamuci opowiadali Tollowi, że wędrówki te odbywają się perjodycznie co trzy lata, i że w związku z nimi lisy polarne zmieniają też swe siedziby. Jaka może być przyczyna tej perjodycznej wędrówki?

Wszystkie, nieco wynioślejsze miejscowości tundry są przesnute siecią podziemnych kanałów, które służą lemingom za schronienie przed licznymi wrogami, jak ptaki drapieżne i lisy polarne, a nawet niedźwiedzie polarne. Zamiecie zimowe wypełniają te kanały śniegiem, przez

co podczas topnienia śniegów w lecie, następuje takie zburzenie zwierzchniej warstwy gruntu razem z roślinnością, iż miejsca pobytu lemingów czynią w lecie wrażenie pól świeżo zoranych. Naturalnie, że tym sposobem lemingi są zmuszone szukać sobie nowych pastwisk i trzyletni perjod ich wędrówek odpowiada widocznie czasowi zupełnego zniszczenia roślinności, lub jej odnowienia, tak, iż zjawisko to przypomina nieco dawną trzypolową gospodarke.

Drugi przykład wędrówek przedstawiają renifery. Corocznie w lecie wędrują one na wybrzeża morza Lodowego, a część nawet na wyspy Nowej Syberji. Drogi tych wędrówek są dobrze znane miejscowym mieszkańcom; przy przepływanju przez rzeki, jak np. Olenek i ujściowe ramiona Leny, mnóstwo reniferów pada pod dzidami myśliwych, którzy ścigają te zwierzęta na swych lekkich łodziach; prócz tego na drogach lądowych renifery wpadają w zastawiane pułapki.

Te tak ważne dla mieszkańców wędrówki reniferów, są spowodowane przez dokuczliwe owady, które tym sposobem stają się ważnym czynnikiem w ekonomji tutejszej przyrody.

Co do przystosowania, to przykład jego znany już jest z czasu potrzeciorzędowego: długie uwłosienie mamuta i nosorożca, które chroniło te zwierzęta od zimna północy. Znana też jest zmiana uwłosienia i barwy u lisów polarnych, zajęcy i kuropatw z białej barwy zimowej na szarą letnią. Ciekawy jest fakt, obserwowany przez Tolla, że stare samce kuropatwy w lipcu zachowały jeszcze swą białą, zimową szatę, podczas, gdy ojcowie rodzin dwa miesiące przedtem przywdziali już szare ubranie letnie; ostatnich chroni przyroda od zguby, pierwszych zaś jako niepotrzebnych do utrzymania gatunku, oddaje na wolę losów.

Życie człowieka na dalekiej północy znajduje się w ści-

słym związku z perjodycznością wędrówek zwierzęcych: wszyscy mieszkańcy, nie tylko autochtoni, ale i koloniści rosyjscy są wskutek tego nomadami. Hodowcy reniferów wędrują ze swemi stadami na wybrzeże morza Łodowatego, a w czasie wędrówki ryb — na wybrzeża wielkich rzek. W zimie wracają znów do lasów, gdzie znajdują znów schronienie przed grozą śnieżnych zamieci. Tutaj na krańdzi tundry nastawiają pułapki na lisy, lub zajmują się rybołówstwem na jeziorach. Część krajowców, mianowicie Jakuci na delcie Leny, pozostają przez cały rok na tundrze i wiedzą tylko z opowiadań, że dalej na południu znajduje się «stojący las» (bezpośrednio znają tylko drzewo napływowe). Koloniści rosyjscy, nawet księża i urzędnicy, prowadzą tu życie koczujące: w czasie letniego połowu ryb, wsie, jak np. Kozaczije i Bulun stoją całkowicie pustkami, wszyscy mieszkańcy podążyli do znanych miejsc połowu.

Ponieważ krajowcy czerpią swe środki utrzymania głównie z myśliwstwa i poszukiwania kości mamuta, przy czym szczęśliwy wypadek gra rolę ważną, stąd cecha charakteru tutejszego człowieka jest lekkomyślność, skłonność do hazardu i zabobonność (szamanizm). Trudne warunki bytu i liczne niebezpieczeństwa wyrobiły przytym wśród nich wielką solidarność plemienną: dewizą tutejszych mieszkańców jest: «Umrzeć razem, kochając wzajemnie siebie i swój cel».

Według *Tolla i O. Nordenskjölda*.

KWESTJA „PÓŁNOCNO-WSCHODNIEGO PRZEPLÝWU” I ROZWIĄZANIE JEJ PRZEZ NORDENSKJOLDA 1878/9 r.

Synom podbiegunowej Skandynawji, jak przystało na energicznych i zahartowanych normańskich potomków,

przypadł w udziale zaszczyt rozwiązania odwiecznej kwestji geograficznej — kwestji «Północno-wschodniego przepływu», t. j. dostania się przez morze Lodowate wzdłuż północnych wybrzeży Starego Świata na ocean wielki. Od trzech z górą wieków dwa najsłynniejsze narody żeglarskie, Anglicy i Holendrzy, a następnie i Rosjanie, z wielkimi ofiarami ludzi i środków materialnych napróżno kusili się o rozwiązanie tej kwestji; oto krótki historyczny zarys ich usiłowań w tym względzie.

Angielski żeglarz Sebestjan Cabot, odkrywca Labradoru (1497 r.), któremu nie udało się główny cel jego wyprawy: dostanie się na ocean Wielki wzdłuż północnych brzegów Ameryki («Kwestja Północno - zachodniego przepływu»), podał następnie myśl dostania się tam w odwrotnym kierunku, t. j. postawił kwestję «Północno-wschodniego przepływu». Jednakże dopiero w połowie XVI wieku (1553 r.) wysłali Anglicy w tym celu ekspedycję z dwóch okrętów pod wodzą kapitana Willoughby, ale żeglarz ten ujrzał tylko zdalą Nową Ziemię; wstrzymany lodami musiał powrócić i zmarł z całą załogą na brzegu Laplandzkim. Wyprawa ta osiągnęła tylko uboczny rezultat, drugi bowiem okręt pod wodzą Chancellora, oddzielony od pierwszego burzą, został zagnany na morze Białe do ujścia Dźwiny Północnej i dał początek handlowym stosunkom między Anglią i Rosją. Późniejsze wyprawy angielskie odkryły cieśniny: Karskie wrota (między Nową Ziemią i Wajgaczem) i Jugorską (między Wajgaczem i lądem), lecz w dalszej żegludze zostały wstrzymane lodami morza Karskiego, rozciągającego się na wschód tych wysp. Przy końcu XVI-go wieku wystąpili do dzieła Holendrzy: Barents w kilku wyprawach odkrył wyspę Niedźwiedzią oraz Szpicberg i opłynął Nową Ziemię, lecz zmarł na jej wschodnich wybrzeżach (1597 r.). W wieku XVII i następnych przedsiębrali wyprawy prawie wyłącznie Rosjanie. Kiedy bowiem przy końcu XVI

wieku (1580 r.) wódz rozbójniczej watagi Dońskich Kozaków, Jermak, przeszedłszy góry Uralskie, odkrył Sybir, następcy jego już w pierwszej połowie XVII wieku dosięgnęli ujść Oleneka, Leny, Jany, Indigirki, Kołymy i z ujść tych rzek przedsiębrali wyprawy wzdłuż północnych wybrzeży Sybiru. Trzeba podziwiać odwagę i żelazną wytrwałość tych ludzi, którzy obeznani tylko z rzeczyną żegluga, puszczali się w wątych statkach na nieznaną pokryte płynąciami lodami morza. Z wypraw tych najważniejszą była Dieszniewa, który z ujść Kołymy dosięgnął na łodzi ujścia Anadyru, lecz zimując tam, zginął czy z zimna i głodu, czy też w walce z krajowcami.

W XVIII wieku Bering, Duńczyk w służbie rosyjskiej, z rozkazu Piotra W. wypłynął z ujścia rz. Kamczatki i przez cieśninę, która odtąd otrzymała jego nazwę, dostał się na morze Lodowate; ale tutaj udało mu się dopłynąć tylko do przylądka Serdce Kamień. Następnie Łaptiew, wypłynawszy z Jakucka, opłynął przylądek Swiatoj Nos, najdalej na północ wysunięty punkt części wybrzeża Sybiru na wschód od Leny, lecz zamarzył u ujścia Indigirki. Przezimowawszy, popłynął w następnym roku dalej, lecz znowu zamarzył nieco na wschód od ujścia Kołymy (przylądek Bolszoi Baranow) i stąd tylko na saniach udało mu się dosięgnąć ujścia Anadyru. Po nim Szałaurow wypłynął z ujścia Jany; zimował u ujścia Kołymy, następnie u przylądka Szelagskoj, nareszcie udało mu się i ten opłynąć, lecz statek jego został skruszony lodami, a on sam wyratował się wprawdzie na ląd, ale tutaj, wśród bezpłodnych pustyń północy, śmierć położyła kres niezmordowanej działalności tego rosyjskiego Franklina. Równocześnie przedsiębrano wyprawy wzdłuż zachodniej części sybirskiego wybrzeża (na zachód Leny), w obu kierunkach, t. j. od zachodu z Archangielska i od wschodu z ujścia Leny, lecz tu nieprzewycięzoną przeszkodę do opłynięcia przedstawiał, daleko ku północy

wybiegający półwysep Tajmyr między ujściami Jeniseju i Chatangi. Wyprawa Małygina i Skuratowa z Archangielska cieśniną Jugorską dostała się na morze Kurskie, a przezimowawszy na nim, opłynęła półwysep Samojedzki, rozdzielający zatokę Karską od Obskiej i dosięgnęła ujścia Obi ¹⁾). Późniejsze wyprawy z ujścia Obi nie sięgały daleko po za ujście Jeniseju; najdalej dopłynął Sterlegów, mianowicie do przylądka, który od niego otrzymał swą nazwę (75° szer. pn.). Z równoczesnych wypraw od ujścia Leny ku zachodowi najdalej dopłynął Proncziszczew, mianowicie do 77 ¹/₂°; później dopiero i tylko na saniach udało się Czeluskinowi dosięgnąć najdalej, mianowicie najbardziej na północ wysuniętego (blisko 78° szer.) punktu Tajmyrskiego półwyspu i wogóle Starego Świata, t. j. przylądka Północno-Wschodniego (promontorium Tabin Pliniusza), który od niego otrzymał późniejszą nazwę Czeluskin. Przy końcu XVIII i na początku XIX wieku było jeszcze kilka wypraw, a między innymi James Cook, który przepłynął cieśninę Beringa z zamiarem dostania się na północ Ameryki do zatoki Baffińskiej, został zwrócony przez lody ku wybrzeżom Syberji i opłynął je od przylądka Północnego (Irkaipi) do cieśniny Beringa. Potem zaś Wrangiel dosięgnął zatoki Koluczyńskiej, niedaleko przyl. Serdce-Kamień wyprawivszy się na saniach przez psy ciągnionych z ujścia Kołomy. Odtąd aż do nowszych czasów ucichła kwestja Północno - wschodniego przepływu, zaszkodził jej szczególniejszym przyrod-

¹⁾ Przedtym jeszcze dosięgnięto z Archangielska Obi, lecz nie opływając półwyspu Samojedzkiego, tylko przewłócząc czołna przez wązki istm, łączący go ze stałym lądem. Projektowany przez ów istm kanał byłby ważnym dla stosunków europejsko-sybirskich, jednak wyprawy naukowe 1876 r. uznały go za niemożliwy. Później powstał projekt przeprowadzenia tędy kolei żelaznej.

nik Baer, ogłaszając morze Karskie za nieprzebytą «łodownię». Dopiero około 1860 r. połów wielorybów zapędził żeglarzy Norweskich w zachodnią, a Amerykańskich we wschodnią część morza sybirskiego. Pierwsi stwierdzili, że morze Karskie wolne jest od lodów w późne lato, a woda jego jest mało słona; drudzy, że część sybirskiego morza sąsiednia z cieśniną Beringa wolna jest w środku lata i jeden z nich, Long, dopłynął w tej porze aż do południka przylądka Szelagskoj, t. j. najdalej na zachód ze wszystkich dotychczasowych wypraw i odkrył ziemię Wrangla, leżącą na północ przylądka Irkaipi. Sprawozdania norweskich wielorybników stwierdziły późniejsze wyprawy, mianowicie austryjacka (1872—1874), która odkryła ziemię Franciszka Józefa i wyprawa Wigginsa, który, szukając wyprawy austryjackiej, dopłynął (1874) do południka ujścia Piasiny.

Teraz do rozwiązania kwestji przystąpił, znany ze swych poprzednich wypraw polarnych do Szpicbergu i Grenlandji, szwedzki profesor Nordenskjöld. Sprawozdania nowszych żeglarzy zgodne z tym, co Middendorf, badając kraj między Jenisejem i Chatangą, słyszał od pewnego Jakuta, że w początkach sierpnia lody około półwyspu Tajmyr pękają i pędzą ku północy, objaśnił Nordenskjöld wpływem wielkich rzek sybirskich. Rzeki te, sięgające swemi źródłami daleko ku południowi, płynące poczęści przez kraje stepowe z kontynentalnym klimatem, a więc wystawione na wysoką letnią temperaturę, prowadzą do morza sybirskiego masy wysoko ogrzanych wód słodkich; wody te jednak, ogrzewane w lecie z powodu dalekiej drogi, jaką muszą odbywać, dostają się do morza dopiero przy końcu lata. Dalej, wskutek rotacyjnego ruchu ziemi, wody te, dążąc ku północy do coraz wyższych szerokości geograficznych, dostają się do punktów, mających coraz mniejszą chyżość obrotową ku wschodowi, wskutek tego same, posiadając chyżość stosunkowo większą, atakują prawe, to

jest, na ten raz, wschodnie brzegi rzek (prawo Baera), a dostawczy się do morza w późne lato, tworzą prąd słodkich i ciepłych wód ku wschodowi wzdłuż wybrzeży Sybiru, umożliwiając ich opłynięcie. Wprawdzie przyładek Czeluskin z powodu swego bardzo północnego położenia



Nordenskjöld.

i znacznej odległości od ujść Obi i Jeniseju, mógłby wzbudzać obawy, ale wiadomo, że prąd La Platy, która mniej wód prowadzi, niż Ob i Jenisej, widocznym jest jeszcze na 1500 klm. od jej ujścia, t. j. na odległości 3 razy większej, niż od ujść Jeniseju do przyładka Czeluskin. Zresztą panujące w tej okolicy w jesieni wichry półn.-wschodnie

muszą także wpływać na utrzymanie wolnego od lodów kanału wzdłuż wybrzeży półwyspu Tajmyrskiego ¹⁾. Ponieważ dalej, ostatnia z tych rzek (Ob, Jenisej, Chatanga, Anabara, Olenek, Lena, Indigirka), Kołyma, nie sięgająca zbyt daleko ku południowi, ma swoje ujście jeszcze w dość znacznej na zachód odległości od przylądka Szelagskiej, który znów dość znacznie ku północy wybiega, to na wschód tego przylądka wpływ owego ciepłego prądu musi znikać, a stąd żegluga w późne lato musi być trudniejsza niż w środku lata.

Opierając się na powyższych teoretycznych wywodach (których prawdziwość, jak zobaczymy, stwierdzono w czasie podróży w zupełności), Nordenskjöld przyszedł do wniosku, że niepowodzenie dawniejszych wypraw wynikało z obrania niewłaściwego czasu, że mianowicie dla wyprawy od zachodu na wschód wybrać należy czas późniejszy tak jednak, aby jeszcze dość wcześnie przybyć do przylądka Szelagskiej.

Zgodnie z tym wnioskiem Nordenskjöld po odbyciu dwóch przedwstępnych wypraw do ujść Jeniseju (1875, 1876), objął kierownictwo wyprawy w celu rozwiązania kwestji «Północno-wschodniego przepływu». Przeznaczony do tego parowiec «Wega» wypłynął z Gothenburga d. 4 lipca 1878 r. Następnie przyłączyły się do wyprawy parowiec «Lena» przeznaczony do żeglugi w górę rzeki Leny do Jakucka i statki handlowe «Frazer» i «Ekspres» przeznaczone na Jenisej.

Wyprawa opuściła 25 lipca brzegi Norwegji i nie natknawszy ani śladu lodu, dosięgnęła cieśniny Jugorskiej, zatrzymała się dla badań naukowych w sąsiedztwie samo-

¹⁾ Rzeczywiście, ta sama przyczyna, t. j. wiatry północne wiejące wzdłuż wybrzeża Kurlandji, które także ciągną się z po za pół, niszczy zawiązki lodów u tych wybrzeży. Temu zawdzięcza swe znaczenie port Libawski.

jedzkiej wsi Chabarowa naprzeciwko wyspy Wajgacz. Wyspa ta, stanowiąca przedłużenie Uralu (łańcucha Pae Choi), pokryta jest dość bujną trawą i dla tego służy za letnie pastwisko reniferów, które przez Samojedów zapędzane są tam na wiosnę po lodzie, w jesieni zaś wracają na ląd wpław przez cieśninę. Wajgacz jest także miej-



Przylądek Czeluskin.

scem świętym dla Samojedów, do którego odbywają oni pielgrzymki. Na przylądku spadającym ku cieśninie Jugorskiej stromemi, posiadającymi grotty, wapiennymi ścianami, znajduje się wzgórze ofjarne z drewnianymi posągami bogów i mnóstwem kości renów i niedźwiedzi, przynoszonych na ofiarę.

Po przepłynięciu morza Karskiego, gdzie tylko około wyspy Białej na pn. półwyspu Samojedzkiego na-

potkano nieco płynących lodów, wyprawa zawinęła d. 6 sierpnia do portu Dicksona na wschodniej stronie ujścia Jeniseju. «Frazer» i «Ekspres» popłynęły w górę rzeki, a «Wega» i «Lena» zatrzymały się do 10-go dla zdjęcia tego wybornego obszernego i ze wszech stron zasłoniętego portu, któremu Nordenskjöld wróżył znakomitą przyszłość przy rozwoju handlu między Europą i Syberją. Okolica jest skalista, ale obfita w paszę dla reniferów, których też wiele tu napotkano, życie morskie mało rozwinięte z przyczyny małej słoności wody. Po skończeniu roboty wyprawa popłynęła dalej ku północo-zachodowi. Temperatura powietrza przeszło $+10^{\circ}$ C., wody z początku $+10^{\circ}$ potem $+8^{\circ}$, słoność nieznaczna, morze wolne od lodów. Następnie ukazała się mgła tak silna, że czasami tylko za pomocą świstawki oba statki mogły dawać o sobie znać ¹⁾. Po opłynięciu przylądka Sterlegow, najdalszego osiągniętego przedtem przez okręt punktu, który na dawnych mapach zanadto ku wschodowi był wysunięty, podobnie jak i cały półwysep Tajmyr, podróżni napotkali pierwsze lody, lecz bardzo kruche, nie stawiające tamy dalszej żegludze, która wieczorami nie była pozbawiona właściwego polarnym okolicom uroku: «wspaniała to była jazda — mówi porucznik Hovgaard — na południu brzegi Tajmyru jaśniały ognisto-purpurowym blaskiem w promieniach północnego słońca, które wskutek refrakcji wzniesione było wysoko nad horyzontem, podczas gdy lód odbijał się w górnych warstwach powietrza i przybierał fantastyczne kształty». W miarę oddalania się od ujścia Jeniseju temperatura wody zniżała się, a słoność powiększała, fauna

¹⁾ Mgła ta, która ciągle prawie towarzyszyła podróżnym, ma bezwątpienia za przyczynę zetknięcie się ciepłych wód rzecznych z zimnemi morskimi, podobnie jak na wybrzeżach New Foundlandu i Japonji, gdzie także stykają się dwa prądy z różną temperaturą.

i flora morska stawała się bogatsza, wybrzeża zaś przeciwnie przedstawiały pustynię uboższą od Szpicbergu i Nowej Ziemi.

Dla doczekania się pogody wyprawa zarzuciła kotwicę w zatoce, leżącej między półwyspem Tajmyr i wyspą tegoż nazwiska; zatokę tę z powodu pewnego gatunku polipów, znajdujących się w obfitości na jej dnie, nazwał Nordenskjöld portem Aktinja.

Kraj był wolny od śniegu i pokryty szaro-zieloną roślinnością, składającą się z gęstej mieszaniny traw, mchów i innej niższej roślinności, stanowiącej paszę dla reniferów. Jednakże ilość tych ostatnich była bardzo mała, a same one zbyt bojaźliwe, aby mogły stać się zdobyczą myśliwych. Kapitan Johannesen przypisuje to obecności wilków w tej okolicy. Cieśnina, oddzielająca wyspę Tajmyr od lądu, okazała się za płytka, a prąd w niej ku zachodowi za silny, aby «Wega» mogła się przez nią przedostać do zatoki Tajmyr, dzielącej cały półwysep Tajmyr na dwa: zachodni i wschodni (Czeluskin). Dla tego wyprawa zdecydowała się opłynąć na północ wyspy Tajmyr, nie wstrzymując się dłużej w zatoce Aktinja, mimo to, że mgła jeszcze nie ustąpiła. I dobrze uczyniono, że nie tracono czasu, gdyż, jak się później przekonał Nordenskjöld, na pogodę trzeba było czekać aż do pokrycia morza lodami. Obecnie lód wciąż jeszcze był bardzo słaby i płynął w małych kawałkach tak, iż rzadko można było spotkać krę mogącą dwóch ludzi utrzymać. Zatoka Tajmyr była wolna od lodu. Następnie, płynąc wśród ciągłej mgły wzdłuż zachodnich brzegów Wschodnio-Tajmyrskiego półwyspu, podróżni 19-go sierpnia dosięgnęli pierwszego celu swej wyprawy, najpółnocniejszego krańca Starego Świata, azjatyckiego «non plus ultra», przyładka Czeluskin, który powitali wystrzałami. Pogoda rozjaśniła się i podróżni ujrzeli przechadzającego się na przyładku jedynego mieszkańca tych pustkowi, niedźwiedzia polarnego; ten

z początku zatrzymał się zdziwiony, że jacyś nieproszeni goście poważyli się zakłócać spokój tej krainy, której dotąd on sam był wszechwładnym panem, ale przestraszony wystrzałami uszedł przed kulami myśliwców. Wyprawa zatrzymała się tutaj dla badań przyrodniczych i oznaczeń astronomicznych. Przyładek Czeluskin przedstawia nizki język ziemi, podzielony na dwie części przez zatokę, w której statki zarzuciły kotwice, wschodni cypel sięga dalej na północ, mianowicie do $77^{\circ} 41'$ szer. pn., a $134^{\circ} 1'$ wsch. dług. Nizkie wzgórza, ciągnące się na nim, podnoszą się dalej wewnątrz ładu. Kraj jest wolny od śniegu, wyjąwszy wązkie zagłębienia, i ma podobny charakter, jak miejscowość powyżej opisana z ubogą fauną i florą. Z morza przeciwnie wydobyto wiele niższych zwierząt, z których pewien gatunek żyje dotąd w morzu Bałtyckim i jeziorach Szwedzkich, co może służyć za dowód, że w epoce lodowej morze Bałtyckie łączyło się z Lodowatym. Po za przyładkiem Czeluskin morze z początku było wolne od lodów, dla tego wyprawa skierowała się wprost na wschód, nie trzymając się wybrzeży, z zamiarem zbadania, czy między Nową Ziemią i wyspami Nowej Syberji niema jeszcze jakich wysp, lecz wkrótce znaczniejsze i zbitsze, niż dotąd pola lodowe przy silnej mgle zmusiły wyprawę zwrócić się na południe i płynąć wzdłuż wschodnich wybrzeży Wschodnio-Tajmyrskiego półwyspu, w tych miejscach, gdzie na dawnych mapach oznaczony był ład. Pogoda się wyjaśniła i podróżni mogli spostrzec na wybrzeżu piramidalne szczyty gór, które dalej wewnątrz kraju podnosiły się przynajmniej na $2000'$ — $3000'$. Obfitującą w alki wyspę Preobrażenskiej Ostrow u ujścia Chatangi znaleźli podróżni również bardziej ku zachodowi ($o 4^{\circ}$), niż na dawnych mapach. Stąd aż do ujścia Leny brzeg płaski, morze płytkie, ale wolne od lodów.

Podczas przebywania całej tej drogi robiono ściśle obserwacje nad wodą morską. Okazało się, że gdy na głę-

bokości poniżej 30 metrów temperatura wody była ujemna i gęstość prawidłowa (1·027), na powierzchni temperatura była zmienna: u ujścia Jeniseju $+10^{\circ}$ C., następnie coraz niższa aż do ujścia Chatangi, gdzie znów się podniosła do $+4^{\circ}$ C. i chwiejąc się dalej ku Lenie, dochodziła blisko $+6^{\circ}$ C. Gęstość nie przenosiła nigdy 1·023, a często spadała do 1·01, a nawet niżej. Tak więc bezpośrednie obserwacje w zupełności stwierdziły przypuszczenie Nordenskjolda, że wzdłuż wybrzeży Sybiru płynie prąd ciepłej rzecznej wody i uwalnia morze od lodów.

Dnia 27 sierpnia wyprawa przybyła do ujścia Leny. Szeroko rozgałęziona delta tej rzeki leży prawie we środku północnego wybrzeża Azji w równym prawie oddaleniu od cieśniny Jugorskiej i Beringa. Jednak charakter wybrzeży po obu stronach jest różny. Zachodnie sięga prawie do 78° szer. pn., t. j. do szerokości, w której można się spodziewać nieprzebytych lodów. Wschodnie skłania się coraz bardziej ku południowi, tak, iż cieśnina Beringa sięga w strefę umiarkowaną. Zachodnie wybrzeże pokrywają bezleśne tundry, na wschodnim granica lasów dosięga miejscami morza. Wzdłuż wschodniego wybrzeża liczne były wyprawy, a pierwsza z nich już przeszło 200 lat temu dopłynęła do cieśniny Beringa. Wzdłuż zachodniego były mniej liczne i dopiero wyprawa Nordenskjolda opłynęła je całe. Zachodnie wybrzeże fałszywie było na dawnych mapach oznaczone, wschodnie prawie zupełnie dobrze. Zachodnie wybrzeże jest odkryte na lody morza polarnego. Wschodnie zakryte archipelagiem Nowej Syberji i krajem Wrangla. Zdawałoby się więc, że z dosięgnięciem ujścia Leny skończą się wszystkie trudności. Przypomniawszy sobie jednak teoretyczne wywody Nordenskjolda o ciepłym prądzie wzdłuż wybrzeży, zrozumieemy łatwo, że na tej przestrzeni właśnie rozpoczną się trudności i głównie na wschód ujścia Kołomy. Obawy,

jakie w tym względzie wyraził Nordenskjöld, niestety, sprawdziły się.

Przy ujściu Leny, oba statki, składające wyprawę, rozdzieliły się: «Lena» popłynęła w górę rzeki do Jakucka, «Wega» zaś dalej na wschód ku wyspom Nowej Syberji, bogatym w kości mamuta, po które przemysłowcy udają się na te wyspy w zimie saniami, aby nazbierawszy kości przez lato na jesień powrócić. Podróżni dosięgnęli najpołudniowszej z tych wysp, Liachowskij, lecz nie mogli na niej wylądować z powodu płytkości morza, a szalupy obawiano się spuszczać z powodu lodów. Zbadanie tych wysp miałoby, według Nordenskjölda, ważne znaczenie dla rozwiązania niektórych kwestji geologicznych, jak rozkładu ładu w epoce trzeciorzędowej, możliwości życia przodków indyjskiego słonia w lodowych okolicach Sybiru i t. d. ¹⁾. Cieśnina między wyspą Liachowskij i lądem ma tylko 30 mil morskich, w tym punkcie bowiem wschodnia część sybirskiego wybrzeża sięga najbardziej na północ (pomijając samo ujście Leny) tępym półwyspem między ujściami Jany i Indigirki. Półwysep ten kończy się wąską kosą, zwaną Światoj Nos; jest to nazwa wspólna wielu przylądkom północnego wybrzeża Rosji, przedstawiającym niebezpieczeństwo dla żeglugi. Światoj Nos uważany był za «non plus ultra» tego wybrzeża nawet przez tak nieustraszonego żeglarza, jak Łaptiew, który go zresztą później opłynął. Nordenskjöld zaś znalazł tu morze wolne od lodów 31 sierpnia, a temperaturę mało słonej wody + 4° C. Dopiero 3 września przy wyspach Niedźwiedzich naprzeciwko ujścia Kołymy spotkała podróżnych zawieja śnieżna, a kanał wolny od lodu znacznie węższy. Za przylądkiem Szelagskoj warunki żeglugi znacznie się pogorszyły: noce stały się nadzwyczaj ciemne, kanał nadbrzeżny coraz węższy i płytszy, podróżni

¹⁾ Badania te przeprowadziła późniejsza wyprawa Tolla.

zmuszeni byli płynąć koło samego brzegu, narażając się, że osiadą na mieliźnie. Za ledwie «Wega» zbliżyła się do brzegu, gdy przybyły dwie łodzie z Czukczami; były to pierwsze istoty ludzkie, jakie podróżni od wyjazdu z Chabarowa nad cieśniną Jugorską napotkali. W dalszej podróży zaskoczyła podróżnych silna mgła i tak liczne lody, że musieli się zatrzymać. Przybyli na pokład krajowcy zaprosili ich na ląd. Wzdłuż brzegu ciągną się tutaj laguny, a na kosach, oddzielających je od morza, leżą namioty Czukczów ze skór reniferowych, ogrzewane lampami tranowemi.

Czukeze, jak wiadomo, zamieszkują północno-wschodni róg Starego świata, na wschód od przylądka Szelagskoj. Dzielą się oni na Czukczów pasterskich (Rea Czukeze), zamieszkujących wewnątrz półwyspu i zajmujących się chowem reniferów i na nadbrzeżnych czyli rybackich Czukczów (Namollo). Z temi ostatniemi właśnie zetknęli się nasi podróżni. Czukeze nie znają żadnego europejskiego języka, dla tego, aby się z niemi porozumieć, musiano uczyć się ich języka.

«Byliśmy — mówi Nordenskjöld — gościnnie przyjęci. Czukeze ofiarowali nam wszystko, co tylko posiadali. W jednym namiocie ugotowano mięso renifera w żelaznym garnku, w drugim patroszono świeżo zabite renifery, w trzecim kobieta zajęta była wydobywaniem z brzucha reniferowego zielonej zawartości, podobnej do szpinaku i napychaniem jej do worka z psa morskiego, aby zachować ją jako jarzynę na zapas zimowy (podobnej jarzyny używają także i Eskimosi w Grenlandji). Prócz tej jarzyny Czukeze dla zadośćuczynienia potrzebie pokarmów roślinnych zbierają liście, pączki i korzonki niektórych roślin. Wory z psów morskich, nie przepuszczające ani wody ani powietrza, służą także do przechowywania tranu (jak na Kaukazie skóry kozie do wina). Wory te składają się z całej skóry, wyjąwszy głowy odciętej u szyi.

Przy użyciu do zachowania płynów worek zawiązuje się u szyi jak również u innych otworów w skórze, przyczym wypust z rurki drewnianej lub kościanej umieszczony jest w przedniej nodze. Przed jednym z namiotów leżały dwie świeże głowy konia morskiego z wielkimi wspaniałymi zębami. Dzieci znajdowały się w znacznej liczbie; są one łagodnie traktowane i wyglądają zdrowo. Często tak mężczyźni jak kobiety noszą je na plecach opakowane w skóry, w namiocie zaś są zupełnie nago, a nawet można je widzieć biegające boso po śniegu.

Po powrocie na okręt podróżni popłynęli dalej, lecz znów byli wstrzymani przez mgły i znów robili wycieczki na ląd. Brzeg składa się z pokładów piasku i gliny, które, jak się zdaje, niedawno wzniosły się nad powierzchnię morza. Godnym jest uwagi zupełny brak kamieni erratycznych, stanowiących tak charakterystyczną cechę równin północnej Ameryki i Europy. Brak ten nasunął wniosek, że na północ Sybiru niema takiego kraju lodowców, jak Grenlandja.

Przybycie naszych podróżnych na te brzegi było niezwykłym zjawiskiem dla krajowców, którzy też licznie odwiedzali pokład «Wegi». Nadbrzeżni Czukcze bardziej zbliżają się do Eskimów niż do Rea Czukczów, z którymi wogóle mało mają wspólnego. Szczególniej uderzającym jest podobieństwo sprzętów domowych u Czukczów i Grenlandczyków. Pieniądze nie mają u nich wartości, chyba jako ozdoby na kolczyki. W handlu zamiennym szczególnie poszukiwane są przez nich igły, szpilki, noże, siekiery, piły, świdry i inne rzeczy z żelaza; płócienne i wełniane koszule — szczególnie jaskrawych barw. Za tytoń i wódkę oddaliby wszystko. Tego ostatniego artykułu Nordenskjöld z zasady nie używał w handlu, ale amerykańscy handlarze, przybywający w lecie na statkach, dostarczają go krajowcom obficie. Czukcze żyją częścią z rybołówstwa, częścią z handlu, w którym pośredniczą

między Ameryką i Syberją. Między innemi pośredniczą w handlu skórami bobrowemi, które pochodzą z Ameryki, gdzie jedną skórę można dostać za zwitek tytoniu; ale przechodząc z rąk do rąk, skóry te, zanim dostaną się na jarmark Irbicki, niesłychanie rosną w cenie. Głównym rynkiem dla handlu zamiennego między Syberją i Ameryką jest wyspa Ilir w cieśninie Beringa, dokąd Czukcze udają się w swych łodziach ¹⁾. Tytoń u Czukczów jest w ogólnym użyciu tak u mężczyzn, jak i u kobiet. Pałą z właściwych fajek, które mężczyźni wraz z kapiuchem i krzesiwkiem noszą zawsze przy sobie. Prócz tytoniu używają także do palenia pewnego surrogatu. Krzesiwko składa się ze stali, agatu i hubki; ta ostatnia jest inna, niż używana u nas i składa się z plecionki z przeżutych włókien drzewnych. Żują także tytoń i jego surrogat. Soli nie używają, cukier bardzo lubią.

Niektórzy noszą amulety na szyi, których nie zamieniają; jeden miał na szyi krzyż grecki; osobnik ten był zapewne ochrzczony, ale nie miał o tem widocznie zbyt jasnego pojęcia, bo żegnał się bardzo gorliwie przed słońcem. Ubranie mężczyzn składa się z jednej lub kilku sukni ze skór reniferów, podobnie jak u Lapończyków. W czasie niepogody noszą koszule z jelit lub bawełniane zwane «kaliko». Na głowie noszą czapki ozdobione perłami, w zimie nakrywają głowę rodzajem kaptura z długowłosej skóry. Obuwie składa się z mokkasinów z podszwami ze skór psów morskich lub niedźwiedzi. Kobiety noszą suknię z szerokimi rękawami, u dołu zeszytą tak, iż tworzy obszerne pantalony, sięgające do kolan;

¹⁾ Nabyte tam futra wiozą Czukcze w zimie na saniach, przez psy lub renifery ciągnionych, na jarmark do miasteczka Ostrownoje na wyspie Aniuju (dopływ Kołymy) i prowadzą tam handel jak najswobodniej pod gołym niebem przy temperaturze przenoszącej nieraz —40° C.

na to w zimie nakładają zwierzchnie ubranie podobne do męskiego. W namiocie kobiety, wyjąwszy wążką przepaskę, chodzą zupełnie nago. Nordenskjöld objaśnia to wspomnieniem owych czasów, gdy Czukcze zamieszkiwali łagodniejszą strefę ¹⁾. Kobiety noszą długie włosy rozdzielone i splecione. Mężczyźni gołą lub krótko strzygą głowy, zostawiając tylko na brzegu na cal długie włosy, które naczესują na czoło. Zwyczaj ten istniał przed 200 laty u Indian Ameryki Północnej, tak, iż znakomity misjonarz Hennepin tym sposobem przypodchlebiał się kobietom indyjskim i dostawał od nich jeść, że golił dzieciom głowy. Mężczyźni noszą perły i inne ozdoby w uszach. Kobiety i mężczyźni tatuują się na twarzy namalowanymi kreskami. Nordenskjöld zebrał wiele ubiorów, narzędzi, sprzętów i broni Czukczów, robił spostrzeżenia nad zwyczajami i obyczajami tego ludu, który żyje dotąd w epoce kamienia, a osiadły na drodze między Azją i Ameryką, nosi cechy tak Mongołów, jako też Eskimów i Indian amerykańskich.

Dnia 10 września podróżni popłynęli dalej, lecz żegluga stawała się coraz trudniejsza: wązki kanał nadbrzeżny w wielu miejscach był zagrodzony wpoprzek pasami lodu, przez które trzeba było siekierami wyrąbywać dalszą drogę. Około przylądka Irkaiipi (niewłaściwie Siemiernyj, t. j. Północny) lody zatrzymały ich przez dni kilka. Tu znów zetknęli się z Czukczami i napotkali ślady mieszkań ludu Onkilon, który, według podań Czuk-

¹⁾ Sądzymy jednak, iż dla objaśnienia tego zwyczaju, wspólnego wielu narodom podbiegunowym, nie potrzeba uciekać się do takich ryzykownych przypuszczeń. Prościej tłumaczy się to znacznym gorącym, rozwijającym się w namiotach ludów podbiegunowych od lamp tranowych. Wszakże i my w bardzo ciepłym pokoju, gdy tylko możemy, zrzucamy z siebie nieraz wierzchnie ubranie bez uciekania się do jakichbądź wspomnień.



Przylądek Wschodni.

czów, został przed kilku wiekami wyparty stąd na wyspy morza polarnego. Dnia 18 września «Wega» popłynęła dalej, walcząc zwycięsko z lodami aż do dnia 28, gdy temperatura spadła niżej zera i utworzył się nowy lód, który tak silnie spoił pływające pola lodowe, że niepodobieństwem było płynąć dalej. Jedna godzina jazdy dzieliła «Wegę» od otwartych wód i gdyby była dosięgnęła do tego punktu o jeden dzień wcześniej, to byłaby jeszcze tego samego lata dopięła celu. Lecz temperatura ciągle się zniżała, lody grubiały i «Wega» musiała się zdecydować na przezimowanie. Było to około przylądka Serdecz-Kamień na wschód zatoki Koluczińskaja w sąsiedztwie czukockiej wsi Iintlen pod 67°07' szer. pn. i 173°15' zach. długi. od Greenw., 200 klm. od cieśniny Beringa. Zimowanie to jednak nie było połączone z takimi przykrościami i niebezpieczeństwami, jak w dawniejszych podróżach podbiegunowych, kiedy nieraz wszyscy z zimna, głodu i szkorbutu wymierali. Nasi podróżni byli we wszystko doskonale zaopatrzeni, nie stracili ani jednego człowieka, a nawet wesoło obchodzili wigilię Bożego Narodzenia, ani myśląc o tem, że na dworze było —35° C. Zajmowali się także obserwacjami magnetycznymi w zbudowanym na ten cel domku z lodu na wybrzeżu. Najniższa temperatura, jaką obserwowano, dochodziła w styczniu do —46° C. Zimowanie trwało 9 miesięcy i 20 dni; dnia 18 lipca 1879 r. «Wega», uwolniona od lodów popłynęła dalej, opłynęła przylądek Wschodni, odwiedziła oba brzegi cieśniny Beringa, a 2 września przybyła do Jokohamy, skąd telegram oznajmił całemu cywilizowanemu światu o szczęśliwym rozwiązaniu kwestji «Północno-wschodniego Przepływu».

Rzeczywiście bowiem, jakkolwiek «Wega» zmuszona była przezimować i dopiero na drugie lato dostała się na ocean Wielki, to jednak kwestję «Północno-wschodniego Przepływu» można uważać za rozwiązaną nietylko dla

tego, że do punktu, w którym «Wega» zamarzła, dopływają ze wschodu amerykańscy wielorybnicy, ale głównie dla tego, że gdyby «Wega» była zaoszczędziła tylko jeden dzień na którymkolwiek przystanku, to jeszcze tegoż samego lata byłaby dosięgnęła celu. Co się zaś tycze praktycznego rezultatu z rozwiązania tej kwestji, t. j. czy między Europą i wybrzeżami oceanu Wielkiego będzie można zaprowadzić stałą żeglugę w celach handlowych, to inne pytanie, na które odpowiedź dotąd jest wątpliwa. Zważywszy bowiem na znaną niestałość stosunków lodowych na morzach polarnych, zważywszy, że, pomijając już dawniejsze wyprawy od strony cieśniny Beringa, wyprawa rosyjskiego porucznika Onacewicza w r. 1876 przedsięwzięta od tej strony w najodpowiedniejszej porze, bo w lipcu, została wstrzymana przez masy lodów na południku przyładka Irkaipi, nasuwa się myśl, czy czasem przepłynięcie z zachodu po za ten południk nie zawdzięczał Nordenskjöld wyjątkowo sprzyjającym stosunkom lodowym owego lata. Trzeba przytem zauważyć, że żegluga ze wschodu na zachód więcej ma szans, bo łączy korzystniejsze warunki wcześniejszej pory we wschodniej części morza z korzystniejszymi warunkami późniejszej pory w zachodniej części. Zresztą niepodobna zaprzeczyć, że przy tychże samych okolicznościach późniejsze wyprawy, jako zubożone doświadczeniem poprzednich, i mogące rozporządzać doskonalszymi środkami technicznymi (większa szybkość żeglugi, łamanie lodów) muszą być łatwiejsze.

Dalej, prócz zdobyczy naukowych, jako to: w kartografji, hydrografji, meteorologji, zoologji, botanice oraz etnografji Czukczów, wyprawa Nordenskjölda wraz z jego poprzedniami do ujść Obi i Jeniseju, przyniosła jedną najważniejszą praktyczną korzyść: otwarcie drogi handlowej z Europy północnej do wnętrza Syberji za pośrednictwem wielkich jej rzek, Obi, Jeniseju i Leny, sięgających aż do granic Chin. Teraz już dzięki Nordenskjöldowi nie «da-

remnie poić one będą swemi obfitemi wodami niegościnnie równiny północy» ¹⁾).

W. N.

Z PODRÓŻY DO KRAJU CZUKCZÓW.

Ku końcowi kwietnia przygotowania do podróży były ukończone; sanki wyreparowane, psy dobrze odżywione, ale jeszcze cały tydzień zamieć śnieżna zatrzymała nas na miejscu (Marinskij Post). Dopiero wieczorem 5-go maja mogliśmy rozpocząć naszą podróż na północ wzdłuż wybrzeża morza Beringa.

Jak zwykle w takich podróżach w początku wszystko się nie darzy: okazuje się wkrótce, że sanie są niedobrze naładowane, że psy nie pasują do siebie, że płozy u sań nie są dość wyostrzone — co chwila trzeba się zatrzymywać, by to lub owo poprawić. Wreszcie nie było rady i już po kilku godzinach jazdy trzeba było się zatrzymać na nocleg. Pomimo, że towarzyszący nam krajowcy byli wszyscy jeszcze pijani po uczcie pożegnalnej, to jednak udało im się jakoś przeładowanie sani i wczesnym raniem puściliśmy się szczęśliwie w dalszą drogę na północ.

Sanie i psy są to w tych okolicach dwie rzeczy nieodzowne dla komunikacji. Sanie sybirskie, lub jak je tu nazywają narty, są niezmiernie wąskie i długie: mierzą 50 centymetrów na szerokość, a 2 m. na długość. Ażeby drzewo do budowy nart było twarde, nie pękało, wkłada się je najprzód do wrzącej wody, a następnie pod lód do wody płynącej, gdzie trzymane jest przez miesiąc lub

¹⁾ Zresztą dotąd te stosunki żeglarskie odbywały się bardzo efemerycznie, a wybudowanie kolei transsyberyjskiej uczyniło im wielką konkurencję.

dłużej. Gdy tu już dość wodą nasiąknie, wyjmuje się je przy silnym mrozie. Wówczas płozy są zupełnie gładkie i twarde, prawie jak żelazo. Gwoździe i wogóle żelazo nie wchodzi zupełnie w skład nart; wszystkie części są powiązane i umocnione rzemieniami, tak, iż przy każdym szybszym ruchu lub zwrocie sań, ich części składowe gną się i przystosowują. Ta elastyczność w budowie nart jest bardzo ważna, gdyż chroni je od zgruchotania na złych, nierównych drogach. W miejsce żelaznych podkuć na płozach, jak to u nas bywa w użyciu, tutaj używana jest tak zwana «wojda», t. j. polewanie dolnej powierzchni płóz wodą podczas silnego mrozu; woda zamarza momentalnie, tworzy zupełnie gładką skorupę lodową, która tak spaja się z drzewem, że przy trwałości mrozu i jakotako dobrej drodze wystarcza na pół dnia podróży; w przeciwnym razie trzeba wojdę kilka razy na dzień powtarzać. Na wiosnę, gdy mrozy są niewielkie i wojda źle się trzyma, używa się pod płozy kości wielorybów, zwykle części dolnych szczęk, co pozwala na długą jazdę nawet po kamieniach. Ładunek umieszcza się na płaskich saniach, nakrywa skórą reniferową, następnie zapomocą rzemieni wszystko się silnie obwiązuje, tak, że nic nie wypadnie nawet w razie wywrócenia się sań. Do wielkich nart zaprzęzonych w 14 psów potrzeba około 220 m. rzemienia, w co wchodzi już zarówno opakowanie jak i uprząż.

Powodzenie dalekiej podróży zależy całkowicie od dobrego wyboru i odpowiedniego przygotowania psów. Muszą mianowicie w tym celu być wybrane tylko takie psy, które są już do siebie przyzwyczajone, to jest odbywały już ze sobą krótsze podróże. Psy przeznaczone do dalekiej podróży muszą poprzednio pewien czas wypocząć i dobrze się odżywiać. Za nastaniem zimy, gdy psy, które przez lato używały swobody, mają być znów użyte do roboty, muszą w tym celu być odpowiednio przygotowane. Na kilka tygodni przed pierwszą znaczną podróżą, psy,

nazbyt stłuszciałe przez lato, otrzymują teraz mniejsze porcje, aby gębczasty tłuszcz zmienił się im w twarde mięso. Podczas tej diety wykonywuje się z niemi małe wycieczki o dziesięć, najwyżej trzydzieści wiorst, przyczym co trzy lub cztery wiorsty następuje odpoczynek. Po takim trenningu można już bez szkody dla zwierząt robić sto pięćdziesiąt km. dziennie, wyjąwszy bardzo długotrwałe podróże przy silnych mrozach, gdy dni podróży muszą być skracane.

Podczas podróży psy są karmione tylko raz na 24 godziny, przyczym każdy dostaje tylko jedną suszoną rybę. W długiej podróży i przy złych drogach robią się psom rany na łapach; łapy się krwawią i puchną, psy stają się niezdatne do drogi; trzeba nieraz miesiąca i więcej, by taki pies wydobrzeł. Dlatego przewodnicy biorą ze sobą małe trzewiki, które przy silnych mrozach lub złej drodze wkładają psom na łapy. Na noc trzewiki są zdejmowane, albowiem pot zwierząt zaraz zamarza i łapy łatwo ulegają odmrożeniu. W nocy psy stają się bardzo leniwe, zwijają się w kłębek, zakrywają pyski ogonami i nie ruszą się z miejsca póki ich nie zawołać; nie poruszy ich ani śnieżycy, ani burza; zdarza się często, że śpiące psy, zasypane śniegiem, duszą się. Dlatego przewodnik podczas nocnej zamieci wstaje po wielekroć, aby zawołać psy i zmusić je tym sposobem do strząśnięcia śniegu.

Zaprzęg składa się z 13 do 14 psów, które parami przywiązane są do rzemienia, długiego na 8 metrów. Uprzeż jest lekka, prosta i łatwa do zdjęcia. Psy nie są połączone z woźnicą cugłami, kierowanie odbywa się tylko zapomocą wołania; ponieważ psy te są dość dzikie, więc często w zaprzęg taki wkrada się zamęt. Przedewszystkim bieg sani jest zależny od dwóch psów, biegnących na przedzie, które są najlepiej wytresowane i pod wielu względami różnią się od pozostałych; są one sil-

niejsze, rozumniejsze i bardziej posłuszne od pozostałych. Te psy dźwigają na sobie całą odpowiedzialność: powinny one podczas jazdy zachowywać możliwie prosty kierunek i nie dać się niczym zbić z tropu, a przedewszystkiem obowiązkiem ich jest powstrzymywać inne psy od dawania folgi swym zachciankom. Psy sybirskie posiadają doskonały węch, zwietrzą zwierza na kilometrowej odległości. Wszystko, co się tylko porusza, podnieca ich dzikie instynkta. Rzucają się one na wszystko, jak wilki; nie nie pomogą wrzaski i kłątwy woźnicy — i tylko psy przodowe, gdy utrzymują uparcie pierwotny kierunek, są w stanie powstrzymać pozostałe psy od wybryków. Woźnica siedzi z boku na saniach, gotów zawsze do zeskokczenia, jedną ręką trzyma się sani, a w drugiej trzyma kij przesłó na metr długi, zakończony ostrzem żelaznym. Ten gruby kij jest głównym narzędziem kierowania: przy jego pomocy chroni on sanie od wywrotu, hamuje pęd, wbijając go w śnieg między płozami i przyciągając mocno do siebie. Dobry woźnica czyli przewodnik (kajim) musi być bardzo zręczny, przy złej drodze, stromych spadkach trzeba wielkiej wprawy, aby sanie szczęśliwie przeprowadzić.

Dobry woźnica rzadko bije swe psy, jeżeli to jednak robi, to już gruntownie. Każdego ranka, gdy po półgodzinnej jeździe psy ciągną źle, klnie on naprzód głośno i woła na psy po imieniu. To jednak zwykle nie pomaga, cierpliwość woźnicy wyczerpuje się. Zatrzymuje on sanki, chwyta rzemień dyszlowy we środku jedną ręką i batem, znajdującym się na jego kiju, bije psy wszystkie po kolei; a czyni to z zadziwiającym spokojem i dokładnością. Cicha tundra napełnia się ogłuszającym skowytom psów. Ale następnie biegną już one aż do wieczora bez zarzutu; w ciągu dnia woźnica nie bije już zwykle swych psów, tylko od czasu do czasu ciska na tego lub owego psa swój gruby kij i chwyta go następnie zręcznie ręką, nie ze-

skakując z sani. Ale psy znają już dobrze te napomnienia swego przewodnika i rzucają podczas biegu przedlotne spojrzenia na kajima, starając się uchylić od takiego pocisku, wyjąc przytym przeraźliwie. Trudno uwierzyć, jak długo psy te mogą spać, gdy są wolne od roboty. Dzień i noc leżą one bez ruchu, zwinięte w kłębek, i śpią twardo, budzą się tylko wtedy, gdy im przynoszą jeść, zjadają chciwie zmarzniętą rybę i znów zapadają w sen. Nagle jednak jakiś pies zrywa się, otrząsa ze śniegu, przeciąga leniwie, jakby chciał pozbyć się ospałości, podnosi łeb ku niebu i zaczyna wyć. I wyje takimi straszliwymi głosami, że przenika do szpiku kości i przejmuje przerażeniem. Po kilku minutach uspakaja się, kładzie i zasypia, jakby nigdy nic. Ale oto wstaje już drugi pies i rozpoczyna się to samo. Muzyka taka idzie od psa do psa, od domu do domu.

I. Enderli (Petermann's Mitteilungen).

Z GIEOLOGJI KAMCZATKI.

Wszyscy mniej więcej, chociaż z nazwy, znają doskonale czynne wulkany Kamczatki: Kluczewski, Szywełucz, Awaczyński. Poza tym szczupłe wiadomości o Kamczatce, rozsiane wśród szerszej publiczności, rysują ten kraj daleki, jako kraj otoczony pierścieniem zimnych północnych mórz, jako kraj z surową naturą, z zasługującą na pożałowanie ludnością, i jako kraj, którego całe bogactwo stanowią tylko sobole, niedźwiedzie i ryby. Takie wyobrażenie o Kamczatce w istocie rzeczy w ogólnych zarysach jest zupełnie słuszne.

Nie pokrywa kraju tego jasne niebo, nie kąpie się on w ciepłych promieniach słońca, nie otula go bogata i róż-

norodna roślinność, nie pracuje na jego ziemi ludność pełna życia i energii.

Ale przyrodnika nęci ten kraj tajemniczy i nęci siłą nieprzepartą.

W formach powierzchni Kamczatki należy wyróżnić przestrzenie trzech kategorii: góry stożkowe, t. j. wulkany, pasma gór, jako utwory poczęści nie wulkanicznej działalności i nareszcie równiny tundrowe. Czasami kraj-



Wulkan Awacza.

obraztych form powierzchni, różnych co do pochodzenia, łączą się ze sobą, ale, naogół biorąc, każda z nich zajęła swe terytorjum, a w nim odbija swe wybitne cechy.

Podróżnik, gdy trafi do jednej z takich miejscowości, ulega wpływowi gniotącej monotonji jej natury, i tylko doświadczone oko geografamorfologa potrafi na tle tej jednostajności dopatrzeć się historii życia ubiegłego.

Zachodnie wybrzeże Kamczatki, to tundra bezbrzeżna. Powierzchnię tundry określimy dobrze, jeśli powiemy, że

jestto prawie równina—peneplain. Rzeźba jej powierzchni, to rezultat działania wód bieżących. Poczęści powierzchnię tundry urozmaicają wzgórza wulkaniczne i pasma gór wulkanicznych i niewulkanicznych. Niwelowanie powierzchni zachodniego wybrzeża Kamczatki rozpoczęło się wtedy, kiedy dyslokacja popliocenowa stworzyła już pasma gór z osadów popliocenowych i kiedy główny okres działalności wulkanicznej wypiętrzył na rdzennym paśmie gór Kamczackich te wierzchołki, jakie w końcu epoki popliocenowej stały się siedliskiem lodowców.

Co się tyczy udziału lodowców w wytworzeniu powierzchni nietylko wybrzeża, ale i części górzystej, to o ile wiemy, do tego czasu lodowce na Kamczatce miały epokę największego stosunkowo rozwoju w końcu najbardziej energicznej działalności wulkanicznej, na granicy epoki współczesnej. Lodowce mogły odegrać pewną rolę w tworzeniu wód, ożywiając procesy rozmywania.

Istnienie tundry na wysokości 2000 — 2500 stóp jest zjawiskiem natury klimatycznej, a zależy od położenia granicy roślinności drzewiastej; nie zależy ono bynajmniej od istnienia na tej wysokości jakiejś dawnej prawie równiny. Jeśli na takich wysokościach można zauważyć czasami resztki równinowych przestrzeni, to resztki te są zwykle pochodzenia wulkanicznego, a co się tyczy utworów wulkanicznych, to w ich rozmieszczeniu nie udało się do tego czasu chwycić żadnej hypsometrycznej prawidłowości.

Po utworzeniu się środkowego pasma gór Kamczatki, złożonego z fałd utworów metamorficznych, rzeźba powierzchni Kamczatki zależała od działalności wulkanicznej i stopnia jej natężenia. Zmiany w wypukłościach części górzystej odbijały się na procesach erozyjnych równin wybrzeżnych.

Dla geologów, przyszłych badaczy Kamczatki, zarysowuje się jasno wytknięte pytanie: jaki istnieje związek pomiędzy działalnością wulkaniczną a historją rozwoju równin tundrowych, a same tundry oczekują dociekań gieobotanika.

Jednakże o gieologii i o naturze Kamczatki do ostatnich czasów wiedzieliśmy więcej, niż o jej mieszkańcach—Kamczadałach. Już sam zewnętrzny wygląd Kamczadała, pochłoniętego uciążliwą walką z surową naturą i bojaźliwie spoglądającego na każdego przybysza «z za rzeki», świadczy dosadnie, jaką jest opieka Rosji nad jej krańcami.

Karol Bohdanowicz.

Książka ta, począwszy od 12-go arkusza, drukowała się już po śmierci jej autora, przyczym w drugiej połowie wykończona była niezupełnie. Pozostałe luki dopełniłam paru artykułami, częścią wymienionemi w sporządzonym przez autora spisie, częścią samodzielnie, według jednak wiadomych mi zamierzeń autora.

A. N.

SPIS RZECZY.

	Str.
Geograficzno-dziejowe stanowisko Azji	5
Od morza Śródziemnego do zatoki Perskiej.—Koleje: Ana- tolska i Bagdadzka	10
Półnomadyczny sposób życia w Azji Mniejszej	19
Beduini	21
Jerozolima	26
Z Kaukazu	45
Armenja	47
Potop biblijny (w świetle dzisiejszej nauki)	54
Epos o Izdubarze	56
Nowoczesne katastrofy nad rzekami wschodnio - indyj- skimi	67
Istota potopu i jego rozprzestrzenienie się	74
Afganie i ich kraj	79
Kraj Turkomanów i podboje rosyjskie	89
Stepy i koczownicy mongolscy	97
Z dawniejszych wiadomości o lamach buddyjskich	102
Z wnętrza i wschodu Azji	106
Wyprawa do lodowca Zerafszanu	131
Z podróży N. M. Przewalskiego i Roborowskiego do Lob- Noru i Altyn-Tagu	136
Sztuczne nawadnianie w Azji środkowej i wędrowni ludów	155
Stepy Daurskie	172
Himalaje	178
Kaszmir	181
Kłęska powodzi w Indjach	186
Benares, miasto Braminów	187

Singapur	190
✓ Chiny i Chińczycy	196
Z podróży do Chin Beli Szechenyi'ego	209
✓ Grzebanie żywcem w Chinach	215
Löss chiński	218
Z Hi-gan-ki do Ta-cjan-lu	236
Na Jawie	243
✓ Wybuch wulkanu Krakatau	248
✓ Domy japońskie	249
Harakiri	260
Położenie robotników i kapitalizm w Japonji	268
Polowanie na wieloryby na wschodnim pobrzeżu Korei	273
✓ Japonja i Japończycy	283
U wrót Syberji	294
Równina zachodniej Syberji	303
Wycieczka w góry Altajskie	306
Jezioro Bajkał	311
✓ Tajga	314
✓ Tundry	320
Wieczny lód i życie w północnej Syberji	325
✓ Kwestja „Północno-wschodniego przepływu” i rozwiązanie jej przez Nordenskjölda 1878/9 r.	330
Z podróży do kraju Czukczów	350
Z ^F gieologii Kamczatki	354



Spis treści z dnia 16-V
1936 r. we czwartek wiersz D. H.
A. B.







42041[5]